3 1761 05676939 1

POLSKA W WALCE.

ZBIÓR

WSPOMNIEŃ I PAMIĘTNIKÓW

Z DZIEJÓW NASZEGO WYJARZMIENIA

WYDAŁ

AGATON GILLER.

Fiat lux
Libertas erit.

KRAKÓW.
Nakładem księgarni Aleksandra Nowoleckiego.
1875.

DK
436
.2
A1G55

920958

W drukarni Dr. L. Gumplowicza pod zarządem St. Gralichowskiego.

SIOSTROM MOIM:

HONORACIE KREMEROWEJ

i

AGRYPINIE KOPERNICKIEJ

poświęcam ten tom

WSPOMNIEŃ i PAMIĘTNIKÓW.

AGATON GILLER

WŁADYSŁAW RAWICZ.

WŁADYSŁAW RAWICZ.

Wyzwanie przyszle mu szpieg nieznajomy,
Walkę z nim stoczy sąd krzywo-przysiężny;
A placem boju będzie dół kryjomy,
A wyrok o nim wyda wróg potężny.

Zwyciężonemu, za pomnik grobowy,
Zostaną suche drewna szubienicy;
Za całą sławę krótki płacz kobiécy
I długie, nocne rodaków rozmowy.

Do Matki Polki. — A. Mickiewicz.

Przedmiotem takich rozmów był Władysław Rawicz. I będzie długo wspominany przez rodaków jako mąż, co obowiązek swój spełnił do ostatka. W nocy naszych dziejów świéci na firmamencie ojczystym jako gwiazda obywatelstwa!

Władysław Rawicz pochodził z rodziny znanej z zacności. Ojciec jego był bankierem w Warszawie. Męczennik synem bankiera! To tylko w Polsce się zdarza, gdzie każdy stan, dla miłości Ojczyzny, utraca właściwy pewnym zatrudnieniom egoizm. We Francyi, w Anglii, w Niemczech, w Rossyi, bankier a samolub to synonimy. W Polsce widzimy oto syna bankier-

skiego, zmierzającego śmiałym krokiem dla wspólnego dobra — ku szubienicy.

Bogactwo nie wytrawiło w nim uczucia, obfitość nie zatuczyła mu serca, szczęście domowe nie przeszkodziło mu poświęcić życia dla wolności kraju. Dzieje znają najwięcej męczenników z ubogiego stanu. W naszej Ojczyznie wydają ich wszystkie stany, od chłopa do magnata, dla tego Polska powstanie i żyć musi!

Obawy rewolucyonistów, którzy w dobrym bycie mieszkańców upatrując przeszkody do działań śmiałych, jakich wymaga powstanie ujarzmionego narodu, radziby widzieć naród w ubóstwie, jakby tylko sama nędza była bodźcem popychającym do działania przeciw najezdnikom, okazują się płonnemi wobec przykładu, jaki nam podał Władysław Rawicz, zrodzony z zamożnych rodziców 2 września 1832 roku.

Wychowany przez światłą i wzniosłego ducha matkę, pierwsze nauki pobierał w domu pod jej troskliwym dozorem. Następnie uczył się na pensyi Watkego. Po jej ukończeniu zdał egzamin do czwartej klassy gimnazyum realnego w Warszawie. Uczył się wybornie. W każdej klassie odbierał nagrody. W ostatniej zaś wręczono mu pochwalny patent.

Już w chłopięcym wieku okazywał usposobienie pełne dobroci. Mając lat czternaście, z własnego natchnienia, nic nikomu niepowiedziawszy, przez cały rok dawał korepetycye biednemu a mniej zdolnemu koledze. Dobrodziejstwo jakie robił, krył przed wszystkimi. Dopiero upominek przysłany przez

wdzięcznego ucznia, odkrył przed rodzicami uczciwą tajemnicę syna.

Wcześnie już więc rozwijać się w Rawiczu zaczęły przymioty najszlachetniejszej duszy. Tłem jej była skłonność do poświęcenia cichego, płaszczem skromności osłoniętego, które o sobie wiedzieć nie chce, wystawy nie szuka a nie wychodząc z granic zwyczajnych kolei, pełni czyny pięknej ludzkiej miłości. Udoskonalenie serca jest podstawą wszelkiego wykształcenia. Kto z domowego wychowania wyniósł duszę utwierdzoną w dobrém, ten jakąkolwiek drogą uda się w życiu, zawsze pójdzie do cnoty i szerokim korcem odmierzy swoją dla bliźnich użyteczność.

Moralny kierunek zawdzięcza Rawicz swej matce Maryi. Wybór zatrudnienia miał sobie zostawiony. Wybrał też rolę, do której miał wielki pociąg, a nie kantor, za warsztat swej pracy. Po opuszczeniu gimnazyum realnego, wyjechał jako praktykant na wieś dla poznania ojczystej gleby i sposobów gospodarskich. Pilnie wykonywając co mu polecono, nabył wkrótce wiele wiadomości. Nie uważając się przeto bynajmniej za uzdolnionego gospodarza, po roku wyjechał za granicę, do Akademji Rolniczej w Hochenheimie pod Sztuttgartem, dla poznania teoryi gospodarstwa. Gorliwość, z jaką pracował w tym zakładzie, zwróciła na niego uwagę profesorów, którzy do dziś dnia przechowują o nim przychylną pamięć. Postępy w nauce robił bardzo znaczne. Dwuletni kurs hochenheimskiej szkoły przebył w ciągu jednego roku. Złożył dobrze egzamina i jako biegły

w umiejętności gospodarczej uzyskał dyplom dojrzałości.

W akademjach i uniwersytetach niemieckich, gdzie tylko uczyło się chociażby kilkunastu Polaków, tworzyły się towarzystwa wzajemnej pomocy i oświaty narodowej. Instynkt organizacyi, który się w czasach naszej niewoli mocno w narodzie rozwinął, łączył na każdym punkcie naszych młodzieńców w jedną gromadę. Zakładali biblioteki, które obfitowały w patrjotyczne dzieła poezyi i historyi Polski. Każdy więc student, prócz nauki specyalnéj, któréj się oddawał, kształcił w sobie uczucia i myśl narodową i tym sposobem dopełniał braku, jaki zostawiała w nim edukacya moskiewska lub pruska, uważająca szkoły za fabryki wynaradawiania. Niejedno użyteczne przedsięwzięcie wzięło swój początek w tych akademjach, każde zaś szlachetne, polityczne lub narodowe usiłowanie, znajdowało w téj młodzieży poparcie. Grupy ich, jak wyspy na morzu, służyły za stacye dla błąkających się po obczyźnie patrjotów. Emigracya, której najezdnicy wszelki przystęp do Ojczyzny zamknęli, przez nich wpływała na społeczeństwo krajowe.

Gdyby się kto zajął spisaniem wspomnień młodzieży polskiej, szukającej w cudzoziemskich zakładach światła, i rozproszył mgłę niepamięci, jaka wydarzenia pomiędzy nimi oraz ich życie zakrywa, zdobyłby potężny argument przeciwko systematowi, który rządowi moskiewskiemu i pruskiemu oraz austrjackiemu — podał myśl wynarodowienia szkół naszych i zniesienia wyższych zakładów naukowych w Polsce.

Polacy otoczeni niemczyzną lub moskiewczyzną, kupiąc się jako rozbitki, uczyli się najpotrzebniejszéj w ich położeniu solidarności i przechodzili — niewiedząc sami o tem — formalną szkołę polityczną. Bezpośredniego źródła wypadków z roku 1861—63 szukać należy w uniwersytetach rossyjskich; uniwersytety zaś i akademje niemieckie, wiernie im w ruchu, jaki ztamtąd wyszedł, sekundowały.

W Hochenheimie było także grono doborowej młodzieży. Rawicz zyskał sobie pomiędzy nimi miłość koleżeńską i pozawiązywał znajomości, które później w samym ruchu okazały się stosunkami użytecznemi dla sprawy niepodległości. Mieli tu małą bibliotekę. W niej były dzieła wyborowe polskie: Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, Pola, Niemcewicza, Lelewela, Szajnochy, Mochnackiego, Moraczewskiego, Sienkiewicza, Czajkowskiego, Ujejskiego, Libelta, Trentowskiego, Kremera, Henryka Kamińskiego, Alcyaty, Heltmana jako téż wszystkie ważniejsze publikacye emigracyjne. (Biblioteka hochenheimska, licząca, jeżeli nas pamięć nie myli, 1000 tomów, w r. 1865 darowaną została młodzieży polskiej, uczącej się w Szkole Politechnicznej w Zürichu.)

Na młodych czytelnikach przybyłych z kraju, w którym ideje wolności i patrjotyzmu, jak perły w konchach chować się musiały w przepaściach głębokich tajemnicy, dzieła patrjotycznych pisarzy wywierały ogromne wrażenie. Miały one dla nich powab świeżości. Dumy tajemnicze, w których wątek snuł się w kraju niewyraźnie, przedstawiały się im

nagle w jasnych, okazałych, życie mających kształtach. Serca nieprzesycone namiętnościami i umysły niedoprowadzone jeszcze przez polemikę do stanu nic nieprzyjmującego zwątpienia, brały w siebie chciwie napotykane dobro i piękno i zapalały się miłością Ojczyzny. Jęki współrodaków, przenikliwiej już odtąd rozdzierały duszę, przed źrenicami stawała już częściej okrwawiona postać, moskiewskiemi i niemieckiemi kajdanami obciążonej Polski. Wracający do kraju młodzieniec, przybywał w progi rodzinne z najważniejszą pomiędzy naukami wiedzą swoich obowiązków ludzkich i narodowych.

Rawicz po opuszczeniu Hochenheimu zwiedził Niemcy, Anglię i Francyę, starając się poznać społeczeństwo i zarazem rolnictwo w tych krajach. Na Szlązku udał się do barona W. N., posiadającego wzorowo urządzone gospodarstwo. Tutaj dokończył swe nauki. Przy powrocie do Polski baron W. N. pisał do rodziców Władysława z podziękowaniem, że pozwolili synowi swojemu u niego przebywać. „Rodzice zwykle mi dziękują za kształcenie ich synów, tym razem ja jednak spieszę z wynurzeniem wdzięczności za przyjemność, jakiej doznałem w nauczaniu waszego dziecka. Jestem już w podeszłym wieku — są dalsze słowa jego listu — ale nie napotkałem jeszcze w życiu równie szlachetnego młodego człowieka, któregom pokochał jak własne dziecko. Pragnę poznać matkę takiego syna“ i t. d.

Rawicz powrócił do kraju, aby już z niego nigdy nie wyjeżdżać. „Dobrze jest“ — mawiał — „poznać i widzieć obce kraje, ale w swoim tylko

żyć należy. W swoim bowiem tylko może człowiek nabytą naukę najlepiej spożytkować.“ — Za obowiązek patrjotyczny uważając wydawanie u siebie w kraju grosza zapracowanego na ziemi ojczystej, na korzyść własnego społeczeństwa, z zasady już potem z Polski się nie wydalał.

Stary Rawicz nabył w Siedleckiem wieś Grochów od człowieka, który ziemię wycieńczył, lasy powycinał, włościan zaś doprowadził do ostatniej nędzy ciągłemi procesami. Tak źle zagospodarowany majątek oddał pod zarząd synowi. Władysław, chociaż liczył dopiero lat 21, wziął się do pracy z wielką znajomością rzeczy. Przez 9 lat pracując z pilnością polskiego kmiotka, doprowadził gospodarstwo rolne do kwitnącego stanu. Pola jego pokryte zawsze były najbujniejszem zbożem. Lasy, które dla rozbrojonego ludu służyć miały za fortecę przeciw najezdnikom, pozasiewał i pourządzał. Budynki nowe na folwarku powznosił a pomnożywszy znacznie swój dochód, stał się dla okolicy wzorowym gospodarzem.

Zaraz po objęciu majątku założył szkołę dla włościan, a chociaż zimą tylko uczyły się w niej dzieci, wszyscy tam dzisiaj w jego wsi czytać i pisać potrafią. W czasie powszechnego głodu, zbożem swojém ratował włościan i dalszych sąsiadów. Nigdy, nikt prawdziwie potrzebny nie odszedł od niego bez pomocy. Najczęściej dostrzegłszy jej potrzebę, sam z jej ofiarowaniem pośpieszał. Zamożność przychodziła w pomoc sercu, używał jej też szczodrze.

Podczas cholery urządził w Grochowie szpital a w nim sam osobiście, jak siostra miłosierdzia, niósł pomoc dla cholerycznych. Doktor sąsiedniego miasteczka, rocznie płacony, każdej chwili jego kosztem niósł pomoc lekarską sługom i licznym włościanom jego wsi.

Byt włościan polepszył i do obfitości doprowadził. Był on na Podlasiu jednym z najpierwszych, co znieśli pańszczyznę. Oczynszowanie przeprowadził oględnie ale sprawiedliwie. Godził w niém obowiązek dla włościan z rozumném pojmowaniem interesów rolnictwa. Nie było ono u niego wypadkiem chwilowej egzaltacyi. Rozpoczął je w pierwszych latach gospodarowania w Grochowie a przeprowadzał kategorycznie przez pewną liczbę lat, z ogólném zadowolnieniem samychże włościan.

Rzetelność i sprawiedliwość młodego właściciela, ściągała do niego zewsząd robotników. Gdy innym obywatelom uczuwać się dawał czasami brak rąk do pracy, Władysław Rawicz miał ich zawsze poddostatkiem. Kto się raz do niego do służby dostał, już jej opuścić nie chciał. Służba w Grochowie uważaną była w okolicy za najlepsze świadectwo moralności i pracowitości. Kto też z niej oddalonym został, z trudnością dostawał miejsce; okoliczni bowiem włościanie i szlachta, źle takiego i jako robotnika małej wartości, cenili.

Rawicz w stosunku z ludem był na pozór zimny i surowy, w rzeczy samej kochał go całém sercem i życzył mu jak najlepiej. Przywiązanie jego wyrażało się w ciągłém staraniu o podźwignięcie ludu

moralne a zarazem materyalne. Włościanie widząc w nim bezinteresownego a rzetelnego opiekuna, okazywali mu wielokrotnie swoją życzliwość.

Na wiadomość, że pan Władysław ma się ożenić z córką byłego oficera wojsk polskich, Witwickiego, brata Stefana, słynnego polskiego pisarza i patrjoty, zmarłego na emigracyi w Rzymie, Grochowiacy zebrali pomiędzy sobą składkę i przynieśli ją do sędziwego kanonika Niesiołowskiego, proboszcza Czerwankowskiego, z prośbą aby sprawił jaką pamiątkę, którąby mogli mu ofiarować w dzień ślubu. Ślub się odbywał w Warszawie w kościele Karmelitów na Lesznie. Nowożeńcy klęczeli przed ołtarzem, kapłan wymawiał słowa: „was tu obecnych biorę na świadków“ — gdy deputacya sześciu włościan przedarła się przez tłum do samego ołtarza i stanąwszy za ślubną parą krzyknęła: „Jesteśmy i świadczymy!“ Władysław się obejrzał i łzą radości na opromienionej twarzy dziękował swoim przyjaciołom w siermięgach. Była to najszczęśliwsza chwila w jego życiu.

Po powrocie z kościoła dziękowali mu chłopi w imieniu całej gromady za wszystkie dobrodziejstwa. Najstarszy zaś z nich, Sobolewski, wręczając Rawiczowi puhar z napisem, poprosił kanonika, aby lepiej niż on to potrafi, wyraził uczucia kmiotków dla nowożeńców. „Nie zasłuży nikt — mówił więc w imieniu swoich parafian szanowny ks. Niesiołowski, — na dowody takiego przywiązania pozorami lub darami rzuconemi jak jałmużna! Kto z serca i sercem daje a działa, kto długie lata jako dzień

jeden jednakowo był dobrym, wspaniałym, sprawiedliwym i kochającym, ten tylko tak szczerze jak ty kochanym być może.“ — Wzajemne uściski i toast wychylony z pamiątkowego puhara zakończył uroczystość.

Odtąd dom Rawicza w Grochowie stał się jeszcze więcej towarzyskiém ogniskiem dla okolicy, niestety na zbyt krótki czas. Ozdabiała go gościnność, wdzięk przyjęcia i rozumne rozmowy o sprawie publicznej. Za jego przykładem w wielu dworach podlaskich zarzucano grę w karty, która nie jedną fortunę zrujnowała, i picie kosztownego w Polsce wina. Książka zastąpiła butelkę a czytanie zabawę. Nie unikano atoli i rozrywek. Rawicz oddawał się ulubionemu przez siebie polowaniu oraz hodowli koni, które jak najstaranniej utrzymywał i sam ujeżdżał.

Jak po radę i przyjemność towarzyską, zjeżdżano się też do niego po wiadomości. W Polsce pod rządem moskiewskim, gazety piszą tylko to, co im cenzura pozwoli wydrukować. O czém zaś cenzura pisać pozwalała, wiadomem było z instrukcyi, udzielonej ustnie przez Muchanowa redaktorom gazet. „W fejletonie, możecie pisać — rzekł do nich pewnego razu — np. o wężu morskim i rozbierać opinie uczonych, z których jedni twierdzą, że on jest wymysłem fantazyi, a inni, że go widziano niedaleko Islandyi. Możecie także pisać o wyprawach kapitana Franklina i o jego tajemniczym końcu. Wolno wam jest panowie robić różne kombinacye, co do przypuszczalnego odkrycia jego wyprawy. Z polityki pod rubryką „Francyi“ możecie podawać wiadomości z giełdy i z senatu. Nowiny o ban-

kructwie zawsze interesowały publiczność. Z Anglii możecie podawać wiadomości o przyjęciach królowej w Windsorze; doniesienia, że sławny lord umarł a inny umiera. Z Włoch ważne wiadomości dla księży, że Papież wyjechał z Rzymu do Castelgandolfo, lub też powrócił do Watykanu. O Hiszpanii radzę pisać nie często z powodu ciągłych niepokojów w tym kraju — a wiadomości polskich nie podawać wcale, bo publiczność dostatecznie o nich z rozporządzeń rządu drukowanych jest objaśnioną."

Z gazet więc trudno było dowiedzieć się prawdy i żadnego nie można było powziąć wyobrażenia o tem, co przedewszystkiem polskiego obywatela zajmowało. W każdej okolicy są więc domy, które przez swe stosunki prywatne i korespondencye mają sposobność dokładniejszego dowiedzenia się o tem, co się dzieje za murami polskiej niewoli — i komunikując sąsiadom to, o czem dojdzie ich wiadomość, wpływają przez to na wyrobienie się politycznej opinii w kraju. Rawicz był także takim informatorem swoich sąsiadów, a zdrowy sąd o rzeczy, jaki posiadał, prawdomowność, którą się odznaczał, wyrobiła mu powszechne zaufanie. Kto danego słowa i zobowiązania się nigdy nie cofnął, tego słowu i na polu polityki wierzono. Ale, nietylko równi mu stanowiskiem ludzie chętnie się zbliżali do niego i ubodzy i chłopi i żydzi, zawsze czegoś nauczyć, czegoś dowiedzieć się pragnęli od Rawicza, który pomimo młodości, pełen zawsze powagi i taktu, wszystkich z jednakową życzliwością jako braci w Ojczyznie traktował.

Zawiązanie Towarzystwa Rolniczego przez hrabiego Andrzeja Zamojskiego, otworzyło dla obywateli pole życia publicznego. Ciasnemi miedzami moskiewskiéj podejrzliwości ograniczone, podało przecież ludziom zdolnym a dobrej woli sposobność do zbiorowego działania. Z tego działania wyrodziła się polityka tak zwanej organicznej pracy, zmierzająca do społecznego wzmocnienia i zabliźnienia ran zadanych narodowi przez trzydziestoletnie wojskowe rządy t. j. od upadku Warszawy 1831 r. Władysław był gorącym zwolennikiem tej polityki. Nie było rozprawy, którejby zdaniem swojem nie wyjaśnił; próby rolniczej, którejby z dobrym skutkiem nie podjął; delegacyi, w którejby nie uczestniczył. Aż do zamknięcia Towarzystwa Rolniczego przez markiza Wielopolskiego był najgorliwszym członkiem tej korporacyi. Pełniąc w niej różne obowiązki i w komitecie, zastępował także nieraz sekretarza Towarzystwa Rolniczego. Przez pracę, moralność i oświatę, dążył z całem Towarzystwem do przewagi nad panującymi niesprawiedliwie w Polsce Moskalami i Niemcami; temi środkami zdobyć chciał siły potrzebne do dźwignięcia kraju.

Manifestacya na Starem mieście w Warszawie a potem strzały na Krakowskiem Przedmieściu dnia 27 lutego (1861 r.), pogrzeb uroczysty pięciu ofiar 2 marca, dzięki roztropności przewodników i dojrzałemu rozumowi narodu, nie zamieniły się w bezcelową zawieruchę. Świetnie rozbłysły zorze narodowego patrjotyzmu. Jeszcze nigdy w Polsce nie widziano takiego zapału i takiego poświęcenia. Za

nic śmierć, za nic męczeństwo — tysiące ludu co dzień, co godzina zbrojne prawem i miłością Ojczyzny, gotowe były umrzeć za wspólną sprawę. Przed otworami karabinów i armat stały nieporuszone tłumy ludu i wołały do Boga: „Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!“ — Rawicz zlał się całą duszą z tymi spokojnymi a niezrównanej wspaniałości objawami. Był on wszędzie. Pierś nadstawiał jak inni. Podczas manifestacyi po zniesieniu Towarzystwa Rolniczego, gdy orła polskiego na balkonie gmachu Towarzystwa kredytowego powitała najsrożej zakazana przez carów pieśń: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ — śpiewana przez kilkadziesiąt tysięcy ludzi, Rawicza widziano bardzo czynnie zajętego urządzeniem tej ludowej przeciwko gwałtom moskiewskim a zwłaszcza zniesieniu słynnego Towarzystwa protestacyi.

Na gruzach Towarzystwa Rolniczego powstała staraniem Edwarda Jürgensa organizacya nowa, na wpół tajemna, którą dla jej umiarkowania przezwano *„białą“*. Była to organizacya zupełnie polityczna. Rządzona przez *Dyrekcyą* powstałą z wyborów, utrzymywała w kraju sztandar organicznej pracy. Rawicz podwoił wtedy swe zabiegi i pracę. Wszystkimi wpływami i stosunkami starał się utwierdzić politykę białych i rozszerzyć ją do całego kraju. Stronnictwo przeciwne, czerwone, wychodząc z zasady, że Moskale nie zezwolą na pracę organiczną, od razu postanowiło przystąpić z nimi do ostatecznej rozprawy z orężem w ręku, którą biali uważali za przedwczesną i zgubną.

Rozpoczęła się walka pomiędzy dwoma stronnictwami, walka zacięta, szło tu bowiem o opanowanie kierunku polityki narodowej. Prowadzona wobec obcego rządu, nie rozpaliła atoli serc wzajemną niechęcią do stopnia, na którymby, jak to zwykle bywa w sporach stronnictw, jedno drugiemu szkodziło przez odsłonięcie go przed nieprzyjacielem. Biali znali tajemnicę czerwonych; czerwoni znali tajemnice białych. Dyrekcya obywatelska wiedziała, kto jest w Komitecie centralnym narodowym; Komitet znał osoby będące w Dyrekcyi — a jednakże konieczna tajemnica przed czyhającym na łup wrogiem zachowaną została.

W tem oszczędzaniu przeciwników, każdy rozsądnie patrzący na rzeczy widzi dowód umoralnienia narodu i uczciwości, do jakiej nigdy niestety nie doszły stronnictwa na emigracyi. Tam wszelki sposób do zwalczenia patrjoty innego obozu był dobry. Nikogo nie oburzała zamaskowana denuncyacya za pośrednictwem druku. Ogłoszenie w piśmie nazwisk osób, na które mógł ręce swe położyć nieprzyjaciel, nie było dosyć silnie potępione, bo szkodzenie przeciwnikowi jakimbądź sposobem, pokrywało racyą stanu podłość tem niebezpieczniejszą, że była ona dla swej jawności niespostrzegalną. Pisma dwóch najgłośniejszych politycznych polemizatorów na wychodztwie, jednego, który skończył swą karyerę wejściem do służby tajnej policyi francuzkiej (J. B. Ostrowski), a drugiego, jenerała nieudanych ekspedycyi, pełne są takich denuncyacyi. — Ogłaszano

niby w dobrej wierze nazwiska, które powinne były zostać w tajemnicy, w tej nikczemnej intencyi, aby się przeciwników pozbyć za pośrednictwem wspólnego nieprzyjaciela. W walce pomiędzy białymi a czerwonymi w kraju nic podobnego nie było. Między sobą potykali się nieraz zajadle, ale osoba każdego z walczących była przez przeciwnika troskliwie zakrytą, ile razy wróg okiem swojem usiłował rozeznać oblicze walczącego rycerza. Dopiero pod koniec 1862 roku, gdy w krajowych sprawach czynniejszy udział wzięli ludzie skrajnych opinii będący na wychodztwie, zaczęła znikać szlachetna cecha z walki stronnictw. W Paryżu i po za kordonem moskiewskim głośno wymieniano nazwiska osób zostających w Dyrekcyi i w Komitecie pod obuchem moskiewskim, a wychodzące w nadsekwańskiej stolicy demagogiczne pisemko, „Baczność“, wydrukowało nawet nazwisko Jurgensa jako naczelnika stronnictwa, którego we dwa miesiące potem wzięli Moskale do cytadeli, gdzie męczeńsko życie zakończył. Wraz z kompromitowaniem osób, nadszedł ztamtąd i nacisk, który imaginacye zaogniał i rozpalaniem aż do szału nienawiści stronniczej, pędził naród do jakiego takiego, byle rychłego powstania.

Ludzie atoli, którzy w kraju temu demagogicznemu wpływowi nie ulegali, zachowali do końca wspomnianą szlachetność i oszczędzali przeciwników. Piękny przykład tej szlachetności dał Rawicz. Powołany ogólnem zaufaniem na pośrednika, pełnił na Podlasiu obowiązek Wojewódzkiego Naczelnika i urządził organizacyą białą w całem województwie.

Zajmując tak ważne stanowisko w tajemnych usiłowaniach, dokładał wszelkich starań, ażeby zasady umiarkowanych zwycięztwo odniosły nad dążeniami rewolucyjnemi. Organizacya narodowa Komitetu Centralnego Narodowego rozwijała się wtedy z wielką szybkością. Zdarzyło się, że w okolicy Podlaskiej, o której mówimy, naczelnikami walczących z sobą stronnictw byli Rawicz i Frejtag. — Frejtag jako oficyalista Rawicza zarządzał jego dobrami Grochowem. Obadwaj szlachetni, obadwaj prawi i Polskę nad wszystko miłujący, pomimo różnicy przekonań jaka ich dzieliła, oraz różnicy kolorów chorągwi, pod którą służyli, umieli wzajemnie uszanować się i pozostać w przyjaznej harmonii. Ileż to dziedziców byłoby za przeciwne polityczne działanie pozbawiło rządzców swoich chleba. Niewielu zaprawdę znaleźćby można podobnych do Rawicza, który nie tylko nie oddalił swego przeciwnika, ale przebywał z nim pod jednym dachem. Rozmowa z gospodarstwa schodziła zawsze mimowolnie na pole polityczne i tu się kończył wpływ pryncypała. Frejtag bronił swoich przekonań a Rawicz w człowieku zależnym od siebie umiał je poszanować. Piękny ten stosunek podnosił w sercach osób wtajemniczonych w roboty narodowe, szacunek dla obydwóch; jeden drugiego prac nie wydał i nie zdradził głośnem mówieniem tam, gdzie nie należało o nich mówić. Prawdziwi rycerze ducha, do końca potykali się, szanując siebie i swe tajemnice. W końcu obaj adwersarze, znaleźli się w dniu stanowczym obok siebie, na jednej drodze, w wspólnej przeciwko najezdzcy

wojnie. (Frejtag podczas powstania, w bitwie pod Węgrowem, wyjechawszy na rekonesans wzięty był przez Moskali do niewoli, zawieziony do Warszawy, przesiedział w lochach cytadeli dwa miesiące. Staraniem Rawicza wydobyty z więzienia, powrócił do Grochowa. Po miesiącu wypoczynku, wszedł znowuż do obozu. Bił się walecznie w kilku potyczkach. Po rozbiciu oddziału, w którym służył, w chwili, gdy się przedostać chciał do innego oddziału, złapanym został przez Moskali i osadzonym w więzieniu w Siedlcach, gdzie po srogich męczarniach, nie wydawszy nikogo, w miesiącu listopadzie 1863 r. powieszonym został. Szlachetnej i pięknej duszy człowiek, wart równej czci jak Rawicz!)

Zanim atoli wybuchło powstanie, Rawicz niejedną jeszcze usługę oddał programatowi umiarkowanego stronnictwa. Przeprowadził w obrębie swojej władzy, dobrowolne opodatkowanie na cele narodowe; utrzymywał obywateli podlaskich w ściśnionych szeregach i pracował nad połączeniem organizacyi białej i czerwonej w jedno silne, narodowe ciało. Zdawało się mu, że przez to złączenie zapobiedz będzie można wojnie, którą uważał w ówczesnych warunkach za nieszczęście.

Rawicz wiedział, że Polska tylko orężem zdobyć może niepodległość, lecz aby krwawe przedsięwzięcie pomyślny skutek mieć mogło, mniemał, że nie należy nigdy chętnej woli brać za siłę oraz liczyć na cuda, ale trzeba wdziać na się zbroję, czoło pokryć szyszakiem, uchwycić miecz i jak rycerz przygotować się do boju. Tak przekonany wraz

z całem stronnictwem, utrzymywał ruch narodowy na drodze legalnej gonitwy a zapał patrjotyczny obracał na rzecz prac społecznych i oświecenia. Ukończenie kwestyi włościańskiej, oświecenie chłopów, mieszczan i żydów, przeprowadzenie jedności społecznej, głosił jako przedwstępne a konieczne prace do powstania. Przemawiał więc za przyjęciem i zużytkowaniem tak zwanych koncesyi, jakie zyskał margrabia Wielopolski u cara i jego ministrów i występował przeciwko tym, którzy wzdąwszy serca przesadzoną nadzieją, uznawali je za nieużyteczne.

Wiadomo że co do przyjęcia reform, opinia w obozie czerwonych była podzielona. Większość w tem stronnictwie była za tem, aby nie hamować ich rozwoju, skrajni zaś wytężali swe usiłowania, aby je naród odrzucił i całkowicie zwrócił się do tajemnego przygotowania powstania. Wydana atoli przez nich odezwa przeciwko wyborom obywateli do Rad powiatowych i municypalnych nie zrobiła wrażenia. Syberyacy [1]) i rzemieślnicy w Warszawie porozumieli się w celu zabezpieczenia wyborców przed prawdopodobnym napadem demagogów i stanęli na straży izb wyborowych. Gdy najgorętsi i najrozumniejsi patrjoci oświadczyli się za reformami, wówczas i skrajni (po nieudanym zamachu Szachowskiego, który miał zamiar rozpędzić wyborców głosujących w gmachu b. Towarzystwa Przyjaciół Nauk) oświadczyli, że je przyjmują ale pod warunkiem,

[1]) Syberyakami nazywano patrjotów powróconych z wygnania syberyjskiego.

aby zastosowane zostały nie tylko do Królestwa Polskiego, ale do Litwy i Rusi.

Na tę ich decyzyą wpłynął przybyły z Podola poeta Apollo Korzeniowski, człowiek serdecznie kraj miłujący. Tkliwość uczucia łączył z goryczą, gwałtowność z rozwagą. Zbliżał się umysłem do młodzieży a rozumem nad nią panował. Został on wkrótce jednym z najbardziej cenionych naczelników stronnictwa czerwonego, w którego anarchiczne łono pewien ład starał się wprowadzić. Było ono rozbite na mnóstwo niezależnie od siebie działających i nieznających się zupełnie kółek tajemnych. Bez wspólnego kierunku szły za natchnieniem serca w różne strony, bez wyraźnie wytkniętego celu. Luźność ta czerwonych, dała przewagę w sprawach 1861 roku stronnictwu białych, na czele którego stali Jurgens, Karol Ruprecht, Władysław Zamojski i kilku innych bardzo wpływowych ludzi. Przewaga ta atoli znikać poczęła po zwycięztwie, jakie umiarkowani odnieśli w kwestyi wyborów do Rad powiatowych. W tym bowiem czasie utworzony w październiku (1861) za radą W. M. i A. Korzeniowskiego *Komitet* w Warszawie, niesforne kupy czerwonych garnąć zaczął do jednego ogniska, pod jeden proporzec, na którym wypisano powstanie, jako cel nieprzepartego dążenia. Przyjąwszy wszystkim zrozumiały a wszelkiej niecierpliwości, namiętności i niedoświadczeniu podobający się programat rewolucyjny, Komitet zcentralizował władzę nad kółkami tajemnemi i wystąpił jako głowa spojnej i podsycającej w sobie zapał wojenny drużyny. Wszystkie środki uznawała ona

za dobre, byle jak najprędzej wybuchło powstanie, dobijające się o wolność i niepodległość całej Polski.

Stanowisko białych zostało przez stanowczość czerwonych bardzo utrudnionem. Rady powiatowe i miejskie, które działały za wskazówkami odbieranemi z Dyrekcyi, nieznacznie ulegały wpływowi czerwonych. Coraz bardziej opozycyjne uchwały zapadały na ich posiedzeniach. Dyrekcya sama powoli partą była do ostateczności. Zstępując mimowoli, z powodu gwałtów jakie rząd popełniał, z bezpiecznego krużganku legalności, zbliżała się do przeciwników.

Rawicz przy wyborach wystąpił jako kandydat do Rady Siedleckiej. Pan Stanisław Jasiński [1]), który nam łaskawie udzielił notatek do niniejszego życiorysu, powiada, że będąc przez Komitet wyborczy powiatowy wydelegowanym do porozumienia się z wyborcami o kandydatów, ani jednego zarzutu przeciwko Rawiczowi nie słyszał. Wszyscy zgadzali się na jego wybór. Ambitni nawet, którzy radziby sami zasiąść w dostojnem gronie, ustępowali miejsce młodzieńcowi, ledwie od kilku lat pomiędzy nimi osiadłemu, którego atoli obywatelskie uczucie z bezwarunkowem poświęceniem dla dobra i potrzeb kraju już mieli sposobność poznać. Tak więc jednomyślnością powołany został na członka Rady Siedleckiej.

[1]) Panu Jasińskiemu i Antoniemu Skotnickiemu K. P. zawdzięczamy wiele szczegółów, które nam posłużyły do ułożenia wspomnienia o Rawiczu.

Krótkim był byt Rad powiatowych. Nie miały one czasu okazać swej użyteczności — a członkowie sposobności rozwinąć swoich zdolności. Uchwały atoli niektóre, jakie w nich zapadły, przekonały, że obywatelstwo nasze nie da się użyć za narzędzie obcej władzy, że posiada wiele samodzielności, że nareszcie rozumiejąc, co krajowi potrzeba, chciało szczerze zapobiedz wojennemu rozruchowi, na jaki się zanosiło.

Prócz wielu innych i Rada Siedlecka uchwaliła wniosek przeciw poborowi do wojska. Rząd moskiewski oświadczenia te Rad uważał za oznaki nielojalne. Niedopatrzył w nich mądrej przestrogi. Gdyby Wielopolski zrozumiał był ich znaczenie, powstanie zostałoby odroczonem. Ale stało się inaczej; rządzący wraz z W. Ks. Konstantym margrabia uważał brankę jako najskuteczniejszy sposób poskromienia ruchu. Poskromili go wprawdzie, ale jakiemiż kosztownemi sposobami? Ileż to krwi się wylało w wojnie ośmnastomiesięcznej, — ile okrucieństw, morderstw, egzekucyi popełnili Moskale?! — Reformy Wielopolskiego uleciały z kłębami dymu, które się wzniosły ku niebiosom z miast i wsi polskich. Moskale opanowali przy pomocy Prus i Austryi powstanie — i nie uroczyście przyobiecaną narodową organizacyę, ale zaprowadzili w Koronie tenże sam systemat dzikich rządów, co na Litwie i Rusi, który posunął się do nieznanej w dziejach niedorzeczności zakazywania mówienia ojczystym językiem. Systemat ten rozwiódł nad Polską chmurę nieszczęścia, rzucił na nią kamienie pognębienia, ale

Moskwę napiętnował najszkaradniejszem barbarzyństwem i zasiał w jej łonie ziarna rozkładu.... nihilizm — od którego zginie. Gdyby byli usłuchali Rad powiatowych, gdyby się wstrzymali od branki, nie byłoby tego wszystkiego.

Proskrypcya 15 stycznia 1863 r. w Warszawie pchnęła naród na ostre. Chroniący się po lasach rekruci, byli zawiązkiem sił zbrojnych narodu. Noc 22 na 23 stycznia była jednym z tych wielkich, historycznych, stanowiących o losach narodu wydarzeń. Małe garstki bohaterów uderzyły na moskiewskie załogi. Walka na ulicach Płocka, wytępienie nieprzyjaciela w Bodzentynie, bitwa w Szydłowcu, potyczka w Lubartowie, w Stoku, wybuch w Płońsku, w Jedlni, w Bukowie, w Radomsku, w Łukowie, pod Grójcem i w innych miejscach, rozpoczęły powstanie. Najsilniej wystąpiło Podlasie, do którego na naczelnika posłany był przybyły z emigracyi Walenty Lewandowski, osobiście dowodzący tej pamiętnej nocy napadem na Stok pod Siedlcami. Rogiński walczył pod Białą; z Kodnia wypędzono Moskali; w Łukowie przy wybuchu powstania raniono jenerała moskiewskiego Kannabicha. Moskale podają liczbę tych, którzy tej nocy zaczepili ich panowanie orężem, na 6000 ludzi; nie wiele w rzeczy samej była ona znaczniejszą. Powstanie nie zwyciężyło, ale nie zostało pokonane. Odparte od miast znalazło posadę w lasach.

Wybuch jego był chwilą dla ludzi obliczających, zapałem nieunoszących się, pełną niepokoju i obaw. Niektórym zdawało się, że będzie można

z borów śniegiem zawalonych zawrócić do domów te małe garstki walecznych, które uzbrojone kosami i kijami, w małej tylko liczbie lichą myśliwską bronią, wystąpiły bez karabinów przeciwko milionowej, najlepiej uzbrojonej armii cara. W liczbie zaniepokojonych był i Rawicz. Napisał on w tej epoce memoryał do kierujących powstaniem, który atoli nie doszedł do Rządu Narodowego. Moskale znaleźli go pomiędzy jego papierami. W swém piśmie Rawicz ze szczerością, jaka go cechowała, przedstawił niebezpieczeństwo zbrojnego powstania, niepodobieństwo zwycięztwa a pewność zguby, — i błagał ażeby wytrwać na drodze, na jaką kraj wszedł poprzednio, na drodze pracy społecznej. W końcu atoli oświadcza, że pomimo przeciwnej powstaniu opinii, którą jako obywatel kraju otwarcie powiedzieć był powinien, posłusznym będzie jak przystoi na prawego Polaka Rządowi Narodowemu i gotów jest na jego rozkazy do wszelkich usług, jakie tenże Rząd za dobre dla Ojczyzny uznawszy nakaże mu pełnić. Był to postępek uczciwego człowieka. Sumieniowi swojemu uczynił zadość wypowiedzeniem co myślał, ale gdy stanął Rząd Narodowy, który powołał wszystkich do usług dla kraju — zrozumiał, że najlepszą polityką było słuchać tego Rządu, służyć z nim razem krajowi i popierać powstanie. Na drogi przebyte nie czas już było powracać. Czas sporów o programata minął. Gdy stał się czyn niewątpliwie narodowy, gdy wojna wypowiedzianą została, ten tylko był wiernym synem Ojczyzny, co z pochwy pałasz wydobył,

co szedł w szeregi walczących, lub zaopatrywał powstanie w broń, w ubranie i w żywność, — a nie ten, co zasłaniając się przekonaniem swojem, oddalał się na bok i ręce opuściwszy, patrzał obojętnie, jak wróg ziemię naszą plądrował. Liberum veto niepowrotnie przepadło. Nie wolno dziś, żadnemu Polakowi być bezczynnym dla tego, że to, co się dzieje, nie według jego myśli i woli się dzieje. W wojnie i w każdem spotkaniu się z nieprzyjacielem, wszyscy jak jeden mąż mówić i działać powinni. Spory zamilknąć, walki stronnicze ucichnąć muszą, gdy następuje rozprawa z najezdcą.

Do tego stanowiska przez serce i rozum każdemu Polakowi wskazanemu, dążyli wszyscy zacniejsi i rozumniejsi ze stronnictwa, do którego należał Rawicz. Zanim atoli wystąpili czynnie na widownię powstania, na Podlasiu zaszło kilka ważnych wydarzeń. Powstanie w dniu wybuchu niepokonane, nie zraziło się pierwszemi niepowodzeniami. W różnych punktach kraju członkowie organizacyi zbierali nowe gromady ochotników i formowali oddziały. Pod Węgrowem, Matliński, znany pod nazwiskiem Sokoła, założył obóz. Patrjotyczni Podlasiacy zewsząd doń spieszyli. Szlachta zagonowa, chłopi, czeladź, rzemieślnicy z czem kto miał, szedł na wezwanie bronić Ojczyzny. Zebrało się przeszło 4000 ochotników. Obywatele i mieszkańcy okoliczni dostarczali mięsa, chleba, słoniny i wszelkiej żywności podostatkiem. Nie brakowało ochoty, męztwa i poświęcenia, ale nie było broni i oficerów. Broń za granicy nie przychodziła. Ta, którą Cwierczakiewicz

Józef za granicą za kilkaset tysięcy w Londynie zakupił, na czas nadejść nie mogła. Policya bowiem francuzka pod pozorem stosunków z Mazzinim, aresztując Cwierczakiewicza, Franciszka Godlewskiego członka Komitetu Centralnego, Włodzimierza Milowicza i Ignacego Chmielińskiego w Paryżu w hotelu Corneille, znalazła u Godlewskiego instrukcyą do sprowadzenia broni i zarazem wytknięte drogi, któremi do Polski sprowadzić ją mieli. Tegoż samego dnia ważną tę wiadomość zakomunikowała policya francuzka ambasadzie moskiewskiej. Tym sposobem Moskale dowiedziawszy się, przez jakie punkta broń wejść miała do Polski, wcześnie rozumié się obsadzili je policyą i żandarmeryą. Tak więc kilkanaście tysięcy sztuk przeznaczonych do zaatakowania w pierwszym dniu Moskali uwięzły za granicą. Usłużności to więc francuzkiej policyi zawdzięczają Moskale, że powstańcy w początkach wojny nie mając ani jednego karabina, rzucić się musieli na wroga zbrojni pięściami i odwagą swoją.

W Węgrowie było zaledwie kilkaset sztuk nędznej myśliwskiej broni, a przy takiem uzbrojeniu trudno było dostać kroku nieprzyjacielowi a cóż dopiero myśleć o zaczepnem działaniu. Lud zebrany gotów był krew swą przelać, ale ani obronić ani zwyciężyć nie mógł, tem więcej, że nie było nikogo, coby mu dał jakie takie wyobrażenie o obrotach wojennych. Oficerowie w kraju i w emigracyi będący, nie mając wiary w powodzenie powstania, nie chcieli kompromitować się przedwcześnie udziałem w ruchu, o którym myśleli, że zaraz upadnie.

Siedzieli w domu i czekali co będzie. Zebrane oddziały były bez dowódzców fachowych.

Matliński w Węgrowie nie mógł dowodzić, bo nie był wojskowym. Dowództwo wziąć musiał pierwszy lepszy ochotnik, mający jakie takie wyobrażenie o wojnie. Stało się więc, że dowódzcą w Węgrowie był podoficer. Pod jego to komendą dnia 6 lutego przyszło tam do starcia, które w takich jak skreśliłem warunkach prowadzone, nie mogło być szczęśliwem dla powstania. — Nasi cofnęli się dzielnie zasłaniani przez oddział 200 ludzi. Sława przynajmniej męztwa polskiego uratowaną została.

Rozproszeni powstańcy wnet się znowuż zebrali i 9 lutego stoczyli dwudniową krwawą bitwę pod Siemiatyczami. Dowodzący Moskalami Maniukin spalił miasto i dopuścił się na mieszkańcach strasznych okrucieństw, które były zapowiedzią jednego z najsroższych w dziejach prześladowania.

Dwa te w tak krótkim czasie na Podlasiu nieudane usiłowania, jak wybuch 22 stycznia i krótka kampania węgrowsko-siemiatycka, źle oddziałały na patrjotyczną ludność tej prowincyi. Rozproszeńcy z obozów roznieśli żale na przewodników, na brak broni, brak oficerów, żale niestety aż nadto uzasadnione, bo powstania bez dowódzców i broni nie należało rozpoczynać. Organizacya cywilna i wojskowa potargała się i potrzeba było niemałych starań, ażeby ją na nowo postawić a w ludności ożywić mdlejącego ducha. Nadchodzące z innych stron kraju wiadomości wkrótce go podniosły, jako też

i pośpiech, z jakim Prusy zawarły z Moskwą konwencyą, przyrzekając jej swoją pomoc przeciwko Polakom.

Konwencya ta odrazu postawiła powstanie w rzędzie spraw zajmujących całą Europę. Ze zwojów moskiewsko-pruskiego płaszcza, który okrywał Polskę, wychylił się duch piekielny świętego aliansu, o którym myślano, że zasnął na wieki. Podejrzliwość gabinetu francuzkiego obudzoną została. Zbliżenie się Prus do Moskwy oddaliło od ostatniej Francyą. Lękając się zawikłań mogących wstrząsnąć pokojem europejskim, chciała Francya zażegnać burzę, proponując carowi umiarkowanie i udzielenie Polakom autonomii. Gabinet tuileryjski pociągnął do wspólnej akcyi dyplomatycznej za Polską gabinet londyński. Za przykładem tych dwóch poszły następnie wszystkie inne gabinety europejskie. Za Polską upominały się więc rządy i ludy, i sprawa powstania stanęła w blasku wszecheuropejskiego światła.

Po zagrodach szlacheckich rozeszła się pogłoska, że ostrożny Napoleon wyrzec miał do księcia Władysława Czartoryskiego, zanominowanego przez Rząd Narodowy głównym dyplomatycznym ajentem, słowa: „maintenant que vous avez commencé, ayez le courage de continuez et je ferai mon possible pour vous venir au secour“. Dyrekcja biała poprzednio jeszcze uznała Rząd Narodowy. Do jego grona wszedł były jej członek Karol Ruprecht, mąż najszlachetniejszej i najwyższej powagi. Dwie dotąd obok siebie stojące organizacye złączyły się; kolory biały i czerwony powiewały na jednej chorągwi!

Do powstania przystąpił więc cały kraj, stało się ono ogólnem i pomimo ciosu, jaki otrzymało przez upadek dyktatury Langiewicza, podniosło się na nowo, dźwignięte energią i poświęceniem obywateli.

Rawicz, który z początku wojny dostarczał żywności dla obozów, wystąpił wtedy jako jeden z czynniejszych obywateli. Pomimo że w organizacji białej zajmował wysokie stanowisko, przyjął skromny urząd referenta skarbowego w powiecie Siedleckim, którego naczelnikiem był L. — Pierwszą czynnością więc, jaką Rawicz spełniał w powstaniu, był pobór podatku narodowego. Obowiązek ten wykonywał sumiennie, nieżałując czasu, pracy i osoby, którą w poborczem działaniu narażał co krok na niebezpieczeństwo. Lecz nie ograniczał się tylko zbieraniem funduszów, pilnował przy tem, aby grosz dobrze był użyty. Czujność jego była niedogodną dla leniwych. Naczelnik powiatu podejrzywany był o należenie wraz z bratem swoim do karygodnego spisku przeciwko Rządowi Narodowemu — i dla tego mając zwróconą więcej uwagę na Warszawę niż obozy, zostawił je bez broni. Gdy naleganie Rawicza, aby mu wskazał, jak używa zebranych pieniędzy, i pytanie czy broń, jaką mu poleconem było sprowadzić, zakupił, zostały bez odpowiedzi a broń nie przybywała, udał się Rawicz do Warszawy i przedstawił Rządowi Narodowemu zaniedbany stan powiatu. Pomimo że urzędnik Wernicki, referujący o sprawach Podlasia przed Rządem Narodowym, sam należąc do wspomnianego a przez Ignacego Chmielińskiego uknutego spisku, zasłaniał

naczelnika powiatu L., urząd ten odjęty mu został i powierzony Rawiczowi (maj 1863).

Wkrótce po objęciu obowiązków Naczelnika powiatu Rawicz zebrał, uzbroił oddział konnych strzelców siedleckich, złożony z 40 ludzi, z których każdy uzbrojony był w strzelbę, rewolwer, lub dwa pistolety i pałasz. Przeznaczeniem jego była służba w powiecie. Dowództwo nad nim objął Frejtag, dopiero co wypuszczony z cytadeli. Gdy Frejtag zasłabł, komendę oddziałku wziął Duchnowski, były huzar z wojska moskiewskiego. — Wkrótce atoli oddział ten przeszedł pod bezpośrednie dowództwo ówczesnego Naczelnika Wojennego Podlaskiego, pułkownika Obyrn-Grzymały, którego stanowił straż poboczną.

W czerwcu 1863 r. za położone dla powstania zasługi, Rawicz otrzymał od Rządu Narodowego nominacyą na zastępcę Naczelnika Cywilnego Województwa Podlaskiego. Udzielenie mu tej ważnej posady zrobiło najlepsze wrażenie. Szlachta i włościanie mieli taką do niego ufność, że niejednokrotnie oświadczali gotowość swą ujęcia szabli, jeżeli on stanie na ich czele. Gdy więc teraz zobaczyli go na urzędzie kierownika prowincyi, z ochotą spełniali to, co im nakazanem było. Rawicz zaś główną swoją usilność zwrócił jak należało w kierunku przygotowań wojskowych. Zajął się energicznie dostarczaniem broni, której na Podlasiu jako oddalonem od granic było zawsze mniej, jak w innych województwach, i sztucerami przez siebie sprowadzonemi, uzbroił formujące się oddziały:

Grzymały, Lutyńskiego. Lewenhardta i inne. Nieustannie też pracował nad tem, aby do broni będącej w ręku powstańców nigdy nie brakło amunicyi. Wyrabiano ją w kilku punktach przez niego oznaczonych. Każdy Naczelnik powiatowy musiał mieć ciągle na zawołanie gotowy znaczny zapas ładunków, dochodzących częstokroć do 20, 30, nawet 40 tysięcy.

Zbieranie funduszów na broń było także ciągle przedmiotem jego gorliwości. Sam nie żałował grosza, a przez swoje osobiste stosunki potrafił więcej od innych zyskać pieniędzy. Straż narodowa wzorowo została przez niego urządzoną. Czuwanie organizacyi nad oddziałami było wtedy na Podlasiu bardzo troskliwe. Moskwa nie mogła już jak dawniej niespodziewanie napadać na nieprzygotowane oddziały.

Utrzymywanie poczty czyli środków komunikacyjnych, było niezmiernie ważnem dla powstania. Bez nich nie byłoby broni, wojska, ani organizacyi. One ułatwiały wszelką czynność i sprawiały, że policya polska wcześnie ostrzegała wojsko narodowe i urzędników narodowych o grożącem niebezpieczeństwie. Porządek w administracyi, gorliwość w spełnianiu obowiązku była na Podlasiu wzorową, co nie tylko patrjotyzmowi mieszkańców, ale także pilności i pracy Rawicza, oraz Antoniego Skotnickiego, ówczesnego Komisarza Pełnomocnego Województwa Podlaskiego, jako też niektórych podwładnych im urzędników przypisać należy. Rawicz we wszystko sam lubił wejrzeć. A kiedy Moskale wcześnie

zaczęli go podejrzywać i psiarnią szpiegów osaczać, domyśliwając się, że pan z Grochowa jest duszą organizacyi, Rawicz i wtedy nikim nie wyręczał się w pełnieniu urzędu. Niebezpieczeństwa tymczasem coraz groźniej piętrzyły się mu nad głową. Przeczucie chwili, w której piorun w niego uderzy, odezwało się mu w sercu. Paszport miał w ręku, mógł więc wyjechać za granicę, nie chciał atoli korzystać ze sposobności jaka mu się nastręczała. Kraj w wojnie potrzebował usług od każdego ze synów swoich; do końca też Rawicz, którego więcej zajmowały sprawy publiczne niż własne losy, wytrwać postanowił.

Nieszczęśliwy obrót powstania trapił go najmocniej. Bitwy przegrywano. Przed zemstą wroga żadna baszta nie zasłaniała. Zdawało się, że przed ciosami tej zemsty nikt się nie ostoi, jednakże nieznana dawniej Polakom wytrwałość nie zrażała się żadną klęską. Oddziały rozbite znowuż się zbierały. Lecz żołnierz nasz ciągle rozpraszany, nie mógł nabrać wojennego hartu, nie mógł dostać w szeregu przed regularnym żołnierzem nieprzyjaciela. Przy silniejszym nacisku cofał się i często pierzchał. Waleczności nie brakło. Owszem żołnierz powstańczy odważniejszy był od Moskali i żołnierzy wszystkich armii, w ogień szedł śmiało, atakował dzielnie, — ale łatwo go było stropić, przestraszyć. Złożony z ludzi, którzy nigdy broni nie dźwigali, niewyuczony zwrotów wojennych, niewiedząc co znaczą hasła, nierozumiejąc komendy, działał jakby po omacku,

zwyciężać nie umiał. Kilka tygodni w służbie trzeba było, aby go do broni przyzwyczaić, do boju zdatnym uczynić i zrobić pierwszym żołnierzem w świecie. Nieprzyjaciel atoli czasu potrzebnego na naukę nie dawał. Zaledwo powstańcy się zebrali, już się bić musieli. Próby więc stworzenia armii regularnej w obecności Moskali, zajmujących wszystkie miasta i miasteczka spełzły na niczem. Nie było miejsca, nie było broni, nie było ubrania, nie było instruktorów, nie było więc można wyjść z systematu partyzanckiej wojny, która nieprzyjaciela za granice kraju nie była zdolną wyrzucić. Zdawało się, że gdyby oddziały przez dłuższy czas bez zwyczajnego rozbiegania się po bitwie utrzymać było można, utworzyłyby się zawiązki najdzielniejszej armii. Wydział więc wojny Rządu Narodowego i lepsi dowódzcy, przeciwko rozbieganiu się oddziałów działali różnemi sposobami. Pomiędzy innemi starano się mu zaradzić przez mundury. W ubraniu zwyczajnem łatwo było ukryć się pomiędzy ludem przed ścigającym wrogiem, w mundurze stawało się to niepodobnem i bezpieczeństwo tylko w szeregach znaleźć było można. Rawicz kazał więc szyć mundury; pierwsze sześćdziesiąt sztuk dla kawaleryi Obyrna-Grzymały przeznaczone, ukończone były w lipcu. Mundur składał się ze spodni szaraczkowych, skórą wyszytych, z niebieskiemi lampasami; surducika krótkiego granatowego z amarantowym kołnierzem wykładanym i z amarantowemi wyłogami. Guziki ołowiane z orłem polskim. Czapka

ułanka granatowa z amarantowym lampasem i daszkiem [1]).

W mundurze dzielniej przedstawiały się postawy naszych mężnych żołnierzy, ale nie były one zdolne utrzymać szeregów po przegranej bitwie. Zwycięztwa tylko, coraz trudniejsze dla powstania, mogły żądany rezultat sprowadzić. Że zaś żołnierze pobici, szczwani przez dziesięć razy silniejszego wroga, zrzucali mundury, nie będziemy się dziwić, gdy powiemy, że w najlepszej regularnej armii to samo zjawisko w klęsce się zawsze powtarzało i powtarza. W r. 1812 Francuzi w Rossyi, nawet stara gwardya Napoleona w rozproszeniu zrzucała bermyce i mundur chowała pod siermięgę. W r. 1831 gdy szczęście odwróciło się od Polaków, duch upadł i dezorganizacya się wkradła, widziano starych żołnierzy w rejteradzie pozbywających się mundurów. W wojnie włoskiej po przegranej w Solferino, wyćwiczony żołnierz austryacki, w oderwaniu od swego korpusu, szukał bezpieczeństwa w cywilnem ubraniu. Powstaniec wyszedłszy z szeregu nie uważał się za żołnierza, ponieważ zaś łatwiej mu było w przekradaniu się do obozu — gdzieś w lesie się zbierającym — uniknąć czujnego oka nieprzyjaciela w kapocie chłopskiej jak w ułance, chętniej walczył w obywatelskiem niż w wojskowem ubraniu. Wydatek na mundury nie przyniósł więc spodziewanych korzyści.

[1]) W innych województwach byli inaczej poubierani, nigdzie jednak tak pięknych mundurów nie mieli powstańcy, jak w dwóch pułkach jazdy jenerała Taczanowskiego w Kaliskiem.

Po rozbiciu podlaskich oddziałów, Rawicz zaprojektował sformowanie wzorowego zastępu powstańców, do którego przyjmowanoby tylko takich, co złożyli przysięgę, że z pola bitwy nigdy uchodzić nie będą. Chciał on do szeregów tego oddziału zwabić wiejskich obywateli. Każdy z możniejszych zapisując się na ochotnika, miał na koszta formacyi złożyć 1000 rs. i przyprowadzić z sobą kilku towarzyszy. W pierwszym tygodniu zapisało się trzydziestu. Liczba ta okazywała, że nie brak było ludzi, którym pozycya materyalna nie przeszkadzała spojrzeć w oczy śmierci z bronią w ręku. Sformowanie jednak wzorowego oddziału spotkało na niespodziewaną zwłokę, z powodu zarzutów uczynionych projektowi Rawicza przez demokratów. Przypisywali mu chętkę szlacheckiego wyróżnienia się i żądali, aby ochotnicy weszli do oddziałów już istniejących i w nich byli przykładem męztwa, energii i spełnienia obowiązków. Rozpoczęły się rozprawy, które — jak to słusznie powiedział Mickiewicz — „im dłużej trwają, tem jak woda od źródła, dalsze są od prawdy". Nie doprowadziły one do niczego.

Wykonanie projektu odroczono a tymczasem nastał wrzesień, nieszczęśliwy miesiąc dla Rawicza. W tym to bowiem miesiącu Moskale wzięli go wraz z kilku innemi osobami w Proszewie, wsi pod Siedlcami położonej, i osadzili w więzieniu. Za kratami przed śledczą komissyą, złożoną z ludzi okrutnych, chciwych krwi i łupów, rozpoczął się dla Rawicza najboleśniejszy ale i najszczytniejszy zawód męczennika. Młody, szczęśliwy, kochany, mógł życie ocalić

płaszczeniem się, ale wielkodusznie odrzucił hańbiące środki ratunku i przeniósł śmierć chwalebną nad życie podłe. Maksymilian Oborski właściciel Proszewa, gdzie była kancelarya wojewódzka, okazał się człowiekiem słabym. Kochał on kraj i służył mu według możności, ale zginąć za niego nie potrafił; siły do męczeństwa w sobie nie znalazł. Poeta powiedział: „bo kogóż z ludzi nie przekona trwoga?“ — W trwodze wydaje się najsłuszniejszą sprawa bez powagi; najświętsze przekonania dziecinnemi. Gdy larwa jej pokryje dotąd zawsze uczciwe oblicze, człowiek nie widzi pochyłości, z której się stacza w przepaść, gdzie czyha poczwara podłości. W trwodze Oborski utracił zdrowy sąd rzeczy, przytomność umysłu, a myśląc że ratuje syna, zgubił Rawicza, wydał wielu urzędników, archiwum wojewódzkie i stał się przyczyną upadku organizacyi podlaskiej jako też wielu nieszczęść. Rawicz przeciwnie, ukrywał swoje działania, dopóki można było to uczynić bez narażenia godności swojej. Przy naocznej stawce Oborski mówił do niego: „Czemu Pan zaprzeczasz? Ja wszystko zeznałem“ — Rawicz odparł na to: „Pewnie to Panu potrzebnem było do ocalenia nędznego życia. Ja o sobie samym tylko mówię ale o nikim innym nic nie powiem.“ Później atoli, gdy nagromadziły się przeciwko niemu dowody, przyznał Rawicz, że pracował dla kraju, powiedział że był przeciwny powstaniu a potem wziął w niem udział; uważał bowiem, że gdy krew się polała za Ojczyznę, to wszyscy, nawet ci, którzy byli przekonani o nieużyteczności ofiar, powinni byli wykonać

swój obowiązek, którym była w tym razie służba dla powstania. Udział innych ludzi, jako człowiek prawdziwie uczciwy, taił; chciał on aby wszyscy winy swoje na niego składali, a do wydania członków Rządu Narodowego groźbami, obietnicami, torturą krwawych plag i inną męczarnią skłonić się nie dał. Słysząc Rawicza przemawiającego z całą godnością Polaka, mówili jego sędziowie, że gdyby Władysław nie był nawet winien, musiałby być skazanym na śmierć, — człowiek bowiem z tak wielką duszą i moralną siłą, rozumny, cnotliwy i tak gorąco Ojczyznę kochający, zawsze jest dla Moskwy niebezpieczny. Losem jego zajmował się cały kraj, pisały o nim obszernie dzienniki polskie we Lwowie, Krakowie i w Poznaniu wychodzące i prawie cała prassa europejska.— Włościanie w licznej gromadzie udali się do Siedlec i prosili Dreyera o jego uwolnienie. Jenerał nieprzyjemnie zdziwiony tem wstawiennictwem, zapytał: „czy dla tego troszczycie się tak o pana, że was buntuje przeciwko rządowi?“ — „Dla tego — odpowiedzieli — że był dla nas zawsze sprawiedliwym, w każdej potrzebie ratował i z nędzy wyprowadził, chorych leczył, dzieci uczył, więc przychodzimy prosić za naszym ojcem i dobrodziejem, aby do nas powrócił.“ — Jenerał zbył ich niczem. Wkrótce potem, w większej jeszcze liczbie przyszli włościanie do Siedlec i gorliwiej nalegali o uwolnienie. Wtedy jenerał uciekł się do zwyczajnego w moskiewskim rządzie środka, t. j. do kłamstwa i zapewnił, że pan ich wkrótce powróci.

Rodzina Władysława najboleśniej dotkniętą została niebezpieczeństwem, w jakiem się znajdował. Żona jego czuwała w Siedlcach we łzach i w utrapieniu. Ojciec zapłacić musiał 400,000 złotych kontrybucyi. Starszy syn Józef wysłany został w Sybir, szwagier St. Wołowski siedział w kazamatach a żona jego Marya, jedyna Rawicza siostra, broniła męża. Matka za granicą czyniła wszelkie starania o zachowanie Władysława przy życiu. Kilka dworów panujących w skutek tych starań wstawiało się za nim u cesarza Aleksandra. Z hrabiów Jezierskich księżna Galicyn i córka jej Julia, również z Mikitynów hrabina Orłow-Denisow i księżna Michałowa Radziwiłłowa nic nie zaniedbały, aby prośby nieszczęśliwej matki były wysłuchane. Skutek uwieńczył tak gorliwe starania i car Aleksander przysłał akt ułaskawiający do Berga. Lecz ten jego namiestnik zazdroszcząc krwawej sławy Murawiewowi, postanowił tak postąpić z Rawiczem jak tamten z Platerem — i pomimo rozkazu cesarza, pomimo że księżna Julia na klęczkach błagała go o życie dla Rawicza, pomimo że pozwolił jej matce księżnie Galicyn odwiedzić więźnia, pomimo że w liście do Berga pisanym wstawiała się za nim królowa Wirtembergska, siostra cara, wysłał tajemnie telegraficzną depeszę, aby wykonanie wyroku przyśpieszono. Dopiero po dopełnionej egzekucyi przez jenerała Maniukina, posłał do Siedlec akt carskiej łaski. Nadszedł rozumie się zapóźno. Księżna Galicyn przy wjeździe do Siedlec z nadzieją pewnego

ratunku, spotkała tłumy płaczące, wracające z miejsca, gdzie zbrodnia na osobie więźnia wykonaną została.

Prócz włościan i rodziny, powstańcy zajęci także byli myślą oswobodzenia tyle użytecznego krajowi więźnia. W tym celu kilka oddziałów zbliżyło się do Siedlec. Opanować miasto, odbić więźnia mogły tylko atoli znaczniejsze siły od tych, jakie się na Podlasiu znajdowały. Maniukin miał pod ręką w Siedlcach potężniejsze wojsko od tego, które atakować miało. Ta okoliczność zmusiła powstańców odstąpić od powziętego zamiaru. Rząd Narodowy tymczasem odbierał od swoich władz raporta z wiadomościami, jakie narodowej policyi w Siedlcach udało się otrzymać o śledztwie prowadzonem przez Moskali w najściślejszej tajemnicy. Podajemy kilka tych raportów mających wagę historyczną.

Naczelnik miasta Siedlce
dnia 29 września 1863.

Do

Komisarza Rządowego w Województwie Podlaskiem.

Mam honor zawiadomić Obywatela, że w dniu 27 b. m. Moskwa przywiodła do tutejszego więzienia sześć osób, a o ile wywiedzieć się mogłem, temi są: ob. ob. Rawicz Władysław z Grochowa, Oborski z Proszewa, Kobylski z Stanina, Bujno ojciec z synem z Siedleckiego, wreszcie jakiś jeszcze młody człowiek, o którym dotąd nie mógłem powziąć żadnej wiadomości. Zostali oni aresztowani u obywatela Oborskiego w Proszewie, dokąd Moskwa udała się

celem wyszukania składu bielizny przygotowanej dla powstańców.

Przy dopełnionej rewizyi w mieszkaniu właściciela Proszewa, Moskwa znalazła torbę podróżną, a w niej kilka podobno blankietów, opatrzonych pieczęcią Naczelnika Cywilnego Województwa Podlaskiego, w skutek czego dowodzący oddziałem moskiewskim aresztował ob. Oborskiego i przybyłych do niego w gościnę sąsiadów, — w liczbie tych znajdował się ob. Kobylski, przy którym Moskwa, dopełniając osobistej rewizyi, wynalazła pięć pieczęci Naczelników Okręgowych i polecenie Komisarza Rządowego, nakazujące ob. Kobylskiemu stawienie się w własnym interesie w oznaczonem miejscu.

Dotąd jeszcze śledztwo nie rozpoczęte a nawet chodzą pogłoski między wojskowymi, że aresztowani mają być wypuszczeni, jako nie podejrzani o udział w powstaniu, że tylko ob. Kobylski i Oborski mają być zatrzymani dla wytłumaczenia się, z jakiego źródła posiadali wyszczególnione u nich przedmioty.

Co do wycieczek Moskwy, to trudno dziś dowiedzieć się o kierunku ich ruchów, gdyż dowódzca oddziału odbiera dopiero przed samym wymarszem rozkaz o kierunku i celu wyprawy, wszelako instrukcyę Obywatela o ile możność wprowadzam w wykonanie.

. . . . . .

Antoszewicz z oddziałem Moskwy dziś wychodzi na powstańców; wciąż on się odgraża, że pułkownika Grzymałę, szwagra swego, pojmawszy, bez

wyroku powiesi — z tego widać, że Moskwa nie wie o wyjeździe tegoż z Województwa i pewnie krążące w tych okolicach oddziały konne podpułkownika Zielińskiego, majorów: Zakrzewskiego i Kobylańskiego, a wreszcie oddziały konnych strzelców bierze za oddział eskortujący pułkownika Grzymałę.

Pozostaję z głębokim szacunkiem

L. S. N. N.

Urzędnik do szczególnych poleceń
delegowany w Powiat Siedlecki
d. 10 października 1863 r.

Do

Ob. Komisarza Rządowego Województwa Podlaskiego.

Stosownie do otrzymanego rozkazu pod dniem 8 października r. b. o zdawaniu szczegółowych raportów o stanie i losie więźni tutejszych, mam honor zawiadomić Obywatela, że porobione stosunki każą mi spodziewać się, że będę mógł mieć dokładne wiadomości o tem, co się dzieje w więzieniu Siedleckiem.

. . . . . .

Los osób aresztowanych w Proszewie całkiem inny wziął obrót, jak w pierwszej chwili spodziewać się należało, gdyż uwolnieni tylko zostali Bujnowie, pozostałe zaś osoby wzięto pod ścisły rygor *moskiewski,* co zdaje się zawdzięczyć należy Oborskiemu. Rzecz tak się miała: Moskwa chciała podobno aresztować syna Oborskiego ochotnika z oddziału

podpułkownika Zielińskiego, który na urlopie pozostawał w Proszewie. Ten jednakże zdołał się schronić ucieczką, o czem ojciec nie wiedząc, dla oswobodzenia syna powziął myśl poświęcić resztę więźniów i w tym celu z dnia 5 na 6 października w nocy wezwał jenerała Dreyera i temuż oświadczył: „że jeżeli syn jego będzie uwolniony, to on wyjaśni nie tylko przestępstwo osób z nim pojmanych ale i całą organizacyą województwa". Jenerał znany ze zwierzęcych uczuć, nie opuścił sposobności, aby wyeksploatować podupadłego na duchu i chociaż jak zawsze tak i tym razem był dalekim od dotrzymania obietnicy, dał uroczyście słowo Oborskiemu, że nie tylko syna ale i jego natychmiast wypuści. Oborski najzupełniej zawierzył złudnym słowom Dreyera i odtąd to zaczyna się straszny los dla dawnych gości Oborskiego, obecnie współwięźniów i ofiar jego upadku.

Od złożonej deklaracyi Oborskiego a zwłaszcza obecnie, gdy więźniowie nasi, podejrzywani o stosunki z Rządem Narodowym, zostali oddani w rozporządzenie szczególnie nadesłanej z Warszawy komisyi, złowrogie dla aresztowanych krążą pogłoski. Prezydującym w powyższej komisyi jest policmajster miasta Warszawy pułkownik żandarmeryi Zengbusz, członkami: podpułkownik artyleryi Malysz i porucznik żandarmeryi Matwiejenko — ten ostatni jest referentem.

Dotąd badają jedynie Oborskiego, przy Rawiczu zaś i jakimś młodym człowieku, który jak mówią jest Francuzem w Polsce urodzonym, nazywa

się Vacqueret (Wakre), podwojono straże. Te dwie osoby tak silnie są strzeżone, że komunikacya z nimi najzupełniej jest niemożebną — co poszło jeszcze ztąd, że Oborski sam osobiście odniósł do komisyi jakiś papier z ołówkiem, mówiąc że mu podłożono — szczęściem że nie wiedział kto sprawcą. (Papier podobny z ołówkiem dostarczany jest przez nas w miarę możności więźniowi dla utrzymywania z nim korespondencyi.)

. . . . . .

Przy dzisiejszym raporcie nie nadmieniam nic o zeznaniach Oborskiego, jakkolwiek te mi są w części wiadome, a to z powodu że potrzebują jeszcze potwierdzenia, które spodziewam się otrzymać, bo chociaż Moskwa się strzeże, lecz i ja tam zapuszczam swe sieci a to przy pomocy ludzi, o których Moskwa ani domyślić się może.

W tym względzie prawdziwą sprawie oddaje usługę.

Z odebranych wiadomości z prowadzonego śledztwa natychmiastowy robię użytek, ile możność pozwala.

Stósownie do polecenia Waszego, Obywatelu, nie omieszkam natychmiast skomunikować się z organizacyą miasta i okolicy, aby zarządzono stałą straż przy rogatkach miasta, mającą obowiązek zawiadomić najbliższe stacye naszej poczty o każdem poruszeniu Moskwy.

Poleciliście mi Obywatelu zawiadomić Was o stanie administracyi tutejszej; w odpowiedzi na powyższe zapytanie, jakkolwiek do chwili obecnej tem

nie byłem zajęty, mogę jednak oświadczyć jak najprzychylniejszą opinię dla tutejszych urzędników,— sumienne i gorliwe sprawowanie obowiązków Naczelnika Powiatu Siedleckiego zaprowadziło sprężystość w czynnościach organizacyi. Zeznania jednak poczynione przez Oborskiego, każą wnosić, że zajdą liczne aresztowania urzędników a zapewne i Naczelnik Powiatu przy urzędzie utrzymać się nie będzie w możności. Zamięszanie w służbie spowodowane aresztowaniami jest już widocznem.

W chwili obecnej gdy Moskwa mając pewne ślady, blizką jest przerwania sieci organizacyjnej, przedstawiam uznaniu Obywatela, czyby nie było pożytecznem, abyście mi udzielili prawo komunikowania się z Naczelnikiem Cywilnym Województwa? W razie zatwierdzenia mego wniosku, upraszam ob. Komisarza o nadesłanie mi adresu sprawującego te obowiązki.

Przy zakończeniu raportu pozwól mi Obywatelu, załączyć pozdrowienie i wyznanie szacunku z jakim pozostaję.

L. S. N. N.

Urzędnik do szczególnych poleceń
delegowany w Powiat Siedlecki
d. 19 października 1863 r.

Do

Ob. Komisarza Rządu w Województwie Podlaskiem.

Oborski zeznał o posiedzeniach odbywanych w jego domu, na których Obywatelu Komisarzu prze-

wodniczyć miałeś — a reprezentantami powiatu być mieli: Naczelnik powiatu ob. Lisikiewicz, referent Rawicz, Komorowski i inni. — Odtąd poczynają się pierwsze oznaki na Rawiczu, że już od początku powstania był czynnym w organizacyi.

Oborski o Wakrem zeznał, że tenże zjeżdżał się z Rawiczem w jego domu dość często. Rawicz i Wakre oświadczyli, że się nie znają.

O Was, Obywatelu, księdzu Korolcu i jenerale Kruku, Moskwa szczegółowo każdego z więźniów bada i z wielką zaciętością odgraża się. Dreyer zaprzysiągł więźniom, że ob. Komisarza i ks. Korolca bądź co bądź musi złapać, choćby mu przyszło sieci w całem województwie pozakładać, a wtedy przyrzeka skórę drzeć — to jego wyrażenie. Moskwie znani jesteście oddawna pod nazwiskiem Skotnickiego, mają Wasz rysopis, ale tego nie mogą wyśledzić, gdzie przesiadujecie i gdzie Wasza kancelarya — w tem to i otwartość Oborskiego nic im nie pomogła. Zapytywany o Was oświadczył, że Obywatela widział tylko jeden raz u siebie na zjeździe w marcu a od tej chwili nie wie nic o Waszym adresie.

. . . . . .

Listę osób obecnie znajdujących się w więzieniu postaram się skompletować i takową Wam nadeszlę. Nie wiem jednak czy będę w możności zadośćuczynienia Waszemu poleceniu i wydostanę listę imienną wszystkich więźniów (w samych Siedlcach) od początku powstania do pory obecnej, których liczba, jak mi mówiono, przeszło 900 już przechodzi.

Główna trudność w uformowaniu podobnej listy leży w tem, że znaczna ilość uwięzionych jest pod obcem nazwiskiem.

W tych dniach przywieziono nową partję powstańców częścią wziętych do niewoli, a częścią zabranych z kwater — wreszcie mówią o zaaresztoniu kilku osób skompromitowanych w sprawie Rawicza.

. . . . . .

Przesyłam serdeczne pozdrowienie.

L. S. N. N.

Delegowany na Powiat Siedlecki
d. 28 października 1863 r.

Do

Ob. Komisarza Rządowego Województwa Podlaskiego.

. . . . . Oborski zeznał: że na czele organizacyi Województwa stoi: Komisarz Rządu, będący naczelnym stróżem wszystkich działań, tak po części wojskowej jako i cywilnej, wymieniając Wasze nazwisko i dodając, że urząd ten sprawujecie od początku marca — że także przez kilka miesięcy sami spełnialiście obowiązki Naczelnika Cywilnego Województwa, a to do chwili, gdy ob. Kraków na ten urząd został powołanym.

Że naczelnikiem powiatu Siedleckiego początkowo był L., który jednak został oddalony od pełnienia obowiązków z powodu niewyrachowania się z funduszów, pod jego zarządem zostających.

Że w miejsce L. naznaczonym został Rawicz.

Że Kraków jako skompromitowany przed Moskwą i niemogąc dłużej utrzymać się, wyjechał w lipcu za granicę, a urząd Naczelnika cywilnego województwa objął Rawicz.

Że przy Krakowie a następnie Rawiczu był pomocnikiem jakiś Wiewiorkowski.

O Wakrem Oborski utrzymuje, że miewał ciągłe narady z Rawiczem. Wakre jest wciąż dla Moskwy zagadką, bo chociaż zbiry hojnie darzą go batami, skutkiem czego ten jest obłożnie chory, to jednak bity do niczego się nie przyznaje. Rawicz zarówno zaprzeczył poczynionym zeznaniom przeciwko niemu przez Oborskiego.

. . . . . .

Przesyłam braterskie pozdrowienie.

L. S. N. N.

Do

Obywatela Komisarza Pełnomocnego Rządu w Województwie Podlaskiem.

Sądziłem, że zeznania Oborskiego są ukończone całkowicie, lecz ma się zupełnie inaczej; w tych dniach oświadczył on komisyi, że wie o składzie papierów zakopanych u niego w piwnicy, po które Moskwa natychmiast wysłała do Proszewa żołdactwo, gdzie gdy żona Oborskiego zaprzeczała posiadaniu takowych, Moskwa w swych poszukiwaniach skopała piwnicę i rzeczywiście w wskazanem przez

Oborskiego miejscu odszukała skrzynię papierów, w której mieściło się obszerne archiwum, skrzętnie zbieranych przez Krakowa rupieci, a Bóg raczy wiedzieć, po co je przechowywano, chyba dla przysporzenia większych ofiar.

W tej to nieszczęsnej skrzyni, Moskwa, oprócz wielu innych dowodów wynalazła, o ile mi wiadomem jest, następujące akta:

1. List Krakowa, w którym z imienia i nazwiska napisane było:

„Do ob. Władysława Rawicza. Z rozporządzenia Rządu Narodowego władzę mi powierzoną oddaję w Twoje ręce kochany Władysławie, albowiem dla poszukiwań Moskwy natychmiast wydalam się z kraju.“ Pismo to było opatrzone podpisem i pieczęcią Naczelnika Cywilnego Województwa.

2. Wiele raportów składanych Naczelnikowi Województwa, między innemi raport Naczelnika Powiatu Bialskiego, w którym mają być wymienione nazwiska osób należących do tamecznej organizacyi, i tak: za pomocnika Naczelnika powiatu ma być podanym ob. Wawrowski; referentem policyi ob. Jemiałkowski; skarbu ob. Buchowiecki; dostaw wojskowych Tarczewski — okręgowymi obywatele: Boże, Michałowski, kanonik Radzimiński.

3. Kilka Waszych odezw do Naczelnika Cywilnego Województwa — treść jednak wszystkich nie jest mi znaną; podobno było tam: a) Zawieszenie w urzędzie ob. N. co tylko naznaczonego przez Naczelnika Cywilnego Wojennego na Naczelnika Powiatu Łukowskiego. b) Zawiadomienie Naczelnika

Cywilnego Wojennego, że na czas Waszej w Województwie nieobecności, sprawowanie chwilowe swych czynności powierzyliście jednemu z swych pomocników.

4. Raport ob. Zaborowskiego donoszący Naczelnikowi Cywilnemu Województwa o dopełnionej przy Was rewizyi kassy i czynności administracyjnych Powiatu Stanisławowskiego. Naczelnik tegoż powiatu mówiąc w swem piśmie o zabranych przez obywatela guzikach dla oddziału Łukowskiego czy Radzyńskiego, wymienia Was z nazwiska.

5. Mapa stacyi pocztowych w Województwie.

6. Ustawa dla Administracyi cywilnej Województwa, wydana przez Komitet Centralny czy też Rząd Narodowy.

7. Kilka śledztw sądowych, a mianowicie sprawa Mierzejewskiego i ks. Kurowickiego.

8. Pokwitowanie z odbioru pieniędzy zbieranych na broń dla jenerała Kruka, z wymienieniem osób tak kwitujących, jako też wnoszących ofiary. Upoważnienia dla osób do zbierania pieniędzy wraz z odezwami jenerała Kruka i t. p. niemniej kompromitujące dowody.

Osoby powyżej w papierach wymienione Moskwa aresztowała, a Oborski dostarcza przeciwko nim wiadomości komissyi potrzebnych.

Badany Rawicz z całym hartem duszy zapierał się udziału w organizacyi a to mimo użytych przeciwko niemu środków przymusowych t. j. silnego bicia, którem Moskwa chce go zmusić do zeznań. Na przedstawienie mu listu Krakowa donoszącego

o nominowaniu go na Naczelnika Województwa, Rawicz oświadczył: że listu tego nigdy nie odbierał, lecz wezwany na świadka Oborski zeznał w oczy, że list ten otrzymał z rąk Rawicza dla przechowania. Od tej chwili poczyna się dla dzielnego Rawicza straszny los, los rozpaczy; podobno ktoś z służby Oborskiego także świadczy przeciwko niemu, Moskwa ztąd męczy go niemiłosiernie.

Wobec licznych dowodów podobno Rawicz przyznał się, że nominacyą na Naczelnika Województwa przyjął tylko czasowo, i że dotąd nie poznał nawet osób do składu organizacyi wchodzących i nie rozpoczął jeszcze swych czynności, o czem świeża data listu Krakowa zaświadczyć może. Badany co do Wakrego oświadczył, że tenże nie jest mu znanym.

Wakre codziennie przechodzi przez rózgi, bo Oborski utrzymuje, że tenże będąc u niego, odbierał liczne korespondencye z Warszawy, że miał styczność z osobami, które on uważa, że były Członkami Rządu Narodowego, bo się zjeżdżali z Warszawy i że wraz z nim i Rawiczem odbywały tajemne narady, skutkiem których rozsyłano liczne depesze przez umyślnych posłańców w różne strony. Wreszcie Oborski zeznał, jakoby Wakre był najwyższym urzędnikiem w Województwie, a więc że sprawował obowiązki Komisarza Rządu — temu jednak Moskwa nawet nie zdaje się wierzyć, bo zna Wasze nazwisko i rysopis, co tenże sam Oborski w początku śledztwa w komissyi zeznał. Mimo jednak tak dla każdego widomych fałszów, opowiadanych

o nim przez Oborskiego, komissya pastwi się nad Wakrem nielitościwie; nie dość że codzień jest on bity, w mieszkaniu jego zakryto zupełnie szybę, tak że pozostaje w zupełnej ciemności a karmią go tylko chlebem i wodą. Wakre do niczego się nie przyznał i tłumaczy się, że przyjechał do Proszewa odwiedzić syna Oborskiego, z którym oddawna łączyły go stosunki koleżeństwa, na dowód tego wskazuje swój paszport wydany w tę okolicę, gdzie ma mieć innych znajomych.

. . . . . .

Komissya zapewnie dla wywiedzenia się czegoś, oświadczyła więźniom z tej sprawy, żeście Obywatelu aresztowani i że się znajdujecie już w więzieniu, — stan rzeczy zbadawszy, o tym fałszu osoby interesowane powiadomiłem.

Polecenia Wasze z 28 października i zawiadomienie o zmianach zaprowadzonych w Administracyi odebrałem. Rozkazy mi zlecone wykonać nie omieszkam. . . . . .

Pozostaję z głębokim szacunkiem.

L. S. N. N.

D. 2 listopada 1863 roku.

Do

Obywatela Komissarza Pełnomocnego Rządu
w Województwie Podlaskiem.

W dalszym ciągu zebranych wiadomości, mam zaszczyt donieść Szanownemu Obywatelowi, że Rawicz

doświadcza podobnego losu jak Wakre, bity jest nieomal codzień, Moskwa chce z niego wydostać potwierdzenie zeznań poczynionych przez Oborskiego; jest on dziś prawdziwym męczennikiem sprawy. Badają go obecnie o stosunki z Warszawą a mianowicie o skład Rządu Narodowego. Rawicz utrzymuje, że takowych wiadomości nie świadom, bo znosił się z Rządem przez pośrednictwo Komisarza Rządu i od tego odbierał nadsyłane rozkazy. Ztąd Moskwa pozbawiona pewności wykrycia Rządu, mści się nad nim okropnie, a tem więcej zapala się do pojmania Obywatela i ku temu przedsiębierze środki. Rawicz wciąż trzyma się dobrze, mimo odebranych cierpień nikogo z organizacyi nie wykrył.

Z powodu zeznania Oborskiego, że Wakre musi być, według jego przekonania, najwyższym urzędnikiem w organizacyi Województwa, Moskwa posądza go, iż on jest tym pomocnikiem Komisarza Rządu, o jakim wspomina znaleziona w Proszewie odezwa Obywatela do Naczelnika Cywilnego Województwa, w której mówicie, że z powodu wyjazdu z Województwa chwilowe zastępstwo swych obowiązków powierzacie swemu pomocnikowi.

. . . . . .

Od kilku dni wojskowi rozpuszczają pogłoskę złowrogą dla naszych więźni, a mianowicie: że mają się odbyć dwie nowe egzekucye śmierci na osobie Rawicza i Wakrego.

Dowiaduję się, że Oborski zeznał o następujących jeszcze osobach: że Naczelnikiem Powiatu Siedleckiego po Rawiczu był Wł. Jasieński, zbiera-

jącym ofiarę nadzwyczajną na broń D. — wreszcie Moskwa posądza o udział w organizacyi Siedleckiej: jenerała zakonu ks. Dominikanów z Skurca, ks. Komorowskiego; Falkenthala; Wł. Ochenkowskiego.— Z powiatu Łukowskiego Oborski wskazał ks. proboszcza z Maciejowic Paszkowskiego i Naczelnika powiatu a równocześnie jak Moskwa utrzymuje organizatora, instruktora, dostawcę i referenta policyi ks. Korolca. Z powiatu Stanisławowskiego znany jest ob. Zaborowski Konstanty. Z powiatu Radzyńskiego Naczelnik Powiatu Bonifacy Dębkowski i były Naczelnik tegoż powiatu K.; wreszcie wiele innych osób pomniejsze zajmujących stanowiska, a o których nie mam jeszcze pewnych w obecnej chwili wiadomości.

Przesyłam braterskie pozdrowienie.

L. S. N. N.

Do

Obywatela Komissarza Pełnomocnego Rządu w Województwie Podlaskiem.

W jednym z swych raportów miałem zaszczyt zawiadomić Obywatela, że Oborski wydał ukrywaną u niego skrzynię z papierami Naczelnika Cywilnego Województwa. Dziś zawiadomiono mnie, że skutkiem zeznania Oborskiego Moskwa przywiozła do Siedlec nową, wielkich rozmiarów skrzynię. Oborski miał podobno wskazać, że skrzynia ta jest ukrytą w ogrodzie a miejsce jej przechowywania jest znane jego

żonie — ta jednak odmówiła Moskwie wydania powyższej paki, co spowodowało jej aresztowanie, a żołdactwo po dziennej pracy pomyślnym skutkiem uwieńczyło swoje poszukiwania. Wynalezione tą razą papiery przedewszystkiem potępiły Oborskiego, gdyż oprócz listu jenerała Władysława Zamojskiego, dotyczącego sposobu formowania oddziałów ruchomych i sposobu ich uzbrajania, znaleziono w odkopanej skrzyni mnóstwo broszur angielskich, francuzkich, niemieckich, włoskich w sprawie naszej pisanych, dokładny zbiór rozporządzeń Komitetu Centralnego i instrukcyi Dyrekcyi Obywatelskiej, wreszcie znaczną ilość pism okolicznościowych i tajemnie wydawanych gazet. Pomiędzy powyższym zbiorem znajdować się miały także: odezwy mniejszego znaczenia, plakaty, zaproszenia na mające się odbyć nabożeństwa aż do najmniejszych drobiazgów i rzeczy pamiątkowych z owej epoki, i tak: kopie, rysunki, krzyże, ciernie od trumien i t. p., słowem był to bardzo starannie i umiejętnie zbierany materyał dla piszącego historyą naszych czasów. Z posiadania tych przedmiotów Oborski tłumaczył się w oryginalny sposób — zasługę w zbieraniu tych dokumentów złożył na swą żonę, którą zarówno obwinił o dopomaganie powstaniu przez utrzymywanie u siebie kancelaryi Naczelnika Cywilnego Województwa, o czem on miał nic nie wiedzieć. . . . .

Mówią, że Oborski dostał pomięszania zmysłów.

Robicie mi Obywatelu wymówki, dla czego w swych raportach nie wspomniałem Wam nigdy

o zwrocie reakcyjnym szlachty zamożniejszej z Siedleckiego, o czem Wam raportuje Naczelnik Powiatu Siedleckiego. Rozjaśniając powyższą kwestyę, mam zaszczyt donieść Obywatelowi, że chociaż zdany Wam raport ma bezwątpienia słuszne podstawy, to jednak obawy Naczelnika Powiatu są zbyt wygórowane. Aresztowania dokonane, a zwłaszcza rozpuszczona przez Moskwę pogłoska o mających nastąpić egzekucyach, musiały wywołać przestrach w szlachcie; być nawet może, że obywatele J., K., G. widząc niepomyślny obrót powstania, chcą sobie wcześniej zaskarbić pobłażanie Moskwy, jednak zdaniem mojem, powaga Władz narodowych jeszcze jest dość silną i Naczelnik Powiatu mając Wasze upoważnienie, znajdzie środek zaradzenia złemu.

Przesyłam braterskie pozdrowienie.

L. S. N. N.

Do

Komissarza Pełnomocnego Rządu.

W tych dniach przywieziono do więzienia pruskiego poddanego niejakiego Frejtaga, który został zatrzymany w drodze; przy odbytej przy nim rewizyi zabrano 15,000 zł. p. Moskwa ma już zdaje się pewne dowody, że przytrzymany był Naczelnikiem oddziału konnych strzelców okręgu Węgrowskiego.

Po przywiezieniu Frejtaga natychmiast wezwano do komisyi Oborskiego, celem wywiedzenia się od

niego kompromitujących osobę przyaresztowaną szczegółów. Wezwany oświadczył, że Frejtag był rządcą u Rawicza i że tenże w czasie powstania wstąpił do oddziału żandarmeryi narodowej. Zaprowadzony Oborski do celi więźnia dla przekonania się o tożsamości jego osoby, potwierdził swoje zeznania mówiąc, że przedstawiony mu, jest rzeczywiście rzeczony Frejtag.

Rawicz potwierdził, że Frejtag był u niego przed rokiem w obowiązku, ale potem oddalił się ze służby i wyjechał do familii będącej w Prusach; zaprzeczył zaś, jakoby tenże z jego domu i z jego poręki przeszedł do żandarmeryi i oświadczył, że obwinienie Frejtaga o to jest mylne, bo dobrze jest mu wiadomo, że tenże od roku wyjechał z Królestwa.

Od kilku dni sprowadzeni koloniści niemieccy z Grochowa (własności Rawicza) jak i innych kolonii sąsiednich, potwierdzają zeznania Oborskiego przeciwko Frejtagowi.

Frejtag oświadczył komissyi, że zabrane mu 15,000 złp. są jego prywatną własnością, a nie zebranym podatkiem narodowym, jak prowadzący śledztwo utrzymują; wreszcie zaprzeczył, że nie był żandarmem i że dopiero od dni kilku powrócił z Prus dla szukania nowej dla siebie służby. Badany co do osób mających być przez niego za szpiegostwo powieszonych, mimo chłosty, nic uczynił żadnych zeznań mogących go w czemś obwinić. Stan jednak jego zdradza pewną słabość usposobienia.

Znękany Rawicz ciągłem biciem i barbarzyńskiem z nim obejściem się Moskwy, przyznał się, widocznie aby raz już ukrócić chwilę cierpień, że po usunięciu Lisikiewicza został Naczelnikiem Powiatu, lecz że obowiązków tych bynajmniej nie spełniał, bo interesami całego powiatu zajmował się jakiś młody człowiek, wcale mu nie znany, przysłany z Warszawy na jego pomocnika — on zaś pragnąc szczęścia kraju, nie znajdował takowego w rozpoczętym ruchu, dla tego założył sobie głównie powstrzymywanie nierozważnych wystąpień, a będąc popierany przez ludzi jego opinii, mógł przyjąć na siebie w tej myśli obowiązki Naczelnika Powiatu a następnie Województwa.

Zdaniem mojem podobne tłumaczenie się Rawicza przed Moskwą wśród odbieranej chłosty w niczem nie zmniejsza jego zasług dla sprawy narodowej, któréj z serdecznem przejęciem się był zawsze poświęcony.

. . . . . .

Rawicz potwierdził podobno wymienione przez Oborskiego osoby mające sprawować obowiązki Naczelników Powiatu, a mianowicie przyznał:

a) Że Kraków wymienił mu Jasińskiego, Zaborowskiego, Sliwickiego, Dębkowskiego i ks. Korolca, z którymi w interesie administracyi Województwa porozumieć się winien.

b) Że Dembowski nie pełnił żadnych obowiązków, otrzymał tylko polecenie jednorazowe od Komissarza do odebrania pieniędzy zebranych w Woje-

wództwie na broń i doręczenie takowych jenerałowi Krukowi.

c) Oświadczył, że jako Naczelnik Województwa nie miał potrzeby znać nazwisk osób, zajmujących niższe urzęda w organizacyi, bo te w zupełności zależnemi były od Naczelników Powiatu.

d) Co do osób, z któremi Naczelnik Cywilny miał mieć stosunki w Warszawie, to dotąd nie miał możności poznać ich nazwisk, gdyż te miał mu dopiero wskazać Komissarz Rządu. Kraków zaś oddając mu władzę, powiadomił go tylko, iż Komissarzem jest Skotnicki, osobami zaś, na ręce których winien jest przesyłać swe raporta do Rządu: Dr. Fricze i Banzemer, lecz kto to są te osoby i czy to rzeczywiste nazwiska, powiedzieć nie może, bo właśnie przed aresztowaniem doniesiono mu, że dwaj ostatni już z kraju wyjechali. Z Komissarzem znosił się tylko piśmiennie.

e) Że aresztowane osoby w jego sprawie, z wyjątkiem sąsiadów, nie są mu znane.

f) Potwierdził wreszcie zeznanie Oborskiego, że kancelarya Naczelnika Cywilnego Województwa była w Proszewie, ale o miejscu, gdzieby miał swą siedzibę Komissarz Rządu, nie wie i prawdopodobnie, że takowa nigdzie nie istnieje, albowiem korespondencje swe Rawicz miał przesyłać do Komissarza pod jakimś znakiem, jaki tenże wyznaczył.

Podobno obejście Moskwy z Wakrem i Rawiczem jest nieco zmienione od dni kilku — chcą ich podejść widocznie łagodnością i złudnemi obie-

tnicami, aby tym sposobem przyznali się do rzeczy nawet niebyłych.

Dowiaduję się, że znów przywieziono aresztowanych w sprawie Rawicza.

W tej chwili rozeszła się wieść o zmianie Dreyera i wypędzeniu ze służby Zengbuscha.

Przesyłam bratnie pozdrowienie.

L. S. N. N.

D. 16 listopada 1863 r.

Do

Obywatela Komissarza Pełnomocnego Rządu
w Województwie Podlaskiem.

Spieszę zawiadomić Obywatela o smutnej wiadomości. Dnia onegdajszego powieszono ś. p. Władysława Rawicza, którego całe zachowanie się i poświęcenie dla dobra kraju a także wielki hart duszy zasługują, aby imię Jego zostało na zawsze w pamięci współbraci, a zarazem, aby był wzorem ofiary dla ludzi słabych i upadłych na duchu, którzy kosztem drugiego tylko pragną przedłużyć swe życie — niestety, życie spodlone, godne wzgardy każdego!

Dnia 21 listopada o godzinie 9 rano przybyło do więzienia kilku oficerów dla oznajmienia wyroku śmierci. Ś. p. Władysław przyjął ich z największą godnością, zachęcając ich do spełnienia swej missyi, którą, widząc spokój skazanego, z największą nieśmiałością oficerowie dopełnili, a w oświadczeniu swem nawet powieszenie zamienili na rozstrzelanie.

Rawicz w swej celi przyjął ich cygarami, winem, sam wypiwszy lampkę; paląc zaś cygaro pytał się ich, czy pogoda na dworze? Otrzymawszy zaś twierdzącą odpowiedź, rozpoczął według swego zwyczaju z największą starannością ubierać się, nieprzepomniawszy nawet o swych wąsach. Na dziesięć minut przed 10tą, skoro zawiadomiono go o czasie wyjścia, oświadczył pilnującym go oficerom, że do ostatniej chwili jest gospodarzem, a zatem prosi, aby oni pierwsi wyszli z celi. Po wyprowadzeniu go z więzienia, zobaczywszy szubienicę, powiedział towarzyszącej mu straży: „rozumiem teraz, co to u panów znaczy rozstrzelanie". Na rusztowaniu z całym spokojem wysłuchał wyroku, i raczej — że tak rzekę — podobny był do pójścia w tany, niż na śmierć, a oddawszy głową pożegnalny pokłon braciom swoim pozostałym w więzieniu i całej ludności miasta, sam przywlekał na siebie strój śmierci i powolnie oddał głowę pod stryk katowski. Miasto wówczas oddało głośny jęk rozpaczy, jęk żalu i płaczu po tak wielkim i zasłużonym mężu.

. . . . . .

Śledztwo innych osób aresztowanych w sprawie Rawicza podobno już ukończone. Starania komisyi nie osiągnęły oczekiwanych rezultatów, wskazani przez Oborskiego za przewódzców powstania w części są wolni, a z uwięzionych nikomu prawie nie udowodniono stawianych zarzutów, mimo to jednak zapewne swym zwyczajem Moskwa aresztowanych do katorgi lub na wygnanie osądzi.

. . . . . .

Oborski i Falk. upadli na duchu, inni zaś niemal wszyscy dość chwacko się trzymają, choć są ciągle bici. . . . . .

Jemiałkowski pomocnik (moskiewskiego) naczelnika powiatu z Biały zwłaszcza okazuje dużo dzielności charakteru.

Archiwum Naczelnika Województwa, wydane przez Oborskiego, które było głównym powodem potępienia Rawicza a także przyczyną aresztowania wielu osób, dopomogło nareszcie do usprawiedliwienia się Kobylskiemu, bo w niem znalazła Moskwa dowody, stwierdzające jego poprzednie zeznania o jego sprawie z włościanami i ks. Kurowickim. Włościanie ze Stawina przed komissyą mieli przyznać, że ich do zabrania gruntów dworskich namówił ks. proboszcz, ale Rząd Narodowy takowe polecił im zwrócić a księdza aresztował. Kobylski zeznał, że prowadzącym śledztwo w jego sprawie był jakiś doktor nazywający się Zajączkowskim czy też Pajączkowskim — rozkaz nakazujący mu odwieźć Naczelnikowi Województwa pieczęcie przy nim znalezione, wręczył mu jakiś pan Józef, przedstawiając mu odpowiedzialność, jaką na siebie ściągnie, jeżeli ściśle nie spełni zlecenia.

Czy ze śledztwa wyjawiło się nazwisko Naczelnika miasta Siedlce, jeszcze dobrze wywiedzieć się nie mogłem.

. . . . . .

Znów przywieziono do więzienia powstańców i kilku włościan.

W Siedlcach nowe zupełnie rządy. Bohater z pod Siemiatycz zajął miejsce Dreyera — w zamian Zengbuscha prezydującym w komissyi jest major Skorobogatow, i inni członkowie także zmienieni; zmiany te spodziewać się należy, że przyniosą więźniom pewną ulgę, zwłaszcza wszyscy są tu mocno uradowani, że wraz z Dreyerem wyleciał i dawny jego adjutant a ostatecznie nadzorca więzienia Błagowieszczański, łotr w wielkim stopniu, dobijający się sławy Moroka warszawskiego przez znęcanie się nad uwięzionymi.

. . . . . .

Przesyłając wyrazy głębokiego szacunku oczekuję dalszych rozkazów.

L. S. N. N.

D. 23 listopada 1863 roku.

Raporta powyższe, pisane przez urzędnika do szczególnych poruczeń, któremu Rząd Narodowy poruczył specyalną missyą czuwania nad losem więźniów, trzymanych w więzieniu Siedleckiem przez Moskali, dokładnie przedstawiają przebieg sprawy Rawicza i jego śmierć męczeńską. Nie ma w nich nic o staraniach rodziny, bo te mogły być mu nieznane, jako czynione po za obrębem jego urzędowania. Wzmiankowane atoli przez niego rozpędzenie komissyi śledczej pod prezydencyą Zengbuscha i usunięcie jenerała Dreyera, miało za powód tę okoliczność, iż znaczną sumą przekupieni, obiecawszy uwolnić więźniów, pokłócili się o podział wziętej

sumy i wzajemnie denuncyowali. Rząd moskiewski oddalił ich a przysłał na miejsce Dreyera, człowieka stokroć okrutniejszego, na wpół dzikiego, który w Siemiatyczach wyrobił sobie już sławę okrutnika i rabusia. Berg i Maniukin w obawie, ażeby uwolnienie Rawicza nie odkryło przed światem nadużyć komissyi, torturowania więźniów, zmówili się na zgubę jego i pomimo opisanych powyżej instancyi i aktu łaski carskiej, bohatera naszego powiesili dnia 22 listopada 1863 r. Orszak, który go prowadził na szubienicę z bębnem na czele, ponuro wyglądał. Rawicz wycieńczony i do niepoznania mękami przeniesionemi zmieniony na twarzy, pięknym był przecież idąc na śmierć z pogodnem czołem, strojnie jak na największą uroczystość przybrany, chód nawet, powiada naoczny świadek, „zachował poważny i pewny, głowę miał dumnie wzniesioną, sam więc tylko jęk i płacz otaczających zdradzał, że na śmierć idzie“. W ostatniej jeszcze chwili dowiódł, jakie wspaniałe uczucia przemieszkiwały w jego sercu. Przechodząc około domu, w którym, jak się domyślał, mieszkała jego żona, którą przed rokiem poślubił, tak nisko zwiesił głowę, że twarzy jego widać nie było. Gdy zaś towarzyszący mu kapłan zapytał: „co ci to mój synu? czy słabniesz?“ „Bynajmniej, odparł szlachetny męczennik, lękam się tylko, żeby mnie żona nie zobaczyła i nie poznała.“

Stanąwszy przed szubienicą, przed tem niegdyś godłem hańby a dziś w Polsce równającej się z świętością Krzyża, bo ją uświęciły łzy i krew niewinna, przed szubienicą ani na chwilę nie stracił odwagi

i wyrzekł doniosłym głosem: „Powiedzcie moim rodzicom, iż umieram szczęśliwy i spokojny, bo za najświętszą sprawę i nikogo niezdradziwszy. Proszę, aby syn mój, w tychże co ja wzrósł zasadach. Żegnam Was a Bogu oddaję!“

Władysław Rawicz na dwie godziny zaledwo został zawiadomiony o swej egzekucyi. Wyspowiadał się więc i przyjął Najświętszy Sakrament, napisał testament, którym żegna rodziców, żonę, syna, brata, siostrę i szwagra oraz ustanawia opiekunem brata, a w razie nieobecności tegoż, szwagra, robi zapis ze swego majątku żonie, która mu urodziła syna, gdy już był w więzieniu, i podaje szczegółowo najmniejsze nawet sumki, należące się od niego i jemu od innych. W rozporządzeniach swoich, nie zapomniał nawet o posługaczach więziennych.

Dla uczynienia dokładniejszem wspomnienia o Rawiczu, zacytujemy tu słowa, z krótkiej o nim wzmianki, napisanej przez byłego przełożonego jego w organizacyi narodowej [1]). Pisze on, że nic nie zaniedbano w staraniach, mających na celu jego uwolnienie. Ci, którzy je prowadzili, zawiadomili w końcu żonę Władysława, iż car zmienił wyrok śmierci, jak było w rzeczy samej i że obawa o życie uwięzionego przeminęła. „Taką to szczęśliwą otrzymawszy odpowiedź na czynione starania, pani Rawicz z przeświadczeniem, że jednocześnie z jej wyjazdem zostanie wysłanem ułaskawienie dla męża, śpieszyła

[1]) Zobacz w felietonie „Dziennika Lwowskiego“ Nr. 294 z roku 1869 artykuł p. t. „Władysław Rawicz“. Autorem tej biografii jest Antoni Skotnicki.

korzystając ze skończonego śledztwa, ujrzeć go po raz pierwszy w więzieniu, przedstawić mu dziecię w czasie tym zrodzone a jednocześnie zwiastować dobrą o obrocie sprawy nowinę. Było to 22 listopada, gdy przepełniona najróżnorodniejszemi wzruszeniami przybyła do Siedlec i z gorączkową niecierpliwością przygotowywała się do pójścia do ówczesnego satrapy Maniukina, z prośbą o pozwolenie widzenia się z mężem. Godzina była jeszcze wczesna, pan jenerał zasypiał spokojnie, dla niecierpliwej żony trzeba było jeszcze wyczekiwać czas pewien, aby módz uzyskać pozwolenie odwiedzenia uwięzionego. Te godzin kilka dla niecierpliwiącej się miały długość wiekową; w czasie tym żonie naszego bohatera oddanej jedynie myśli prędkiego ujrzenia ukochanej osoby, przedstawił się dziwnie przykry widok. Z okien spostrzegła ona, że Moskwa prowadzi kogoś na śmierć w tryumfalnym pochodzie. Wypadki podobne w ostatniem powstaniu były w Siedlcach dość częste, a srogie rządy Dreyerów, Maniukinów i rozszalałych Borozdinów, wzwyczaiły oczy gorąco miłujących kraj ojczysty Podlasiaków do podobnie przykrych przedstawień. Pani Rawicz nie przyszło nawet na myśl zapytać, kogo to prowadzą na śmierć, spokojną już bowiem była o życie męża, upadła więc tylko na kolana, zanosząc w chwili dokonywanego przez Moskwę morderstwa modły do Boga za męczennika. Któż jednak będzie w stanie oddać boleść tej nieszczęśliwej niewiasty, która jednocześnie prawie idąc do Maniukina, w przeświadczeniu, że za małą chwilę będzie mogła cie-

szyć się widokiem ukochanej osoby, w zamian tego dowiedziała się, że męczennikiem, za którego właśnie przed chwilą modliła się, jest jej mąż, któż zdoła odzwierciedlić jej wrażenie, jakie szyderstwo Moskwy z jej bolu wywoływało!? Zaręczono jej ułaskawienie dla męża, śpieszyła do niego z tą wieścią — ułaskawienie przyszło ale w dwadzieścia cztery godzin po zamordowaniu ś. p. Władysława.

W chwili spełnianej egzekucyi inna jeszcze wzruszająca scena miała miejsce w gmachu więziennem. Okno kazamaty Oborskiego wychodziło na plac więzienny, ocknąwszy się więc ze snu spostrzegł on prowadzone przez Moskwę przygotowania do mającego się dokonać morderstwa. Oborski nie wiedział, czyj to miał być dzień męczeństwa, wyrzuty jednak sumienia wzmagały jego niepokój, coś mu widocznie szeptało, że może będzie traconą jedna z ofiar jego upodlenia. Niepokój starca wciąż wzrastał, spać już więcej nie mógł. Gdy zaś o naznaczonej godzinie ujrzał wchodzącego na rusztowanie Rawicza, ból zdjął jego serce, że nie mógł obyć się z myślą, że ten co mu zaufał i był jego przyjacielem, ginie teraz dla jego słabości charakteru. Przybyli w kilka godzin później dozorcy więzienia, znaleźli Oborskiego w stanie zupełnego obłąkania.

Po upływie kilku tygodni Moskwa uznaje, iż obłąkany nie może już jej być użytecznym; wynagradzając mu zaś oddane jej usługi, odczytała mu wyrok, że za przyjęcie udziału w powstaniu, skazanym zostaje na 15 lat ciężkich robót, — w całem

zaś obejściu się z nim dała mu uczuć jego upodlenie, bo odmówiła mu tego szacunku, z jakim dla innych męczenników, mimo swej zaciekłości, być musiała. Tak upadł sędziwy starzec, otoczony przedtem szacunkiem sąsiadów, którzy cenili w nim wykształcenie i cierpienia jego dla sprawy narodowej. Oborski bowiem niedawno powrócił z Sybiru, gdzie za wypadki 1846 roku był zesłanym. Do takiego zapomnienia się doprowadziło Oborskiego niepojęte jakieś, szalone przywiązanie do swego syna, którego jednocześnie poświęcił sprawie, zezwalając mu wstąpić w szeregi wojska narodowego [1]).

Ze śmiercią Rawicza dawna wesłość jego młodej żony niknie na zawsze i zmienia się w stałą melancholią. Nie na śmierci jednak ś. p. Władysława koniec jej i rodziny nieszczęścia. Synowica naszego wygnańca, poety Witwickiego, z dawna musiała być oswojoną z prześladowaniami swej rodziny przez Moskwę. W powstaniu styczniowem nieszczęścia te potężniej ją dosięgają, bo na raz prawie dowiaduje się ona, że brat jej jeden ginie w powstaniu, inny ranny zmuszony jest kryć się za granicą. Wuj uchodzi także przed prześladowaniem Moskwy na emigrację a brat męża i szwagier odbywają przymusową podróż na Sybir. Oto obraz zwykły polskiej rodziny. I kiedyż Boże! koniec nastąpi tym

[1]) Moskale powiedzieli Oborskiemu, że syn jego jest aresztowany i że będzie powieszonym — wszystko to było nieprawdą. W rozpaczy, ażeby syna uwolnić, zdradził Rawicza i sprawę. Myślał, że za tę cenę i za własne upodlenie pozyska życie i wolność syna!

męczarniom doznawanym i smutnym doświadczeniom losu, jakie na nas zsyłasz?!“

Męczeństwo Rawicza natchnęło kilku poetów do napisania utworów ku czci jego. Z tych utworów najpiękniejszym jest wiersz Teofila Lenartowicza, śpiewaka powstania 1863 roku [1]). Podajemy go tu w całości, ażeby uczynić zupełnym obraz patrjoty, co bez żalu i skargi zginął za Ojczyznę na szubienicy:

RAWICZ.

„O! siostro moja, jak mnie na sercu tu błogo,
Ze sprzysiężonych dotąd nie wlekli nikogo,
Swej duszy zbroją on ich przed wrogiem okrywa,
Wyśpiewa, krzyczą, ach! tak przed Bogiem wyśpiewa...
Serce mi pęka ilekroć patrzę na wieżę,
Wróg jego ciała, lecz jego duszy Bóg strzeże.
Co on wycierpi w jednej męczarni godzinie,
Kiedy pomyślę, z każdego włosa pot płynie.
W duszy mej słyszę, w uszach mych słyszę ich wrzaski,
Aż mnie ukoi Anioł we zbroi ptak łaski.

O! siostro moja, wejrzyj na drogę od wieży,
Do piersi mojej zaleciał wietrzyk tak świeży,
Jakby powiała kwiaty wszystkiemi dąbrowa,
Konwalie leśne, fiołki wczesne, to słowa.
Z za ciężkiej bramy, której przed nami wróg broni,
Miłego słowo w tę noc majową tak woni.
Nadzieja błoga! ach nie opuszczaj strapionej,
Ze złotą zorzą wrota otworzą dla żony.
Ziemię ubielą i rozweselą promienie,
A mnie mojego a mnie drogiego spojrzenie.

[1]) „Echa Nadwiślańskie“ Teofila Lenartowicza. Tom I. Poznań. Nakładem księgarni Jana Konst. Żupańskiego. 1872. Stronica 141.

Śnie dobrotliwy znijdź na powieki bezsenne,
Gwiazdo zbawienia rozpraszaj cienia więzienne.
I zeszedł Anioł, Anioł spoczynku uroczy,
Rzucił zasłonę na te znużone jej oczy.

O jasnej zorzy, wróg drzwi otworzy, mnich wchodzi,
Mnich co nie z wrogiem lecz duszę z Bogiem pogodzi.
Więzień wzniósł czoło, spojrzał w około przez kraty,
Tam szubienica a przy niej wrogi i katy.
Przy pierwszym brzasku, przy wschodzącego dnia świetle,
Widzi zwieszoną, w górze skręconą tę petlę.
Spojrzał na mnicha, ściekła łza cicha, jedyna,
Wspomniał na Polskę, na młodą żonę, na syna,
Ona zasypia w wonną majową tę ciszę,
Miłości kwiecie, przy niej się dziecię, kołyszę.....

Zgoda, o zgoda, mnich dłoń mu poda na drogę,
Jednej dziś łaski od wroga żądać ja mogę.
Mnichu szlachetny, nie patrz ty na mnie ze zgrozą,
Niech mnie pod oknem kochanej mojej nie wiozą.

Ulicą błotną, długą, samotną wóz zmierza,
W okienka słońce, ranne, wschodzące uderza.
Serce ofiary straszną bojaźnią zabije,
W słowie się cichem, przed bratem mnichem odkryje.
Prócz tego mnicha on nie powierzy nikomu,
Siądź po tej stronie, bracie serdeczny, od domu.
Wszakże zaiste śmierci się strasznej nie trwożę,
Tylko ach! ona, ujrzeć mnie żona ztąd może.

Ach, już pod samą jedzie wóz bramą w tej chwili,
Więzień zbolały, za mnicha cały się schyli,
Żadnego krzyku, ulica głucha tak cicha,
Bęben grzmi w dali, tłumy Moskali..... oddycha.

O! siostro moja, cóżem ja śniła szczęśliwa,
Że mój kochany więzy, kajdany rozrywa,
Przy moim boku jak wietrzyk igra swawolny,
Przy dziecku siędzie, pełno go wszędzie, on wolny.
Przy piersi mojej z nim się zespoi ma dusza,
Płaczliwe głosy na rzęsach rosy osusza.

Siostro kochana, cóż to tak z rana tłum wzrasta,
Te wojska roty, bębnów łoskoty z za miasta.
Cicho siostrzyczko niebo ofiarę znów bierze,
Klęknij tu ze mną, zmówmy za zmarłych pacierze.

Słońce ozłaca tłum co powraca w tę stronę,
Czemu przystają, czemu tak patrzą na żonę?
Czemu ich oczy bujna łza mroczy w pogodzie,
Wiatr tak wiosenny, blask tak promienny na wschodzie."

RAFAŁ KRAJEWSKI.

RAFAŁ KRAJEWSKI

i

JEGO LISTY WIĘZIENNE.

Powstanie 1863 r. wydało więcej jak którekolwiek inne ludzi charakteru i poświęcenia. Trudne warunki wśród których działali, gwałtowność użytych środków nie łamała ich ducha, nie gięła ich woli ale niszczyła osoby. Tej to okoliczności przypisać należy, iż mało który przetrwał straszną burzę, jaka się rozsrożyła nad Polską, że każdy z nich zbyt krótko działał, aby mógł działaniem swojem nagromadzić dostateczną ilość materyału historycznego na bohatera dziejów. Przechodzili oni przez widownię historyczną jak zjawiska szybko ale świetnie. Zachować ślad tego przechodu i zebrać promienie działania w jedną całość, ażeby potem mocą odwróconą tych promieni oświecić i uwydatnić postacie działających, jest zadaniem obowiązku narodowej wdzięczności jako też dobrze zrozumianej historyi. Z tych uwydatnionych postaci utworzy się galerya historycznych portretów, które dokładniej

przedstawią znamiona epoki wyjarzmiania się z niewoli — i jej znaczenie dla przyszłości, od szerokich rozpraw historycznych.

Jedno ze znaczniejszych miejsc w tej galeryi zajmuje *Rafał Krajewski,* człowiek rozumu i serca, którego czyny nie kłamały nigdy słowu a którego krótki żywot chcemy czytelnikom na tem miejscu przedstawić.

Rafał urodził się dnia 24 października 1834 r. w Łempicach-wielkich, wiosce należącej do ojca jego Wojciecha Krajewskiego, o milę od Pułtuska położonej. Matka Paulina z Markowskich Krajewska odumarła (w r. 1848) go, gdy miał lat trzynaście. Ojciec wszedł w powtórne związki małżeńskie. W roku atoli 1854 zakończył życie, zostawiwszy żonę, dziewięcioro dzieci, pomiędzy któremi Rafał był trzeci z rzędu, i mierny majątek, wystarczający na wychowanie tak licznej rodziny.

Rafał początkowe wykształcenie odebrał w domu rodzicielskim. Z Łempic-wielkich odwieziony do Łomży, złożył tam egzamin do trzeciej klassy gimnazyalnej. Miał lat siedmnaście gdy ukończył łomżyńskie gimnazyum, które wydało wielu dzielnych obywateli kraju, pomimo moskiewskiego systematu nauk, dążącego do ogłupiania i profesorów nieodznaczających się wysoką nauką ani zdolnościami. W gronie ich dwaj tylko byli ludzie wyżsi i rzeczywiście dobrego wpływu, to jest: Jakób Waga, jeden z najznakomitszych polskich botaników, autor dzieła o Florze polskiej, jako też Michał Gliszczyński, historyk i literat, pisarz dzieł sumienny

i zacny. Nie zajmowali się oni nauczaniem polskości, bo nie byliby za srogich rządów Mikołaja ani jednego dnia cierpiani w szkole, lecz ponieważ byli ludźmi wyznającymi zasady wielkie, humanitarne a całe życie, wszystkie czyny świadczyły o ich głębokiem przywiązaniu do Polski, nie dziw więc, że każde ich słowo i każdy postępek był dobrym posiewem na niwie serc młodzieńczych. Gliszczyński krótko był profesorem w Łomży, lecz Waga przez długie lata już to jako profesor, potem jako inspektor, pod najgorszymi dyrektorami Moskalami, ratował gimnazyum od zupełnego upadku. Rafał Krajewski domowi rodzicielskiemu a potem łomżyńskiemu gimnazyum zawdzięczał pierwsze posady charakteru, jakie zyskał przez większe rozwinięcie uczucia rodzinnego, ojczystego i religijnego.

Z Łomży udał się Rafał do Warszawy i tu wstąpił do Szkoły Sztuk Pięknych na wydział architektoniczny. Szkoła ta pod względem nauk w niej wykładanych wcale nie świetna, zajęła jednak w dziejach narodu wybitne miejsce jako ognisko patryotyzmu pomiędzy młodzieżą, z którego po długiej nocy mikołajewskiej niewoli i paskiewiczowskiego prześladowania, trysły pierwsze promienie zorzy, co się potem zapalić miała wielkim, bojowym płomieniem wolności i niepodległości. Rafał Krajewski miał w téj szkole jeszcze większą sposobność do rozbudzenia w sobie szlachetnych aspiracyi.

Wielkie jego zdolności potrafiły przyswoić sobie tu obszerny zapas wiedzy, której skarbów, instrukcya moskiewska tylko ręką sknery dozwala udzielać

uczącej się młodzieży. Czego mu atoli nie dało nauczanie w szkole, to zyskał przez czytanie i nauczanie się w domu, tak, że po ukończeniu szkoły odznaczał się już pomiędzy młodzieżą nie tylko przez wysokie, fachowe wykształcenie w zawodzie budowniczym ale też przez wykształcenie literackie i ogólne.

Zdobycie wszechstronnego wykształcenia, za tem większą zasługę Rafałowi poczytać należy, iż Szkołę Sztuk Pięknych przebywał o własnych siłach, walcząc z ogromną biedą, od jakiej ochronić go nie mogły korepetycye i rysowanie.

Po śmierci ojca miał dozór nad wykształceniem sióstr i braci swoich a pomimo niepełnoletniego wieku zastępował ojca w rodzinie, kochany i słuchany przez siostry, braci i macochę. Większe nad lata doświadczenie, takt w postępowaniu, rozum w radzie a przedewszystkiem miłość rodzinna, dozwoliła mu zachować harmonią w osieroconej przez śmierć ojca familii. Opieka ta nad rodziną uczyniła go bardzo wcześnie dojrzałym mężem. Jakkolwiek nie był wolnym od pustot młodzieńczych, przecież mniej się im oddawał od kolegów, którzy przy jego poważnym nastroju, sami się robili poważniejszymi.

Po ukończeniu Szkoły Sztuk Pięknych udał się na praktykę architektoniczną do budowniczego Ankiewicza, u którego z niemałym dla siebie pożytkiem, przez dłuższy czas pracował. Po złożeniu następnie wszystkich egzaminów, otrzymawszy dyplom na wolno praktykującego budowniczego, prowadził na własną rękę budownictwo w Warszawie

aż do chwili swego zaaresztowania. Nie jeden piękny dom w stolicy Polski wznoszący się, wybudowanym został według jego planu i pod jego nadzorem. Wytworny gust, sumienność i umiejętność w dopełnianiu przyjętych obowiązków a przytem uczynność i przyjemność w obcowaniu, robiły mu coraz większą liczbę przyjacioł i coraz większą praktykę. Zajęcia miał dość a z niem mnożyły się dochody i uśmiechała się przed nim szczęśliwa przyszłość.

W towarzystwach warszawskich był zawsze mile widzianym, zwłaszcza też w salonie pani Buszard, żony malarza i pisarza zarazem. Był to jeden z tych salonów, w których młodzież nabierała dobrego gustu i zachęty do pracy. Artyści i literaci gromadzili się w nim na pogadanki artystyczne i literackie, czytywanie książek i pism różnych. Urządzano domowe konkursa a wszyscy co w salonie bywali stawali do niego z rozprawami pisanemi przez siebie. Bywały tam i powagi literackie, kobiety słynne z pism i z charakteru, jednem słowem dobór towarzystwa, który najlepszy wpływ wywierał na młodzież.

Wpływowi temu winien był Krajewski zamiłowanie literatury i popęd do pisania literackiego. Na jedno pytanie rzucone tam przez najznakomitszą z poetek naszych Gabryelę [1]), drukował odpowiedź przez siebie napisaną w Bibliotece Warszawskiej. Napisał też w tym czasie kilka powieści, które nie były drukowane i wierszyków dosyć, które krążyły

[1]) Narcyza Żmichowska.

pomiędzy jego przyjaciołmi. Jeżeli zachowały się one u kogo w rękopiśmie, warto byłoby wydać je na widok publiczny jako pamiątkę po człowieku niepospolitym, który życie dał za Ojczyznę.

Że Krajewski był człowiekiem niepospolitego charakteru, mamy pomiędzy innemi świadectwo bardzo poważne, pochodzące od znakomitego krytyka i autora, który w gazecie „Ojczyzna“ [1]) umieścił w odcinku jego życiorys. Pisze on tam, że Krajewski po ukończonych studjach w Warszawie „mógł był na zasadzie otrzymanego świadectwa, udać się dla dalszego w zawodzie budownictwa kształcenia do szkoły wyższej w Petersburgu, na koszt rządu; ale gdy go do tego zachęcano, oświadczył, że woli ciężką pracą samodzielnie sposobić się do dalszych egzaminów, niż cokolwiekbądź zawdzięczać rządowi moskiewskiemu i przyjmować względem niego zobowiązania. Pozostał więc w Warszawie i jął się z całym zapałem pracy. Nie był to suchy, ograniczony wyłącznie do swego fachu specjalista; poświęcając się głównie zawodowi, który mu dawał chleb i stanowisko w świecie, wolny czas zachowywał na kształcenie się w tem, co człowieka uczynić może obywatelem pożytecznym krajowi i miłym towarzyszem wszystkich myślących ludzi. To też był on zawsze pożądanym gościem wszędzie, gdzie tylko próg przestąpił; jego serdeczność, uczynność, nieograniczone wylanie dla przyjacioł, nadały mu między

[1]) Zobacz w Nrze 99 z dnia 21 października 1864 pisma „Ojczyzna“ wychodzącego w Bendlikonie pod Zürichem artykuł w felietonie o Rafale Krajewskim z podpisem Y.

znajomymi miano poczciwego Rafała, i miano to nigdy lepiej zasłużonem nie było. Sprawić komuś niespodzianą przyjemność, umniejszyć kłopotu w interesach, wyprowadzić z trudnego położenia, zastąpić w najprzykrzejszym razie, były to jego towarzyskie specjalności, drogie każdemu, czyją on uścisnął rękę; kiedy wyższość umysłowa połączona z ujmującą skromnością względem niższych od siebie, jednały mu serca nawet najobojętniejszych, a czystość obyczajów, bezprzykładna prawie w dzisiejszych czasach łatwej moralności, czyniła go rzeczywiście wyjątkowym młodzieńcem. Od lat kilkunastu osierocony wraz z rodzeństwem, ale szczęśliwie postępując w swoim zawodzie, Rafał pracą rąk własnych dopomagał własnym braciom i siostrom, on był ich opiekunem, ojcem, młodsze też rodzeństwo widząc ile on dlań czyni, sercem przepadało za nim. Wszyscy bliżsi patrząc na jego zdolności i postępowanie, rokowali w nim wielką i długą dla kraju pociechę, bo kto od najwcześniejszych lat na takich jak on zasadach życie swoje urządził, ten dawał nieomylną rękojmię, że ono nie przejdzie bez śladu dla społeczeństwa, pośród którego ubiegało. Kraj był istotnie najgłębszem tłem wszystkich myśli tego młodzieńca, to też ruchy 1861 roku nie zastały go nieprzygotowanym. Nie tworzył on inicyatywy i nie należał do bardzo gorących, z dojrzałą owszem rozwagą spoglądał na demonstracye uliczne, szukając po za niemi czegoś żywotniejszego, i kiedy inni rówiennicy jego urządzali nabożeństwa, on wtedy plątał się we wszystkie koła warszawskie, szukające

właściwego wyjścia z położenia przez niedoświadczoną a zapałem tylko kierującą się młodzież utworzonego. Sympatyzując ze stronnictwem ruchu, nieraz jednak powstrzymywał kroki jego zbyt narażające i przedstawiał potrzebę dojrzałych przygotowań, któreby ułatwiły osiągnięcie rezultatów zbrojnego wystąpienia i chętnie podejmował się czynności mających takowe przygotowania na celu. Z drugiej strony nie odmawiał usług swoich i tym, którzy i w spokojnych pracach widzieli patrjotyczny dla kraju pożytek."

Słowa te doskonale charakteryzują działalność Rafała Krajewskiego podczas manifestacyi 1861 i 1862 r. Sympatyzował z stronnictwem ruchu i pragnął dobrze przygotowanego powstania. Niewidząc jednak możności takiego przygotowania, łagodził wraz z całem stronnictwem Edwarda Jurgensa, do którego należał, siłę ruchu pędzącego coraz szybszym biegiem do zbrojnego powstania. Poznałem go wtedy osobiście i odrazu uderzyła mnie jego skromność, powaga i umiarkowanie, zapowiadające doświadczonego już i rozumem kierującego się męża.

Szkoły ludowe, które głównie za wpływem Gerwazego Gzowskiego zaczęto wtedy zakładać, nie pytając o pozwolenie władz moskiewskich, miały w nim jak w Romanie Żulińskim gorliwego zwolennika. Agitacya za szkołami była tak żwawa a zrozumienie potrzeby oświaty pomiędzy ludem było tak powszechnem pomiędzy obywatelstwem wiejskiem i miejskiem, jako też i księżmi, iż w przeciągu jednego półrocza w samem Królestwie Polskiem po-

wstało za inicyatywą i kosztem prywatnych osób przeszło 2000 szkółek ludowych a w Podolskiej gubernii około 400.

Nie był to więc ruch wyłącznie manifestacyjny, był on jednocześnie organicznym a gdyby nie nieszczęśliwe okoliczności, gdyby agitacya stronnictwa demagogów, zostawiła była więcej czasu do działania ludziom tego usposobienia jak wyżej wymienieni a z drugiej strony, gdyby Wielopolski a za nim Moskale, nie byli używali zbyt gwałtownych środków dla stłumienia ruchu, kierunek prac organicznych byłby wziął przewagę nad manifestacyjnym i rewolucyjnym i nie byłoby przyszło do przedwczesnego powstania.

Stało się inaczej, powstanie i to przedwczesne wybuchło a Krajewski chociaż był mu przeciwnym, zrobił to, co każdemu Polakowi zostawało wtedy do zrobienia, to jest oddał się do dyspozycyi i na służbę Rządowi Narodowemu. Miał on zamiar udać się do oddziału i służyć powstaniu z orężem w ręku. Rady jednak przyjacioł zatrzymały go w Warszawie, gdzie więcej niż kiedykolwiek potrzeba było ludzi rozumnych i zdolnych do pracy kierowniczej. Przez kilka pierwszych miesięcy powstania działał prywatnie, stojąc na niższych stopniach organizacyi narodowej. Wkrótce jednak, bo już w maju 1863 r. powołanym został do pełnienia niezmiernie ważnych funkcyi referenta w ministerstwie czyli w komissyi spraw wewnętrznych Rządu Narodowego.

Rząd Narodowy składał się wtedy z pięciu członków i wszystkie w ważniejszych sprawach po-

stanowienia uchwalał na swoich posiedzeniach kolegialnie. Oprócz tego każdy z członków Rządu, zawiadował jednem z ministerstw czyli komissyi, w których załatwiano interesa wojny, spraw zagranicznych, skarbu, spraw wewnętrznych i sekretarjatu stanu, i na codziennych posiedzeniach Rządu, zdawał relacye z czynności poruczonego mu ministerstwa. Ministerstwo do którego wszedł Krajewski było pod kierownictwem członka Rządu Oskara Awejdy, człowieka uzdolnionego ale słabego charakteru, chwiejnego i idącego zwykle za ostatnim wpływem. Był on zupełnie nieodpowiednim do kierownictwa tak ważnej gałęzi służby publicznej, jaką jest administracya kraju. Jeżeli zaś administracya w stolicy i na prowincyi została szybko zorganizowaną i funkcjonowała regularnie i porządnie, było to zasługą referentów tego ministerstwa, pomiędzy którymi dwóch odznaczyło się szczególną gorliwością, umiejętnością i zdolnościami, to jest Erazm Malinowski, który był referentem do spraw Mazowieckiego i Kaliskiego i naczelnie kierował administracyą tych dwóch województw, i Rafał Krajewski, który był referentem do spraw województwa Sandomierskiego i Krakowskiego.

Pod koniec maja partja demagogiczna zostająca pod dyrekcyą Ignacego Chmielińskiego, za pośrednictwem spisku i zorganizowanej przez Lempkego, Wernickiego i O. napaści na Rząd Narodowy, wywołała odmianę w składzie tegoż rządu. Awejda jednak, który miał przyjaciół pomiędzy spiskowymi

i posiadał ich zupełne zaufanie, pozostał w nowym składzie Rządu i pełnił dawne funkcje.

Rząd ten nowy, do którego weszli także Erazm Malinowski, Franciszek Dobrowolski, mecenas Kobylański, trwał nie cały miesiąc. Przez cały ten miesiąc, wewnętrzne w łonie organizacyi narodowej trwające zaburzenia, byłyby doprowadziły ją do zupełnego rozprężenia a powstanie do upadku, gdyby nie gorliwe spełnianie obowiązków przez niektórych członków nowego Rządu i jego urzędników. Krajewski Rafał nie brał udziału w tych zaburzeniach, lecz pozostając na stanowisku referenta, pomagał tym, którzy pracowali nad przywróceniem wewnętrznego porządku.

W lipcu staraniem tych ludzi przyszedł do steru nowy skład Rządu Narodowego. Weszli do niego: Karol Majewski, Władysław Gołemberski i inni, mocno umiarkowanego sposobu myślenia członkowie, niegdyś przeciwni Komitetowi Centralnemu i powstaniu. Rafał Krajewski miał w tym składzie Rządu osobistych przyjaciół, którzy ceniąc w nim charakter, znali dobrze zdolności i używali go do coraz ważniejszych czynności. Był on zawsze referentem ale już wtajemniczonym we wszystkie czynności Rządu i nie bez znacznego wpływu na bieg spraw ogólnych.

We wrześniu nastąpiło nowe wstrząśnienie w organizacyi rządowej. Karol Majewski, M. Chwalibóg, Gołemberski ustąpili a ster spraw narodowych przeszedł od umiarkowanego stronnictwa do rąk stronnictwa demagogicznego. Nowy, mocno czerwonej

barwy Rząd, do którego należeli pomiędzy innymi Ignacy Chmieliński, Adam Asnyk znany a wielce ceniony poeta i bardzo uzdolniony a biegły w sprawach publicznych Józef Narzymski, zaledwo kilkanaście dni utrzymać się zdołał. Nie znalazł on posłuchu w organizacyi i ustąpić musiał.

W październiku objął ster Rządu Narodowego jenerał Romuald Traugut i jako jego Prezes miał prawie dyktatoryalną władzę. Organizacya Rządu odmieniła się o tyle, że przybył Prezes, którego dawniej nie było, a członkowie Rządu, kierujący ministerstwami, byli tylko doradcami Prezesa. Harmonia jednak jaka panowała pomiędzy Prezesem a dyrektorami ministerstw, otworzyła i tym ostatnim wpływ na kierunek spraw całego powstania.

Rafał Krajewski powołany został przez Trauguta z referenta na Dyrektora czyli ministra spraw wewnętrznych, w którego charakterze wszedł do składu Rządu Narodowego. Była to epoka upadku powstania. Moskale rozwinęli nadzwyczajne militarne siły i zastosowali środki najbardziej barbarzyńskiej repressyi przeciwko powstaniu. Środki te zaczęły skutkować, nie tyle może z powodu strachu jaki budziły, ile dla tego, że organizacya narodowa kilkokrotnemi zaburzeniami i zamachami osłabiona, licznemi aresztowaniami uszczuplona, coraz słabszy opór moskiewskiej furyi stawiać była zdolną.

„Były to, powiada już raz cytowany przez nas autor [1]), najtrudniejsze dla zarządu chwile: dzia-

[1]) Zobacz: „Ojczyznę". Nr. 99 z roku 1864. Rendlikon pod Zürichem.

łania wojenne skutkiem wysileń Rossyi, Pruss i Austryi już się na dobre rwały, oddział przepadał za oddziałem, broń całemi transportami przechodziła w ręce nieprzyjacioł, wewnątrz kraju ucisk moskiewski doszedłszy do najwyższych rozmiarów, łamał działania Rządu Narodowego, pozbawione poparcia siłą zbrojną, ośmielone szpiegostwo podniosło ohydną głowę i przyczaiło się na wszystkich ścieżkach organizacyi narodowej; słowem Rząd stanął na tak niebezpiecznem stanowisku, że trzeba było nadludzkiej odwagi i siły, aby się nie zniechęcić i utrzymać poświęcenie w piersi tak z bliska naciskanej przez wroga, denuncjanta i szpiega, bez rachuby na jakąkolwiek obronę. Kilku członków z ówczesnego składu, zdołało ujść przed poszukiwaniem, Rafał jakkolwiek zmęczony i coraz bliżej naciskany, oświadczył, że cokolwiek zajść ma, on nie ustąpi z powierzonego mu stanowiska. I dotrzymał słowa wraz z tymi, którzy tak myśleli jak on."

Działalność Krajewskiego z tej epoki zwróconą była głównie do ratowania tego, co było do uratowania i zapełniania luk w rwącej się administracyi. Nie jeden pomysł jego i rozporządzenie zadziwia praktycznością i zdolnością organizacyjną. Traugut usiłował uporządkować siły wojenne powstania i chciał je sformować w regularne pułki, Krajewski pomagał mu w tem dziele, starając się o to, ażeby administracya służyła sile zbrojnej i dostarczała jej co należy. Siła ta jednak codzień zmniejszała się a w lutym 1864 r. na kilka tygodni przed areszto-

waniem Krajewskiego, z organizacyi administracyjnej zaledwo już szczątki pozostały. Tajemnica też, jaką Rząd Narodowy w Warszawie był przysłonięty, stawała się coraz jaśniejszą.

Upadek ducha, który zwykł poprzedzać upadek sprawy, sprawiał, że gdy przed kilku miesiącami jeszcze, szpiedzy nic wytropić nie mogli a zeznania więźniów w cytadeli nie mogły policyi na ślad Rządu naprowadzić, teraz przy utracie nadziei i wiary w powodzenie powstania, szpiedzy więcej odkrywali i więźniowie przed komissyą śledczą tajemnicy zachować nie umieli. Zeznania jednego z urzędników niższych Rządu Narodowego naprowadziły komissyą śledczą na ślad Rządu. Krajewski Rafał i inni członkowie Rządu jako to: Roman Żuliński, Józef Toczyski, Jeziorański zostali aresztowani 6 marca 1864 roku. Wkrótce też i Prezes Rządu Romuald Traugut, osadzony został w cytadeli.

Wszyscy wymienieni członkowie Rządu zachowali się wobec komissyi śledczej z godnością i tajemnicy osób nie zdradzili. Komissya śledcza a zwłaszcza jej prezes pułkownik Tuchułko, używał najrozmaitszych sposobów, ażeby zmusić uwięzionych do spodlenia się i kompromitowania nieuwięzionych patrjotów. Romana Żulińskiego i Rafała Krajewskiego kazał bić, głodzić i utrzymywać w zgniłej ciemnicy, jednakże żadną torturą nie doprowadził ich do upadku. Inni także członkowie Rządu okazali w tej strasznej, ostatecznej próbie, moc i zacność charakteru. Górowali duchem nad swoimi

siepaczami i nieraz nad nimi odnosili moralne tryumfy.

Rafał Krajewski z więzienia potrafił skomunikować się z siostrami swojemi i macochą, które mu dawały tysiące dowodów miłości i zdala czuwającej opieki. Za pośrednictwem żandarmów i innych stróżów więziennych, pisywał do nich ołówkiem, na świstkach papieru listy, w których mimowoli odmalowała się jego wspaniała dusza w całej pełni. Spokój nie opuszczał jej w najtrudniejszych przeprawach. Wiedział od wielu miesięcy, że będzie powieszonym, wiedział termin wykonania wyroku a jeszcze na cztery godziny przed śmiercią pisze błogosławiąc krewnym, przyjaciołom, przebaczając wrogom, pełny ufności i wiary w Boga. Listy jego więzienne to najpiękniejsza po nim pamiątka. Prostota, jasność myśli, podniosłość uczucia, wyraziła się w nich dokładnie. Nic nie ma sztucznego, żadnego pozowania na męczennika w tych listach i dla tego tak są one miłe i dla tego Rafał Krajewski jest jednym z najszlachetniejszych męczenników świętej sprawy niepodległości, wolności i całości Polski.

Listy więzienne Rafała posiadamy w swoim ręku. Jeden był pisany po francuzku a to z powodu, ażeby przenoszący nie zrozumieli treści w nim zawartej; wszystkie inne pisane były po polsku. Podajemy je tutaj według porządku chronologicznego, jak były pisane, przetłumaczywszy francuzki list na polski język.

I. *)

„Jest to już faktem, — ja będę powieszonym! Mają silne dowody przeciwko mnie to jest pisma moje, których nie mogłem nieuznać; w pierwszych dniach przyznałem, że odemnie pochodzą, ale nie powiedziałem czem byłem. Bili mnie, głodzili, rzucili mnie do lochu, w którym przebyłem trzy tygodnie — wytrzymałem wszystko. Lecz po pięciu tygodniach, gdy mi pokazano mnóstwo papierów i gdy Naczelnik Rządu Narodowego został aresztowanym, gdy mi wymieniono szesnaście poważne stanowiska zajmujących osób, które poczyniły zeznania, dusza moja skruszyła się i przyznałem się, iż byłem Dyrektorem Spraw Wewnętrznych. . . . . Ludwiko, o moja matko miłościwa, w imieniu Ksawerego wzywam Cię, nie przeklinaj swojego marnotrawnego syna, niechaj twoja ręka, która tyle razy mi błogosławiła, udzieli mi ostatnie błogosławieństwo. O czysta kobieto, teraz ja Ciebie rozumiem doskonale, Ciebie i tego Boga miłości, którego poznałaś! Gdyby można było jeszcze coś zrobić, wiedzcie, że me życie jest w rękach pułkownika Tuchułko i adjutanta jenerała Berga, którego nazwiska nie znam; sędzia K..... mnie bada, gdyby chciał, mógłby wam udzielić najlepsze rady. M..... zna go niewątpliwie. W staraniach, które dla mnie czynić będziecie, znieście się z Dr. P.....

*) List ten był pisany przez Krajewskiego po francuzku.

Lecz wszystko to jest napróżnem. Starajcie się, ażeby nie dowiedziano się o dokumencie mojego wspólnictwa w własności domu, gdyż skonfiskowano by dobro, które jest waszem. Pan .... miał odemnie 20 tysięcy złotych, odbierzcie je i użyjcie dla mojego wybawienia, on mieszka w tym samym domu, w którym mieszka pani O.....

Moje drogie siostry, spodziewam się, że będziecie jeszcze do mnie pisały, jeżeli nie, przyjmcie moje ostatnie życzenia: przebaczcie wszystkim, szpiegom i katom, kochajcie żywych i tych co pomarli, módlcie się o zbawienie waszego grzesznego brata i o przyjście na ziemi Królestwa Bożego, pracujcie i strzeżcie się pychy i próżności. Władzę starszego w rodzinie, którą posiadałem, składam w ręce Emilii — bądźcie jej posłuszni jak mnie byliście posłuszni. Emilio radź się Ludwiki jak ja się radziłem w sprawach moich i młodszego rodzeństwa. Miłość i pozdrowienie moim braciom, siostrom i wszystkim moim przyjaciołom; miłość i przebaczenie moim nieprzyjaciołom i tym, którzy mnie będą spotwarzać; miłość i pożegnanie całemu światu! Ciała mojego nie wydadzą wam; postawcie krzyż na grobie Kazimierza, drugi na grobie Ksawerego — ja tam będę!

Niechaj J. P. da wam krótkie sprawozdanie o stanie miasta, kraju i świata.“

Rafał.

12 maja, 1864 r.

II.

„Moje najmilsze dzieweńki, pocieszcie się, mnie dobrze w więzieniu — wolę go stokroć niż emigracją, gdzie partje będą się pożerać: mnie dobrze, bo do ostatniej chwili życia będę kochać a dla nikogo nie mam nienawiści. Znalazłem duszę moję, którą świat nieraz mi wykradał. Mam ją dla siebie, i dla was, i dla wszystkich. Emilio mężna, słodka Józienko, Zośko-Polko, Paulino Benjaminku mój, ja wasze główki biorę codzień na piersi i ściskam i błogosławię! Bóg z wami!

Papiery niszczyć! W sądzie jeszcze nie byłem. Radbym coś wiedział o domu, czy wam nie brak chleba i skąd go macie? Na mnie za wiele wydajecie, wina i pomarańcz nie trzeba, cukru też nie, tylko cytryn po 8 na tydzień. Tytuń bessarabski i wirginja — cygar nie trzeba. Pamiętajcie że mamy braci wiele, dzielcie sprawiedliwie; są pewnie więźniowie co nic nie dostają, tym dajcie.“

Rafał.

3 czerwca, 1864 r.

III.

„Wczoraj dnia 4/6 przywołano mię do sądu i oznajmiono mi, że jestem oddany pod sąd wojenny. Teraz więc sprawa moja przeszła do audyto-

rjatu, gdzie na mnie wyrok napiszą — tam trzeba głównie dopilnować i użyć stosownych środków. Moje drogie, jeszcze raz zaklinam was, bądźcie mi w tem posłuszne i nie konspirujcie jak czynią inne, bądźcie zawsze kobietami, których zadaniem nieść pokój, pociechę, błogosławieństwo a nie wojnę! Konspiracja to rzecz niska, stara, ziemska; jeźli chcecie walczyć, życie wam przedstawia dosyć pola do walki szlachetnej, jawnej, Chrystusowej. Pókim był z wami strzegłem was, niech pamięć moja strzeże was teraz.

Jeżeli pieniądze są na to, to na Paulinkę czas do Ciechocinka. Ze sprawianiem rzeczy dla mnie zastosujcie się do wyroku — jeżeli na osiedlenie, to odzież prosta, mocna, ciepła; jeżeli do roboty, to nic nie trzeba, bo podobno nie wolno mieć nic własnego. Pieniądze w każdym razie się przydadzą. Będę do was pisywać tylko w razach ważnych, wy tak samo żeby nie narażać bez potrzeby. Przyszlijcie mi w tytuniu lub w..... cieniuchnego papieru.

Ściskam was wszystkich serdecznie.

Bóg z wami."

Rafał.

IV.

„Emilio! Objaśnienie piśmienne, którem ci dał w zimie o waszych funduszach, tudzież takie same objaśnienie znajdujące się w mojem biórku i rewers,

który dałem P. P..... przedstaw rejentowi dla zabezpieczenia majątku. W biórku jest dowód kasy Potockich na 6000 złp. kaucyi Adolfa, rewers Adolfa na 2000 złp. i rewers 7.... na twoje tysiąc złp. Ze sprzedażą domu i placu nie śpieszcie się, w razie potrzeby lepiej zaciągnąć pożyczkę. Jeżeli Henryk zdrów niech czeka spokojnie, aż będzie mógł bezpiecznie wrócić. Jeden z nas dwóch powinien dla was zostać.“

Rafał.

V.

„Szanowni Państwo! Spółka nasza rozpoczęta w burzliwych czasach — razem z burzą ustaje podobno: sprawdza się w tem wróżba Szanownej Wspólniczki.

Jak w całym ciągu interesu z zupełnem zaufaniem względem siebie postępowaliśmy, tak i teraz polegam na znanym mi dobrze charakterze Szanownego Państwa i ze swej strony nie stawiam żadnych ograniczeń co do zdecydowania o rozwiązaniu lub dalszem trwaniu wspólki. Ale mając na sobie świeży dowód, jak nietrwałe są ludzkie sprawy, sądzę iż gdy fundusze przezemnie w budowę włożone, były nie moją lecz mojego rodzeństwa własnością, powinniśmy tak interes zakończyć, żeby w przyszłości żadne powikłania z niego nie wynikły: kobiety na interesach mało się znają, proponuję

więc Państwu znanego Im P. Telesfora, który w mojem imieniu prywatnie działać będzie, lub w razie gdyby on nie chciał lub nie mógł tego się podjąć, kolegę mego Józefa G..... Pozostaje mi jeszcze prosić Państwa o pozostawienie mi na zawsze tego udziału w sercach Waszych, którego nieraz miałem dowody. Bóg da że się jeszcze na tym świecie zobaczymy."

Rafał Krajewski.

10 czerwca, 1864 r.

VI.

„O domu wspólnym. — Jeżeli korzystnie to sprzedać. Włożyłem w niego kapitał 53,000 złp. W sumie tej mieści się już suma Prackich i moje honorarium za budowę. Suma mamy Helenki i dożywocie razem 17,000 do tych 53,000 nie należą, a są osobno zahypotekowane na domu. Wierzbowscy włożyli także 53,000. Przeto dom i plac są wspólne, tak że wszystkie dochody i zyski dzielą się po połowie. Długi były tylko hypoteczne, ostatni był zaciągnięty w m. lutym; majstrom należało się coś jeszcze. Wszystko com wybrał z dochodu od początku, zapisane w moim rejestrze. Wam się należy każdemu to, co wykazane w akcie danym Emilce i procent po 6 od sta rocznie od 1 stycznia 1863 r., reszta co zostanie z zysku — moje. Prackim wypłacić koniecznie podług rewersu, choćby on nie

chciał. Moje fundusze oddaję w opiekę Emilce. Henryka pilnujcie żeby nie roztrwonił. Dołączam kartkę do Wierzb. z uwiadomieniem, że Telesfor w mojem imieniu dokona obrachunku, a jeżeliby on nie mógł lub nie chciał, to G..... Jeżelibyście uważali za niestosowne lub zbyteczne oddanie kartki W....., to ją zniszczcie: daję ją tylko dla zasłonienia was od zarzutu nieufności.

Bóg z wami."

Rafał.

VII.

„Dzieweczki! Nie rozumiemy się — wierzę wam, że mi prawdę mówicie, a bardziej jeszcze wierzę Temu, co nam powiedział: „O cokolwiek w imię moje prosić będziecie, da wam Ojciec mój". Gdy błagam Boga o życie na to, ażebym mógł iść tą drogą, którą teraz jasno widzę, gdy wy miłością swoją bronicie mię, — to wierzę, że Bóg z nami; o, wierzę nie przeczuciem ale przekonaniem, i to wam jeszcze dodam, że życie swoje mam za ledwie zaczęte w miarę tego, co zrobić chcę; a gdy słyszycie odemnie o rozstaniu na zawsze, to dla tego, że nie wiemy, czy drogi życia naszego zejdą się jeszcze: jeżeli nie, to trzeba każdemu stać osobno, a silnie, a duchem wysoko, bo się kiedyś spotkamy tam, gdzie nas nikt nie rozpłoszy.

Czy nie mylicie się co do Eugeniusza? Jest w Warszawie dwóch ludzi tego imienia i nazwiska:

mój — urzędnik z kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, a drugi — z Towarzystwa Kredytowego, o którego mi nie idzie.

O postępie mojej sprawy nic wiedzieć nie mogę, bo wszystko się odbywa zaocznie; nawet wyroków nie czytają — i każdy jedzie, nie wiedzieć gdzie. Z p. Michałem znieść się nie mogę, ale wiem z pewnością, że wyznał swoje prawdziwe nazwisko; w każdym razie żonę jego i dzieci trzeba usunąć w bezpieczne miejsce, żeby z niemi nie postąpiono jak z Sierakowską."

Wasz
Rafał.

VIII.

„Matko moja! Z tem uniesieniem, z jakiem matka wita nowonarodzonego, podziękuj Bogu, że z wnętrzności ducha twego narodził się światu człowiek. W chwilach rozpaczy, gdym w sobie nie widział nic, jedno grzesznika skazanego na karę, Bóg miłości objawił się w duszy mojej i Świętych obcowanie otoczyło mnie gronem dusz jasnych, i widziałem ich i obcowałem z niemi tak, żem ich duszą jak rękami dotykał. Łaska Boska zstąpiła na mnie i przejrzałem i widzę to, co wprzód było przedemną zakryte. Wierzę silnie, że w owej chwili, gdy za słowami Ś. Jana leciałem myślą w niebo, przechyliła się szala sądu mojego i naznaczono mi żyć dla Imienia Boskiego. Matko! ja pragnę życia,

a nie idzie mi o to, gdzie ono spłynie, byle tylko tam, gdzie będą ludzie, wśród którychbym apostołował prawdę. Nie żałujcie mnie, żem uwięziony — za to więzienie ja Bogu dziękuję, bo to droga, którą mnie do siebie prowadził. — Matko, ja tu już rozpocząłem pracę: moi dwaj towarzysze słuchają mnie i biorą prawdę do serca. Wczoraj tajemną drogą inni więźniowie podali nam cyrkularz, obejmujący imiona tych, co Sprawie zaszkodzili z wezwaniem o dopełnienie listy dla uwiecznienia ich hańby i dla zemsty. Zamiast nowych imion dopisaliśmy te słowa:

I odpuść nam naszą winę,
Jak my winowajcom.
Bracia, my w zbożną godzinę
Odpuśćmy słabym i zdrajcom!
Z upadłej Sprawy Ojczyznie
Zostawmy posiew przyszłości:
Gdy krwi nie stało w spuściznie,
Oddajmy na siew swe kości!
Siew dla przyszłości rozpleni,
Kto szubienicę w krzyż zmieni!
Krew nasza lała się marno,
Bóg nie wsparł walki oręża;
Więc nowe rzucajmy ziarno —
Tę miłość, co świat zwycięża!
Wołajmy: przebacz im Panie
W szczerej miłości i wierze,
A sprawa zmartwychpowstanie,
I nowi staną rycerze!
Zbierajmy zacne imiona,
Upadłym podajmy rękę:
Zło wtedy na zawsze skona,
Gdy padnie na Bożą mękę!

Ewangelje wyraźnie mówią, że Chrystus — to człowiek w Bożostanie wcielonym, — że Bóg jest. Z apostołów i ewangelistów jeden Ś. Jan najbliżej pojął Chrystusa, w innych jest jeszcze wiele naleciałości. Ew. Ś. Jana roz. 16 i 17, które we łzach czytałem, — to najwznioślejsze słowa mowy ludzkiej!"

Rafał.

IX.

„Moje drogie! Stawiacie mi najniebezpieczniejszą pokusę — bo pokusę miłości waszej: mnie, com się już rozstał z myślą o słodkiem pożyciu w rodzinie, obiecujecie otworzyć na nowo, gdziekolwiek będę, zmniejszony tylko ale podobny jak dawniej dom rodzinny, w którymbym znów, jak dawniej, miał i dawał pokój i pociechę. Zapewniacie mnie, że każda z was ma dość odwagi i siły do zniesienia ciężaru tego życia, jakie mnie czeka. Wierzę wam, że w kochających sercach waszych czujecie źródło tej odwagi i siły; ale zapewne nie zastanowiłyście się nad tem tak dokładnie, jak ja to mogłem zrobić, czując na sobie konieczność takiej przyszłości. Przedstawię wam więc, jak ja te sprawy widzę. Tracąc wolność materjalną, to jest możność rozporządzania sobą, duch człowieka nie może znieść gwałtu, nałożonego na człowieka i nie mogąc wytrwać w nakazanym stanie bezwładności, odrywa się od tego wszystkiego, co może być wię-

zami ściśnięte i stwarza sobie osobne, niezależne życie, gdzie się czuje wolnym i szczęśliwym. Tak pojmuję męczenników i apostołów, którzy dla tego doszli do tak wielkiego rozpromienienia ducha, że uczynili go wolnym od wszelkich wpływów, za pomocą których mogłaby być ścieśniona ich duchowa wolność. Położenie, które mnie czeka, lubo nie wyrównywa temu uciskowi, w jakim duchy pierwszych męczenników czyniły swój rozbrat z ziemskiem życiem, podobnem jest jednak o tyle, że mi pozostaje albo iść w niewolę z ciałem i duszą, albo rozerwać równowagę i duchowi wolność zabezpieczyć. Wybieram to drugie. Dla zapewnienia sobie takiej wolności gotów jestem oddać wszystko, co mogłoby mi być przeszkodą, boć to jedyny warunek, pod którym życie moje dalsze mieć może jakąkolwiek wartość. W takiem położeniu cokolwiekbym postawił obok siebie ze świata realnego, będzie jednym więcej łańcuchem, krępującym wolność moję; im droższem byłoby dla mnie to, coby mi odebrać lub w czemby mi przykrość zadać można, tem więcej musiałbym oddawać ze swojej duchowej wolności dla zabezpieczenia ziemskiego skarbu swego; słowem — żołnierze pilnowaliby więzów nałożonych na ciało, obawa o siostrę pilnowałaby więzów, od których duch nawet nie mógłby się wtedy uwolnić, gdyby tylko spodobało się komu nakazać mu posłuszeństwo. — Czuję, że piszę niejasno. Którakolwiek z was pojechałaby ze mną czy za mną, byłaby najboleśniejszemi więzami dla mnie, sięgającemi do dna duszy: każdy krok, każdą niemal

myśl swoję musiałbym mierzyć miarą tego, jak ona się odbije na towarzyszce mojej; oprócz niewoli, byłbym ciągle na łasce i niełasce tych, co dla lada jakiego powodu mogliby szukać drobnej zemsty za mnie na siostrze. Nieszukając nawet złej woli ze strony stróżów moich, ja sam jak byłbym ciągle kuszonym do ustępstw, poniżeń, ażeby za cenę ich wytargować cośkolwiek dla towarzyszki mojej. Wiecie, że cokolwiek człowiek do życia swego wplecie czy to jako pracę, czy to jako uczucie, staje się dla niego obowiązkiem do spełnienia. Wziąć jednę z was — jest to dla mnie podjąć obowiązek: ja w niewoli nie powinienem mieć żadnych obowiązków materjalnych, oprócz tych, które na mnie przemoc nałoży, — inaczej, tracę resztę wolności. Wam się zapewne zdaje, że całą obowiązkową stronę braterskiego pożycia ta, którąby mi towarzyszyła, wzięłaby na siebie, pozostawiając dla mnie same tylko korzyści tej spółki — marzenie! między ludźmi tak się nie dzieje — obowiązki są zawsze z obydwóch stron, a stają się większe ze strony tego, kto silniejszy i na swoję stronę przechyli szalę równowagi. Znam siebie; skłonność do dawania większą jest u mnie niż do odbierania; szala prędko przechyliłaby się na moją stronę i obowiązki takiego pożycia spadłyby większą połową ciężaru na mnie, a oświadczam stanowczo, że ja tam żadnych obowiązków materjalnych mieć nie chcę. Przedstawiacie mi, że siostra taka byłaby łącznikiem pomiędzy mną a rodziną; nie rozumiem potrzeby tego łącznika. Czyż braterstwo dusz naszych nie jest

najsilniejszym węzłem, którego nie rozerwie nic, chyba własny upadek tego, ktoby od rodziny duchowej odpadł. Tak się lękacie tego, że ja z domu rodzinnego w świat wychodzę; a toż to zwyczajna kolej życia — z łona matki przez rodzinę maleńką do wielkiej rodziny świata i do rodziny duchów nieśmiertelnych! Nie zatrzymujcie mnie, nie ścieśniajcie i rozkazaniu Bożemu nie stawajcie w poprzek. Dość tego połowicznego życia, tych półprzekonań i półczynów; z niewoli nie róbmy klatki ubranej kwiatami, bo ona zawsze będzie niewolą, a tylko niewolnik za te ozdoby będzie musiał być uległym jak ptak-niewolnik, co wyuczone kuranty w klatce śpiewa.

Dzieweczki moje serdeczne, przykre może moje słowa, ale ja w owej nocy, kiedy mnie od was wzięto, żegnając was, usłyszałem niespodzianie w duszy głos, co mi szepnął: „od tej chwili ja już nie wasz“; nie śmiałem tego głośno wymówić, ale teraz czas wam to powiedzieć; tak, ja już nie wasz w tem znaczeniu, w jakiem byłem waszym dawniej. Powiadacie, że przez miłość bratnią wy nie mniej macie prawa iść za mną jak te żony, co idą za mężami; a ja wam powiadam, że praw posiadania, praw fizycznych żadnych nie macie; wyście dla mnie najdroższe siostry, bo najmilsze, najbliższe mi po duchu, ale nie dla tego tak was kocham, że nas jedna matka rodziła. Nie porównywajcie się z żonami: anim ja was nie wybrał, aniście wy mnie nie brały; Bóg nas złączył w gromadkę rodzinną, a teraz rozejść się nam każe, — niech się

dzieje Jego wola. Jeżeli teraz która z was wybiera mnie dobrowolnie na towarzysza, ja nie przyjmuję wyboru, ani nie wybieram, bo chcę być sam, „a nie będę sam, bo Bóg będzie ze mną“. Wreszcie, poczekajmy: kiedy nareszcie zapadnie mój wyrok, o którym dziś nic nie wiemy, kiedy będę na miejscu, rozpoznam położenie swoje; jeżeli będę widział, że bez straty niezależności można tam żyć w rodzinie, a nawet zrobić ją pewnem ogniskiem, rzucającem światło i ciepło koło siebie, wtedy nie wy do mnie, ale ja do was z prośbą się obrócę. Nim to nastąpi (jeżeli kiedykolwiek nastąpi!), jak możecie choć na chwilę wątpić, że jedyną moją pociechą, jedynem rozradowaniem dla serca będzie jak najczęściej odzywać się do was, moje dzieweczki, moje jedyne kwiaty, co na życiu mojem wyrosły a nie poschły. Jak wy drogie dla mnie jesteście, tego wam wypowiedzieć nie umiem, to wie tylko Bóg, kiedy w modlitwie słyszy, co Mu o was mówię. I was miałbym zapomnieć? was miałbym zaniedbać i niepocieszyć i nawzajem po pociechę do was nie sięgać? Dałem wam dowody, że zewsząd znajdę drogę do was — miłość jest twórczą. Porzućcie więc tę troskę o mnie, co wam nasuwa pomysły nie do urzeczywistnienia. Wierzymy w Boga: wierzmyż czynem nie tylko słowem; pierwszym objawem tej czynnej wiary naszej będzie pokój, jakiego świat nie daje, a jaki nam dał ten, co zwyciężył świat. Emilio! przypomnij sobie tegoroczne moje życzenia na Nowy Rok: pytałaś mnie, czemu ten list taki odmienny od zeszłorocznego?

ją sam wtedy nie wiedziałem o całej doniosłości jego; tam musiało być przeczucie tego, co na nas przyszło. Nie troskajmy się o wiele, bo jest taki, co za nas myśli, co słabe ptaszyny i drobne ziarenka przez zimę do nowego plonu przechowywa. On i mnie i was, jak matka dzieci swoje, piastować będzie, bądźmy tylko prawdziwie dziećmi Jego.

Józieńko moja! jak tobie serce pała i wyrywa się naprzód! pytasz mnie, co masz czynić w tej pełności serca? Duszyczko niecierpliwa! na teraz jedno tylko masz do zrobienia: tę pełność serca, to gorąco duszy utrzymać na zawsze, na ciągle, a droga twoja tak się rozświetli, że o nic pytać nie będziesz i widzieć będziesz jasno. Gołąbko moja! królestwo Boże nie jest osobną krainą, do której można frunąć byle ktoś drogę pokazał; ono jest w tobie, zdobywać je musisz powoli, każdą chwilą życia. Prawda, że są takie błyskawicowe poloty ducha, co w jednej chwili przenoszą cię o niezmierne przestrzenie naprzód; takie poloty — to natchnienia, one tylko z wewnątrz płyną: „Duch tchnie kiedy chce i głos jego słyszysz, a nie wiesz zkąd przychodzi“. Ale natchnień ja tobie nie dam, to Bóg daje; gdy chcesz natchnienia, to sięgaj duchem wyżej jeszcze, wyżej nad wszystko, co na ziemi i podsłuchaj, jak w pogodnej ciszy twojego ducha rozebranego z ziemskiej troski Bóg się odezwie. Jeźli możesz, tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga. . . . .

Moje najdroższe! Zlitujcie się, nie przesądzajcie; ja się sam przed sobą rumienię dla słów

waszych; wy mi już archanielskie skrzydła przypinacie za kilka słów, świadczących o dobrej woli. Słowa — to dopiero chęci. Ach, tych dobrych chęci ile było w mojem życiu! a gdy obrachuję, to ono takie ubogie, że gdy się wpatrzę w niego, to się tylko w pierś uderzę: „moja wina“; a nad tą moją winą, nad tą przeszłością jednak tyle bywało czci ludzkiej. Ta cześć nad miarę ciąży mi nieraz jak dług niespłacony; nie dorzucajcież mi nowych ciężarów! Piszcie mi o sobie, nie o mnie.

Nie napisałem we właściwem miejscu ostatecznej konkluzyi co do waszego zamiaru towarzyszenia mi na wygnanie. Porzućcie tę myśl zupełnie: przekonanie swoje wypowiedziałem wam szczerze i trwać w niem będę niezmiennie; wszelkie więc dalsze przedstawienia byłyby bezużyteczne. Chociażeście mi o tem nie mówiły, jestem przekonany, że mateczka jest po mojej stronie, a brat mój Ludwik dopowie wam resztę tego, co jabym mógł jeszcze w tym przedmiocie powiedzieć.

Zosiu! przykro mi, żem tu jeszcze twojego imienia nie wspomniał. Chodź do mnie moja Zośko, a mam wiele do powiedzenia ci jeszcze. Ty masz najwięcej wpływu na Henryka, skorzystaj z tego i postaraj się naprowadzić go na właściwą drogę: niech ostudzi swoje rycerskie zapały, które tak fatalnie nas wszystkich zawiodły; na tobie leży ten obowiązek więcej niż na innych.

Ściskam was serdecznie. Bóg z wami.“

20 czerwca 1864 r. *Rafał.*

X.

„Kochana Emilio! Powinszowania mają przywilej wesołości, — moje nie będzie wesołe. Smutno mi dziś, bo po takich rocznicach myśl jak po szczeblach zstępuje coraz niżej w przeszłość aż do lat dziecinnych i ożywia to, co umarłem a miłem było. O! i ja także kocham przeszłość moję od lat dziecinnych, aż do dziś dnia nam płynęła wśród kochających i kochanych. Nie, siostro! nie zapominajmy jej, ani zmniejszajmy jej ceny. Prawda, że w przeszłości jednostki jak w przeszłości ludzkości wiele wydaje nam się niepotrzebnym obłędem, jakby swawolą umysłu; ale to wszystko musiało być, bo z ciemności do światła idziemy; i nie dziwmy się, że to co proste, to dopiero na końcu widzimy, bo też co wielkie to i proste. — I cóż ja tobie dam dzisiaj? nie mam ani pamiątki na przeszłość, ani uścisku na dziś, ani wieszczby na przyszłość. Mam jeszcze jedno, co ma w sobie wszystkie momenta czasu — weź ten krzyżyk, co wisiał nademną: przy nim Kazio umierał i ja się przy nim modliłem i zawsze był moją najcenniejszą własnością; niechaj odtychczas tobie wypowiada te pociechy i natchnienia, jakie mnie nieraz mówił.

Jak policzę w pamięci, to tobie z rodzeństwa najmniej dostało w życiu uciechy z zewnątrz: ja ciebie zawsze wyobrażam samotną i wpatrzoną wewnątrz siebie; zyskałaś przez to na głębi charakteru; teraz przyszedł czas, że przy nowo podjętych

obowiązkach, musisz więcej na zewnątrz wystąpić. Niech ci Bóg błogosławi w pracy, matka niech cię prowadzi, miej w sobie szczęście i rozdawaj szczęście. Więcej czegóżbym ci mógł jeszcze życzyć? Oh! prawda, że tak wiele wielkich i drobnych życzeń możnaby jeszcze rzucić, ale na co nam się przyda o wiele się kłopotać: „jest Taki, co za nas myśli“. Życzę ci więc tylko — niech Bóg będzie z tobą, a z nim będzie wszystko.“

Twój brat *Rafał.*

30 czerwca 1864 r. w dzień Ś. Emilii.

XI.

„Moje drogie! Czuję okropnie przyśpieszony puls dusz waszych: razem z wami unoszę się po nad troski dzisiejsze i widzę świat tchnący pięknością; ideały w niebiańskiej jasności przechadzają się po świecie, jak niegdyś Bóg po raju, a w tej mistycznej panoramie ducha, jak w wiosennej porze, pięknie jest, cicho i błogo. Tak w zawierusze ziemskiego żywota, choć dokoła powietrze brzmi gwarem różnych pracujących i brzęczących, począwszy od człowieka aż do owadu ledwie widzialnego, kwiat nie słucha gwaru, i piękny patrzy w niebo. Czy przeto powiemy: precz z tem co gwarzy i walczy, niech zostaną tylko piękne a spokojne kwiaty? I wam teraz dusze rozpromieniały pięknością cichą, spokojną, wpatrzoną w niebo; więc jedna woła:

gdyby ekstaza mogła być ciągle! a druga woła: czemu ten świat taki gwarny i pusty? Nie gniewajcie się na niego, ani się dziwcie choć on taki odmienny od was; to świat, to kościół wojujący. Każde drgnienie tego gwaru, choć on taki niesforny, policzone jest w harmonii ogólnej życia społecznego. Ideały, co tak tajemniczo pośród nas i po nad nami się unoszą, padają jak pyłek kwiatowy na to co w duszy naszej kwiatem jest; po takiem zetknięciu się ideału niebieskiego z pięknem, żyjącem w duszy człowieka, tworzy się dobro jak nasionko w łonie kwiatu. A to dobro, to nasionko, to już nie świąteczne uniesienie piękności ma wywołać, ale pracę dnia powszedniego. Kwiatami dziewica się stroi do kościoła i na gody. Z ziarnem trzeba do stodoły i do młyna, a tam wszędzie gwar i trud powszedni. Otoż ten zamęt światowy, ta pustota pozorna — to jest tylko machina światowa, w której ziarno dobre przerabia się na pożytek ziemski. Niezmierzona i nieprzeliczona jest droga, jaką przebyć musi każda okruszyna dobra wprzód nim z pojedynczego ducha ludzkiego przejdzie w posiadanie ludzkości; a jednak ta droga odbywa się ciągle, i tysiące i miliony ludzi na niej pracują, i dla tego to tak gwarno. Powiecie, że owszem mało jest pracowników: o, nie — tu każdy rękę dokłada dodatnio, czy ujemnie, a czyni bo musi, bo tak mu każe Ten, co sam jest źródłem wiekuistem życia, a wciąż życie, ruch, postęp stwarza. Smutno to jest, że na tyle dusz ludzkich, na które spojrzysz, tak mało jest choć na chwilę wpatrzonych w niebo.

Tak i kwiatów też mało się rwie dla Maryi na ołtarz, i dla dziewicy na wianek, a wiele ich trzeba na paszę. A ztąd nam się jeszcze jedna myśl nasuwa. Komu dusza zadrgała pięknością, niechajże co żywo zwołuje do siebie ideały niebiańskie, aby mu piękno w dobro przemieniły, bo piękno jak kwiat trwa krótko i opada.

Muszę wam zwierzyć się z jednej myśli, która mnie niepokoi. Widząc, ile trudów ponosicie dla mnie, a niewiedząc nic o was po za tem, co mnie dotyczy, obawiam się, czy nie zanadto oddajecie mi swojego czasu i swojej myśli. Ten starunek wasz około mnie ma w sobie coś od wesela i od pogrzebu. Brat uwięziony jest dla was jak oblubieniec, którego radebyście jak najpiękniej przystroić i na nowe gospodarstwo jak najhojniej obdarzyć i do ostatniej chwili być mu towarzyszkami, — to od wesela. Brat uwięziony jest dla was w więzieniu przed wysłaniem na wygnanie jak ukochanego zwłoki, jeszcze nie pogrzebane: radeście go jeszcze raz i jeszcze raz zobaczyć i modlić się zań i dopóki on jeszcze jest, oddać mu z domu i z duszy wszystko co można, — to od pogrzebu. Po weselu pusto i smutno jest w domu, który opuścił oblubieniec, i trudno uchwycić na nowo wątek życia, jeśli wprzód wszystko było skierowane ku temu, który odszedł. Przy stracie ukochanych osób najboleśniejsze są dni te, co następują po pogrzebie. Jeżeli utrata ukochanej osoby zatamowała w nas inne prądy życia i skierowała nas całkiem ku temu, co odszedł, wtedy po zupełnem odejściu

jego dla oczu i dla starań naszych; do człowieka przystępuje rozpacz, albo taka głucha apatja, że do niczego nie jest zdolnym, tylko do żalu; i długo musi pracować nad sobą, nim na nowo czynnie żyć zacznie. Otoż ja się obawiam dla was tego czasu, co nastąpi zaraz po mojem wywiezieniu. Znam was i wy mnie, i między nami nie może być mowy o obojętności; ale dla dobra waszego pamiętajcie o mojej przestrodze i nie ustawajcie nic w tem, co było zawsze obowiązkami waszego normalnego życia, owszem, nawet weźcie, jeśli możecie, więcej obowiązków niż zwykle i oddawajcie im się tak, jak się obowiązkom oddawać należy — szczerze i gorliwie: ja nie powinienem być dla was ani jedynym, ani nawet głównym celem starań i myśli; oddawajcie mi tylko moję cząstkę, a bez niczyjej krzywdy. Dla mnie widzenia z wami są jedyną miarą czasu, który rachuję od widzenia do widzenia; ale jeżeli zdobywanie tych kilku chwil zbyt wiele was kosztuje, gotów jestem przystać na zredukowanie. To, com napisał o niezatrzymywaniu zwyczajnego biegu życia, jest ważne, — zastanówcie się nad tem. A najpierw, trzeba to zastosować do ciebie, Paulinko: nie ociągaj się dłużej — trzeba ci jechać do Ciechocinka, nieczekając na mój odjazd. Zrozumiejcie mnie, że chcę iżbyście ze mną postępowały jak z żywym, nie jak z umarłym. Benjaminku mój! brata, co żyje prawdziwie i żyć będzie, nie żegna się raz ostatni w ostatniej chwili jego obecności: każde nasze pożegnanie jest tylko chwilowe, bo w każdej chwili spotkamy się myślą

i uczuciem. Ale ty, pieszczotko, pamiętasz pewnie czasy swojego jedynactwa w styczniu i chciałabyś jeszcze napatrzyć się i nacałować brata. Moje dziecko! Czyż nie widzisz jeszcze, że na tym świecie nie dla uciechy jesteśmy: wesołych chwil mało, a pracy wiele i do pracy trzeba sił, zdrowia; że najbliższym serca stróżem jest prawo: robić to co trzeba, a nie to co miło. Więc jedź, kochanie; a w poniedziałek stań najbliżej kraty, żebyśmy się dobrze pożegnali. Jeszcze niekoniec z Pauliną. Ucieszyłaś mnie bardzo swojem oświadczeniem, że chcesz jechać do Włocławka, bo nie tylko tem trafiasz w moje życzenia, ale w powodach, jakie ci chęci dodają, widzę, żeś moją, Paulino; nazywam cię tu moją, bo serce twoje jest takiem, jakiem je widzieć pragnę. Tak, dzieweczko, — kochaj miłością czynną, bo jak wiara tak i miłość bez uczynków zbawienia nie daje; a miłość czynna w dziesięćkroć zbogacona powraca do ciebie. — Emilio! Ty rozporządzasz teraz, ja więc tylko głos doradczy daję. Jeżeliby dla dokończenia edukacyi Pauliny nie wystarczały dochody, jakie dla niej przeznaczysz, to nie wahaj się kapitału naruszyć; a dacie jej kapitał, którego jej nikt nie zabierze.

Henrykowi napiszcie odemnie. Kiedy nareszcie za łaską Boską wszedłeś na właściwą drogę, zacznijże nowy okres swego życia od tego, żebyś się uspokoił sam w sobie i nie zużywał się na próżne żale za przeszłością. Wziąłem cię dzieckiem z domu rodziców, sam będąc niedojrzałym chłopcem: kształciłem równocześnie siebie i ciebie, przeczuwając

więcej, niż wiedząc jak mam z tobą poczynać. W takim stosunku mistrz do ucznia, gdzie ani z jednej ani z drugiej strony nie było wszystkich warunków, potrzebnych do ojcowskiego stosunku, nieuniknione były z dwóch stron błędy, za które żaden z nas nie potrzebuje przebaczenia; tę naszę młodość razem spędzoną, tylko z uśmiechem a nie z wyrzutem możemy wspominać, tak jak człowiek dojrzały wspomina psoty dziecinne; bo wszakże nie było w nas złej woli ku bratu, a tylko niedostatecznem pojęciem błądziliśmy. I widać że nie było trucizny w tym chlebie duchowym razem spożywanym, skoro nam poszedł ku żywotowi, skoro bratnie uczucia nasze zbogaciły się tem obcowaniem. Tak, bracie kochany! nie mam ani jednego słowa żalu, ni przebaczenia dla ciebie, — byłeś zawsze i jesteś dla mnie tylko przedmiotem miłości i obowiązku, za spełnienie którego czuję się przed Bogiem i przed Rodzicami odpowiedzialnym, i dla tego też nigdy nie troszczyłem się o to, czem ty jesteś osobiście względem mnie samego, ale o to — czy spełnisz obowiązki względem Boga i społeczeństwa. Tu właśnie jest węzeł, łączący nas od dzieciństwa, w tem możesz mi radość lub smutek sprowadzić. A teraz więcej jeszcze mam powodów do troskania się o przyszłość twoją, bo ona jest razem i moją: tyś powinien zająć moje miejsce i prowadzić dalej to, com ja rozpoczął; — a czy wiesz co? rzecz łatwą i prostą: życie dobrej woli, miłości i pokoju. Henryku mój, Henryku! Gdybyś ty był świadom, kiedy i w jakim stanie nosiłem myśl o tobie i wpa-

trywałem się w przyszłość twoję z miłością i troską, jak matka nosząca w żywocie ukochane dziecię, — tobyś zadrżał przed tym jękiem bolejącej duszy i razem ze mną zawołałbyś: Boże! o nic ciebie nie proszę, jedno tylko o promień twojej jasności do życia tego sieroty. Bracie mój, ty mój braciszku, którego pamiętam maleńkim, coś wyrósł przy mnie na młodzieńca, — to może będą na długo ostatnie moje słowa do ciebie; ja na te kilka słów chciałbym zlać całą miłość, jaką od dzieciństwa do dziś miałem dla ciebie, i z błogosławieństwem bratniem i rodzicielskiem wyryć ci w duszy te wszystkie życzenia i nadzieje, jakie roiłem o tobie. Ty je znasz dobrze, pamiętasz, jaką to ideałową wielkością było dla nas pojęcie skromnego obywatela-chrześcianina. Mój drogi! nie opuść ty mnie, gdziekolwiek będę, nie odstąp tej naszej wiary młodzieńczej; czy w tem życiu, czy w przyszłem spotkamy się; i jeśli wtedy bratnie będą dusze nasze, poznamy się rychło i z radością wspomniemy, żeśmy z jednego gniazda wyszli i doszli do jednego celu. Zamiar twój kształcenia się dobry jest, ale zastanów się dobrze, czy wytrwasz i czy nie korzystniej byłoby pod wielu względami, gdybyś był w Warszawie? rozumie się o tyle, o ile to z wszelkiem bezpieczeństwem być może.

Emilka przy odchodnem pytała się o p. Paulinę z Płocka, — nie zdążyłem dokładnie odpowiedzieć. Jest to nieszczęśliwa, młodo sprzedana przez rodziców w niewolę, której znieść nie może, i męczy się nią. Z wyjątkowego położenia swego wystawiona

na tysiączne walki z światem, lekceważy go jak barbarzyńców niegodnych uwagi. Poznałem ją przypadkiem w podróży, gdzie mówiliśmy dużo; długo nie mogła uwierzyć, że człowiek może być na prawdę aż człowiekiem. Ja poznałem w niej charakter wysoko szlachetny, duszę złamaną a spragnioną. Ma ona bardzo wiele podobieństwa do nieboszczki Klemensowej, z którą ma i to wspólnego, że ją bez litości oczerniono, a ona, jak tamta, nawet nie pomyślała o tem, żeby to czernidło z siebie obmyć. Kiedy nareszcie uwierzyła i przekonała się, żem naprawdę człowiek, a nie lampart, uwierzyła we mnie fanatycznie, jak w jedyny egzemplarz człowieka na świecie, i pewny jestem, że z chęcią dałaby sobie głowę uciąć, gdyby była przekonaną, że mi się to na co przyda. Pomimo to jednak, że ją wysoko cenię, przez swoję zbyt wyjątkową indywidualność zdaje się, iż nie jest stosowna na towarzyszkę dla was, i dla tego też, kiedy mię zapytała, czy przystaję na to, żeby od was pokój odnajęła, czy coś podobnego, — odpowiedziałem wręcz, że sobie tego nie życzę. W każdym razie jednak mogę was zapewnić, że jest to bardzo bogata i bardzo szlachetna indywidualność, ale niestety złamana."

Wasz

Rafał.

1 lipca, 1864.

XII.

„Kochana Emilio! Cóż to się stało, żeś tak niejasno swoję myśl wypowiedziała? Dałaś mi wiele do myślenia swojem qu'en dira-t-on i zapewnieniem, że w słowach twoich nie ma żadnej osłony i tem, że strata stratą się nie wynagradza. W zapytaniu mojem nie było obawy sumienia, bo nie ma tu zupełnie podobieństwa winy; zapytałem dla tego, że chciałem mieć odpowiedź na jedno z tych tysiącznych pytań, co się w samotności lęgną. Zaiste! prawdziwe były słowa, które kiedyś od ś. p. Ojca słyszałem, jako wyjęte z pisma św., a które mi się w początkach mojego więzienia odezwały w duszy w ten sposób, w jaki w ważnych chwilach rozrywa się cisza materjalna i duchowa niewiedzieć zkąd posłyszanemi słowami. Kiedym bezwładnie patrzył w nicość, usłyszałem: „zdziwisz się i nie pojmiesz jakiemi drogami prowadzić cię będę“. Dziwne i niepojęte są te drogi. Do więzienia jak do katakomby dochodzą niewyraźne echa ze świata i wplatają się w samotne myśli. Wpatrzywszy się w całą sieć wypadków i osób, które w ciągu ostatniego czasu się przesunęły, rozwija się dziwnie fantastyczny dramat, posępny i pełen rzeczywistości jak dramat Szekspira, a fantastyczny i głęboki jak Słowackiego; dodajmy do tego, że ten dramat nie jest urojeniem ale rzeczywistością — jest nad czem pomyśleć. Doleciały mnie razem takie wieści: — na emigracyi nędza fizyczna i mo-

ralna: Dunin się powiesił, Karol Przybylski zwarjował; my jesteśmy w więzieniu obok mogił tych, co byli powieszeni: wszyscy wyszli z jednego punktu, a jak się ich drogi rozeszły! Ten ostatni akt naszej długiej tragedji jest okropny — przed nami jak w Nieboskiej komedyi tylko jeden „Galilee vicisti“ zostaje dla przyszłości nad krajem spustoszonym i krwią zalanym. — Są dusze skłonne do abstrakcyi i dla tych bogate obszary ducha wystarczają i tam sobie obierają mieszkanie; są także dusze z tak czułymi zmysłami dla zewnętrzności, że w nich odzywa się każde dotknięcie i rzeczywistość widmem staje im na oczy. Ja do tych ostatnich należę. Dopókim był na świecie, rzucałem się z zapałem w wir życia, bo ono duszę moję wyrywało na zewnątrz; a teraz jestem jak w letargu, kiedy człowiekowi odjęta jest wola, ale mu pozostawiono uczucie. Myśl o kraju dręczy mnie, kiedy pomyślę, że po nas tylko pustkowie zostało, żeśmy tylko niesfornie grunt zburzyli a nie uprawili i nie posiali; każdy upadek lub klęska indywiduów boli mnie czuciem zdwojonem w tej ciszy, w jakiej żyję; o każdą nową myśl lub uczucie pytam, czemu to tak? zkąd to przychodzi? dokąd leci? Może dla ciebie, kobieto, coś zawsze żyła w kontemplacyjnej ciszy, niezrozumiałem będzie to troskanie się o kraj i ludzi wtedy, kiedy się jest od nich odsuniętym; na to ci odpowiem, że byłem rzeczywiście obywatelem, to jest żyjącą cząstką Ojczyzny i dziś, choć mnie odcięto od całości, nie zamarłem. Na to wszystko nie znajdziesz odpowiedniej pociechy w sło-

wach Tego, którego Królestwo nie jest z tego świata; religia jest kosmopolityczną, bo wskazuje same tylko ideały, — miłość kraju jest tylko pośredniem przejściem między rodziną a ludzkością, jest ustawą przechodnią, konieczną dla słabej natury ludzkiej. Nie wyrzekam się, żem kość z kości mojego kraju i brat rodzony żyjącego pokolenia, choć myślą prześcigam czas, uczuciem boleję.

Narodowości są nieśmiertelne o tyle tylko, o ile nieśmiertelną jest idea, którą w dzisiejszym żywocie swoim rozwijają; naród, co takiej nieśmiertelnej idei nie ma, jest trupem i ulega rozkładowi — ginie. Polska może tak zginąć, jeżeli się wczas nie opamięta; ostatnie wstrząśnienie zburzyło resztę tego, co pozostało z przeszłości: — tradycja odtychczas już tylko w opowieści będzie. „Polska stoi naga w Styksowym wykąpana mule. Jeżeli nie stanie się taką, aby nie była niczem zawstydzoną, nieśmiertelną — zginie.“

Jeżeli tam jeszcze usiłują zakryć jej nagość łachmanami zeszłowiecznych rewolucyj i kłamstwem przedpokojowej dyplomacyi, i wstydzą się Zachodu, że Polska naga, to — strach pomyśleć! — ale ostateczny rozkład chemiczny narodowego ciała może nastąpić prędko. Nie wyróżniam tu, żem nie należał do tych, co powstanie wywołali, ani do tych, co niem naczelnie kierowali: kto tylko nie działał wszystkiemi siłami, żeby wstrzymać kraj na pochyłości — winien. Ale nie o winę tu idzie, nie szukam winnych i niech nikt nie traci ani chwili czasu na krytykę faktów; stoimy na zrębie dwóch epok

dziejów Polski; ach! niechże Naród to pojmie i nie ogląda się za przeszłością. A czy są tam ludzie przyszłości?

Napisałem cały ten ustęp niechcący, bo miałem tylko wspomnieć o tem, żeby wam dać do zrozumienia, że trudno o błogi pokój dla siebie jednego, — trzeba go szukać dla wszystkich. To jedna moja troska. Mam ich więcej. Jak strasznie Kościół zawiesił Boga w abstrakcyi: rugując bałwochwalstwo, bez wątpienia trzeba było wyosobnić Boga i naprzeciw silnie rozwiniętego świata ziemskiego postawić silniejszy jeszcze zaświat, cel pożądań i grozy. Średniowieczne dzieje jeszcze nieskończone, — Bóg jeszcze jest tam, gdzie go postawiły krucyaty. Czyście uważały to straszne wyosobienie Boga? utrwaliło się ono tak, że nawet w ucisku człowiek widzi Boga tylko nad sobą, a nie obok siebie i nie w sobie. Tu, gdzie jestem, panuje powszechnie wielka pobożność, modlenie się ustawiczne, ale Bóg zawsze nad nami, nie z nami; po za modlitwą człowiek Boga nie szuka: nie ma też tu ani natchnień, ani pociechy głębokiej. Gdzież szukać nareszcie nowych katakomb dla chrześciaństwa? Szczęśliwy, kto może nauczać dzieci — trzeba nowego pokolenia dla nowej idei. Byłem na świecie i usunięty jestem od świata, widziałem go zblizka i zdaleka, — zawsze ten sam: smutno żyć, smutno i umierać! Oto moja troska.

Zosia chce odemnie modlitw: słusznie się upomina, — nie wiem, czy potrafię, — sprobuję, ale nie przyrzekam.

Nie pogardzajcie, ani lekceważcie tego, co daje spokojne zadowolenie i wesołość pospolitego życia. Mając sobie odjęte to, że tak powiem, ciało życia, poznałem jego wartość. Dobrzem to nazwał; człowiek jest tak harmonijnie z dwóch pierwiastków — ziemskiego i niebieskiego złożony, że to połączenie widocznem jest wszędzie. Świat ducha, do którego, jak do słońca się wyrywacie, jest duszą życia, ale żadna dusza bez ciała objawić się światu nie może i nie działa.

Na wyżynach ekstazy człowiek stać nie może: tam można tylko jak orzeł pod chmurami bujać, a człowiek — słaby, — siły jego nie wystarczają na ciągłą wzniosłość; dla tego też obowiązkiem jego jest nie wzniosłość, ale dobro. Dobro nie płynie potokiem, ale sączy się kroplami w codziennem życiu; więc to codzienne życie jest rzeczywistem polem działania; na tem polu człowiek ma znaleźć zasługę i szczęście, bo szczęście jak cnota jest powinnością życia: trzeba być szczęśliwym, — szczęście to hymn stworzenia dla Stwórcy. Szczęście, zbierane na samych tylko wysokościach ekstazy, dane tylko geniuszom; prostym sługom Bożym — ludziom dobrej woli — trzeba znaleźć szczęście i dawać szczęście wokoło siebie i w sobie, nie nad sobą. Nie zagłuszajcie w duszy tego natchnionego głosu, co w uniesieniu wypowiada człowiekowi najwyższe pociechy, bo ztamtąd płynie moc i namaszczenie życia, tam się trzeba ożywiać; ale strzeżcie się, żeby wam się życie nie rozdarło na smutną pielgrzymkę przez padół płaczu i utęsknienie do nieba;

i nie zakładajcie sobie tajemnej skarbnicy marzeń i uniesień, gdzieby zmęczona dusza szła na wypoczynek i rozkoszowanie się po za światem, ale te skarby duchowe niech będą tuż pod ręką, zawsze gotowe do użycia w życiu rzeczywistem, nie wymarzonem.

W tem miejscu wspominam wam ś. p. Matkę naszą. Nie znam niewiasty, którejby życie było pełniejszem połączeniem tego, com nazwał ciałem i duszą życia: ile tam było poezyi, myśli, pracy i szczęścia! Nie zaniedbujcie w pamięci tej jasnej postaci, co zawsze z miłością na was patrzy. — Możem nie jasno wypowiedział tę myśl. Idzie mi o to, żebyście nie straciły poczucia swojego zamieszkania na ziemi i nie zapomniały, że choć świat nie podąża za ideałami myśli, trzeba go kochać i żyć z nim, takim brzydalem i niezgrabnym, jakim jest; kochać go i żyć z nim właśnie dla tego, że tylko tym sposobem można go podnieść i zbliżyć ku ideałowi. I mnie się nieraz na wolności wydawało, że świat, w którym żyję, jest względem mnie samą tylko zewnętrznością i rad uciekałem myślą samotną tam, gdzie mi żaden dysonans nie mieszał harmonii myśli i zdawało mi się, że gdziekolwiekbym był, nie uczuję próżni w sobie. Ach! jak mi tęskno nieraz do dobrych ludzi, do prostych serc i do tych niby drobnych, niewidzialnych dotknięć obcych, co czarodziejską siłą ożywiały i błogiem zadowoleniem napełniały serce. I do tych mi tęskno nieraz niespełnionych nadziei moich, co już się pewno nigdy nie spełnią, — do cichego kółka

rodzinnego, w którembym wychował dzieci krajowi na pożytek. Ach, i tak wiele, tak wiele małych rzeczy nieraz zapragnę! Widzicie, że i ja nie stoję zawsze na wyżynach; odkryłem wam prawdę, żebyście nie przeceniały.

Bóg z wami, moi najmilsi, — moje tęsknoty."

Wasz

Rafał.

XIII.

„Droga Mateczko! Korzystam z tego, że dziś widzenia nie było i chcę jeszcze kilka myśli dołożyć. Po tem, com wczoraj na ostatku napisał, czegoś mi brak, niepokój jakiś mnie drażni. Piszę zawsze szczerze, nie komponuję sytuacyi swej duszy, ale ją skreślam, jaką jest; jeżeliby z wczorajszego pisma niekorzystne wrażenie poszło, nie mógłbym go prędko innem usunąć: tak leniwo wymieniamy teraz swe myśli, i to mnie drażni, że was przez ten czas zostawię w wątpliwości. Prawdę napisałem — na wyżynach trudno się duszy utrzymać, ale to kolejne wstępowanie i zstępowanie nie jest upadaniem, ani nawet chwianiem się. Ja sam, kiedy z ekstazy zacząłem powracać do bardziej normalnego stanu umysłu, pytałem sam siebie, czy to upadek? nie, to życie pełne pragnień i energii powróciło, by się wzbogacić we wszystkich szczegółach nowo nabytemi pojęciami. Że mi tu czasami

bywa to smutno, to tęskno, to wesoło, to znów tak pusto i głucho, że z rozkoszą przenoszę się imaginacją pomiędzy wolnych ludzi, — nie tracę nic na tem pod względem charakteru, który, mam nadzieję, że na nowy period życia zdobędę; pojęcia i uczucia, które mi tak jasno i uroczyście rozświetliły duszę w ważnych chwilach, są mi tak obecne, że panują całkowicie nad innemi myślami i uczuciami i gdy tego potrzeba, łatwo je do porządku przywołuję. Tych, że tak powiem, światowych drgnień duszy nie tłumię arbitralnie. Pamiętam, jak Kordian rozmawiał sam z sobą w ważnych chwilach i ostrzegał się słowami: „ty komponujesz tragedją". Otoż chcę, żebym był rzeczywistością, niekompozycją; niech wszystko, co żyje we mnie, zbudzi się i ukaże mi się do rozpatrzenia w świetle tych pojęć, jakie daje samotność i silne napięcie umysłu. Czy rozumiecie mnie? uwziąłem się żyć, oddechać całemi piersiami. Jesteśmy w tej dobie, gdzie naglącą potrzebą jest nietylko wypowiadanie prawdy, ale jej wypełnianie. „Zabiło serce tego ludu i uszy ich stały się głuchemi." Z tego pragnienia życia, z tej gorączki działania to mnie już chyba tylko śmierć wyleczy.

Czemu w tej ciszy więziennej, w uroczystem zebraniu ducha tak trudno o poetyczne uniesienie? nazywam je poetycznem w znaczeniu treści i formy. Tak mi łatwo sięgać po wysokie nawet myśli, rozumiem, gdy czytam, trudne rzeczy, a kiedy zajrzę do duszy — czy nie ma tam materjału na jaką produkcją poetyczną, — nie ma. Przedmiotowości

mi nie brak, czemu ta podmiotowość, co mi się dawniej sama podawała w artystyczne ujęcie, tak się skryła?

Duch Święty spać mi nie daje. Wasze określenie zstąpienia jego na Apostołów nie zadawalnia mnie. Powiedziano jest: „A gdy przyjdzie on duch prawdy, nauczy was wszelkiej prawdy, albowiem z niego weźmie i da wam“; i także: „Ktoby bluźnił przeciw Synowi, będzie mu odpuszczono, — ktoby bluźnił przeciw Duchowi Ś., nie będzie mu odpuszczono.“ Obok nazw Ojca i Syna wszędzie Duch staje jako pojęcie raczej, a nie jako osoba. Moje domysły: Trójca teologiczna odpowiada trójcy duchowej i trójcy dziejowej: Piękno, Prawda i Dobro; starożytne, średnie i nowe (jeszcze nierozpoczęte) dzieje. W starożytności człowiek w stworzeniu upatrywał Stwórcy tylko jako pierwszej przyczyny — panował przez siłę, modlił się i radował przez piękno. Im bliżej Chrystusa, tem większe upatrywanie celów Bożych, nowa epoka — Syn z Ojca zrodzony — przyjmuje prawdę objawioną, zbiera cały dorobek pierwszej epoki i poszukiwanie wszelkiej prawdy w oderwaniu ciągnie się do dni naszych. Przy nas już prawda objawiona, wiara przyjęta a priori staje się zwolna przekonaniem; duch prawdy zwolna zstępuje na ziemię, bo z abstrakcyi i z tajemnic przechodzi w duszę ludzką, jako jej wiedza i żywot. A gdy on duch prawdy co z Chrystusowego weźmie i da nam, zstąpi na ludzkość tak, że prawda utkwiona w duszy zadrga życiem i zapragnie czynem objawić się światu;

nastanie trzecia epoka z Ojca i Syna zrodzona — dobro, jako wypełnienie ewangelii w życiu, będzie hasłem nowożytnych dziejów. Zstąpienie Ducha Ś. na Apostołów było takiem żywotnem zadrganiem w nich prawdy, którą ukochali i gotowi byli życie oddać za jej rozpowszechnienie słowem i czynem. Bluźnierstwo przeciw Synowi, to napastowanie prawdy w oderwaniu, i to ma być przebaczonem; bluźnierstwo przeciw Duchowi — to targanie się na wcieloną prawdę, na dorobek wieków, i to nie ma być odpuszczonem. Naszkicowałem myśl tylko ogółowo, — dopełnijcie całość pojęcia i powiedzcie mi swoję o tem opinią. Policzyliście mnie do swoich najbliższych spadkobierców, — nie cofam się przed tem, choć wiem, jak wielką rzecz przyjmuję. Nie cofam się przed tem, bo to wielkie i w tem czuję przyszłość, a mnie się dusza coraz śmielej rozmaga i na przekór losowi pragnę więcej, niż kiedykolwiek i silniej, niż kiedykolwiek; wierzę, że nie zejdę marnie ze świata."

Wasz
Rafał.

XIV.

„Do mnie, moje dzieweczki, do mnie! zostawiłem was na ostatek na pieszczotę i na zadumę. Jak mnie z wami dobrze w duszy: tak pogodnie, tak wesoło, jak gdybym był w domu rodzicielskim;

a taka to bogata okolica myśli, że długo i różnie można po niej bujać i dobierać sobie zwrotek to od radości, to od tęsknoty, to od dalekiej przeszłości, to w daleką przyszłość, i pomykać coraz dalej, aż się z myślenia przechodzi w modlitwę i nie czuje się czasu, ale wieczność. Doskonała to próba uczucia: doprowadzić je do nieskończoności, do najwyższego punktu, do jakiego ono dójść może; jeżeli w tem najdalszem przedłużeniu swojem przechodzi z skończoności w nieskończoność i z ziemi jednym ciągiem daje się aż do Boga doprowadzić i wpleść się w tę harmonją, jaką sobie w niebie wyobrażamy, — to znak, że uczucie z głębi duszy się poczęło, a nie z zewnętrznego wrażenia, na zmysłach utkwione. A nie każde uczucie taką próbę wytrzyma; to też ile to uczuć, nawet silnie wstrząsających sercem, rwie się i ginie, — drobne śmiertelniki nienamaszczone nieśmiertelnością! A to nie tylko z uczuciem się dzieje: Bóg jest miłością, a jest także i mądrością, i rozum nasz jeźli za prawdą zapędzi się śmiało, to nawet nie spostrzeże się, kiedy z ziemi do nieba przeleci, i to co zaczął śledzić na ziemi, znajduje w nieskończoności prawdy i po źdźbło wiedzy do wszechwiedzy jak do źródła sięga, i po ostateczną odpowiedź na pytanie pyta nie siebie, lecz Boga. Więc i tu miara taż sama, — i rozum ma swoje śmiertelne i nieśmiertelne dzieci, a my mamy w sobie probierz na odróżnienie prawdy od doktryny. Tak, — ale ile ludzi, tyle pojęć Boga, każdy go podług siebie wyobraża i do tego swo-

jego wyobrażenia swe pojęcia i uczucia odnosi, więc każdy ma po swojemu utworzoną nieśmiertelność, często bardzo wątpliwą. Więc nie ma absolutnego probierza? I nie ma, i jest. Nie ma, bo go nie szukamy; jest, bo tysiące lat daje świadectwo o sobie. Więc, ostatecznie, chcąc znaleźć siebie, swoję własną duszę poznać, trzeba szukać Boga prawdziwego, tego, co się objawił, w dziejach i w prawdzie objawionej.

Zacząłem pisać do was, a piszę do siebie. Ale to dobrze, macie odfotografowaną myśl moję. Aha! widzicie, że żyję, bo macie znów nową odsłonę duszy. A teraz wam znów co innego pokażę: zajrzyjcie mi do duszy, jak mi wesoło, jakem szczęśliwy, — a z czego? z tego, że mnie Pan Bóg stworzył i że stworzył was wszystkich, co was kocham i że mi dał takie życie bystre, co mnie nosi po różnych kolejach świata moich wrażeń i moich myśli.

Dosyć tego, — na bok Rafał, — chodźcie wy, dzieweczki! Emilio, ty zawsze patrzysz na mnie poważnie, — za to całuję cię w czoło. Józieńko, mam cię zawsze w podejrzeniu, że płaczesz w kąciku, za to całuję cię w oczy. Zośko, z twoich oczu patrzy czerstwość, — za to całuję cię w policzki. A teraz Emilkę, Józię, Zosię i Paulinę całuję po tysiąc razy w buziaki.

. . . . . .

Znów tydzień bez widzenia! Takich będą setki. Ale o to nie idzie, że wy sobie czas i fatygę tra-

cicie na próżne czekanie. Nie starajcie się o kartkę co tydzień; oficer mówił mi, że teraz mają dawać u jenerała Korfa tylko po 60 kartek na tydzień; lepiej przychodźcie rzadziej, a pewniej.....

Jutro nareszcie się zobaczymy.

. . . . . .

Moje kochane! Nie macie ze mnie tej uciechy, jaką mają inne, dostając od mężów i braci pamiątki. Przyznam się wam, że — mi się trudno zebrać do tego; próbowałem — potrafię, ale na to strasznie dużo czasu potrzeba, a robota niewdzięczna, bo całe dziwo tych wyrobów jest nie w ich treści, ale w tem, że to z chleba, że bez narzędzi i że w więzieniu; pamiątka, to prawda, ale kogom kochał i on mnie, spamięta mnie; a czasu mi żal, wolę czytać, bo może długo znów trzeba będzie przeżuwać myślą to, co wyczytam, nim nowego karmu dostanę. Ale może co i ulepię.

. . . . . .

Dodaję tu objaśnienie — za Ławcewicza możeby mnie nie jeden zganił, bo on biedny podobno wielu wydał, a podobno i mnie. Nie mam do niego żadnego żalu i chcę to spełnić czynem, nie tylko uczuciem. Wspominam wam to nie dla chwalby, ale dla przykładu.“

Wasz

Rafał.

22 lipca, 1864 r.

XV.

„Moi drodzy! Ta kartka nie opłaci wam się za fatygę odplatania. Smutno mi dziś, a na smutek dusza zwija się w sobie, jak owad na słotę. Czego smutno? Wszystkiego. Ta zachwalona nieświadoma prostota (a właściwie głupota) musi jednak człowieka zabezpieczać od wielu przykrości. Doprawdy, wpatrując się w nasz kochany światek, jaki on podły, jaki głupi, jaki dumny, to aż wstręt bierze, i żyć się nie chce. A pomyśleć, że tak, z próżnemi rękoma nie ma po co na tamten świat chodzić, to i umierać się nie chce.

Dajmy temu pokój.

Fotografie oddali mi wszystkie; — co to za rozkosz patrzeć na moich drogich, rozmawiać z niemi, aż się zapłakać chce nieraz, nie z żalu, ale z rzewności. Ale mi tam strasznie dużo brakuje: a panna Julia, a Falkowski, Kaszewski, Dobrzyński, Janowska, Goebel, Kalińska, Dziadzio Korzycki, Kaśka, Regulski i jeszcze, jeszcze wiele, — wszak ja miałem dużo ludzi. Nie dziwcie się mojemu łakomstwu: każdy ma swój typ odmienny, każdy mi coś powie, a wreszcie to na tak długo! Nie bójcie się o miejsce: można dubeltowo zasuwać jedno za drugie. Poczciwy Michałek! pewnie on mi po przyjacielsku pomagał. Czemużeście mi nie doniosły o wyroku? wszak ja nie dziecko, nie zlęknę się niczego. Nie czytali mi go i pewnie nie przeczytają; chyba gdyby mi chcieli proponować drogę łaski.

Tego też już tylko szatanom dla ich pychy brakuje, — żeby mogli robić łaski. Wolałbym, żeby mi nie proponowali, bobyśmy mogli za daleko zajść w tej rozprawie.

Polemiki nie prowadzę, moja droga Mateczko, coś jak Wirgiliusza prowadzi mnie Beatrice a podając mi rękę, nie zrozumiała mnie. Przyszłość chciałem sobie wytłumaczyć ze stanowiska przeszłości, a nie ze swego. Bóg nie w nas, mówiłem o ogóle. Objawienie Boga (możem użył niewłaściwego wyrazu) pojmowałem w tem znaczeniu, że oglądanie Go w nowem dla mnie świetle było nielogicznie wyprowadzonem, ale obrazowo rozpromieniło się w duszy, majestatycznie, nie cząstkowo.

Że się często nie rozumiemy, to naturalne: myślenie samodzielne nosi tak wydatne piętno indywidualności, że w takich szkicowych zarysach nie może być jasnem. Ale nie ustawajmy.

Jaki to poczciwy żandarm: on sam pomyślał o tem i prawie zmusił mnie, żebym mu dał bukiecik do odniesienia. Ci prości żołnierze po większej części dobrzy ludzie.

Moje drogie! Ostatnie widzenie było nijakie: ja tych dwóch poczciwców — Emila i Józefa prawie nie widziałem; dołóżcież wy im w tem, com im dał za mało. Mateczko, odczytajcie (sama) kartkę do Kasi, — zdaje mi się, że trzeba jej ją oddać. Czy Prackiego już zobaczę?

Do widzenia.“ Dziś w niedzielę
26 lipca, 1864 r. brzydki *Rafał.*

XVI.

Figle.

Otóż wam objaśnię, jak się w więzieniu zarabiają bukiety, cudzemi rękami robione. Ale żebyście mnie zrozumiały, muszę was najprzód poznajomić z obyczajami naszego społeczeństwa d'outre tombe. W naszem społeczeństwie dwa są sposoby porozumiewania się: przez telegraf i przez pocztę. U was mury mają uszy, u nas mają usta; pukając w ścianę albo w podłogę, rozmawiamy na wszystkie strony i to jest telegraf. Poczta — jest to piśmienna komunikacja pomiędzy murami piętrowymi i dolnymi, która się odbywa w nocy przez okno. Od tygodnia przeszło restaurują nasz dawny numer na parterze w środkowem skrzydle, więc tymczasowo przeniesiono nas do piątrowego numeru, niedaleko tego pokoju, gdzie się odbywa widzenie. Sprowadziwszy się na nowe mieszkanie, oczywiście, zaczęliśmy od znajomości z sąsiadami: z boku — dobrze, dziura w ścianie jest, rozmawiać można nawet ustnie i podawać sobie, co potrzeba (dziura tak szeroka jak cybuch). Telegrafujemy na dół, kto? odpowiedź — kobiety, brawo! więc, dalej wymiana nazwisk. Ale kobiety wszędzie są kobietami: nad wieczorem telegrafują rozkaz, żeby spuścić do nich pocztę. Spuszczamy pocztę z bukietem. Odbieramy napowrót kartkę, w której wypisane nazwiska i treściwy życiorys więziennego życia z rozkazem, żebyśmy im to samo przysłali. Tego dnia miałem z wami wi-

dzenie, byłem wesoły jak dzieciak, bez namysłu odpowiedziałem wierszem dowcipnie i gładko, rozumie się, niewyjawiając, kto pisał. Nazajutrz poczta przyniosła nam bukiecik (mały) robiony z naganą, żeśmy małomówni i z zapytaniem, kto pisał? Zamiast odpowiedzi na pytanie, posłaliśmy im znów wierszem bliższą charakterystykę każdego. Kobietom więcej nie trzeba: widać zgadły, kto pisać mógł, bo nazajutrz poczta przyniosła bukiecik i dedykacją jego od Olesi dla brata współcierpiącego Rafała i kilka słów tak serdecznie, naiwnie napisanych, jak to pisują 18letnie dziewczątka.

Ta Olesia — jest to p. Aleksandra Wróblewska z Warszawy, 18letnia; nie widziałem jej nigdy, ale wiem, że w organizacyi, a później w komissyi zachowała się jak należy. Za taki dowód braterstwa, jakim tchnął jej liścik i za ten bukiecik, który dla was chowam, posłałem jej — bukiet za bukiet. Trzeba to przepisać, to się będzie lepiej czytało:

Olesiu! Tyś kwiatki posłała jak posły!
Wesoło pozdrawiam tych gości.
Przy jakiem to słońcu te kwiatki wyrosły?
Przy słońcu braterskiej miłości.
O, siostro! my więźnie — my skarby rozdajem,
Przyjmij mię za brata nawzajem.

Lecz cóż ja dam tobie do bratnich pamiątek?
Mnie kwiaty pod ręką nie rosną,
Bo dla mnie już minął młodości początek,
Tyś, siostro, nadzieją i wiosną.
Ty w sercu masz kwiaty w niebiańskim kolorze,
Z tych kwiatów ci bukiet ułożę.

Gdy w sercu osiędą Ci smutek i trwoga
I duszę zasępią Ci młodą, —
Niech dusza w pokorze schyli się do Boga,
Jak biała lilija nad wodą.
Twój anioł-stróż zbierze modlitwę — liliję,
Zaniesie przed Świętą Maryję.

Za ciasno na świecie dla duszy młodzieńczej,
Więc wzbija się śmiało w tę stronę,
Gdzie gwiazdy jej świecą, w marzenia się wieńczy
Jak stokroć w stulistną koronę.
Więc bujaj w marzeniach, gdy marzyć tak słodko.
Olesiu zakwitnij stokrotką.

Bóg dobry rozsypał po świecie wesele;
Gdy miłość jak słońce zaświta,
Dziewczynie do szczęścia potrzeba niewiele,
Wesoło jak róża rozkwita.
Olesiu! Bóg dobry, On pączków nie zrywa:
Zakwitniesz ty różą szczęśliwa.

Żal często nam zrywa nadzieję ochoczą,
I serce się nieraz zakrwawi;
I łezki dziewczynie po licu się toczą,
Jak kwiatki konwalji wśród trawy.
Łzy świadczą przed Bogiem,— o, niechże twe świadki
Tak będą niewinne jak kwiatki.

Choć kłamią potwarcy, że w świecie jak w wojnie,
Że pełno w nim wrogów i zdrady,
Ty nie wierz: patrz — bratek jak żyje spokojnie
Pomiędzy bujnymi sąsiady.
Bóg czuwa nad nami i czuwa nad kwiatkiem.
Olesiu! dla braci bądź bratkiem.

Gdy gromy uderzą i wicher zawyje,
To drzewa wysokie się kruszą,
A skromny fijołek bezpiecznie się kryje.
O! burza potrząsa i duszą!
I dumny w niej szatan spór wiedzie z aniołkiem.
Olesiu! bądź zawsze fijołkiem.

Dziewica się wspiera na ręku młodzieńca,
Na dębie się wiją powoje.
Dąb burze wytrzyma, a kwiat go uwieńcza,
Silniejsi, piękniejsi we dwoje.
Gdy młodzian ramieniem zasłoni cię swojem,
Olesiu! bądź jemu powojem.

A dla mnie z tych kwiatów czy będzie choć listek?
O, siostro! nie pragnę ja wieńca.
Zachowaj go cały, nietknięty i wszystek,
Zachowaj dla dębu-młodzieńca.
A dla mnie niech lilija choć listek poświęci,
I bratek zakwitnie w pamięci.

Możem co opuścił, albo przekręcił, bo nie pamiętam dobrze.

Spodziewam się, że to jest dla was zupełną niespodzianką, — więzienie i wiersze sielankowe. Macie w tem tylko jeden dowód więcej, że tu nie usycham, że co tam było w przeszłości dobrego, to zabieram i marsz naprzód, nieoglądając się za siebie!

Ej, takem się dziś rozruszał, że gdybym tu miał Paulinę, tobym z nią swawolił, jak w domu o szarej godzinie. Uściskajcież dzieweczkę odemnie, jak będziecie pisać do niej. A was, moi wszyscy,

moi najbliżsi, was uścisnąć za mało, was, to się tak duszę duszą pochłania!

Ludwikowie! Mnie się zdaje, że we mnie nie ma ani jednej myśli, ani jednego uczucia, którego-bym wam nie pragnął podać do podziału i wy ze mną tak wszystko dzielicie. A wy moje trzy dzieweczki, trzy listki szczęścia na jednej gałązce bratniego uczucia, wyście mi się tak zrosły z sercem, jak listki z gałązką, tak że nie wiem, gdzie się kończy moja, a gdzie się zaczyna wasza osobistość. Nie, ja wam dziś nie powiem o całowaniu, o uściskach; dzieweczki, ja was kocham tak, że jak czasem spadnę miłością na was, to was tak zasłonię, że was nie widzę, — nie wiem, kto tam jest pod tem uczuciem, wiem tylko, że mi wtenczas tak dobrze, tak miłośnie!

Do widzenia.

Józiu! zrozumiałem cię dokładnie i ucieszyłem się tobą. Żem też ja nie znalazł! Wy szukajcie wszędzie, bo czasem jak nie przyjdziecie, to dokładam."

Wasz
Rafał.

31 lipca, 1864 r.

XVII.

„Mając czas, piszę do was, a nigdy nie wiem, o czem będę pisał. Bo też to nie listy, nie pisanie,

ale raczej jakieś niewidzialne obcowanie serc kochających. Ja was sobie tylko wyobrażam, przenoszę się pomiędzy was myślą, tak że nie czuję wtedy, że jestem w więzieniu; widzę was, cieszę się, jestem szczęśliwy, aż dusza, jak kwiat do słońca, obróci się ku wam i wtedy w was i nad wami oglądam czarowny świat miłości, i duchy anielskiemi skrzydły szeleszczą nad nami: jest to prawdziwe święto dla stęsknionej duszy. To od was do mnie, — a odemnie do was co wtedy idzie? Wiem; kiedy mi się tak wzrok duchowy szeroko otworzy, wy wtedy czytacie mi w duszy tak samo, jak się czyta w cielesnych oczach ludzkich, co wypowiadają to, czego usta wypowiedzieć nie mogą: z kilku słów niejasno rzuconych odgadujecie całą myśl taką, jak była w duszy, niewypowiedziana. Więc my tu w życiu mamy już moc wszystkiego, co na życie nieśmiertelne mieć będziemy: te same rozmowy bez słów, to jakby zapowiedź tego, co nazywamy Świętych obcowaniem. Więc nasza nieśmiertelność, to takie rodzoniuteńkie dziecię tutecznego życia, że my do niej przeniesiemy wszystko to, co tu jest szczęściem, jasnością naszą! i tylko to dobre, to jasne przeniesiemy, a cała bieda ziemska spadnie z nas, jak pył z obuwia! Ach! jak to błogo pomyśleć, że to, co w człowieku jest zacnem, pięknem, to takie wielkie, takie potężne, — silniejsze niż świat, bo nie zna czasu i przestrzeni. Zamknięty jestem na trzy zamki, kraty w oknie, naokoło mury i żołnierze, — doskonale odcięli mnie od świata: ani głos, ani spojrzenie niczyje do mnie

się nie przeciśnie — zwyciężyli. W jednej chwili, kiedy rzucę myślą, jak błyskawicą, — przy mnie jesteście wy, moi żywi, i wy moi umarli, przy mnie i we mnie jest Bóg; ach, jak ja wtedy urągam ich sile! — zwyciężyłem! — Kiedy na wolności rozkazywałem i słuchano mnie, kiedy nieraz powiedziano mi, żem silny, żem zdolny do władzy, czułem się słabym i małym. Tu, zamknięty, ścieśniony, czuję się nieraz silnym i wielkim, wielkim jak Boże dziecię, prawy dziedzic dóbr Jego, których mi nikt wydrzeć nie może. Tak, człowiek, to wielki twór... i wielkie nic, kiedy się dóbr Bożych wyrzecze.

Poczucie Bożego pierwiastku w sobie, w zetknięciu z materjalną praktyką siły daje takie uczucie siły, jakiego żadna władza dać nie może.

Szukaj jak chcesz początków i przyczyn, z jakiegobądź punktu wyjdziesz, zawsze na dnie pytania pierwszą przyczyną jest miłość.

Świętych obcowanie nie dzieje się także na rozkaz katechizmu. Wszak duch ludzki jako nieśmiertelny musi być jednostajnym w objawach swoich tutecznych i przyszłych. Czemu nam tak łatwo obcować z sobą duchem i odgadywać myśli i uczucia swoje? Bośmy się miłością związali, jakby w łańcuch, po którym myśl, jak iskra elektryczna, biegnie z ogniwa na ogniwo. To i owe katechizmowe Świętych obcowanie musi być nie inne, tylko tak samo musi być powiązaniem dusz wcielonych i dusz rozebranych z ciała w jeden łańcuch miłości.

Tak, umarli niewołani nie przychodzą, — trzeba ich kochać i obcować z nimi, a oni za to wiele po-

wiedzą. Gdzie się obrócisz, wszędzie ani rusz bez miłości.

Jak widzę, to w kraju dobrze się dzieje. Niech tam krakowskie gazety jak chcą nazywają reformę włościańską, niech nowe ustawy nazywają socjalizmem, dla mnie są one szczególniejszem zjawiskiem konstytucjonalizmu, który zawsze dotychczas szedł z góry na dół, a u nas od dołu zaczyna. Czyż gmina słowiańska nie lepszym może być zawiązkiem przyszłości, jak ustawy Zachodu, gdzie samorząd z możnowładztwa wyrastał? To przynajmniej niezawodne, że zaczynając od dołu, postęp jest prędszy, niż od góry. To wreszcie najskuteczniejszy i jedyny sposób dla Polski, gdzie ludność włościańska jest tak przeważną; tu idea nie da się w kaście zamknąć, bo tu kasta sięga wszędzie, — to nie kasta. A niech się tam kto chce, łudzi, — to, co zrobiono, jest dopiero początkiem tego, co się dalej zrobić musi. Już popęd dany. Już się ta milionowa massa nie zatrzyma w pędzie. Program Kościuszki wypełni się. Szlachta nie chciała za Rzeczypospolitej odstąpić od przywilejów, więc wszyscy się uszlachcą, ale już nie tak, jak dawna szlachta. Jednak trzeba przyznać, że wszystko strasznym pędem leci, — après nous le deluge, — et le deluge viendra, prawda, że to krok stanowczy i skuteczny, ale na jak krótko obliczony.

Ach! ale dla ludzi dobrej woli jakie ogromne pole do pracy! Toż to w środku Europy odrazu odbył się nowy karczunek, — grunt, na którym jeszcze nikt nie siał, stoi otworem i czeka na ziarno.

A będąż tam aby siewy po temu? Jaka to ważna chwila, jakiej równej nie było w dziejach naszych, — a i czas jaki stanowczy do posiewu po świeżym deszczu, co na ziemię upadł.

Powrotowi K..... do kraju zdaje się że nic nie stoi na przeszkodzie. Nigdzie nie słyszałem wzmianki o nim, a on sam najlepiej musi wiedzieć, czy na nim co nie ciąży. Jako przestrogę mogę wspomnieć, że jeżeli po 20 maja pisał jakie artykuły (w r. 1863) do pism potajemnych, to nazwisko jego mogłoby figurować w aktach Wydziału Prassy, które są w ręku komissyi, albo jeżeli przez jego ręce przechodziły jakie ważne operacye finansowe, bo akta Wydziału Skarbu są tam także, a gapie jak w jednym tak w drugim Wydziale nazwiska pisali. Wreszcie być może, że w skutek długiego pobytu w Krakowie przyaresztują go, żeby się dowiedzieć, co tam robił, a przekonawszy się, że nic nie robił, wypuszczą. Ja, gdybym był na jego miejscu, tobym się nikogo nie radził, tylkobym się z sobą dobrze porachował, — niech i on tak zrobi. Zdaje się, że powinien jak najprędzej powracać, bo sądząc po ostatnim jego utworze scenicznym, zjałowiał okropnie; jeżeli jako autor mógł popełnić taką ramotę, to jako krytyk powinien był spostrzedz, że to nic nie warte, i nie drukować.

Kasia mnie nie zrozumiała, ja nie tego od niej chciałem. Mateczko, wy mnie zrozumiejcie i dopełnijcie. Chciałem skorzystać z wpływu, jaki miałem na nią i ze swego teraźniejszego położenia, i zakląć ją, żeby jej odjąć tę krewkość w stosunku

z ludźmi, i dla tego to powiedziałem, że prawa, jakiem miał u niej, rozdaję pomiędzy wszystkich, ażeby dla wszystkich była tak dobrą, jak dla mnie. Wandka poczciwa serdecznie pożegnała."

Wasz

Rafał.

XVIII.

„Pilnują nas teraz tak, że trudno pisać. Nie dziwcie się, jeżeli czasem nic nie poszlę. Przywracam używanie chustek.

Ja za wiele wymagam, — zapomniałem, że fotografie kosztują; nie bądźcie ludziom natrętne, ale kto da, bierzcie. — Jaka ta Julka dobra! Pracki był bardzo smutny; zapomniałem go zapytać, czy was pilnuje w muzyce; — pilnujcie się same, ja z rozkoszą biorę wszystko od was, ale broń mnie Boże! żebym wam miał co odebrać; gdybyście przezemnie w czem dobrem uszczerbek sobie zrobiły, położyłybyście mi to na sumieniu. Dawać ukochanym radość to jeszcze milsze, niż ją brać, ale kto dać nie umie, niech lepiej nie daje. Zrozumiejcie to i czuwajcie nad sobą.

Mam dziwną prośbę do was. Chciałbym zobaczyć jeszcze choć raz kogoś takiego, komu się w życiu nie odłamał ani jeden listek ze złotego wieńca marzeń; w takich oczach jest dziwna, szczególniejsza otucha, którąbym chciał wykraść. Może

Stasię, jeżeli zechce. Moi drodzy! Duszno mi, ciasno; pisma mi za mało; dość na dziś.

Do widzenia, ściskam was wszystkich obu rękami i całem sercem do was się wyrywam i myśl swoję zawieszam nad wami — czasem jak słońce, żeby wam świeciło, — czasem jak księżyc, żeby noc rozświecić.

Wasz
Rafał.

1 sierpnia, 1864 r.

XIX.

„Jak to przykro słyszeć silne stąpanie młodego i silnego człowieka, co idzie na śmierć! Dziś koło moich drzwi przeprowadzono Malinowskiego i Zarzyckiego — pewnie już nie żyją; wczoraj przez cały dzień o kilka kroków od mojej celi księża dysponowali ich na śmierć. Nie dziwcie się, żem dziś niewymowny. Więc szubienica znowu podniesiona. Kogo ona więcéj zabierze? Mniejsza o to — kogo, ale na co? Co z tych śmierci przybędzie? Ani Bogu chwały, ani ludziom nic. Ach! niechże mnie już prędzej zabiorą, do kopalni, do lodów, byle nie stać tak dłużej między ołtarzem Molocha a ludem. Ciężko mi na sercu.

Zamiast używania osób trzecich i czwartych, lepiej jest bezpośrednio zabrać znajomość, bezinteresownie dowiedzieć się o mieszkaniu i przez drugą

osobę załatwić interes. Na co to jutro? Nie trzeba. Tak dużo pieniędzy ryzykować: od razu mi nie będą potrzebne, a stanąwszy na miejscu, wskażę wam drogę do przesłania. Nie ogołacajcież się do szczętu; wszakże mnie tak wiele nie trzeba. Buty doskonałe. Rzemienne, o ilem mógł zrozumieć, zdaje się dobre.

Bukiecik tamten dla Helenki P., albo, jak uznacie za stosowne. Dla was mam daleko piękniejszy, którego choć nie zrobiłem, alem go zarobił; więcej nie objaśnię.

Najdroższi! Dziej się wola Boża; choć proszę Boga o odwrócenie kielicha, kończę! lecz nie moja, ale Twoja wola. Pragnę żyć i chętnie zrobię wszystko, co w mojej mocy, dla zachowania życia, ale jeżeli tego trzeba, umrę bez rozpaczy; wszak kiedyś umrzeć muszę, życie cenię, jako pole pracy, nie rozkoszy; jeżeli mnie Bóg wcześnie od tej pracy odwoła, uznam w tem miłosierdzie Jego. Widmo śmierci dla mnie nie nowe, — wszak z wiedzą tu szedłem, nie liczyłem na to, że do dziś dożyję, a że mi życie zostało przedłużonem, Bogu niech będą za to dzięki: ile tygodni, tyle lat przeżyłem, dojrzewając duchem, a nie słabnąc ciałem. Zazdrośćcie mi szczęścia — dla mnie już nie ma kary! Życie przyjmę jak łaskę i śmierć jak łaskę; widzicie — Bóg ze mną i ja chcę być z Nim. Zosiu! Chciałaś modlitw odemnie; modlitw moich nie obejmę pismem, ale jeżeli umiesz duszą w duszy czytać, — ja ci swą duszę otworzyłem; i cóż większego mogę

ci dać nad te moje ostatnie dnie, w których miłością i pokojem w dwa światy sięgam.

Kto się czuje na siłach, niech przyjdzie na egzekucją po to spojrzenie pożegnalne, co jest ostatnią nutą pieśni życia, ale tylko silni niech przyjdą; pamiętajcie, że taka śmierć, to czyn — pomóżcie.

Mateczko! Bóg ci natchnął tę myśl o aniołku, ale Ksawera cię uprzedziła: wiedziałem, że coś ważnego dzieje się ze mną, bo od piątku co noc mówiła do mnie we śnie. Tyś mi ją na jawie przysłała. Osądźcie, czy śmierć może być dla mnie straszną? Moi już naprzód do mnie wybiegają z miłością. I ja tak potem przed was wybiegać będę. Tylko w nagrodę można mieć taką śmierć — ze zdrową duszą i zdrowem ciałem. Kto mnie kocha nieśmiertelnie, tego żal nie złamie, bo ten mnie nie straci. O, najdrożsi! ja będę z wami.

Jestem ścieśniony okropnie. Dostaliśmy nowego kolegę, któremu nie ufam; piszę ukradkiem, zaplotę w nocy pod kołdrą, tylko w wieku, bo inaczej niepodobna, a i to może ustanie zupełnie. Pytałyście mnie, co zrobić z mojemi pamiątkami w razie rozejścia się waszego? Ja myślę, że w każdym razie najlepiej do Wisły."

Wasz

Rafał.

XX.

„Moi najmilsi! Otóż i dobiegłem do mety, — już dziś ostatni dzień mojego ziemskiego życia!

I cóż wam w tych ostatnich chwilach powiem? Teraz wiem, że wierzę w Boga i kocham Go, wiem, że do Niego idę. Wszak i wy w Niego wierzycie, więc nie żałujcie mnie, bo nie ginę, jedno gorsze życie za lepsze zamieniam. Żal wam będzie, że mnie pośród siebie mieć nie będziecie; — o, nie, ja będę z wami choć niewidzialny, bo uczucia, co na ziemi, w Bogu początek biorą, nie ustają ze śmiercią.

Ja będę w myślach waszych i uczuciach, ale pamiętajcie, że wtedy ten brat wasz już będzie obmyty z ziemskiej niedoli; nie płaczcie mnie więc z pomiędzy siebie ziemskim gorzkim żalem. Będziemy tęsknić do siebie, będziemy głosem duszy rozmawiać ze sobą, Bóg będzie naszym pośrednikiem, — niechże uczucia nasze będą godne Jego obecności!

Widziałem was, — czuję, że dusza moja wyrwała się z ciała, żeby obcować z wami tak, jak to zawsze czynić będziemy. Dałem wam już wszystko, com miał — dałem wam na zawsze! A teraz duszo moja powracaj jeszcze na ostatnią pracę!

Już tylko 4 godzin; przyjąłem Sakramenta Ś., ufam Bogu, że doda mi siły do ostatka.

Módlcie się za mnie. Już z tego świata dla was nic nie mam. Do widzenia — tam....."

Rafał.

5 sierpnia, 1864 r.

Był to ostatni już list pisany do rodziny, list pisany z wiedzą, że mu zostaje jeszcze tylko cztery godziny życia, po które przyjdzie najezdnik moskiewski, aby je zabrać dla nasycenia swej zemsty. Spokój, jaki Rafała cechował w więzieniu, nie opuścił go w tej strasznej chwili. Szedł śmiało na spotkanie śmierci, czysty w sumieniu, pogodzony z Bogiem, podniesiony miłością rodziny i Polski — z przebaczeniem dla katów swoich!

Moskale w dniu 5 sierpnia wznieśli na stoku cytadeli, w obliczu szeroko rozłożonej Warszawy, pięć szubienic dla członków ostatniego składu Rządu Narodowego. Za wyrokiem sądu wojennego, potwierdzonym przez okrutnego carskiego namiestnika Berga, na tych szubienicach zawisnąć mieli najszlachetniejsi synowie Polski: jenerał Romuald Traugut, prezes Rządu Narodowego; Józef Toczyski, wieloletni wygnaniec na Syberyi, dyrektor Komissyi Skarbu Rządu Narodowego; Roman Żuliński, profesor, dyrektor Komissyi ekspedycyi w Rządzie Narodowym; Jan Jeziorański, dyrektor Komissyi komunikacyi w Rządzie Narodowym i Rafał Krajewski, dyrektor Komissyi Spraw Wewnętrznych w Rządzie Narodowym.

Rząd moskiewski egzekucyę odbyć postanowił z całą pompą katowską. Kilkanaście tysięcy wojska stanęło w około szubienic, — jenerałowie i dygnitarze moskiewscy zajęli miejsce tuż przy szafocie — a lud w wielkiej massie zbity i strzeżony przez policję i żandarmów, groźny w swojem współczuciu dla wieszanych patrjotów, zaległ obszerną przestrzeń placu fortecznego.

Z ponurych bram cytadeli wysunął się smutny orszak. Członków Rządu Narodowego wieziono na nędznych wozach dla większej pogardy. Twarze ich spokojne, upięknione przebywanem męczeństwem, nie zdradzały żadnej obawy. Na jednym z wozów siedział Krajewski, czarne jego bujne włosy na głowie i brodzie, żałobnie odbijały od bladej, smętnej twarzy, której wzrok rzucał błyskawice energii i miłości. Postać jego piękna i pociągająca jeszcze piękniejszą się wydała. Obok skazanych byli księża a w około żandarmi, wojsko i kaci.

Okropna ceremonia czytania wyroków, związywania na tyle rąk, ubierania w białe, śmiertelne z kapturami koszule, wywołała głęboki jęk w piersiach tysięcy zgromadzonych, jęk, który był najsroższem potępieniem rządu moskiewskiego i jego polityki w Polsce. Po chwili, wprowadzono jednego za drugim, każdego z członków Rządu, pod jego szubienicę, zarzucono kaptury na oczy, poderwano schody i w powietrzu zawisło pięć trupów, których Polska nigdy nie zapomni!

Świadek męczeństwa tak opisuje [1]) to wielkie morderstwo dokonane przez najezdników:

„Dzień 5 sierpnia 1864, był dniem najwyższej ofiary, jaką Polska składała na ołtarzu wolności. Pięciu wolnych synów tej ziemi już tak krwią ofiar nasiąkłej, po kilkomiesięcznych cierpieniach, których wyobrażenie dać może tylko inkwizycja, szli na śmierć wymyślnie przygotowaną przez wroga praw boskich i ludzkich, szli z pogodą na czele i krzyżem przebaczenia w ręku, wobec ojców, matek, sióstr i braci, pośród kilkadziesiąt tysięcznego tłumu rodaków łkających na ten widok istnie przypominający Golgotę, bo szli oni umrzeć za swoją ideję i wiarę, na odkupienie tych, co pozostali przy życiu z niewoli moskiewskiej, z upodlenia politycznego, jak niegdyś szli umierać święci chrześcjańscy dla wykupienia innych z niewoli czartowskiej. Śmierć ich godną była życia, oczyma błogosławili obecnych, przycisnęli krzyż do piersi i ucałowali stryczek jako narzędzie ofiary, którą Bóg pozwolił im spełnić w tak przeczystej sprawie. Wrogi nasze powiadają, że ukarali zbrodniarzy; uczciwi ludzie zapisali ich w liczbę rycerzy światła i postępu narodów. Tak zginął Rafał Krajewski i jego czterech kolegów. Żyjący bracia nie mają dość słów dla uczczenia takiej śmierci, takiem poprzedzonej życiem!“

[1]) „Ojczyzna“. Nr. 99. r. 1864.

AGATON GILLER.

DWAJ KUPCY WARSZAWSCY.

DWAJ KUPCY WARSZAWSCY.

I.

KSAWERY SZLENKER.

Postać Szlenkera należy do historyi. Rola jaką odegrał w wypadkach warszawskich 1861 r., zapewnia mu bardzo zaszczytne wspomnienie na jej kartach. Poświęcenie, rozum, takt, jaki pokazał w trudnych ówczesnych okolicznościach, charakter pojednawczy, umiejętność wyzyskiwania sytuacyi na korzyść ogólnego pożytku, zrobiły go przewodnikiem Warszawy. Wpływ jego w mieście był o wiele w tym czasie znaczniejszym niż wpływ hr. Andrzeja Zamojskiego.

Jeśli zaś protestanci warszawscy, za Niemców poczytywani, wystąpili jako Polacy i Polakami pozostali w dniach trudnej próby i prześladowania, które potem nastąpiły, jemu to Polska ma do zawdzięczenia.

Tak zasłużonego męża życie opowiedzieć, pamięć jego w sercach ziomków utrwalić, jest zadaniem piszącego. Biografia atoli, którą podamy, nie będzie wyczerpującą. Materjał do niej zebraliśmy ze wspomnienia stosunków osobistych ze zmarłym i ze stronnic historyi narodowej. Nie są one może dostateczne dla dokładnego a zupełnego, w szczegółach zwłaszcza życia prywatnego, opisu postaci Szlenkera, jako dobrego typu polskiego kupca. Szczegółów tych oczekujemy od kogo innego.

Ksawery Szlenker pozostawił po sobie „Pamiętnik“. Praca ta, którą nam na dwa lata przed śmiercią Ksawery w Paryżu przeczytał, bardzo jest cennym materjałem do dziejów ostatnich. Jakkolwiek Szlenker z natury niezmiernie skromny, nie wiele w „Pamiętniku“ o sobie mówi, zawsze przecież jest on obrazem jego szlachetnego, prawdziwie polskiego serca i pięknych czynów. „Pamiętnik“ ten z polecenia nieboszczyka został wręczony Karolowi Ruprechtowi, który wydanie go poprzedzi, jak się spodziewamy, obszernym opisem żywota swego przyjaciela.

Zanim jednak to nastąpi, nie będzie bez korzyści i ta krótka biografia, którą podajemy naszym czytelnikom.

Rodzina Szlenkera pochodziła z Torunia, z miejsca rodzinnego Kopernika i Lindego. Z Torunia przeniosłszy się do Warszawy, Szlenkerowie zajęli poważne stanowisko pomiędzy mieszczanami stolicy naszej.

Ksawery urodził się w Warszawie. Wychowany bardzo starannie w domu i w warszawskich szkołach, kształcił się nietylko w naukach, które mu do jego zawodu kupieckiego mogły być potrzebne, i w językach polskim, niemieckim i francuzkim, które wybornie posiadał, ale także w historyi i w literaturze. Podróż za granicę dopełniła jego edukacyi. Wzbogacony wiedzą i doświadczeniem innych, objął handel bławatnych towarów na Senatorskiej ulicy i prowadził go wybornie. Najlepsze i najpiękniejsze towary u niego można było znaleźć. Prócz dobrego towaru spotykała kupującego w jego sklepie wielka uprzejmość, odznaczająca się grzeczność i rozmowa przyjemna. Odbyt też miał wielki i z każdym rokiem rosły jego stosunki handlowe oraz zamożność.

Wraz z zamożnością podnosiła się powaga Szlenkera w obywatelstwie. Dobre rady, światłe zdanie, pomoc pieniężną, protekcję, każdy uczciwy u niego znalazł. Miał też dużo miłości u ludzi, a kupiectwo warszawskie obrało go na Starszego Zgromadzenia kupieckiego.

Przewodnictwo stanowi handlowemu Warszawy wprowadziło Ksawerego na pole prac obywatelskich. Szczupły jego zakres zostawiony kupcom przez rząd obcy, zazdrośny o swobody a zawsze podejrzliwy, wypełnił Szlenker bardzo użyteczną pracą. Szkołę handlową podniósł, rozszerzył, a elementa obce w kupiectwie kojarzył z sobą i w charakterze polskim powoli a nieznacznie utwierdzał.

Kupiectwo warszawskie dzieliło się na dwa zgromadzenia: kupców chrześcian i kupców żydów. Szlenker, tolerant z przekonania, lubo religijnego usposobienia, uważając jednych jak drugich za Polaków, usiłował usunąć w zakresie swojego działania różnice, wywołane przez odmienność religii. Uprzedzenia chrześcian do żydów, a żydów do chrześcian nie łatwo atoli można było usunąć. Dopiero w r. 1861 pod wpływem rozgrzanego patrjotyzmem uczucia, udało się mu oba Zgromadzenia kupieckie, tak chrześciańskie jak i żydowskie, na posiedzeniu odbytem w Resursie przy ulicy Senatorskiej, w jedno zgromadzenie kupców Warszawy połączyć.

Za przykładem kupców poszli rzemieślnicy. Zwołani do Resursy majstrowie przez Józefa Kwiatkowskiego, równie znanego jak Szlenker kupca warszawskiego, uchwalili zniesienie przepisów, które wyłączały z cechów terminatorów starozakonnych. W obrębie więc stosunków, od Polaków zależnych, jako też i w życiu towarzyskiem, przeprowadzonem zostało w tę porę faktycznie równouprawnienie wyznań, bez którego nie ma i nie może być jedności narodowej. Jak zbawiennie wpływał Szlenker w tym kierunku, widzieliśmy już z tego, co zrobił działając w charakterze Starszego Zgromadzenia kupieckiego.

Charakter ten wystawił go na ciągłe prawie stosunki z władzami rządowemi, to jest moskiewskiemi w Polsce, które bezwzględnością i chciwością swoją szkodziły wielce handlowi. Zasłonić go przed

nią, wyjednać ochronę interesów kupieckich, było sprawą bardzo trudną, a jednakże Szlenker uprzejmością i zręcznością swoją potrafił wyrobić, jeżeli nie protekcją, to przynajmniej zabezpieczenie stanu kupieckiego od nadużyć Moskali. Powołanie go na członka Wydziału przemysłowego i handlowego w Komissyi rządowej spraw wewnętrznych dla Królestwa Polskiego, jako też na członka zarządu Banku Polskiego, ułatwiło mu czynność, mającą na celu większe rozwinięcie handlu w Królestwie Polskiem. Po śmierci Mikołaja i wstąpieniu na tron Aleksandra II. Szlenker wysłany był do Moskwy na koronację młodego cesarza jako deputowany miasta Warszawy. Nie był to miły obowiązek, ale go spełnić należało. Szlenker więc assystował przy koronacji i ucztach urzędowych. Nie zapominając, że reprezentuje miasto nieszczęśliwego a w niewoli będącego narodu, był wstrzemięźliwym w słowie i skąpym w wynurzeniach urzędowej serdeczności. Kupiectwo moskiewskie ugaszczało go z szczególną chęcią, którą Szlenker umiał ocenić jak należy. Obdarzony przez cara pierścieniem brylantowym, jako deputowany na koronację, i orderem św. Anny, przyjął go, bo odrzucenie naraziłoby nie tylko jego osobę, ale interesa miasta, które reprezentował, nigdy jednakże tych dowodów carskiej łaski nie nosił. Jak skromność była jego zaletą, tak znowuż próżność nie była jego wadą.

Zaufanie współobywateli obdarzało go coraz to nowymi honorowymi urzędami. Po śmierci powszechnie szanowanego a zacnego Dr. Wilhelma Malcza,

obrany został na prezesa Kolegium kościelnego warszawskiego zboru ewangelicko-luterskiego. Urząd ten otworzył przed Szlenkerem możność wpływania na swoich współwyznawców w duchu światłej tolerancji i równouprawnienia języka polskiego w kościele ewangelickim z językiem niemieckim, podtrzymywanym przez rząd moskiewski, który w osobie zamianowanych przez siebie prezesów konsystorza, czuwał aby protestanci polscy obcymi Polsce pozostali a uważali się za Niemców. Szlenker, jakeśmy to powiedzieli, działał w przeciwnym kierunku, popierany przez wymownego kaznodzieja, zasłużonego a uczonego pastora Leopolda Otto. Jego staraniem wzrastała szkoła ewangelicka parafialna, a w kościele ewangelickim w Warszawie wprowadzono nabożeństwa w języku polskim.

Za kościołem ewangelickim w Warszawie poszły prowincjonalne kościoły ewangelickie i odtąd Polacy protestanci nie byli zmuszeni słuchać nabożeństwa w niemieckim tylko języku.

Za staraniem także Szlenkera duchowieństwo ewangelickie wzięło udział w manifestacjach narodowych, i to udział równie gorliwy i powszechny jak duchowieństwo katolickie oraz żydowskie. Udział ten przyniósł bardzo zbawienne skutki. Równouprawnienie wyznań utwierdziło się w umysłach, oparło się na mocnym gruncie przekonania. Lud widząc w narodowych obrządkach obok swoich księży i biskupów, pastorów, także i rabinów, nauczył się nierozróżniać narodowości według pojęć religijnych i uszanował wolność sumienia. Protestanci zaś i

starozakonni, nie odepchnięci ale przygarnięci przez katolików, nie uważali się odtąd za ciało odrębne od reszty narodu i działali jako Polacy. Jedność narodowa znalazła nowy fundament w braterskim i pełnym wzajemnego dla siebie poszanowania stosunku różnowierców, a miasta nasze, napełnione Żydami i Niemcami, odrazu stały się polskiemi. Takie to owoce wydała cicha praca ludzi takich jak: Ksawery Szlenker, Kwiatkowski Józef, Baer Majsels, Karol Ruprecht, ks. Józef Wyszyński, ks. Stecki, Józef Ignacy Kraszewski, Matias Rosen, jenerał Lewiński i inni towarzysze Szlenkera w Delegacji miejskiej.

Delegacja miejska utworzoną została w skutek wypadków 27 lutego 1861 w Resursie kupieckiej, której Szlenker był członkiem a później dyrektorem. Wiadomo, że z tego gmachu w nocy udała się deputacja miejska na zamek do kniazia Gorczakowa, namiestnika carskiego, ze skargą na dopełnione bezprawia przez wojska moskiewskie na bezbronnej ludności i z żądaniem zadosyćuczynienia. Szlenker był naczelnikiem i mowcą deputacji.

Stanąwszy przed wszechwładnym panem Warszawy, „książe, rzekł do niego Szlenker po francuzku, z skrwawionem i boleścią przepełnionem sercem stawa deputacja obywateli miasta przed waszą książęcą mością, by jej wyrazić zgrozę i boleść nad wypadkami dnia dzisiejszego. Krew płynęła niewinnych i spokojnych obywateli; religia obrażona w znieważeniu Krzyża Świętego i w zelżeniu kapłanów. Lud zraniony w najświętszych swych prawach, nie

ma wiary w rządzie, widzi się zdradzonym. Nie sądź wasza książęca mość, że policja, bagnety, żandarmy dzisiaj lud zastraszą. Waszej książęcej mości złe dają rady."

Takim tonem i tak śmiało przemawiał kupiec, znany z umiarkowanych opinij, reprezentant ujarzmionego miasta, do namiestnika carów, przed których posłami ostatni niepodległy jeszcze król polski, wojewodowie, kasztelani i hetmani ośmnastego wieku, głosu z pokornego tonu podnieść nie śmieli. Mowę tę zachowa historja jako dowód wzrostu godności i żywotnych sił w narodzie w ciągu nieszczęść, boleści i prześladowania narodowego.

Deputacja osiągnęła o co upominała się: pozwolenie pogrzebu uroczystego pięciu zabitych przez Moskali ofiar, pozwolenie utworzenia Straży bezpieczeństwa i Delegacji miejskiej, która stała się przewodniczką ruchu narodowego w najpiękniejszej epoce jego rozwoju, aż do rzezi 8 kwietnia 1861 r.

W Resursie kupieckiej zgromadzała się wtedy liczna publiczność. Szlenker codzień otoczony tłumem publiczności, ze stołu lub z krzesła oznajmiał jej o rezultacie prac i usiłowań Delegacji, do których należy zasługa usunięcia z urzędu znienawidzonego Muchanowa, tyrana Polski a prawdziwego wielkorządcy w Warszawie.

Nie będziemy tu opowiadać dziejów Delegacji miejskiej, której duszą i urzędowym mowcą był Szlenker. On to prowadził negocjacje z Pauluzim, z namiestnikiem, on do niego przemawiał, codzień prawie zyskując dla miasta i kraju jakieś nowe

ustępstwo. Gorczakow nazywał Szlenkera Cavourem. Nie był on jednak dyplomatą, był tylko uczciwym a rozumnym człowiekiem, gorąco a mądrze Polskę kochającym.

Przezorność, cierpliwość, wytrwałość, takt, umiarkowanie, przytomność, bystrość, odwaga i inne zalety męża stanu, nawet we wrogu wyrobiły wysokie o Szlenkerze rozumienie i szacunek. Wśród ludności zaś warszawskiej był on podówczas jednym z najpopularniejszych ludzi. Jedno słowo jego wystarczało, ażeby powstrzymać coraz groźniej piętrzące się namiętności ludowe. Później, niestety! już i powaga tyle ulubionego Szlenkera nie mogła zatrzymać prądu, którego gwałtowność wzmagała wzrastająca niezręczność i represje rządu.

W czasie rzezi pod kolumną Zygmunta III. na placu zamkowym 8 kwietnia 1861 roku, Szlenkier z największem niebezpieczeństwem życia przedarł się do zamku przez tłumy ludu i wojska strzelającego do tegoż ludu. Gorczakow przyjął go wzruszony do najwyższego stopnia. — Trząsł się starzec jakby miał febrę. W końcu oprzeć się musiał o stół dla ukrycia głębokiego poruszenia, które nim miotało. Szlenkier wymownemi słowami nalegał i błagał o wydanie rozkazu zatrzymującego rzeź bezbronnego ludu. Odgłosy strzałów zdawały się popierać przedstawienie i prośbę szlachetnego kupca, ale nie poparł jej obecny przy audiencyi margrabia Wielopolski i missya Szlenkera nie odniosła skutku.

Po ogłoszeniu stanu oblężenia w Królestwie Polskiem, Szlenker aresztowanym został przez Mo-

skali 20 października 1861 r. i osadzony w cytadeli a następnie wywieziony do fortecy w Modlinie, zkąd po kilkomiesięcznem więzieniu, w skutek amnestyi uwolnionym został.

Prześladowanie moskiewskie, cierpienia więzienne, nie złamały w nim energii, nie zniechęciły do służby narodowej, ani też nie odebrały mu humoru. Z więzienia wyszedł jak zawsze uśmiechnięty, wesoły, cichy i gotowy do pracy a dla każdego przystępny.

W czasie powstania 1863 r. syn jego, Józef, wzięty do niewoli, skazany został do kopalń w Nerczyńsku [1]). Cios ten nie złamał również odwagi ojca, na którego głowę nadciągała nowa burza. W handlu Szlenkera, urzędnicy Ministerstwa wojny Rządu Narodowego, odbierali od znanych sobie ludzi ze sztabu moskiewskiego potrzebne o działaniu komendy carskiej wiadomości i plany. Gdy przy nachyleniu się powstania do upadku, natrafiono na ślad tych komunikacyj, Szlenker unikając aresztowania, za paszportem przysłanym mu przez Rząd Narodowy, wyjechał w październiku 1863 otwarcie przez granicę do Torunia, miasta rodzinnego jego przodków. Ztamtąd udał się do Berlina, Drezna,

[1]) Drugi syn Szlenkera Ksawery walczył także w szeregach powstańczych. Po upadku powstania emigrował i znajdował się przy ojcu w Paryżu. Po śmierci ojca, powrócił za pozwoleniem rządu moskiewskiego do Warszawy. Pomimo amnestyi uwięziony i osadzony w cytadeli, następnie wywieziony na wygnanie do Wołogodzkiej gubernii, tam z przeziębienia umarł.

Lipska, Paryża i Londynu w celu uratowania resztek majątku swego. Moskale naznaczyli mu 20 dni do powrotu. Gdy nie wrócił, handel jego sprzedali na licytacyi.

Na emigracyi w Paryżu założył dom komisowy. Szczęśliwym obrotem interesów zrestaurował w części znaczny swój majątek, przez wypadki polityczne zmniejszony.

W mieszkaniu jego elegancko a skromnie umeblowanem na ulicy Lafayette, odbywały się posiedzenia Komitetu Naukowej Pomocy w emigracyi, którego był jednym z najczynniejszych członków. Pełniąc obowiązki kasjera Komitetu, gorliwie pracował nad pomnożeniem jego funduszów, dokładając nieraz z własnej szkatuły, wypłacał co miesiąc pensye ośmdziesięciu stypendystom przez towarzystwo wspieranym, tym zaś co byli na prowincyi, wysyłał pieniądze pocztą; obszerną korespondencję z tego powodu sam prowadził, zbierając skrzętnie wiadomości o nauce i konduicie wspieranej młodzieży.

W jego domu bardzo gościnnym i hojnym schodzili się ludzie różnych przekonań, a zawsze wychodzili zbliżeni i pojednani, jeżeli byli poprzednio w niezgodzie.

Otaczać się lubił Szlenker młodzieżą, a prócz tych, których wspierał urzędownie jako kasyer Komitetu, utrzymywał z własnych funduszów zawsze kilku, pięciu lub sześciu uczących się, płacąc każdemu miesięcznie po 125 franków. Co rok wydawał przytem tysiące na wsparcie starców, kalek, bie-

dnych rodzin, niezamożnych literatów i artystów. Często osoba wsparta przez niego nie wiedziała zkąd jej pomoc w nagłej potrzebie nadeszła. Zjawiał się w mieszkaniu komissjoner z koszem, w którym była kawa, cukier, herbata i inne produkta i zostawiał go, nieumiejąc powiedzieć nazwiska osoby, od której dar pochodził.

W ten sposób Szlenker postępował. Lewica nie wiedziała co dawała prawica, a dary jego były nieraz bardzo znaczne, bo nie jednej rodzinie meble, sprzęty kuchenne i ubranie nawet sprawił. Po śmierci znaleziono u niego kwity na dwadzieścia kilka tysięcy franków, rozdanych pomiędzy ubogich emigrantów. Prawdziwy dobroczyńca ludzkości, wspierał nie tylko emigrantów ale i biednych Francuzów; Niemcy garnęli się też do niego z wielkiem zaufaniem. Bywało, że na kilka dni przed pierwszym którego z miesięcy, samemu nie starczyło na drobne wydatki i pożyczał po kilkanaście franków i więcej od przybliżonych osób. Nad budżet bowiem miesięczny, nigdy nie brał nic z kassy domu komisowego. Był przytem wielce rachunkowy i oszczędny. Wydał 100 franków na wsparcie, ale gniewał się, gdy kto kawałek papieru białego rzucił niepotrzebnie albo robił notatkę na listowym papierze. On na to przeznaczał obrzynki.

Tworzył sobie bibliotekę, zakupując dzieła wyborowe i czytał je od deski do deski wszystkie. Chętnym czytania wypożyczał je, ale gdy mu książki ginęły, stał się w rozdawaniu skąpszym. Gazety miejscowe czytywał wieczorami i po obiedzie. Ra-

żony apopleksyą w 1868 roku, nie mógł już po tem tyle się oddawać czytaniu. Musiała mu młodzież czytywać gazety.

Pracy swej winien wyższe wykształcenie. Znał dobrze historyę, a w każdej rozprawie politycznej, handlowej, społecznej, koledzy wielce cenili zdanie Szlenkera, szlachetne zawsze i praktyczne. O każdym pomniku i domu historycznym w Warszawie i w Paryżu miał wiele do powiedzenia.

Jeżdżąc w interesach kupieckich po Europie, chwile swobodniejsze poświęcał zwiedzaniu miejsc sławnych lub pięknych z książką w ręku.

Latem 1870 r. wyjechał do wód w Marienbaden w Czechach. Wojna pomiędzy Prusami a Francyą przeszkodziła mu powrócić do Paryża. Bawił więc jakiś czas w Baden pod Wiedniem, potem w Bazylei, zkąd pojechał do Nicei.

Z nad Śródziemnego morza do jednego z przyjaciół swoich krótko przed śmiercią, w następujący sposób opisał stan swej choroby: „Siedzę w Nicei — nudzę się — tęsknię — słabnę ciągle — kaszlę zawsze jednakowo — oto obraz mojej egzystencyi. Wyczekuję jak wszyscy ukończenia tej nieszczęsnej wojny, a smutno pomyśleć, że jeżeli to przecież raz nastąpi, to z zupełnem upokorzeniem Francyi! Tyle miesięczną bezczynnością i samotnością jestem wielce zmęczony i znudzony, i to pewno przyczynia się, że do zdrowia przyjść nie mogę. Niepokoję się i tęsknię — zdaje mi się często, kiedy godzinami sam w pokoju siedzę, że jestem więziony jak to ongi w roku 1862 — porywa mnie więc niepokój i

tęsknota większa. Gwałtem wyrywać się muszę z tych myśli, a co najbardziej mnie martwi, że się robię apatycznym, obojętnym na wszystko. Plika listów leży przedemną, a nie mogę na nie odpowiedzieć, znana wam dawniej była akuratność moja w tej mierze. Cóż robić, trzeba tę krizys przetrwać, może też ze zmianą miejsca, otoczenia i zajęcia, dawny humor i zdrowie wróci.“ Dalej wypowiadał niepokój o byt rodaków w Paryżu, troszczył się o los weteranów i sierot polskich, któremi się opiekował w Juvisy pod Paryżem, zajętym przez Prusaków. Pisał tam listy ale nie miał odpowiedzi.

Smutne przeczucia, tęsknota i ów niepokój nie omyliły Szlenkera. Dnia 15 marca 1871 r. znaleziono go na łóżku siedzącego już martwego. Umarł na apopleksyę. Żył lat 57.

Śmierć Szlenkera smutkiem przejęła Warszawę i emigracyę. Gdy ciało sprowadzono do Paryża, za trumną jego wieziona na Pére Lachaise 14 kwietnia 1871 r. postępował długi szereg tułaczów, oddających tem licznem zebraniem hołd pamięci zasłużonego Polaka i dobroczyńcy ludzkości.

Nad grobem przemówił po francuzku pastor protestancki. Edward zaś Siwiński, były członek Rządu Narodowego, po polsku: „Chowamy jednego z najlepszych z pomiędzy siebie“, powiedział rozrzewniony mówca i powiedział prawdę, w tym grobie leży jeden z najlepszych obywateli nieszczęśliwej ojczyzny.

Gdy padająca na trumnę obca ziemia, głuchem echem odbijała się o wieko, kryjące przyjaciela ludz-

kości, w sąsiedztwie przy odgłosie bębnów chowali Francuzi gwardzistę narodowego, poległego w bratobójczej wojnie Komuny z Wersalczykami pod Neuilly. Spojrzałem z rozdartem sercem na ofiarę największego z nieszczęść z Francyi i spojrzałem ze wzgórza, na którem staliśmy. Widać ztąd było cały od horyzontu do horyzontu zabudowany, majestatyczny w swoim ogromie Paryż i słychać było huk granatów padających na jego pałace. Smutne czasy! nie zapomnę tego pogrzebu w bombardowanem mieście!

DWAJ KUPCY WARSZAWSCY.

II.

JÓZEF KWIATKOWSKI.

Dopiero co opisaliśmy życie Ksawerego Szlenkera, teraz kreślić nam przychodzi czyny jego przyjaciela i szwagra. Szlenker i Józef Kwiatkowski kochali się, wspierali i zawsze tak w złej jak w dobrej doli byli z sobą razem. Nazywaliśmy ich Kastorem i Poluxem. Jakoż przedstawiali na emigracyi wzór prawdziwie braterskiego pożycia. Jak zaś byli wzorem przyjaźni tak też byli i przykładem cnót obywatelskich. Warszawa, która ich wydała, szczyci się nimi, kupiectwo zaś, do którego należeli, znalazło w ich postaciach dobre typy, które na zawsze pozostaną w kronice ojczystej tem — czem został dla rzeźników Morawski konfederat barski, a dla szewców Jan Kiliński, to jest chlubą stanu, oraz ideałem obywatela, zrównać któremu zawsze będzie zasługą. Oby kupcy polscy we wszystkich swoich

czynnościach za wzór sobie godny naśladowania brali Szlenkera i Kwiatkowskiego!

Józef Kwiatkowski urodził się w Warszawie w roku 1822. Ojciec jego nosił imię Wacław, matka Franciszka z Badenerów, rodem z Alzacyi, żyje dotąd i liczy 71 rok życia. Rodzice dali Józefowi staranne wychowanie. Szkoły skończył u księży Pijarów. Zkąd wyszedłszy, dobrze nauką przygotowany do zawodu handlowego, rozpoczął praktykę kupiecką w Warszawie. W kilka lat potem został kupcem i właścicielem sklepu bławatnego.

Któż znający Warszawę w ostatnich latach przed styczniowem powstaniem, nie przypomina sobie magazynu na ulicy Miodowej o wielkich krzyształowych szybach, po za któremi z największym gustem porozwieszane bywały sztuki materyi, szale, chustki i eleganckie damskie stroje? Był to magazyn Kwiatkowskiego, nad który lepiej i wytworniej urządzonego Warszawa nie posiadała. Trudno też było o grzeczniejszego i więcej uprzejmego kupca. Średniego wzrostu, blondyn o wyrazistych, błękitnych oczach i kształtnych rysach, Kwiatkowski już samą powierzchownością swoją budził w kupującym zaufanie. Obejście przytem okazywało człowieka jak najlepiej wychowanego. Uprzedzający życzenia, cierpliwy i wymowny, Kwiatkowski stał się wkrótce kupcem najlepszej opinii używającym. Sumienny a rzetelny, nigdy nie zalecał złego towaru, nigdy też na czas nie chybił.

Ta jego akuratność, sumienność i nadzwyczajna ruchliwość, odbiły się potem w życiu publicznem,

gdy szacunek jakiego używał i zaufanie ogółu współobywateli, powołały go od łokcia z poza stołu kupieckiego do pełnienia obowiązków obywatelskich. Wybrany na sędziego handlowego wykonywał urząd swój w Trybunale handlowym, z zadowoleniem powszechnem. Zostawszy członkiem Bractwa literackiego przy kościele metropolitalnym Ś. Jana w Warszawie a następnie Dyrektorem Resursy kupieckiej, obie te instytucye rozwinął i pożytecznie rozszerzył. Lecz ogromny zasób talentu organizatorskiego okazał dopiero w zupełności w czasie manifestacyi.

Po krwawym dniu 27 lutego 1861 roku i po utworzeniu Delegacyi miejskiej, gdy kniaź Gorczakow pozwolił sformować Straż bezpieczeństwa w Warszawie, zorganizowanie takowej Delegacya powierzyła Józefowi Kwiatkowskiemu. Wziął się on bardzo praktycznie do rzeczy. Niespoczywając przez 24 godzin, w ciągu jednej doby sformował Komitet Straży bezpieczeństwa, którego był prezesem, zebrał ludzi, przeprowadził wybory na setników i dziesiętników i zupełnie zorganizowaną z 1200 ludzi złożoną straż oddał do dyspozycyi Delegacyi miejskiej.

Przez dni 40 Straż bezpieczeństwa utrzymywała porządek w Warszawie. Nigdy w tem mieście nie było większego bezpieczeństwa. Złodziejstwa prawie nie było przykładu, rozpusta, która za czasów policyi moskiewskiej opanowała ulice, gdzieś się przyczaiła i schowała. Członkowie Straży bezpieczeństwa rozstrzygali spory, godzili waśnie i ugruntowali myśl polską w najniższych warstwach ludności. Zawstydzenie było środkiem karzącym, a we-

zwanie w imię miłości Ojczyzny zastępowało wszystkie sposoby przymusowe zwyczajnych policyj.

Najpodnioślejszy i najlepiej zrozumiany duch polski ożywiał zastęp, któremu przewodniczył Kwiatkowski. Działał on w kierunku równouprawnienia stanów, i jeżeli żydzi warszawscy poczuwają się Polakami, nie mało się do tego przyczynili owi konstablowie, których Kwiatkowski był jenerałem.

Skromny, nie błyszczał na urzędzie, ale stał się na nim wielką powagą przez nadzwyczajną czynność. Nic nie uszło jego uwagi, wszędzie był, we wszystko wejrzał, — a w téj jego czynności bardzo mu wiele dopomagała wymowa. Kwiatkowski mówił bardzo pięknie, po polsku, po francuzku i po niemiecku, a gdy się zapalił, o co u niego nie było trudno, stawał się przekonywającym mówcą. Lubili go też wszyscy. Na święconem, które w swoim domu wyprawił w r. 1861, nie brakło żadnego konstabla, i tam to pomiędzy nimi zrodziła się myśl organizacyi narodowej, która potem objęła kraj cały.

Zniesienie zwyczajów, które z korporacyj rzemieślniczych wykluczały żydów, Kwiatkowskiego jest dziełem. Pamiętamy przemowę, jaką miał wtedy do zgromadzonych majstrów w Resursie. Była krótką, a wszystko, co potrzeba, w niej powiedział. „Polska wymaga, mówił, ażeby wszyscy, co się w niej zrodzili, poczuwali się braćmi. Usuńmy przesądy, które nas różnią. Sumienie należy do Boga, niechaj więc nas religia nie dzieli. Żydzi ginęli w dniu 27 lutego wraz z chrześcianami, — ich

krew złączyła się z krwią chrześciańską, — pokazali się takimi jak my Polakami, więc nie odpychajmy ich od siebie. Czy się zgadzacie nie robić odtąd żadnej w swoich warsztatach różnicy pomiędzy chrześcianinem a żydem? Czy się zgadzacie przypuścić do cechów żydów?“ — „Zgadzamy“, była jednomyślna odpowiedź, i odtąd średniowieczne przesądy, z różnicy religii wynikające, znikły pomiędzy rękodzielnikami warszawskimi.

Po zniesieniu Delegacyi i Straży bezpieczeństwa, ludzie, którzy do niej należeli, ciągle się z sobą porozumiewali, Kwiatkowski zaś był osobą, która najwięcej patrjotów u siebie gromadziła. Wywierał jak dawniej znaczny wpływ na wypadki, i był jedną z najwybitniejszych figur ówczesnego ruchu. Należąc do umiarkowanego stronnictwa, dzielniej niż kto inny powstrzymywał demagogów, a to dzięki sympatyi, jaką posiadał we wszystkich partjach.

Wiadomo, że demagogja odrzucając koncesje nadane Królestwu Polskiemu, oświadczyła się przeciwko wyborom do Rad powiatowych i miejskich. W Warszawie zapaleńcy grozili nawet napadem na salę wyborów i rozbiciem urn. Kwiatkowski z innymi poskramiał ich zapędy. Pod jego okiem wybory odbyły się spokojnie. Wszyscy kandydaci do Rady miejskiej, naznaczeni przez Komitet wyborczy, u niego w domu obradujący, jednogłośnie wybrani zostali. Burza, którą sprowadzić chcieli demagodzy, przeszła więc tym razem bez hałasu.

Wkrótce potem umarł arcybiskup Fiałkowski, który szczerze przystąpił do ruchu narodowego i na łożu jeszcze śmiertelnem zalecał duchowieństwu, aby trzymało z narodem.

Uznanie, jakie patrjotyczne zachowanie się zjednało w publiczności zmarłemu arcybiskupowi, wyraziło się z szczególną jednomyślnością na jego pogrzebie d. 10 października 1861 roku. Kwiatkowski wraz z innymi zajął się urządzeniem żałobnego obrzędu. Żaden król wspanialej chowanym nie był. Nad głowami przeszło stutysięcznego ludu powiewały chorągwie polskie. Duchowieństwo wszystkich wyznań, niewyjmując żydowskiego, wzięło w pogrzebie udział, a liczne chłopów deputacye assystowały przy tym obrzędzie, który był podobnie jak pogrzeb pięciu ofiar w dniu 2 marca, także przez Kwiatkowskiego głównie urządzony, jedną z najwspanialszych manifestacyj narodowego uczucia.

Na drugi dzień po pogrzebie arcybiskupa, Kwiatkowski zawiózł deputacye włościańskie na mogiłę pięciu poległych. Przed wyjazdem zaś z Warszawy, urządził dla nich w hotelu Europejskim ucztę, podczas której nastąpiło zbratanie się Warszawian z chłopami. Tłumy warszawskiego ludu odprowadziły potem miłych gości na dworzec kolei żelaznej w Alei Jerozolimskiej. Żegnano się ze łzami w serdecznych uściskach. Mowy włościan z wagonów przeniknięte były najczystszym patrjotyzmem. Pociąg wreszcie ruszył, a z niego krzyże błogosławieństwa robili nad stolicą Polski, braterskiem uczuciem Warszawian rozgrzani chłopi. Odjechali —

lecz za nimi biegło echo wspaniałego śpiewu: „Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie!“

W kilka dni później ogłoszono stan oblężenia. Nastąpiło niebywałe w dziejach osaczanie kościołów, ich zamknięcie i owa traiczna scena pomiędzy namiestnikiem Lambertem a jenerałem Gerstenzwejgiem. Brutalna dłoń żołnierza zaciążyła nad udręczonym niewolą krajem. Patrjotów, którzy w minionych wypadkach odznaczyli się pracą i poświęceniem, rząd moskiewski aresztować kazał. Na liście proskrybowanych znajdował się przed innymi Józef Kwiatkowski. Wcześnie zawiadomiony o losie, jaki mu zgotowała przewrotność moskiewska, wyjechał z Warszawy i schronił się za granicą.

W Paryżu doczekał się Kwiatkowski powstania 23 stycznia 1863 r. Powstanie przedwcześnie wybuchłe potrzebowało przedewszystkiem broni. Sprowadzenie jej było sprawą pierwszorzędną. Jeżeli zaś zważymy, z jakiemi trudnościami połączony był transport, przyznać musimy, że dostarczanie jej powstańcom należało do zadań najbardziej zawikłanych. Omylić policye prawie wszystkich krajów, popchnięte spiskiem istniejących wtedy rządów, do wspólnego przeciwko powstaniu naszemu działaniu; przewieźć tajemnie przez kilka granic ukrytą broń — zaprawdę trudniej było niż wygrać bitwę. Kwiatkowski podjął się tej, zdawałoby się niepodobnej do wykonania missyi.

Mianowany głównym ajentem do zakupywania broni w Wiedniu, ztamtąd różnemi drogami i róż-

nymi sposobami, często niezmiernie dowcipnymi, wyprawiał broń na pole bitwy.

Ze wszystkich ajentów broni, on jeden nie ściągnął na siebie nagany Rządu Narodowego, wszystkie bowiem przez niego wyprawiane transporty doszły na miejsce przeznaczenia, ani jeden nie dostał się w ręce czyhającej policyi. Rachunki zakupu i dostawy prowadził jak najporządniej i takowe wraz z świadectwami, z kwitami i z licznymi dowodami złożył w Izbie Obrachunkowej, którą Rząd Narodowy dla odebrania rachunków od dowódzców, urzędników oraz ajentów powstania, ustanowił w Paryżu. Archiwum Izby Obrachunkowej znajduje się w bezpiecznem miejscu i kiedyś nieprzyjacioł powstania przekona, że przeniewierstwa, o których tyle mówili i pisali, nie były tak liczne.

Po upadku powstania, Kwiatkowski opuścił Wiedeń i udał się do Paryża, gdzie stale zamieszkał. W tym czasie rząd moskiewski targnął się na jego majątek, sprzedał handel w Warszawie i przyprawił go o straty, które, jak nam sam mówił, dochodziły do wysokości 700,000 złotych polskich. Kwiatkowski jednak bynajmniej się nie skarżył na straty, ani też chwalił się z ofiar, jakie poniósł dla Ojczyzny, ale jak zawsze praktyczny, wziął się napowrót do handlu, i prowadząc interesa komisowe w Paryżu, zrestaurował chociaż w pewnej części swoją fortunę. Należał on pomiędzy nami na emigracyi do majętniejszych, a pomiędzy majętnymi do najlepiej używających zarobionego grosza.

Nie tyle szczodry co Szlenker, którego zasoby były znaczniejsze, Kwiatkowski przecież nie pominął żadnej biedy. Pożyczał on bez zamiaru odebrania rodzinom polskim, rzuconym bez pieniędzy na bruk paryzki, wspierał hojną ręką młodzież uczącą się, i utrzymywał zaszczytnem kalectwem za Ojczyznę odznaczonych. Na kilka dni przed śmiercią kazał żonie i córce, które go z nadzwyczajną troskliwością w ciężkiej chorobie pielęgnowały, spalić przy sobie stosy różnych kwitów, świadczących o jego dobroczynności, nie chciał bowiem, aby wiedziano, komu dobrze czynił, komu pożyczał, i od kogo się mu wdzięczność należy.

Człowiek tak uczciwy i czynny jak Kwiatkowski, nie mógł pozostać na boku żadnej zbiorowej pracy. Do wszystkich też przedsięwzięć w emigracyi, dobro publiczne mających na celu, zapraszano go, — do żadnego jednak nie wziął się z takim zapałem, jak do prac założonego przez piszącego te słowa Komitetu Naukowej Pomocy, którego był jednym z najużyteczniejszych członków. Żadnego posiedzenia owego Komitetu nie opuścił, dla żadnej sprawy tam poruszonej obojętnym nie był. Gdy dla braku funduszów koledzy gotowi byli odmówić stypendjum uczniowi, starającemu się o wsparcie, oświadczał się zawsze za udzieleniem. „Opatrzność nam naszą kassę zapełni“, mawiał, i zapełniała przy staraniach takich ludzi jak: Karol Ruprecht, Jan Działyński, Ksawery Szlenker, Józef Kwiatkowski, ks. Roman Wilczyński, Józef Rustejko, Aleksander Chodźko, Ludwik Nabielak, Seweryn

Goszczyński, Kazimierz Szulc i inni członkowie Komitetu Naukowej Pomocy.

Kwiatkowski sporządził puszkę u siebie, w którą każdy z odwiedzających go musiał cośkolwiek grosza wrzucić dla uczących się młodzieńców, których przeszło 80 wspierał Komitet miesięcznemi, regularnie wypłacanemi zapomogami. Troskliwie zbierał wiadomości o położeniu każdego ucznia, a nieraz w potrzebie, gdy pieniędzy publicznych zabrakło, dawał z własnej kieszeni.

Komitet Naukowej Pomocy prócz wspierania uczącej się młodzieży, miał zadanie pracować dla rozwoju nauki i dla obudzenia w emigracyi ruchu naukowego. W tym celu potworzone zostały przy komitecie osobne wydziały. W jednym z nich, a mianowicie w wydziale konferencyjnym złożonym z Ruprechta, Gillera i Kwiatkowskiego, ostatni wziął najczynniejszy udział. Do dwóch wyżej wymienionych należało naukowe kierownictwo tak zwanych konferencyj czyli publicznych wykładów, do Kwiatkowskiego ich urządzenie. Wywiązał się on ze swego obowiązku w taki sposób, że zwabiał na wykłady, odbywające się w wielkiej, wspaniałej sali na Rue Cadet (Nr. 16) z połowę emigrantów, zamieszkałych w Paryżu. Po tysiąc osób bywało na wykładach, a zajęcie się nimi było powszechne. Kwiatkowski rozsyłał bilety, witał każdego przy wejściu, każdego żegnał przy wyjściu, a co kto chciał, rzucił przy nim na talerz na zapłacenie kosztów wynajęcia sali.

Prócz wykładów, urządzone zostały przez niego w tejże sali koncerta deklamacyjno-muzykalne, które dając pole do popisu, wyrabiać miały młodych artystów naszych. Bez Kwiatkowskiego ani wykłady, ani koncerta nie byłyby się udały.

Brał on także czynny udział w uorganizowaniu Wydziału przemysłowego przy tymże Komitecie, gdy niespodziewanie wybuchła wojna francuzko-niemiecka przerwała wszystkie te użyteczne prace.

Kwiatkowski był człowiekiem gorącej wiary w przyszłość. Ze słowa panującego lub ministra, z noty dyplomatycznej, ze zmiany posła, z każdego wypadku wyciągał pomyślny horoskop dla Polski. Nadzieją, jaka go ożywiała, wszystkich napełniał. Dusze nawet znękane, w zwątpieniu pogrążone, do rozpaczy skłonne, słuchając go ogrzewały się i w końcu wierzyły, że niedługo pojedziemy do Warszawy wolnej.

Niedziw, że przy takiem usposobieniu początek wojny francuzko-pruskiej zdawał się mu ziszczeniem nadziei dla ukochanej Polski. Rozczarowanie też, jakie później nastąpiło, uczuł dotkliwiej od innych. Klęski Francyi, można powiedzieć, zabiły go. On, który tak wierzył we Francyę, którą kochał jak siostrę Polski, zobaczył ją później z własnej winy upadłą, poniżoną, wypierającą się Polski, pokonaną przez Prusaków, i rozdartą przez wojnę domową. Gdy powalonego przez chorobę na łoże ciężkiej boleści odwiedziłem i uścisnąwszy dłoń przyjaciela pytałem o zdrowie i przygody, jakie przebył podczas wojny, — Kwiatkowski na wspo-

mnienie Francyi podniósł smutne oko w górę i łzą w niem odpowiedział na moje zapytanie. Ale nie uprzedzajmy wypadków. Kwiatkowski nie zrażał się żadnemi klęskami. Ani Sedan, ani poddanie Metzu, ani oblężenie Paryża nie odebrało mu otuchy. Był on duszą ożywiającą gromadkę Polaków w Paryżu, których rząd 4 września 1870 dla przypodobania się Moskwie, nie chciał nawet użyć do obrony zagrożonego miasta. Znane są smutne dzieje usiłowań, jakie Polacy dla usłużenia Francyi robili, i odsuwanie pomocy, którą ofiarowali. Mieli własną broń, własne pieniądze na umundurowanie się, nic to jednak nie pomogło — kapitulant Trochu słyszeć o polskim legionie nie chciał. Niemogąc sformować osobnego oddziału w Paryżu, poszli więc wszyscy emigranci jako ochotnicy do batalionów gwardyi narodowej i wywiązali się w jej szeregach jak najchlubniej ze swoich obowiązków.

Na posiedzeniu Kółka patrjotycznego, które się przez czas oblężenia zbierało u Kwiatkowskiego albo w sali, w której się wykłady dawniej odbywały, p. A. K. podał myśl, ażeby Polacy, wstępując do gwardyi narodowej, własnym kosztem sprawili sobie mundury. Projekt był przyjęty a Kwiatkowski był najsumienniejszym i najzręczniejszym jego wykonawcą. Rozrzuceni po wszystkich batalionach, kompaniach, plutonach, a nawet sekcyach Polacy, przyzwoicie własnym kosztem zostali przez niego umundurowani. Oszczędności z wydatków na mundury pozostało dzięki praktyczności

Kwiatkowskiego, zostały oddane na podtrzymanie zagrożonej niedostatkiem szkoły Batigniolskiej.

Kwiatkowski służył także jako ochotnik. Wszyscy gwardziści w batalionie lubili go nadzwyczajnie. Gdy który upił się lub nie przyszedł na służbę, co się niestety zbyt często między Francuzami wydarzało, Kwiatkowski stawał za niego na okopach. Dawał on z siebie Francuzom przykład spełniania powinności, zachęcał do niej, w wątpiących wiarę odgrzewał, tytułu żadnego i wyboru na oficera nie przyjął, a podziwiany lecz niestety za mało naśladowany, doczekał się kapitulacyi miasta.

Uczuł on więcej, niż sami Francuzi hańbę, jaka ich spotkała. Niezmiernie zaś trudami oblężenia osłabiony, podczas którego nie mogąc się przyzwyczaić do końskiego mięsa, nie jadł nic, prócz chleba, herbaty i śledzi, wkrótce po wejściu Prusaków do miasta ciężko zachorował.

Choroba jego była długą i niezmiernie boleśną. Cierpiał nadzwyczajnie, a cierpliwością i żywotnością swoją zadziwiał lekarzy. Pielęgnowany przez przyjaciół a potem przez żonę i córkę, które przez 5 miesięcy nie odstępowały jego łoża, wyspowiadawszy się i przyjąwszy Sakramenta z rąk księdza Romana Wilczyńskiego, umarł z pogodnym umysłem o godzinie 11 i pół przed południem dnia 13 października 1871 r. w Auteuil w Paryżu. Pozostało po nim pięcioro sierót: Józefa, Władysław, Stanisław, Wanda i Wacław, wdowa Józefa z Zeltów Kwiatkowska i długi żal wszystkich co go kochali i szanowali.

Pogrzeb odbył się dnia 16 października z kościoła Notre Dame de Lorette. Pogoda była prześliczna. Za trumną postępowała rodzina, współtułacze i wielu znajomych nieboszczyka Francuzów. Kwiatkowski życzył sobie, ażeby go pochować na cmentarzu Père Lachaise obok przyjaciela Szlenkera. Życzeniu jego stało się zadość. Od bramy cmentarnej aż do grobu nieśli trumnę współtułacze.

Nad grobem miał mowę ks. Roman Wilczyński. Wykazywał w zmarłym cnoty, jako chrześcianina, jako męża, ojca rodziny i jako wiernego syna Polski. Powszechne rozrzewnienie, smutek i łzy przytomnych świadczyły słowom kapłana.

Po skończonej mowie ks. Wilczyńskiego, są słowa listu jednej zacnej Polki, wystąpił na brzeg grobu, skromnie ubrany młody człowiek, Francuz, kolega z szeregów gwardyi narodowej Kwiatkowskiego, i mówił, że wyrazem sympatyi łączącej Francyę z Polską był oto ten zmarły jego przyjaciel. „To mnie ośmieliło, rzekł dalej, wstąpić w wasze koło dla złożenia dowodu wdzięczności za przecierpiane boleści jego w czasie nieszczęść mojego kraju. Myśmy wątpili, ale on wierzył w zwycięztwo Francyi, i dodawał nam odwagi, bo był to człowiek z rzadkich dziś ludzi, on był ufny wiarą w Boga, w miłość rodziny i w miłość kraju.“ Zwracając się do żony i do krewnych, z prawdziwem uniesieniem i ze łzami w oczach, zawołał: „O! żebyście wiedzieli, jak on was kochał, jak tęsknił za wami i jak o was mówił! Żegnam Cię drogi przyjacielu, a wy ziomkowie jego przyjmijcie

to słowo czci od człowieka imienia nieznanego ale wdzięcznego serca!“

Wieniec nieśmiertelników złożony na trumnie Kwiatkowskiego Józefa, przez cudzoziemca, nikomu z obecnych nieznanego, śliczny to zaprawdę kwiat pamięci na grobie Polaka-tułacza!

AGATON GILLER.

WSPOMNIENIA Z POWSTANIA

WOJEWÓDZTWA MIŃSKIEGO

w roku 1863.

WSPOMNIENIA Z POWSTANIA
WOJEWÓDZTWA MIŃSKIEGO
w roku 1863

przez W. Koszczyca.

I.

Szkic organizacyi i powstania
WOJEWÓDZTWA MIŃSKIEGO.

Jednem z najciekawszych zjawisk naszego ducha patrjotycznego jest niezaprzeczenie siła, za pomocą której do dziś dnia zachowuje się spójnia pomiędzy rozdartemi członkami Rzeczypospolitej. Utrzymanie się tego głównego warunku bytu państwowego jest bodaj najlepszym dowodem, że praca, zmierzająca ku odbudowaniu naszej niepodległości, stoi na realnym gruncie i jako taka zapowiada zupełne powodzenie. Prawda ta nigdzie nie dała się dotykalniej sprawdzić, jak podczas ostatniego ruchu narodowego w latach 1861, 1862 i 1863 we wschodnich województwach litewskich. Jest to stratą

ogromną dla naszych dziejów porozbiorowych, że nieposiadamy pojedyńczych opisów organizacyi wraz z ruchami wojennemi w każdem z nich, wtedy dopiero urobilibyśmy sobie dokładne pojęcie o olbrzymiej sile, jaką posiada idea polska, i o rozmaitych stronach charakteru narodowego i inteligencyi naszej.

Podejmując się napisania monografii organizacyi województwa Mińskiego, oświadczamy z góry, że nie mamy w ręku dostatecznych materjałów a z innej strony obawiamy się narazić kogokolwiekbądź z pozostałych w kraju lub wydawać sekreta narodowe wrogom, przeto szkic ten uważamy za niezupełny pod wielu względami.

Zmarły w Galicyi Kornel Peliksza, cywilny naczelnik województwa Mińskiego z r. 1863, posiadał cały zbiór urzędowych dokumentów z czasów swego urzędowania, lecz w skutek niepojętych przyczyn, popalił wszystkie przed śmiercią, którą sam sobie zadał wystrzałem z rewolweru; na pozostających przy życiu członków organizacyi mińskiej wkładamy obowiązek wypełnienia lub sprostowania tego, co tutaj pokrótce zebraliśmy.

Nie mając dat ścisłych, a posługując się więcej pamięcią świadka naocznego i czynny udział przyjmującego w pracach przygotowawczych, na wstępie uważamy za konieczne zrobić wzmiankę o ogólnem usposobieniu patrjotycznem we wschodniej Litwie czyli na Białorusi, które pod wielu względami wyświetli nie jeden fakt, zaszły podczas czynnego wystąpienia województwa Mińskiego w r. 1863.

Mając większą część swego obszaru pokrytą kilkaset milowemi przestrzeniami kwadratowemi puszcz i błot leśnych oraz ludność wiejską wyłącznie białoruską, z małym wyjątkiem zaścianków szlacheckich, w których po zaborze kraju z utratą klejnotu szlacheckiego ustało nawet użycie języka polskiego, województwo to, wchodzące w skład dzisiejszej gubernii Mińskiej, nie tylko pod panowaniem moskiewskiem lecz i za czasów niepodległości Polski, nie okazywało ścisłej łączności z resztą ciała Rzeczypospolitej. Moskwa wiedziona instynktem najezdnika, jakby w przeczuciu tego co ma nastąpić z czasem, utrzymywała w niem czynniki zobojętnienia obywatelskich cnót, przez zorganizowaną propagandę schyzmatycką w Słucku, głową której byli książęta Olelkowicze. Na ostatku ze stale podkopujących byt narodowy przyczyn, niezawodnie było to, że tutaj więcej niż gdzieindziej rozwinęła się możnowładcza buta i swawola, do czego dopomagała szlachta, skarłowaciała na duchu panowaniem bez oporu nad poddanymi pośród swych odludnych dóbr i brzydkiem płaszczeniem się przed magnatami. Nie dziw przeto, że w podobnem społeczeństwie, po dokonaniu gwałtu rozbioru, utrzymały się tylko strzępki szaty idei narodowej: język u góry a religia u dołu, duch zaś jej błąkał się jak ognik błędny po nad ciemnemi puszczami i nieprzebytemi błotami.

Z innej strony zgroza i oburzenie porywa na lekkomyślność warszawską, uosobioną w rządzie centralnym Rzeczypospolitej, która wiedząc o tem,

że puszcze i błota na północno-wschodniej granicy Polski, stanowiły najmocniejszą barjerę przeciwko dzikiemu najazdowi wschodniemu, nie tylko nie pomyślała o sztucznem wzmocnieniu jej, lecz systematycznem lekceważeniem interesów wschodniej Litwy, dała możność dojrzenia zbrodniczej teoryi — poświęcania członków dla ocalenia całości. Ta głęboka nieznajomość znaczenia tych ziem, dotąd odbija się w pojęciu niektórych nawet światlejszych patrjotów; zdaje się im bowiem, że byle dostać do rąk Warszawę z ziemiami zamieszkałemi przez żywioły czysto polskiego pochodzenia, a już będą mieli Polskę. Pomijając niemoralność podobnego pojmowania sprawy, zapominają ci ludzie, że wpadają w ten sam circulus viciosus, w którym obracały się przedrozbiorowe pojęcia polityczne. Politycy nasi, nauczeni doświadczeniem, powinniby raz przyjść do tego przekonania, że Polska, nieposiadająca siły fizycznej, strategicznej, chociażby z Warszawą i Krakowem, pozostanie zawsze niedoczynem politycznym; posiadanie tylko szachownicy litewskiej, z kluczem jej pomiędzy źródłami Dźwiny i Dniepru, da jej możność stać się państwem silnem, rzeczywistem. Nie mówimy już o stałości przekonań i mocy charakteru litewskiego, najwięcej zdolnych do utrwalenia powagi państwowej. Moskwa podobno lepiej pojmuje ten sekret od nas; w skutek czego ile razy zajdzie mowa o możebności odbudowania Polski, stanowczo kładzie nacisk na to, że Litwy nigdy nie odda — albowiem mając tę ostatnią

w posiadaniu, jest ona pewną zdobycia na nowo i pierwszej przy nadarzonej zręczności.

W katechizmie politycznym Polaków, do rzędu dogmatów powinno być zaliczonem: *że jak nie ma Litwy bez Polski, tak również nie ma Polski bez Litwy całej.*

Pierwsze hasło do zbudzenia patrjotyzmu w Mińskiem przed r. 1831 dała masonerja, której loże istniały w rozmaitych punktach województwa. Po raz pierwszy pomyślano w nich o rozkrzewieniu zasady uogólniającej pojęcie obywatelstwa pomiędzy wszystkie warstwy narodu. Moskwa wcześnie dopatrzywszy niebezpieczeństwa, porozwiązywała je przed dojrzeniem pracy. Zarody atoli owoców propagandy masońskiej, rozpowszechnione pomiędzy oficerami litewskiego korpusu, dały możność pociągnięcia wielu wojskowych do organizacyi „*Przyjaciół ludu*“. Za krótko to wszystko atoli trwało, aby mogło było przekroczyć po za ramy spisku. Dla tego w r. 1831 widzimy niewiele pojedyńczych osobistości jak Prozor i Kiniewicz, którzy czynnie przez urządzanie na miejscu powstania usiłowali dopomódz ruchowi zbrojnemu. Wielu jednak obywateli białoruskich ucierpiało wtedy, a komissya śledcza, rezydująca w Głębokiem pod dyrekcyą Murawiewa-Wieszatiela, więzienia przepełniła obywatelami mińskimi, mohilewskimi i mnóstwo ich wygnała na Sybir, pokonfiskowawszy majątki. Nowogródzkie strony, jakkolwiek należące dzisiaj do gubernii Mińskiej, nie podciągamy do tego prze-

glądu, mając je za części innego województwa, zgodnie z pojęciami Rządu Narodowego.

Po listopadowem powstaniu i zawodach jakich doznano, szlachta całkiem upadła była na duchu, tak, że nawet zniesienie unii religijnej i wprowadzenie moskiewskiego prawodawstwa zamiast Statutu litewskiego, nie napotkało na najmniejszy opór. A co najboleśniejszego było w tém, to, że nie tylko w ujarzmionym narodzie, lecz i na emigracji nie pojmowano całej doniosłości tego szatańskiego zamachu. Emigracja pracowała nad uwolnieniem ludu, a nie widziała czy nie chciała widzieć, jak rozrywano najsilniejszy węzeł, wiążący ten ostatni z całością narodu. Powodując się więcej sercem jak głową, zamiast nieść pomoc narodowi w sprawie jego religii, którą mu wydzierano, w wielu razach przedwczesnem ujawnianiem naszych teoryj i zamiarów, podawaliśmy broń tylko do ręki wrogów. Do dziś dnia nie umiemy pojąć całej doniosłości tajemnicy stanu podbitego narodu i propagandy na czasie.

Cały przeciąg czasu pomiędzy 1831 r. a krymską wojną upłynął dla Mińskiego w przygnębieniu i w ciszy, przerywanej uwięzieniem spiskowych, wszystkie bowiem tajemne związki z Wilna rozszerzały się na Mińskie. W związku Konarskiego wielu obywateli tutejszych wzięło udział, toż samo w związku braci Dalewskich 1848 i 1849. Sprawa Melantowicza i Żeligowskiego wraz ze sprawą uczniów szlacheckiego (błahorodnego) pensjonatu, o wyrznięcie oczu w portrecie carskim (Lenkiewicz

skazany na 10 lat w sołdaty) ze sprawą uczniów Mińskiego gimnazyum, którzy byli wszyscy ochłostani, dowodzą, że i na miejscu bez wpływu Wilna konspirowano w Mińskiem, ale to na małą skalę. Kobiety czuły goręcej, a heroizm Bazylianek mińskich, ksienią których była sławna matka Makryna Mieczysławska, odsłaniał dokładniej niż działania młodzieży potęgę ognia kryjącego się pod apatyczną powierzchownością społeczeństwa polskiego w Mińskiem. Wątek życia narodowego i myśli zrzucenia sromotnego jarzma moskiewskiego, snuł się z serca wszystkich ale przeważnie z piersi młodzieży i z piersi kobiecej, srodze obrażonej prześladowaniem religii katolickiej i unii.

Jak schorzały organizm opada pasożytne robactwo, tak najazd i reakcya coraz gwałtowniej srożyła się i pastwiła się nad otrętwiałą z bojaźni społecznością mińską. Renegaci popi jak archirej Hołubowicz i Zubko, wraz z całą szajką policyjnych siepaczów i szpiegów, przebiegali kraj jak dżuma, szczepiąc jad śmiertelny w każdy ślad życia polskiego. Koło tej piekielnej szajki szeregował się inny zastęp łotrów wyrodnych w mundurach carskich jak W. Bucewicz, Bućko i inni, którzy podobni do katów wykonywali najsroższe wyroki moskiewskie, powiększając ich okrucieństwo znęcaniem się nad wszystkiem, co tylko spotkali polskiego. Kohorty te złoczyńców urzędowych składały się nie tylko z najpodlejszych lecz i najbrudniejszych ludzi. Każdy z takich prześladowców był prostym złodziejem, szulerem, pijakiem i oszu-

stem w najprostszem znaczeniu tego słowa. A co smutniejsza, że urzędnicy Polacy w służbie moskiewskiej nawet nienajgorsi, brali łapówki i prowadzili życie bez wyższej myśli, oddając się po za urzędowemi zajęciami najczęściej grze w karty i zabawom jak tańce albo smakoszostwo. Stan nauczycielski, składający się w części z idiotów-wyrzutków Moskali albo znikczemniałych popadziuków fanatyków, i z małym wyjątkiem niezłych lecz nielicznych Polaków — był plagą najsroższą wychowania publicznego. Życie nauczycieli było to samo co i reszty urzędników, a młodzież szkolna widziała w nich rodzaj strasznych błaznów, którym wolno było ją smagać rózgami i ubierać w sołdackie szyniele, zamiast więc poważać i uczyć się, wysilała się na ich wyszydzanie lub płatanie im najboleśniejszych figlów.

Po nad tym czarnym obrazem, jeszcze straszniejszym w rzeczywistości, jak cień skrzydeł szatańskich unosiła się apoteoza caratu, widoma w ciemięztwie chłopa przez wyrodnych dziedziców i mińskiej manii legitymacyi szlacheckiej. Na domiar wszystkiego, duchowieństwo łacińskie w większości swojej, wiodące życie najbrudniejsze i drżące o kawał tłustej pieczeni, nie tylko nie krzepiło życia narodowego, ale samo często dopomagało oprawcom do zabijania go, jak np. nominat miński prałat Rawa, który namawiał podstępnie w śledczej komissyi politycznej uczniów do zdrady. Kraj cały zamienił się w jedno duże więzienie, po którem rozlegał się brzęk dzwonków żandarmów, sprawni-

ków i asesorów, zmięszany z łoskotem zamykanych kościołów i świstem rózg smaganych dzieci i chłopów, a po nad tem wszystkiem unosiły się bezecne okrzyki rozbestwionej zgrai oprawców i żołdactwa. Komuż zresztą nieznane rządy moskiewskie na Litwie?! Były one atoli tem sroższe, im głębiej ku wschodowi posuwały się.

Nemezys dziejowa, chłoszcząc tak srodze społeczność naszą, karała z jednej strony za sprzeniewierzenie się idei narodowej, a z innej, parła ją na szlaki obowiązku patrjotycznego i honoru, zkąd ma zaświtać jutrzenka zbawienia Polski.

Taki stan rzeczy trwał nieprzerwanie aż do krymskiej wojny, podczas której nastąpił zwrot w opinii patrjotyczniejszych warstw.

Mińsk niesłychanie ostrożny w poprzednich latach, raptem otrząsnął z siebie apatję i bojaźliwość i zamyślił wystąpić z samodzielnym czynem. Litwini bowiem będąc w ogóle obdarzeni umysłem trafnym i głębokim, umieją najlepiej oceniać doniosłość historycznych momentów. Krymską wojnę, zwłaszcza w głębszej Litwie, pojęto jako zręczność opatrznościową do zrzucenia z siebie ohydnego jarzma moskiewskiego, zważywszy, że prócz całkowitego ogołocenia kraju z wojska moskiewskiego, sprawa zjednoczonych państw coraz świetniejsze skutki otrzymywała i rokowała zupełne zwycięztwo.

Wzburzenie umysłów było wielkie. Znalazł się patrjota gorącego serca Rogalewicz, kancelista urzędu skarbowego, który w 1856 r. w porozumieniu z młodzieżą zamyślił wywołać powstanie na

Litwie. Myśl była genialną, lecz napotkała na nieprzygotowaną opinią, wielu zaś starszych i doświadczeńszych, nie umiejąc czy nie chcąc ocenić całej doniosłości tego planu, zamiast wesprzeć najsilniej potępiły go i wydały na pośmiewisko również upadłej na duchu massie jak i oni. Spisek został wkrótce odkryty, a tak upadł jeden z najdzielniejszych pomysłów, wylęgłych na bruku mińskim, którego znaczenie umie ten tylko ocenić, kto sam dotykał się robót organicznych, prowadzonych w tymże czasie na Podolu i na Ukrainie. Przypuszczając nawet, że podczas krymskiej wojny machiawelizm napoleoński nie pozwoliłby zebrać całego plonu z organizacyi powstania polskiego, jakież za to korzyści wyciągnąłby z niej ruch 1863 r.

Gdybyśmy odrzucili w życiu narodów wyraz los, a zamiast niego oddawali się głębszym badaniom natury każdego ruchu politycznego, dostrzeglibyśmy wkrótce, że mają one to samo znaczenie, co ruch w ciele ludzkiem i muszą powtarzać się w perjodycznych odstępach czasu, jak sen i czuwanie. Śmierć lub kretynizm bywają następstwem odstąpienia od tych praw zasadniczych jak w życiu pojedyńczego organizmu tak również i w życiu narodu. Rozum ludzki jest dzisiaj jeszcze za słaby, aby mógł dociec gruntownie téj tajemnicy; zastępuje go instynkt, powołujący raz ten, to znowu ów członek organizmu narodowego do czynu. Najwyższym więc nierozumem albo zbrodnią będzie opieranie się temu głosowi natury, za co kara potem zwykle długo czekać na siebie nie każe.

Upłynął na bezczynnem wyczekiwaniu czas sposobny i sumienie głuchym głosem zawołało do najdrażliwszych uczuć narodu, łamiąc tym razem wszelką loikę, dostępną nawet dziecięcemu umysłowi. Kilka ciemnych, nieznanych osób wypowiedziało zaklęte słowo, które w innym czasie niepostrzeżenie przebrzmiałoby, i oto zarówno jak prostaczkowie tak najrozumniejsi i najpraktyczniejsi ludzie zostali porwani gwałtownie prądem ruchu. Złymi rachmistrzami okazują się w ogóle ci wszyscy, którzy przy ocenianiu siły idei, zapominają o potędze ofiary, złożonej we krwi przelanej za nią przez bohaterów i męczenników. Ileż jej wylano za Polskę!..

Ruch, aby mógł być uskutecznionym w tak niesprzyjającej porze, powinien był oprzeć się o najżywotniejsze kwestje bieżące — reforma włościańska okazała się do tego najdogodniejszą. Z jednej strony przyczyniło się oburzenie patrjotów za podstęp carski, który okradał myśl polską, tak mozolnie i pracowicie przez demokrację uprawianą, a z innej i chciwość malkontentów, którzy w samo serce zostali ugodzeni stratami materjalnemi reformy; lecz większość, co wywołała właściwie ruch, wierząc święcie w dogmat demokracyi polskiej: „Polska dla ludu i przez lud“, bez rozumowania przyjęła fakt spełniony uwolnienia chłopa, i na nim zbudowała cały gmach przyszłego powstania. Car Aleksander II był katem a zarazem i najdzielniejszem narzędziem bezwiednem do urzeczywistnienia planów stronnictwa ruchu.

Z Komitetu włościańskiego mińskiego w roku 1859 tak dobrze rozchodziły się promienie ożywcze w masy publiczności jak z Towarzystwa Rolniczego warszawskiego. Zacne obywatelskie słowa Bronisława Zaleskiego i Jeleńskiego, powróconych z wygnania, walczące śmiało z chciwością i wstecznictwem niektórych komitetowych w sprawie uwolnienia włościan, przełamywały lody apatji w opinii mieszkańców miasta i prowincji, a jednocześnie coraz więcej zagrzewały umysły młodzieży, której na ostatku rwący potok gorących uczuć obalił wszystko, co miało zamiar postawić jej tamę.

Patrjoci i wróg bezwiednie gromadzili materjały do przyszłego wybuchu, a zaledwo rozbrzmiały pierwsze zwrotki „Boże coś Polskę“ — już powstanie znalazło grunt przysposobiony i w Mińskiem.

Pierwsze manifestacje kościelne w r. 1861 wysoce zgadzały się z ogólnym nastrojem uczuć tutejszych, i dla tego swą melodją nadziemską pociągnęły najbojaźliwsze nawet żywioły. Zaiste głębokim znawcą serca narodu polskiego był ten, kto pierwszy wpadł na myśl, przeniesienia agitacyi politycznej w dziedzinę mistyczną. Naród wierzący i religijny, tylko ztąd mógł poczerpnąć siłę do walki tytanicznej, którą miał przed sobą. Manifestacjom w tych stronach towarzyszyło dziewicze uczucie, pełne skromności i podniosłego namaszczenia, a gdy podniesiono myśl towarzystw wstrzemięźliwości, wszyscy bez wyjątku uchylili przed nią głowę od dworów najzamożniejszej szlachty aż do najuboższéj chaty włościanina. Jedni magnaci i czy-

nownicy moskiewscy stanowili pod tym względem wyjątek. Za wstrzemięźliwością poszła oświata ludu, a niepomna straty z powodu uwolnienia włościan, szlachta, rzuciła się do zakładania szkółek po wsiach i po dworach z wielką ofiarnością.

W ruchu naszym, do wybuchu powstania, jak wiadomo, odegrywały ważną rolę kobiety; bez wzmianki o nich, całość obrazu nie złożyłaby się. W Mińsku stanęła na najwybitniejszem miejscu w szeregu kobiet zajmujących się sprawą publiczną, panna Kamilla Marcinkiewiczówna, córka autora „Hapona“ i innych pomniejszych poetyckich utworów białoruskich. Koło ubogiej, z pospolitą powierzchownością nauczycielki muzyki, gromadziło się wszystko, co było patrjotyczniejszego. Wyznając zasady najpostępowsze aż do egzaltacyi, z sercem najlepszem i wysoką moralnością, była niezmiernie towarzyską a przytem mając męzką odwagę, szczepiła ową siłę i zapał, których ślady zatarły się w tradycjach miejscowych uczuć. Największą atoli zasługą było to, że u niej po raz pierwszy zaczęli schodzić się ludzie, należący do najrozmaitszych warstw, nie wyjmując nawet i ubogich rzemieślników. A jeśli miejscowa zawiść kobieca tego wszystkiego ocenić nie umiała, za to Moskwa oceniła wartość tej mrówki patrjotycznej, wywożąc ją na wygnanie do Archangielskiej gubernii w 1863 r.

Na wieczną pamięć zasłużył w perjodzie propagandy Michał Ciundziewicki, oficer moskiewskiej artyleryi, syn obywatela ziemskiego z Borysowskiego. Młody ten i szlachetny apostoł, będąc za

urlopem w domu, czynnie krzątał się pomiędzy ludem wiejskim. Denuncjowany za to przez popa, został aresztowany w październiku 1862 r. Pomimo przysięgi, którą złożyli chłopi, że wcale ich nie podburzał, Murawiew kazał go rozstrzelać. Wyrok wykonano 4 maja 1863 roku w Mińsku. Była to pierwsza ofiara w tem mieście. Młoda wiejska dziewczyna przedarła się przez szeregi moskiewskie i zanim oprawcy opamiętać się zdołali, osypała kwiatami grób męczennika wolności. Chłopskie serce pokazało tutaj Moskalom, po czyjej stronie są ludu sympatje.

Taki był grunt, na którym organizacji powstańczej przychodziło się stawiać pierwsze kroki.

Nie mamy pod ręką daty, w której stanął pierwszy Komitet w Mińsku; w każdym razie wypada ją odnieść do założenia „Litewskiego prowincjonalnego Komitetu“ w drugiej połowie 1862 r. Jan Koziełło, członek Komitetu wileńskiego, podobno był pierwszym założycielem organizacyi ruchu w Mińsku. W skład jej wchodzili sami młodzi lekarze, w liczbie innych najczynniejszy dr. Siemiradzki, zmarły na wygnaniu, juryści i kilku obywateli ziemskich; byli to w ogóle ludzie światli i poczciwi, ale stojąc w oddaleniu od środka ruchu, nie mieli wcale ducha inicjatywy i żołnierskiej odwagi, tak potrzebnych do przeprowadzenia skutecznego każdego spisku. Komitet miński obracając się w kole stosunków osobistych, nie posiadał w sobie najmniejszej sprężystości, a organizacja cała redukowała się do kółka dobrych znajomych,

radzących w poufny sposób o sprawach publicznych. Koteryjność posuwała się do tego stopnia, że nikogo chociażby najwytrawniejszego i najpewniejszego nie przypuszczano do organizacji. Rzec można, że Komitet istniał sam dla siebie, nie mając dostatecznych sił, do zarządzenia jakiej takiej donioślejszej uchwały. Nie mówiąc już o dziesiętnej organizacyi, nawet nie wszystkie powiatowe władze pod koniec roku były obsadzone.

Ten stan bierny organizacji ruchu trwał aż do końca listopada 1862, gdy szlachta mińska poczęła gromadzić się na tak zwane elekcje czyli sejmiki gubernialne, na których uchwalono podpisać sławny protokuł, w skutek odrzucenia przez gubernatora Kellera adresu do cara $\frac{29 \text{ listopada}}{11 \text{ grudnia}}$ 1862 r.

W tym samym czasie przybyli do Mińska trzej emissarjusze organizacyi kijowskiej Trójnickiego (A. Jurjewicza): Feliks Klukowski i O. akademicy uniwersytetu kijowskiego, oraz W. właściciel ziemski i b. oficer kawaleryi. O. jechał dla porozumienia się z rewolucjonistami Moskalami w Petersburgu i Moskwie; Klukowski zaś i W. mieli specjalne poruczenie działać na gruncie mińskim z tem, że pierwszy miał polecenie oficjalne od gminy litewskiej do zebrania składki pomiędzy zgromadzoną szlachtą, na cele wsparcia mniej zamożnych kolegów. Przynosili oni też plan przygotowania powstania kijowskiego i mińskiego, które miało jednoczyć się pomiędzy Mozyrem a Radomyślem.

W instrukcjach swoich, wysłannicy kijowscy, dostali zlecenie wtajemniczenia organizacji mińskiej

w plany mającego nastąpić zbrojnego ruchu na przyszłą wiosnę 1863 r. Komitetowi atoli słuchać nawet o tem nie chcieli, powiadając, że powstanie jest niemożebnem teraz, chyba za lat kilka lub kilkanaście; lecz aby tak prędko miało być przeprowadzonem, nic zgoła nie poczyniono i poczynać nie myślą, a jeśli komu podoba się zbroić, to powinien uczynić sam. Wszelkie perswazje, że Mińsk jeden nie wpłynie na zmianę postanowienia Komitetu Centralnego [1]), na nic nie zdały się, i wysłannicy uważali swoją rolę za skończoną na drodze oficjalnej.

Zaczęła się chwila działania na własną rękę. Klukowski jako rodem z Mińskiego oraz wyższy członek najczynniejszej organizacji w kraju, obdarzony przytem niepospolitą siłą ducha i charakteru, istny archanioł rewolucji, z przebiegłością spiskowca, umiał wpłynąć na gorętsze żywioły miejscowe, stojące po za obrębem bezczynnej organizacji, i popchnął opinię na tory praktyczniejsze. Nastraszono szlachtę wybiciem okien, jak u Jana Zawiszy, Słotwińskiego, marszałka gubernialnego i paru innych; porozlepiano plakaty grożące panom; obito urzędnika policji; w mieście poczęto drwić ze szlachty, która nareszcie oburzona w części a w części zawstydzona, zdecydowała się gremialnie przystąpić do podpisania adresu. Gdy zaś ten ostatni został przez Moskwę odrzucony, zaczęto znowu drwić w najdotkliwszy sposób z lojalności szlachec-

[1]) Komitet Centralny Narodowy nie jeszcze w tym czasie co do terminu powstania nie postanowił.

kiej, wypierającej się solidarności z narodem. Tak wzięta w krzyżowy ogień, szlachta, mając w łonie swojem mnóstwo najpoczciwszych i najgorętszych żywiołów, poddała się zresztą kilku menerom ze stronnictwa białych i postanowiła przeprowadzić pomiędzy sobą organizację prac organicznych, zupełnie w tej porze niewczesnych.

O doniosłości tego kroku szlachty można ztąd powziąć wyobrażenie, że narady odbywały się powiatami, nie wykluczone nawet były kreatury rządowe, magnaci i pół-pankowie parweniusze. Publiczność śmiała się z tej całej krzątaniny, będąc pewną, że nie tylko każde postanowienie, lecz każde słowo zostały odniesione gubernatorowi. Uchwalono w istocie przystąpić do programu warszawskiego umiarkowanego stronnictwa prac organicznych, zależących na podniesieniu dobrobytu w kraju i oświacie ludu, zresztą zgodzono się dopomódz młodzieży kijowskiej, lecz o powstaniu mowy nawet nie było. Przewidując zaś, że zebrana kwota 1200 rs. może być na ten cel obróconą, nie dano jej do rąk wysłańca, lecz odesłano na ręce marszałka kijowskiego. Słowem, tym razem jak zawsze, trwożliwa szlachta, zamiast wzmocnić, osłabiała obóz narodowy podnoszeniem prac, które zasłaniały cel główny.

Po przekonaniu się, że z komitetowymi nic nie da się zrobić, Klukowski, puścił się na piechotę pomiędzy lud w Słuczczyznę i w Pińszczyznę. Odważny, przytomny, umiejący doskonale mowę ludową, przemykał się jak cień pomiędzy policją

moskiewską, goszcząc po karczmach albo chatach chłopskich, gdzie śmiało rozsiewał propagandę patrjotyczną, nie bojąc się zdrady chłopów, pomimo bałamucenia ich przez popów i czynowników. Człowiek ten należy do najpiękniejszych i najczystszych postaci ostatniego powstania; gdyby takich chociaż po jednemu miał każdy powiat, zamiast klęsk, niezawodnie spotkałyby nas tryumfy.

Jeżeli wysłannicy kijowscy wiele na razie dokazać nie potrafili, za to przynajmniej otworzyli oczy miejscowych patrjotów na działania Komitetu. Gorętsze żywioły, a było ich tutaj więcej jak gdziekolwiek indziej, dowiedziawszy się o tém, jak rzeczy z organizacją w istocie stoją, zaczęły same szukać sposobów wprowadzenia w życie planu Komitetu Centralnego, najwięcej popularnego tutaj jak i wszędzie. Pozostały w Mińsku W., gdy do niego zgłoszono się w tej materyi, robiąc największą tajemnicę przed komitetowymi, dał od siebie upoważnienie na początku stycznia 1863 do przeprowadzenia dziesiętnej organizacyi i zanominował setnika ***, za staraniem którego stanęło wkrótce dwie setki. Pochopność z jaką brano się do organizacji, najlepiej objaśniała, jakie w istocie było usposobienie mass i dowiodła błędności zapatrywania się białéj organizacji.

Nowa organizacja, złożona z ubogiej młodzieży, nie posiadającej najmniejszych funduszów, nie mogła pomyśleć ani o uzbrojeniu, ani nawet o należytem umundurowaniu się. Wiedząc jak szkodliwie wpływa bezczynność w spiskach, do których massa

została przypuszczoną, W. wpadł na oryginalną myśl, wykradania broni i amunicji u Moskali, konsystujących w mieście po kwaterach. Było to wprawdzie nie rycerskie rzemiosło; wybredność jednak w podobnych razach nie uchodzi, zwłaszcza, że Moskali uważano nie jako wojsko lecz jako prostych rozbójników. Kilkanaście sztuk broni, zdobytych w podobny sposób, jeśli w niczem nie polepszyły materjalnego stanu, za to utrzymały karność i życie w młodziutkiej organizacji oraz zaprawiły do hazardownych czynów, najkonieczniejszych przymiotów każdego spisku. Co zaś do umundurowania, które redukowało się na razie do sprawiania czapek, czarnych kiepi francuzkich i długich butów myśliwskich, temu zaradzono składkami pomiędzy sobą.

Piękne i rzewne były to chwile, gdy ta młodzież ubożuchna lub dziatwa młodziuchna odrywały sobie od gęby, i szeląg po szelągu składały do kassy wspólnej na rycerską potrzebę narodu. Agapy pierwszych chrześcjan czyż są wznioślejsze od takich czynów, które powtarzały się na każdym kroku na Litwie? Jeśli kiedy, to w tym wypadku występowała w całym majestacie potęga idei narodowej, która tchnieniem swojem zapalała iskrę bohaterstwa pomiędzy słabiuchnymi i niedoświadczonymi. Zaprawdę, kto czystem sercem przenosi się w tamte czasy, prócz łzy rozrzewnienia, musi przyjść i do tego przekonania, że miłość Ojczyzny bierze swe źródło nie na ziemi, lecz z krainy niebieskiej.

Gdy się to działo po za jej plecyma, umiarkowana organizacja tymczasem coraz więcej pogrążała się w stan apatyczny i pozbywała się wszelkich śladów gorliwości. Niemoc wewnętrzna zaczęła ją toczyć w skutek bezczynności, i byłaby blizką rozwiązania się, gdyby tak dalej potrwało.

Uderzył zresztą piorun czynu w ziemię polską na dniu 22 stycznia 1863, a wieść o tem, gdy doszła w parę dni do Mińska, zgalwanizowała i organizację umiarkowaną, która wtedy poznała całą niewczesność swych działań dotychczasowych. Lecz było to po czasie, bo chociaż na razie znalazła się gotowa organizacja dziesiętna, lecz brakło jej głównego — pieniędzy i broni; ponieważ kassy i zbrojownie urzędowe były tak dobrze puste jak i nieurzędowe.

Tak nieprzygotowane województwo, na początku lutego spotkała wiadomość o wyprawie Rogińskiego w Pińszczyznę, który dzięki temu, został rozproszony i sam wpadł w Turowie w ręce moskiewskie. Zaraz po nim, pokazał się w Białostockiem wysłany z Warszawy Walenty Parczewski i działał tam jakiś czas na czele kilkudziesięciu ludzi. Raniony, udać się musiał do Wilna i Warszawy a oddział się rozproszył. Nieco później, około połowy tegoż miesiąca, inny oddziałek, z kilkunastu ludzi, spotkał ten sam los w Wilejskim powiecie, niedaleko Radoszkowicz, w majętności Kurowskiego. Naczelnik, Szukszta, poległ a powstańcy rozsypali się po puszczy. W tymże samym niemal czasie, pomiędzy Sołami i Gierwjatami, na terytorjum powiatu Wi-

lejskiego, Feliks Wisłouch, późniejszy wojenny naczelnik powiatu Trockiego, miał z garstką kilkunastu ludzi szczęśliwą potyczkę z całą kompanją moskiewską; lecz gdy nic nie zastał przygotowanego, zmuszonym też widział się rozpuścić swój oddziałek.

Skutki tego wszystkiego okazały się straszne, bo nie tylko rozsrożyły zuchwałość Moskali, lecz przedewszystkiem zabiły w oczach ludu doniosłość powstania i wiarę w nie. Narzekania a następnie zwątpienie opanowało prowincją, zdawało się, że nic nie zdoła dźwignąć z powszechnego upadku na duchu.

Tutaj atoli pokazała się siła tajemnicza węzła duchowego, o której na wstępie powiedzieliśmy. W miarę bowiem nadchodzących wiadomości o nowych klęskach naszych i okrucieństwach, dokazywanych przez Moskali, podnosił się poziom uczuć, jakby ogłuszonych tylko chwilowem niepowodzeniem. Na ostatku powszechny okrzyk boleści rozległ się po całej Litwie, wołając: — giną oni, raczej gińmyż razem, niźli mamy przypatrywać się jak wyrodni! Raptem przejrzeli wszyscy, że to nie ludzkie wybiegi, lecz ramię nieubłaganego losu popchnęło naród polski do złożenia winnej ofiary za dawne i nowe grzechy. Uczuła to nareszcie i szlachta, postanawiając jednocześnie stanąć w szeregi narodowe.

Od tej chwili ustał stan chaotyczny w organizacji. Zorganizowany w Wilnie „Wydział Litewski Rządu Narodowego“, którego ozdobą był Antoni Jeleński, ujął w karby władzy regularnie

funkcjonującej całą Litwę, naznaczając ze swego ramienia wszędzie wyższych i niższych urzędników. Dla Mińska wybór na wojewodę wypadł najświetniej: obranym został Kornel Peliksza, obywatel powiatu Mińskiego, dziedzic wsi Górki, człowiek najzacniejszy a przytem niesłychanie gorliwy i praktyczny patrjota. Jako słynny gospodarz wzorowy, pomimo choroby (chodził o kuli), we dwa czy trzy tygodnie przeprowadził organizację cywilną, wybrał podatki zaległe i pourządzał poczty potajemne. Przytomny a nadewszystko odważny, delikatny w obejściu się, lecz surowy dla siebie i dla innych, zaprowadził taki rygor i posłuszeństwo, jakiemi pochwalić się nie mógł moskiewski gubernator, otoczony bandami zbrojnych siepaczy i żołdaków. Każewnikow, gubernator, wściekał się ze złości i odgrażał się na polskiego gubernatora; lecz w chwilach największego uniesienia, oddawał pomimowolny hołd podziwu dla swego spółzawodnika. Jako człowiek zamożny a przytem hojny, Peliksza, miał powszechny mir u wyższych i niższych urzędników Moskali; przeto bywając często u gubernatora, na własne uszy słyszał o sobie te zdania, o czem opowiadał nam za granicą. Niezmordowany w korespondencji, dobrze władający piórem, sam wymagał od innych dokładnych i pełnych raportów, a kontrolę rachunków prowadził tak samo jakby u siebie w majątku. Obok tego wszystkiego zorganizował siłę wykonawczą — żandarmerję narodową jak w mieście tak i po za miastem. Na ostatku zebraną została na punktach

przygodna broń do użycia oraz zapasy prochu i ołowiu. Gorliwy ten patrjota jak dzień tak noc pracując, doczekał się zresztą pomyślnego skutku swej pracy i pozyskał powszechne uznanie i szacunek obywateli, co było podobno w naszej organizacji jednym z główniejszych warunków powodzenia. W tym samym czasie Wydział litewski Rządu Narodowego zanominował komissarzem wojewódzkim Bolesława Świętorzeckiego, obywatela mińskiego, który z wzorową gorliwością i poświęceniem się pełnił włożony na siebie obowiązek i był bardzo pomocnym wojewodzie.

Wprawdzie stanęła organizacja w Mińskiem, lecz najgłówniejsze jej zadanie, mianowicie, zwerbowanie ludzi do szeregów, udawało się nie szczególnie. Chłopi bowiem w tym czasie byli już w wielu miejscach podburzeni, tak, iż w nie jednej wsi poformowali straże wiejskie do pilnowania dróg; nic dziwnego w tem; nie mogli oni zrozumieć, że można było powstawać bez poprzedniego przygotowania się, jak się należy. Ci co powiadają, że chłopi litewscy nie przyjmowali udziału ogółem w ruchu, dla tego iż obcą im jest zupełnie idea patrjotyczna — mylą się bardzo. Wcale inna przyczyna była tego powodem. Lud litewski jest obdarzony niezmiernie badawczym umysłem a przytem jest niesłychanie praktycznym; widząc przeto, jak się brano do powstania, nie wierzył w szczerość ludzi, którzy niem zajmowali się, i z góry był przygotowany do największych niepowodzeń. Co tutaj mówi się o chłopach, to samo daje się zastosować

i do szlachty zaściankowej czyli jednodworców, jak w urzędowym żargonie moskiewskim ich nazwano, oraz mieszczan po miasteczkach, którzy niczem prawie pomiędzy sobą nie różnią się. Wszakże co do tych ostatnich, wyznać trzeba, że mając ich raz za takich, nasi organizatorowie, nigdy nie próbowali na serjo rozpocząć pomiędzy nimi agitację. Gdyby propagandą zajmowano się u nas dłużej i systematyczniej, niezawodnie inaczejby wyglądały nasze massy pod względem wychowania patrjotycznego i niezawodnie, że i one odznaczyłyby się owem ogólnem czuciem czyli związkiem solidarności z całością narodu.

Dzień 19/31 kwietnia 1863 naznaczony przez Wydział litewski do ogólnego powstania na Litwie, niestety, sprawdził to wszystko aż nadto dotykalnie.

Czynili co mogli wojskowi, przeznaczeni na organizatorów, lecz rzeczy były nie do naprawienia. Wojskowy wojewódzki ***, oficer w służbie moskiewskiej, rozumny i wylany całą duszą sprawie patrjotycznej, musząc ściśle utrzymywać incognito, nie miał rąk rozwiązanych, dopóty, dopóki nie zjawił się w Mińsku nadesłany przez Wydział litewski młody oficer z petersburskiej akademii artyleryjskiej Stanisław Laskowski, syn nie bogatego właściciela ziemskiego z Mińskiego powiatu. Od czasu przybycia tego ostatniego do Mińska, właściwie datuje ostateczne zawiązanie się organizacji wojskowej w województwie.

Osłonięty powagą złotych akselbantów, młody ten bohater, obdarzony niepospolitym charakterem i silną miłością sprawy patrjotycznej, opartych na gruntownej nauce, z bystrym i trzeźwym sądem o rzeczach, rzucił się z całym zapałem i abnegacją młodzieńczą w wir niebezpiecznej pracy. Jego przytomność, odwaga i zapobiegliwość natchnęły wszystkich otuchą, i garnęły do niego wojskowych różnych broni. Młody Laskowski odegrał w Mińsku tę samą rolę, co Sierakowski na Żmudzi.

Wypracowanym został w przeciągu kilku dni plan strategiczny dla partyzantki, podzielono siły odpowiednio do pozycyj i powyznaczano dowódzców i oficerów do oddziałów; na ostatku zostały ułożone najdokładniejsze instrukcje i marszruty dla każdego oddziału. Za podstawę do planu strategicznego służyło działanie wojenne na czterech głównych operacyjnych liniach, wzdłuż traktów wileńskiego, borysowskiego, bobrujskiego i nieświeżsko-słuckiego; puszcze zaś w odpowiedniej odległości do wymagań nauki, miały służyć za podstawę czyli bazis strategiczny. Plan był śmiało i prawdziwie po sztabowemu ułożony, z najdokładniejszą wiadomością warunków miejscowych i topograficznych.

Jeśli rząd moskiewski rozstrzeliwał akademików wojennych, za to akademje wojenne petersburskie mogą być dumne ze swych uczniów, którzy przyjęli udział w ostatniem powstaniu — sztaby bowiem najświetniejszych armij europejskich w ostatnich czasach, nigdy tylu zdolności militarnych

nie posiadały, co nasze kadry powstańcze. Jeżeli nie zwyciężyliśmy, powodem były drobne powstańcze siły i przewaga ogromna Moskali. Wiedzą o tem doskonale dziejopisowie moskiewscy powstania 1863 roku, i dla tego szkalując i wyszydzając charakter narodowy i sposoby działania organizacji cywilnej, całkiem przemilczają o naszym ogólnym planie strategicznym. W istocie ten ostatni, każdego, obeznanego z wyższą sztuką wojenną, olśniewa swoją genialnością, co pomimo najgorszego wykonania, sprawdziło się w możności utrzymania walki przez półtora blizko roku, z siłami w najświetniejszych czasach nie przechodzącemi dziesiątej części sił nieprzyjacielskich. Gdyby cnoty cywilne naszego narodu dorównały jego geniuszowi wojennemu, a wieś dorównała w poświęceniu miastom, i podczas gdy pierwsza wyciągałaby siły moskiewskie w pole, drugie, nie oglądając się na straty doraźne, rzuciły się ze swemi rezerwami do opanowania pozostałych na miejscu rekwizytów i magazynów — świat ujrzałby niebywałe widowisko, zniesienia całej armii regularnej przez partyzantkę. Taki bowiem nieunikniony skutek musiałby nastąpić dla kardynalnego błędu strategicznego, popełnionego w dyslokacyi wojsk moskiewskich w r. 1863. Znali słabą stronę swego planu sztabowcy moskiewscy i dla tego, na każdą wiadomość o ukazaniu się jakiegoś oddziału powstańczego z tysiąca ludzi, porywały ich poty śmiertelne. Nie wiedząc na razie, zkąd powstanie czerpało swe siły, i ogołacając główne punkta z załóg, narażali cały los kampanii; gdyby

rewolucjom miejskim udało się owładnąć jednocześnie kilku takimi punktami obok leżącymi, w rozmaitych miejscowościach szachownicy strategicznéj; w skutek czego musianoby i resztę punktów opuścić, dla zmasowania się w polu w znaczniejsze oddziały. Powiadamy, wiedzieli o wadliwości swego planu Moskale, a nie mogąc pokonać genjalnéj koncepcji naszego, oparli całą swoją rachubę na słabości naszego charakteru i miękkości serca, skłonnego powodować się humanitarnemi zasadami, nawet w tak nieludzkiéj rzeczy jak wojna. Powstrzymanie rewolucji w miastach podczas ostatniego powstania, ze względu na nieprzygotowanie się należyte organizacji, jest racjonalném ze stanowiska politycznego, lecz pod względem strategicznym, popełniono przez to błąd najkardynalniejszy i nic dziwnego, że przegraliśmy kampanją. Takie zwykle bywają skutki przepołowienia najgenjalniejszych nawet planów.

Są jeszcze ludzie, którzy mają odwagę powtarzać niedorzeczne zdanie, jakoby Moskwa sama umyślnie parła do powstania. Mogą to mówić chyba ci, którzy elementarnych pojęć nie mają o sztuce wojennéj lub bohaterowie strachu, którzy uważają wszelki środek za dobry, byle wmówić w naród, że jest niczem w obec potęgi wrogów, a przeto ci ostatni, nawet broni nie boją się dać mu do ręki przeciwko sobie. Takim panom, jeśli w ogóle na co się zda mówić z podobnymi ludźmi, radzimy, aby posłuchali zdania obcych o naszych zdolnościach militarnych a następnie, o wartości planu naszego,

jak również o działaniach przeciwko niemu Moskali. Mogą się nawet dowiadywać o tém u Moskali. Na cóż zresztą zdadzą się liche sofizmata, gdy przed oczyma narodu wiecznie będzie stała pamiątka niezgładzona ośmnastomiesięcznéj walki?

Dzieje ruchu zbrojnego, wywołanego powszechnie w Mińskiem 19/31 kwietnia 1863 rozwijały się w następującym porządku.

W nocy z 18 na 19 kwietnia, w samym Mińsku, wyszło rozporządzenie, w skutek którego miały się sformować w czterech rozmaitych punktach, cztery oddziały z ludzi pojedyńczo wychodzących przede dniem z miasta. Lecz zaraz na wstępie, pomimo najdokładniejszych instrukcyj, zdarzyło się, że zamiast czterech, poczęto gromadzić się w trzech punktach, i podział sił okazał się, zupełnie inny, jak to było oznaczone w dyspozycji.

Największa massa, trzystu przeszło, zgromadziła się koło Cholawszczyzny pod dowództwem Antoniego Trusowa, b. studenta uniwersytetu moskiewskiego; a w innym znowu punkcie, gdzie mieli objąć dowództwo dwaj oficerowie moskiewscy z konsystującego w mieście pułku piechoty: Romiszewski i Elczaninow, zebrało się tak mało, że ci rozpuściwszy zebranych do domów, powrócili sami do miasta. Kto trzecim oddziałem dowodził i gdzie się ten zbierał? nie wiemy. Czwarty zaś oddział nad którym objął dowództwo Piłeczka, były wojskowy moskiewski, zebrał się w Przyłukach o 3 mile od miasta, na Kojdonowskim trakcie, mając zamiast przyrzeczonych 80 ludzi, wszystkiego 18.

Uchronić się od podobnego zamięszania było niepodobieństwem, zważywszy, że ludzie nieobeznani z miejscowością i bezbronni do tego, szli niemal na oślep i nie mogli nikogo po drodze pytać się, bojąc się wydać sekret, albo wpaść w ręce straży chłopskich.

Zawsze jednak miejska ludność mińska wykazała się świetnie; wszyscy prawie spiskowi wyszli w pole na dane hasło; wina zaś cała za nierównomierny podział spada na organizację cywilną, która prócz paru wyjątków, znikła zupełnie na około oddziałów i nie donosiła władzy centralnéj o wszystkiem, co na zewnątrz miasta zaszło. Laskowski i reszta wojskowych rozjechała się tego samego dnia, a pozostali dwaj wojewodowie, cywilny i wojskowy, ujrzeli się całkiem opuszczonymi przez parę dni od organizacji cywilnéj, która nie śmiała pokazać się w mieście. Następstwa tego okazały się najgorsze.

Opuszczony przez dowódzców, jako téż i źle prowadzony oddział A. Trusowa, wkrótce istnieć przestał; gdyż pierwszych zebrać na nowo nie udało się, a ostatni został rozproszony przez parę kompanij Moskali w potyczce pod Borowlanami, która z początku nieźle naszym udawała się, lecz gdy padł dowodzący ją junkier, wszystko poszło w rozsypkę. Trusow zdołał utrzymać przy sobie kilkunastu ludzi i z tymi na Nowosiółki podążył w puszczę Ihumeńską do Laskowskiego, który przybrał pseudonim Sobka. Jeden tylko oddział Piłeczki wyprowadzony z miasta przez dzielnego setnika D.,

pomimo swéj szczupłości, dążył w kierunku oznaczonym na marszrucie i wykonał wszystko, co miał do spełnienia podług dyspozycji. Stację pocztową w Przyłukach zniósł, a zabrawszy konie i wozy pocztowe, posunął się w kierunku Wiazynia, gdzie miało się stawić nowych 80 ludzi. Zamiast tego znowu znalazło się tylko około 10 nowozaciężnych, z których kilku zręczniejszych do jazdy stworzyło szpicę i arjergardę. Tak zorganizowany oddziałek, szybko posuwał się ku puszczy, odległej ztąd przeszło o 2 mile, przerzynając w poprzek trakt pocztowy o ćwierć mili od Kojdanowa, gdzie stały dwie kompanje Moskali i sotnia kozaków; a zabrawszy do niewoli kilku piechurów nieprzyjacielskich po drodze we wsi, zatrzymał się na chwilę w Stańkowie, gdzie miał przybyć powiatowy naczelnik wojenny Paweł Dybowski pseud. Zaręba, dla prowadzenia dalej oddziału w puszczę, przez którą przechodzi słucki wojenno-komunikacyjny trakt. W Stańkowie zabrano broń i amunicją oraz kilku ochotników i z tem wszystkiem ruszono drogą ku Cielakowu, leżącemu już w puszczy, na brzegu któréj Zaręba kazał zostawić nietknięte wozy i konie pocztowe, pomimo robionych sobie uwag. Oddział ten, zająwszy puszczę, oczekiwał na przybycie parafjalnych powstań i oddziału słuckiego, z którym miał spólnie działać. Taki był rezultat ostateczny ruchu miejskiego mińskiego.

Przechodząc do ruchu na prowincji, wypada zaznaczyć na początku, iż prócz dwóch powiatów Wilejskiego i Ihumeńskiego, w innych trzech: w Bo-

brujskim, Rzeczyckim i Mozyrskim całkiem do skutku w oznaczonym dniu nie przyszedł; w Borysowskim i Słuckim, na wstępie został chybionym; w Mińskim zaś został odłożonym nazajutrz przez Dybowskiego, co spowodowało, że raz rozproszeni ludzie, zrażeni chwiejnością rozporządzenia, wcale nie powstali, prócz paru parafji, do których ten rozkaz nie nadszedł. Nieudały ten ruch, przy całéj ofiarności szlachty, dowiódł, że jej starsi bracia, zamożniejsi t. z. obywatele, którzy do rąk swoich wzięli sprawę organizacji, najmniejszej zdolności do tego nie posiadali.

Obok pewnéj pozornéj słodyczy w obejściu, będąc w gruncie zimnymi, dumnymi i w najwyższym stopniu nieufającymi, zamożni obywatele, nikogo, prócz najbliższego otoczenia pociągnąć za sobą nie umieli; nie tylko do chłopa trafić nie mogli, ale nawet szlachta zaściankowa była dla nich nieprzystępną. Nie odsądzając bynajmniéj zamożniejszą szlachtę od wszelkich uczuć i zdolności patrjotycznych, jak to weszło u nas w nowszych czasach w modę, w skutek niewłaściwego mięszania jej z panami czyli kosmopolityczną arystokracją, musimy atoli wyznać, że od odpowiedzialności za nieudanie się powstania z r. 1863, wraz rozumie się z innymi jeszcze czynnikami, i jej uwolnić nie możemy. Największym zarzutem przeciwko niej będzie, najprzód całkowite powstrzymywanie się z propagandą powstańczą, albo nawet w początkach paraliżowanie jej i osłabianie w perjodzie przygotowawczym, jak również usuwanie się od przygotowań

materjalnych do powstania. Wszystkie późniejsze ofiary i najwznioślejsze poświęcenie nie mogły naprawić szkody, jaką poniosło powstanie nieuzbrojone w początkach.

Najlepiéj ze wszystkich powiatów wystąpił Wilejski (należący obecnie do Wileńskiej gubernji, a dawniéj do Mińskiego województwa), pod dowództwem swego dzielnego powiatowego Wincentego Koziełły. Opis szczegółowy jego ruchów znajduje się w „Historji Powstania Narodu Polskiego“ Agatona Gillera i dowodzi, co mogła zrobić energja jednego człowieka, całkiem wylanego sprawie. Klęskę zaś jego niczemu innemu przypisać nie można, jak tylko słabemu powstaniu w innych powiatach, które nie mogły na czas powstrzymać, opasujących go zewsząd sił moskiewskich; największa wina bez wątpienia spada na borysowskie, gdzie ruch całkiem chybił na początku. Oddział ten istniał do końca maja t. j. 28 maja do bitwy pod Władykami, gdzie poległ waleczny Koziełło.

Drugim z kolei, co do sił, ale pierwszym pod względem rezultatów wojennych był oddział Ihumeński pod dowództwem Laskowskiego, przy którym znajdował się i Bolesław Swiętorzecki. Oddział ten zebrany początkowo we dworze Bohuszewickim w liczbie trzydziestu kilku, urósł następnie do dwustu blizko ludzi. W pierwszych dniach maja obozując w głuchych ostępach koło zaścianka Sucina, niedaleko traktu Ihumeńskiego, został napadnięty przez dwie kompanje Moskali. Pozycja cała była pokryta wywrotami, z po za których powstańcy tak celnie

razili nieprzyjaciela, iż po trzygodzinnym boju wybili im przeszło stu ludzi, nie ruszając się z miejsca. Wygrana widocznie była po stronie naszych, lecz adjutant Laskowskiego, zmylony fałszywemi pozorami, wniósł, jakoby Moskale tył zabierali i spowodował, że się oddział zrejterował, straciwszy pięciu czy sześciu w zabitych i kilku rannych, których z sobą zabrano, gdyż odwrót wykonano w najzupełniejszym porządku. Jakaś część bagaży tylko dostała się w ręce moskiewskie, przez nieoględność naszych. Laskowski po tak srogiem zbiciu Moskali, śmiało począł ruszać się na około i wkrótce ściągnął na siebie niemal całe siły moskiewskie w Mińskiem. Otoczony do koła, szczęściem pochwycił w swoje ręce chłopa, co prowadził nieprzyjaciela, i przy pomocy jego, wymknął się z pomiędzy kilkunastu kompanji koncentrycznie schodzących się ku jego obozowi. Prócz tego miał jeszcze parę potyczek a koło samego Ihumenia urządził zasadzkę na jenerała dywizji Grunta i wziął go do niewoli; lecz zaraz puścił, biorąc od niego słowo, że się bić przeciwko nam nie będzie. Oddział w połowie lata był rozpuszczony, poczem zasłużony B. Świętorzecki opuścił plac boju, udając się za granicę. W kilka tygodni potem, Laskowski znowu zebrał część swoich ludzi i trzymał się do końca września czy początku października, po czem ostatecznie wszyscy znowu zostali rozpuszczeni na zimę; zostało tylko w lesie dziesięciu powstańców, pod dowództwem jakiegoś dzielnego i wytrwałego akademika (nazwiska nie pamiętamy), który krążył po puszczach niepostrze-

żony przez Moskwę aż do 1865 czy 1866 roku, a gdy zgasły wszelkie nadzieje na odnowienie powstania, ludzi rozpuścił i za granicę wyjechał. Pamięć czynów Laskowskiego i Świętorzeckiego została niezatartą u ludu tamecznego, a postacie ich stały się legendowemi, warto więc, aby którykolwiek z nich zajął się dokładnym opisem tych działań.

Powstanie słuckiego powiatu trzeba uważać za zupełnie chybione, pomimo niezłéj organizacji, jaka tam istniała. Niewiemy czy w skutek planu naprzód obmyślanego, albo przeszkód, dosyć, że cały ten ludny powiat zaledwo wydał na dniu 19/31 kwietnia do pięćdziesięciu ludzi, którzy pod dowództwem powiatowego naczelnika wojennego, tamecznego obywatela Maszewskiego, b. oficera gwardyjskiej artylerji, z przybocznego sztabu w. k. Michała Mikołajewicza, podążyli w puszczę Hreską, na pograniczu Ihumeńskiego powiatu. Naczelnik słuckiego powiatu, była to jedna z najwybitniejszych i najsympatyczniejszych postaci, która dla swego bystrego umysłu, jak również i petersburskich stosunków, używał wielkiéj wziętości pomiędzy obywatelstwem. Przy boku jego znajdował się Feliks Klukowski, który opuścił Kijów przed terminem ogólnego powstania Litwy i Rusi, będąc skompromitowany, w skutek odkrycia składu broni w jego mieszkaniu. Nieudolności miejscowéj organizacji tylko trzeba przypisać, że dwaj tak dzielni ludzie, nie potrafili na razie zebrać znaczniejszych sił koło siebie.

Ze szczupłym swoim hufcem podążył Maszewski przez Słuck i Hresk na wozach w puszczę

i przeprawiwszy się przez rzekę Łoszę, niedaleko karczmy tegoż nazwiska, rozłożył się w poblizkim ostępie, przyczem mu służył za przewodnika parobek miejscowy. W ślad za powstańcami postępowały dwie kompanje Moskali, których tenże sam parobek, za wynagrodzenie 5 rubli, podjął się poprowadzić do obozu słuczaków. Na strzał widety, świeżo zebrani i wcale nieprzygotowani do napadu, poczęli pierzchać z obozu; pozostało nie wielu na miejscu wraz z naczelnikiem i wszyscy co dzielniejsi postanowili wstyd ucieczki towarzyszy strzałami swojemi pokryć. Walka trwała nie długo; nowi ci spartańczycy padli niemal wszyscy, a w liczbie ich nieodżałowani Maszewski i Klukowski; parę rannych zaledwo dostali Moskale do rąk, ponieważ reszta miała czas cało umknąć.

Moskwa ogłosiła, iż wszystkim, którzy powrócą do 1/12 maja, zostanie udzieloną amnestja, z czego skorzystali rozpierzchli i powrócili do domów z zamiarem nie wystąpienia więcéj, co ostatecznie było przyczyną, że do końca powstania nikt już w Słuczyźnie nie ruszył się. Strata była nie wynagrodzoną, gdyż organizacja wojskowa tego powiatu miała na liście do 500 ludzi, mających tworzyć oddział, łączący ihumeńskie powstanie z mińskiem.

Tutaj wypada podnieść ogromne znaczenie przewodników, których potrzebowaliśmy w powstaniu. Był to punkt najtrudniejszy, pomimo map wojenno-topograficznych moskiewskiego sztabu, ze wszelkiemi możliwemi szczegółami, dla którego nie jeden oddział nie mógł poruszać się swobodnie i kręcił się

w malutkiem kółku, a na ostatku, wyczerpawszy wszystkie okoliczne zapasy i znużywszy mieszkańców, musiał rozwiązywać się. Szczególniej małe oddziały cierpiały na tem, całe bowiem ich powodzenie zależało na najzupełniejszéj tajemnicy, czego niepodobna było ustrzedz się przy przewodnikach. Inną również niedogodną rzeczą w leśnej wojnie były napady z nienacka, łatwe dla Moskali i dla niepodobieństwa rozstawienia widet na widnych miejscach. Wszystkie te niedogodności znikły dzisiaj, w skutek powycinania trybów przez Moskali w lasach podług południka, co każdą wiorstę — teraz przewodnik niepotrzebny, a oddziałek na dwie połowy rozdzielony i ustawiony po przeciwległych kątach jednego kwadratu, daje takie bezpieczeństwo forpocztowe, jakiego w największym oddziale w 1863 r. nigdy nie znano, zważywszy i na to, że lasy litewskie na najkompletniejszej równinie są rozłożone. Moskale wysilali się na to, by zrobić niemożebnem przyszłe powstanie, a tymczasem wyszło zupełnie coś odwrotnego; jeśli bowiem do urządzenia powyższego lasów, doda się jeszcze srogi ucisk religijny, który do reszty oburzył przeciwko nim massy ludowe na Litwie i po całym kraju — to okaże się, że nie tylko mogłoby ono swobodniej i bezpieczniej poruszać się, ale nadto i większe siły miałoby do rozporządzenia.

Prócz klęski słuckiego powstania, które miało wspólnie działać z mińskiem, na losy tego ostatniego, wpłynął niefortunny wybór początkowy wojennego naczelnika powiatowego Pawła Dybowskiego.

Człowiek ten nie tylko zdradził zaufanie, włożone na niego przez Wydział litewski Rządu Narodowego; ale zawiódł najhaniebniej nadzieje, jakie w nim opinja powszechna pokładała. Zamiast rycerza w rodzaju Narbuta, okazał się niewyrobiony charakter i brak najzupełniejszy odwagi wojskowej, którą usiłował zastąpić gburowatem i despotycznem obejściem się z podwładnymi. Mając powierzchowność prawdziwego bohatera lasów, a przy tem jako skazaniec polityczny, który dosłużył się stopnia oficera na Kaukazie, prócz zarozumiałości, posiadał niesłychaną skłonność do nieposłuszeństwa i wichrzycielstwa. Nie rzadko wyrywało się mu z ust w obec szeregowych, że wywiesza wszystkich komitetowych i tp. Do tego wszystkiego łączyła się w nim teorja krótkowidztwa politycznego, zależąca na stworzeniu z naszego powstania zbrojnéj demonstracji, mającéj na celu wymódz na Moskalach, jak się sam wyrażał — „konstytucyjkę dla Litwy“. Uczciwy z pozoru, dobry pan dla włościan i sprężysty gospodarz, a przy tem mirowy pośrednik (sędzia włościański), nic dziwnego, że przez dłuższy czas utrzymywał w błędzie Pelikszę, jeszcze nieodwykłego w początkach patrzeć na wszystkie jego zbrodnicze wykroczenia wojenne okiem sąsiada obywatela.

Zacząwszy od wstępu do puszczy, Dybowskiego dalsze postępowanie zmierzało ku temu, aby nie obrażać Moskali; z niechęcią więc zgadzał się na odczytywanie manifestu Rządu Narodowego uwłaszczającego włościan, a na werbowanie nowych ludzi z okolicznych zaścianków i wsi wcale nie pozwalał.

Zamiast tego, jak spłoszony łoś krążył ciągle po grząskich błotach leśnych, nużąc i zniechęcając do najwyższego stopnia młodzież, z której na początku wyłącznie oddział się składał. Po tygodniu takiego krycia się, przyłączył się do niego inny oddziałek ze czterdziestu ludzi, z parafji Rubieżewickiej pod dowództwem starego wojskowego B.; za nim przybyło jeszcze kilku pojedyńczo, a w liczbie ich wyżej wymienieni Romiszewski Lucjan i Elczaninów Teodor, którym kazał objąć dowództwo nad kompanją z pominięciem dawniejszych dowódzców, nominowanych przez Wydział litewski. Nikogo podobna bagatela nie obchodziła w chwili tak podniosłego zapału, wszakże charakteryzuje ona dobrze człowieka i jego zamiary. Dało się to zaraz widzieć przy pierwszym napadzie Moskali 2/14 maja.

Oddział miński był rozłożony obozem w ostępie nie daleko Walerjanowa, na kępie porosłej gęstym lasem i otoczonej ze wszystkich stron grząskiemi błotami olszowemi. Pozycja była wyśmienitą do obrony, pomimo to, gdy wideta dała znać o nadciągających Moskalach, pierwszy naczelnik, zapomniawszy w pośpiechu zwierzchnego okrycia, począł zmykać z obozu, a za nim powstańcy, jedni bez butów, wszyscy niemal bez tornistrów i płaszczów, by módz za nim podążyć. Na nic nie zdały się perswazje oficerów, którzy ręczyli za odparcie nieprzyjaciela. Dybowski, raz dawszy swobodę swoim nogom, nie mógł ich już zatrzymać i haniebnie bez wystrzału oddał pozycję Moskalom. Co najszkaradniejszego przy tem okazał, oto, że nie zlu-

zowawszy widet i nie ściągnąwszy nawet ich uwagi strzałem, nieludzko i wbrew najkardynalniejszej zasadzie wojennéj, porzucił na pastwę wroga. Napiętnowanie tego czynu jest tem konieczniejsze, że jeden z nich, Mikołaj Paszkowski, zacny i słynny z poczciwości obywatel z Rubieżewickiego, miał na sobie w trzosie połowę kasy oddziałowej. Prócz zbrodni głównej, popełnionej przeciwko koleżeństwu broni, jakże darować oficerowi regularnéj armji, który pomocnika kassjera z kasą wysyła na widety? Innym błędem, popełnionym przez naczelnika, było zapomnienie powiedzenia miejsca zboru; a że się oddział niemal cały zebrał na drugi dzień, prócz kilku, trzeba to przypisać jakiemuś instynktowi, który kierował ludźmi i mocnemu postanowieniu wiernie służenia sprawie patrjotycznej. Lecz mało tego, odtąd całą jego usilnością było rozproszenie oddziału, to dawaniem pozwolenia powrotu do domów paniczom, lub wycieńczaniem głodem i ciężkiemi przemarszami po błotach. Przy czem zdarzało się, że wodząc oddział po gęstym lesie w tyraljerskim szyku milczkiem, bez podawania sygnałów głosem lub świstawką, narażał ludzi na gubienie się w puszczy. Razu jednego porzucił połowę oddziału na błotach, co do reszty oburzyło i tak zniechęconych powstańców; w skutek czego połowa z nich opuściła oddział i rozeszła się po domach, a druga dzięki tylko zabiegom oficerów, pozostała na miejscu, nie wiedząc nic o naczelniku blizko dziesięć dni. Naczelnik cywilny miński dowiedział się nareszcie o wszystkich sprawkach Dybowskiego i posta-

nowił porozumiawszy się z Wydziałem litewskim Rządu Narodowego, odjąć mu komendę, o czem dowiedziawszy się ten ostatni, pod koniec czerwca, gdy przybyły nowe posiłki z Rakowa, zabrał z sobą co najlepszych ludzi, opuścił puszczę i rozpuścił ich, udając się do domu na wypoczynek. Ta zuchwałość zbrodnicza zmusiła złożyć sąd wojenny, który skazał go na śmierć, a władza cywilna zamieniła ten wyrok na banicję.

Nie rozwodzilibyśmy się nad smutną postacią Dybowskiego, którego karjera skończyła się amnestją moskiewską, daną jako obłąkanemu, gdyby w nim nie wcieliły się w najsubtelniejszych odcieniach wady, skutkiem których upadło powstanie, oraz dla pokazania z innej strony, jakim to duchem byli zagrzani patrjoci litewscy i z jakiemi przeszkodami mieli do walczenia. Bo jeśli żaden z naczelników na Litwie nie upadł tak nisko jak Dybowski, za to wiele jego pojedyńczych przywar czepiało się i innych. Rzeczą niezaprzeczoną pozostanie, że prócz zmarnowania najdroższego materjału, jemu wyłącznie przypisać należy zadanie ostatecznego ciosu mińskiemu powstaniu. Nasuwa się jeszcze jedna uwaga. Zachodzi pewne powinowactwo pomiędzy zamysłem Dybowskiego rozpuszczenia oddziału i jednocześnie prawie powtarzającym się analogicznym faktem w oddziale Ihumeńskim. Od Pelikszy nie słyszeliśmy nigdy, aby komitet od siebie wydawał podobne rozporządzenia. P. Bolesław Świętorzecki, jako komisarz wojewódzki, pod okiem którego to działo się, powinien publicznie rozjaśnić ten ciemny fakt.

Resztki powstania mińskiego, w liczbie dwudziestu kilku ludzi, postanowiło jednak nie opuszczać swego stanowiska koło drogi wojenno-komunikacyjnej. Używając rozmaitych fortelów i mając wyłączne poparcie u chłopów i szlachty zaściankowej, oddziałek ten utrzymał się miesiąc, ukrywając starannie ślady swego istnienia przed Moskwą, rozkwaterowaną po wioseczkach w puszczy. W pierwszej połowie sierpnia zresztą doczekał się powrotu części ludzi, których zdradziecko uprowadził Dybowski, a z nimi razem przybył nowy naczelnik powiatowy, dawniejszy oficer Romiszewski pod pseudonimem Ruszczyca.

Remiszewski w połowie sierpnia otrzymał rozkaz połączenia się z Laskowskim, przyczem miał do wyboru drogę krótszą z pod Tołkaczewicz na Dudzicze lub dłuższą lecz bezpieczniejszą na Horelec mimo Nowosiółek, i ostatecznie wybrał tę ostatnią. Na marszu atoli nie przestrzegano ostrożności i tajemnica pochodu została zdradzoną przez chłopów źle usposobionych dla powstania w tamtych stronach. Przeszedłszy Ptycz i minąwszy dwór oraz wieś Horelecką, nad ranem oddział zatrzymał się; lecz zawiadomiony wczas o zdradzie zmienił pozycję, przechodząc groblę do Nowosiółek za folwarkiem, i rozłożył się po prawéj stronie, na suchéj kępie leśnéj, otoczonéj moczarami z trzech stron. Pół kompanji Moskali i do trzysta milicjantów wraz z ogromną obławą do tysiąca ludzi zbrojnych w kosy, ruszyli łapać powstańców na rannej pozycji. Oddział tymczasem przez cały dzień, stojąc na miej-

scu, miał czas wypocząć, a gdy nad wieczorem powracała ekspedycja moskiewska, nie krył się wcale przed nią. Część Moskali i milicja, rozsypani w tyraljery, posunęła się na powstańców, zaczajonych za drzewami. Z męztwem i wytrwałością najwytrawniejszych żołnierzy, powstańcy, przypuścili na kilkanaście kroków do siebie tyraljerów nieprzyjacielskich i znieśli niemal wszystkich tych, których znaleźli przed sobą. Przerażony stratą kilkudziesięciu ludzi, nieprzyjaciel, pierzchnął w nieładzie z lasu. Brawada powstańców udała się; bo nietylko żadnej straty nie ponieśli w zabitych i rannych, lecz nie ścigani, mieli czas przeprawić się w nocy napowrót przez Ptycz i uszli przed kilku bataljonami, które pod dowództwem jenerała Rusionowa pośpieszyły z Ihumenia, dla przetrząsania puszczy. W kilkanaście dni później, znowu zrobiono nową próbę połączenia się z Laskowskim, lecz i tu złe rozporządzenie sprawiło, że oddział w biały dzień ukazał się koło Kowalewicz, leżących o ćwierć mili od Szacka. Dwie kompanje wojska i milicja na wozach zaraz pospieszyły zabiedz drogę, lecz bez żadnych skutków, ponieważ doszedłszy do lasu, powstańcy, rozdzielili się na piątki i tym manewrem partyzanckim zmylili pogoń za sobą, a następnie zebrali się, mając naprzód wybrany punkt zboru. W parę tygodni potem, oddział miński został rozwiązany przez swego naczelnika Romiszewskiego i znikł niepostrzeżenie przed Moskalami, którzy do późnej jesieni tłukli się jeszcze po lasach, szukając go.

Zastanowiliśmy się nad działaniem powstania powiatu mińskiego, raz, jako dokładnie obeznani z niem, a następnie, dla tego, by na niem wykazać wszystkie błędy i zalety partyzantki tamtejszej. Wydając zaś o niéj wyrok ostateczny, przychodzimy do tego wniosku, że gdyby do jesieni 1863 r. oddziały partyzanckie na Litwie utrzymały się, i zamiast kilkuset, przynajmniej po parę tysięcy w każdem województwie litewskiem wynosiły, los kampanji zimowej zostałby zdecydowany i puszcze pozostałyby w naszem ręku przez całą zimę. Łatwo zrozumieć, jakie mogły być skutki tego.

Los cywilnej organizacji mińskiej był ten, że po koniec 1863 r., czyli chwilę wydalenia się Pelikszy za granicę, pełniła ona swoją czynność z największą regularnością, a rząd moskiewski w żaden sposób nie mógł wpaść na jej ślad. Wszakże nie trzeba przypisywać tego na karb jakichś powolności ze strony najazdu. Nie tylko urzędowe figury jak gubernator, lecz i wielu Moskali, jak archirej Michał Hołubowicz, Gatowcow liberał moskiewski, prezes izby skarbowej, Puszczyn decembrzysta i obywatel powiatu bobrójskiego i kilku innych, utworzyli z siebie prawdziwą św. Hermandadę, gdzie wymyślano najstraszniejsze środki przeciwko polonizmowi.

Aby lepiej scharakteryzować działanie tej szajki zbrodniarzy urzędowych, cytujemy fakt podburzania ludu po cerkwiach na dniu 19 lutego s. s. 1863 do wyrżnięcia szlachty, a jako przykład, burdę zaszłą w Nowogródzkim powiecie w Koreliczach, gdzie pop Homolicki nie tylko podżegał w cerkwi lud do

rzezi, lecz sam stanąwszy na czele spojonych chłopów, poszczuł ich na gumiennego, który od pobicia kijami umarł; a następnie zatknąwszy pistolety za pas i uzbroiwszy kilkunastu w topory i kosy, rzucił się podburzać sąsiednie wsie przeciwko panom. Moskwa atoli grubo zawiodła się na ludzie litewskim, który skoro tylko dowiedział się o co chodzi, zamiast mordować, sam zabrał się do łapania komendy Homolickiego. Odpisy listu pasterskiego Hołubowicza, nakazujące popom poszczucie ludu na panów, do dziś dnia zapewne przechowały się. Śledcza komisja urzędownie temu zaprzeczyła.

Pomimo to w organizacji wszystko szło gładko, a gdy się oddziały poczęły rozwiązywać, działalność jej szczególniej wzmogła się. Gorliwość ta miała dwojakie źródło: najprzód w popędzie serca do niesienia pomocy patrjotom, a powtóre, co pewniejsza, w chęci pozbycia się co prędzej widma przyszłego powstania. Pokazuje się ztąd jak głupiem i nikczemnem było późniejsze prześladowanie obywatelstwa za dawanie pomocy uciekającym z kraju. Grosza nie szczędzono, a kobiety za najwyższy zaszczyt miały przewozić i przechowywać powstańców z narażeniem się na utratę majątku i wolności. Podatki wybierano regularnie, a zbywające sumy i to znaczne wysyłano do Wydziału litewskiego Rządu Narodowego, Peliksza prócz tego zaprowadził sądy, na których były sądzone wszystkie sprawy przez własnych narodowych sędziów.

Rząd Narodowy umiał oceniać zasługi Pelikszy, a troszcząc się, aby nie wpadł w ręce moskiewskie,

pokilkakrotnie gdy już spostrzegł, że dzielny naczelnik województwa Mińskiego nie utrzyma się na stanowisku, robił mu propozycje opuszczenia Mińska i wyjazdu za granicę. Lecz dopóki były gorętsze czasy, wojewoda nie chciał korzystać z pozwolenia; dopiero w zimie, gdy cała czynność ustała wyrobił sobie drogą zwyczajną u Moskali paszport zagraniczny. Wydalając się, złożył urząd w ręce Hektora Łapickiego, obywatela powiatu mińskiego, jednego z najczynniejszych i najodważniejszych referendarzy narodowych. O ile był użytecznym teraźniejszy wojewoda pod ręką Pelikszy, o tyle okazał się szkodliwym na nowem stanowisku. Próżny i lekkomyślny a przy tem mający rozległe stosunki pomiędzy czynownikami moskiewskiemi, zaczął zbyt mało przestrzegać ostrożności z nimi, tak, że wkrótce został aresztowanym jako podejrzany o wysoki urząd w organizacji. Tutaj dopiero odkryła się cała nicość charakteru i nikczemność tego człowieka. Jeszcze Moskale nie mieli najmniejszych dowodów przeciwko niemu, gdy już przyznał się, kim był w organizacji, a w ślad za tem wydał wszystkich niemal urzędników.

Stawieni przed sądem i na oczne stawki, wyparli się wszyscy, lecz nic to nie pomogło, gdyż tak natarczywie, bezczelnie denuncjant każdemu w oczy dowodził o jego spólnictwie i upewniał o łasce cesarskiej. Zamiast łaski, atoli zasądzono wszystkich i pokonfiskowano majątki. Pelikszę osądzono zaocznie na śmierć, a komisarza wojewódzkiego dra Michała Oskierkę, najcnotliwszego oby-

watela i patrjotę, który był prawą ręką wojewody i zajął miejsce po Świętorzeckim, pojmano w Witebsku i rozstrzelano w Mińsku 11 maja s. s. 1864. Prozora, Oskierkę Bolesława, Krupskiego Bonifacego, Mogilnickiego, Wańkowicza i wielu innych skazano do katorżnych robót lub wywleczono na Sybir. Na domiar upokorzenia znalazł się nikczemnik, niejaki Eustachy Pruszyński, bogaty właściciel z pod Mińska, który zaczął zbierać podpisy na błagalnym adresie do cara, gdzie szlachta mińska przepraszając mordercę swego kraju, w najnikczemniejszy sposób wypierała się i polskości. Nie stało organizacji narodowej, a na jej miejscu zapanowała sromotna noc niewoli, i rdza spodlenia okryła lśniący pancerz cnoty narodowej!

Zaiste, wziąwszy na uwagę rodowód powstańczego ducha w Mińskiem, a następnie niedołęztwo pierwszej organizacji i wysilenia wroga do zabicia jej — trzeba podziwiać skutki, jakie osiągnięto na gruncie tak niewdzięcznym. Walka orężna, a zwłaszcza duch publiczny, posiłkujący ją, utrzymała się tam blizko dziesięć miesięcy, pomimo nic nie znaczącej siły powstania w porównaniu do ogromu sił, jakiemi dysponowała Moskwa. A jakkolwiek zapał patrjotyczny i duch ofiarności przenikały wszystkie warstwy ludności, nie mniej przeto pozostanie pewnikiem, że siłą materjalną poparcia znalazły ono w massach ludu wiejskiego. Tradycje bowiem ludu białoruskiego w równej świętości utrzymują podania o skasowanej unji jak zarówniez i o „wialikoj Polszczy“, której w głębokich tajnikach sumienia

uznaje się być dotąd obywatelem. Wszystkie straty materjalne powstania są niczem, w porównaniu do zdobyczy jakie w 1863 r. zrobiło ono w massach ludu, przypominając mu — kim jest w istocie.

Najwyższą zasługą ostatniego ruchu zbrojnego nie jest uwłaszczenie chłopów, albo równouprawnienie żydów lub coś podobnego, gdyż to są rzeczy, które dopiero historja ocenić potrafi, lecz nie spółcześni, a zwłaszcza massy; leży ona w czem innem, mianowicie, w szerokiej propagandzie idei patrjotycznej, połączonej z najwyższą ofiarą.

Przywykliśmy dzisiaj wszystko pędzić korytkiem utylitaryzmu i do tyla zmalał przed nami widnokrąg duchowy, iż nie śmiemy powtórzyć odważnie słowa, przekraczającego potrzeby powszednie. Idea stała się synonimem bałamutności lub nieokreślonej mglistości, z którą odzywać się dla celów praktycznych trzeba unikać najstaranniej. Tymczasem nie widzimy, że ona to w istocie jest potęgą, lecz nie jej przymioty, zawarte w wolności, równości i niepodległości, o których massy pojęcia żadnego, lub bardzo małe miewają, a pomimo to, najwięcej krwi i szczęścia poświęcają w ruchach patrjotycznych. Wielki prorok nasz Skarga wypowiedział czem jest ona: ustanowieniem Bożem, kwiatem nieśmiertelnym, który naród uprawia w ogrodzie gwiazdzistym wszechdziejów, gdzie się pielęgnuje w całéj niebiańskiej krasie i potędze tajemnica prawdy dziejowej w czasie i przestrzeni, a zkąd genjusze i bohaterowie przynoszą ludzkości w jej po-

chodzie postępowym pokarm światła i piękna, warunek życia narodowego.

Wyrosła na gruncie wolnego porządku Bożego, promieniająca chwałą zwycięztw i męczeństwa zasługą, idea polska, świeci po nad ludzkością jako nowożytne labarum polityczne. Głos jej dostępny dla tych co nie szukają cudzej krzywdy i pragną szczęścia na ziemi. Bohaterowie, gienjusze i męczennicy cześć i ofiarę jej składają, a za nimi garnie się lud, chciwie szukający śladów prowadzących ku nieśmiertelności. Przeczuwają oni, że w konstellacji wielkich ideałów, których godzina nadchodzi, nasz ideał polityczny posłuży za oś główną, koło której będą obracały się interesa wszystkich ludów podbitych i jęczących pod jarzmem przemocy. Lecz niema cześć nie starczy jej, a płaska powszedniość nie dla niej żywiołem! Zwycięztwo i spokój wolnych ludzi, lecz nie dobrobyt utuczonych niewolników, zdobiących swe obroże wymysłem, przez nią przemawiają; dla tego to niemal cały blask jej bije z lśniących ułomków pogruchotanych oręży i przeświecа promieniem jutrzni zmartwychwstania przez rubinowe krople krwi ofiarnej...

II.

WYPRAWA HORELECKA.

Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy,
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?

Sen myśliwski nam odkrył tajnie przyszłych czasów:
Że Litwie trzeba zawsze żelaza i lasów.
(Pan Tad. ks. IV.)

Głucho grzmi w zamierzchu wieków pieśń pogańska, jękiem wtórzą jej wajdelotów lutnie, co słały krociami wojowników z pod ciemnych konarów puszcz odwiecznych, by obwieścić światu, przy odgłosie rogów i łunie pożogi, że duch puszcz zagadał do swej dziatwy tajemniczej, do rycerstwa litewskiego, wysełając go na naprawę świata zepsutego.

Grzebie piasek ostrem kopytem cisawy konik żmudzki, a jak ten piasek lekko pryska od uderzeń jego stalowych nóg, tak pryskają na wsze strony pobite hordy Mongołów, postrach świata ówczesnego. A kniaziowie Rusi i Moskwy nie śmią stawić nawet czoła litewskiemu rycerstwu; tylko śpiesznie

biegną witać wielkiego wojownika, gościa drogiego, strzemię mu trzymają i swoje krasne dziewki ofiarują. O! życiodajny duchu pogańskiej Litwy, o! starosławne dzieje, ileż w was potęgi męzkiej i czaru uroczego.

Duchy groźnych a potężnych naszych mężów! gdzieżeście się ukryły? czy wam za wasze lub za nasze przewinienia już nie wolno nawiedzać tej ziemi, którąście tak hojnie swoją i wrogów krwią polewali?—Już nie wolno im ukazywać się na tej leśnej ziemi, bo czas nadszedł dla niej znowu, by w męczeństwa i wytrwałości koronie nowe bohatery powiła, co z piekła niewoli oba zbratane i poprawione narody wyprowadzi. I pocóż mieliby dzisiaj schodzić na tę ziemię? Nic im ona oprócz smutku dać nie może.

Bo smutno i tęskno wszędzie na tej mojej biednej ziemi! Gdzie okiem powieść, wszędzie zgliszcza, zniszczenie, groby świeże krwią męczeńską zlane i głęboki smutek albo rozpacz w sercach prawych jej synów. Dziki wróg urządził z tego kraju jedno wielkie więzienie, gdzie nietylko ciało więzi, ale gdzie w zbrodniczej swej zarozumiałości myśli uwięzić, a następnie zniszczyć ducha, co ten kraj prowadzi po drodze postępu, ku wiecznym celom Przedwiecznego. Lecz duch ten krzepki jak przed wiekami, w rozpaczy marnej nie szuka pociechy.

Nie. Szuka on w pracy niepożytej wieszczów i bohaterów odkryć Litwinom, gdzie jego groźna i potężna moc najlepiej ukrywać się lubi. I oto przez usta najukochańszego swego proroka, Adama

nieśmiertelnego, obwieszcza — że spoczął on w tajnych głębiach puszcz litewskich, zakutych w żelazo rycerskie.

I my słabi i my mali, szliśmy do tej świątyni, poszukać ognia starego Znicza; a jeśli grom zwycięzki Perkuna nie zawtórował naszym szczerym chęciom, to nie nasza w tem wina. Widać taka jest wola Opatrzności dziejowej, która tem skorzej i tem łaskawiej chce rozkuć fatalne pęta litewskiej pogoni. . .

Wrogu krwi niesyty! Moskwicinie, w róg Witołdowy zadzwonimy wtedy do ciebie, i oddasz nam wszystko, coś nam odebrał: i ziemię, i wolność i mienie nasze. Tam w borach naszych czarnych czeka na cię grób twój, chociażeś w trwodze bladej powycinał te szerokie ulice w samem ich sercu i na nich to właśnie będzie czekał straszny jeździec litewski z podniesionem żelazem, by go utopić w twój kark niewierny i zanucić hymn zwycięztwa swym bogom leśnym! . .

Ukośne promienie zniżającego się ku zachodowi słońca, oświecają wierzchołki czarnych sosen i jodeł T... puszczy.

Kochanek wieczorny, wietrzyk niedostrzeżony, ciągnie górą, zabiera wonie i bucha ciepłą falą balsamicznych wyziewów po borze i po mszarach głuchego, zapadłego ostępu. Do mieszkań ludzkich ztąd tak daleko, że nawet szczekanie psa i pianie

koguta nie dolatuje. Spokój w około najzupełniejszy, natura tutaj sama u siebie gospodarzy.

Na hasło wieczora, ciężko załopotały skrzydła głuszca, ciągnącego z wieczornego żerowiska na nocleg i namiętne stękanie łosia obudziło chwilowo ciszę leśną. Niby życie jakieś tajemnicze zadrgało w tej czarnej puszczy przed snem, i wzywa, aby wynosili się z niej nieproszeni goście polni; a największy z nich zuchwalec, człowiek, i ten musi tego głosu słuchać. Bo gdy czarna opona nocy spadnie pomiędzy te sosny i jodły, wtedy tam zaczyna się jakieś dziwne życie, okiem niedostrzeżone; od czasu do czasu rozlegają się jakieś ciche stąpania, albo bieg lekki i ostrożny, łuskanie gałązek, ciche warczenia i świsty stłumione, albo inne głosy tajemnicze, jakby ze świata duchów pochodzące. To zwierz gruby i drobny żeruje i gospodarzy w swym domu.

Ludzkiej chciwości nie wolno tego szpiegować, bo lasy prędko pozbyłyby się reszty swych mieszkańców przyrodzonych.

Wyobraźnia Litwina, pod wpływem strachu rzeczy nie z tego świata, zaludnia głębię puszcz całym rojem istot nadprzyrodzonych, a mieszkańcy odludnych, leśnych wioseczek, nigdy w głębi puszczy na nocleg nie zostają. Zwierz, strachy i upiory zamknęły przed nimi rozkosze noclegu pośród ich wonnych lasów.

Lecz dzisiaj zdaje się, że się rzeczy zmieniły, i duch puszcz spuścił te opiekuńcze zapory, przed wybranemi dziećmi nieszczęśliwej krainy, tuląc je troskliwie do swego łona olbrzymiego.

Bo oto w cieniu tych sosen i jodeł, podszytych wiotką leszczyną, snuje się jakby w domu garstka zbrojnych ludzkich postaci, chociaż już szarzeć poczyna. Sądziłbyś po ich szarym kolorze ubrania i po ciszy głębokiej, jaka pośród nich panuje, że to zaklęci mieszkańcy tego dzikiego uroczyska, przed którymi truchleje lud wiejski. Tylko lekki dymek, podnoszący się z kilku dopalających się ognisk i zapach skwarków, dają ci poznać, że stoisz przed obozem żyjących ludzi, wojowników, którym ostrożność nakazała głęboką ciszę zachowywać.

Nie bój się ich jednak, jeżeliś poczciwym człowiekiem! Ci ludzie zbrojni, to sól tej ziemi litewskiej, są to powstańcy litewscy z r. 1863, co niemal z procą w ręku wyzwali na bój samego szatana wcielonego, carat moskiewski i jego dzikie żołdactwo o tyle liczne, że czapkami mogłoby ich zarzucić.

A choć są tak nieliczni, niedoświadczeni w rzemiośle wojennem, młodzi i źle uzbrojeni, i zdają się prędzej wyglądać na szyderstwo swej sprawy, jak na jej obrońców — ufaj w ich moc; bo są oni w istocie tak potężni, że pamięć o nich przeżyje wszystkie orężne sprawy naszych najezdników, a ich poświęcenie jest tak daleko sięgającem w przyszłość, iż wszelkie wysilenie wrogów na złamanie go, nietylko płonnem okaże się, ale do reszty wyssie z nich siłę zaborczą. Siła brutalna tylko jest im na dzisiaj odmówioną, bo mają świadczyć o mocy wyższej — o prawdzie. Ramię zaś rycerskie, jakie stworzą, będzie tem, co dźwignie olbrzymi miecz sprawie-

dliwości, którym utnie się wszystkie sto głów hydry despotyzmu.

W nich jest wszystko, co naród najwięcej umiłował: zapał bohaterski, pogarda życia, miłość ojczyzny, duch niepodległości, słowem wszystko, co splata się na wieńce poezji życia, co złoci wiarę ludzką, czem tchnie pierwiastek boski miłości.

Oni są tym rankiem wiosennym, pełnym woni róż i jaśminów i śpiewu słowika; oni są tym hymnem wiośnianym, pełnym uroczego zapału, jaki ziemia szle niebiosom z drgającego łona. Dla nich uwielbienia i hołdy tych wszystkich, co czuć i myśleć szlachetnie umieją; dla nich bicie serc niewieścich i płomienie rumieńców dziewiczych; do nich lgną hartowne i czyste dusze męzkie — bo na dzisiaj: oni są wdziękiem i prawdą tej ziemi. W nich, jak kochanka w zwierciedle, rozpatruje się ziemia polska, i wywołuje w pamięci świetną przeszłość swych bohaterów i męczenników, by stworzyć przyszłość promienną, — bo na dzisiaj oni są tym łącznikiem widomym, co wiąże śmiertelnych ze wzniosłą nieśmiertelnością.

W czynie, w ofierze, cała treść dziejów zamyka się, a ogień miłości, co w niej płonie, jest tym skarbem niepożytym, który życie daje całym pokoleniom. Naród żyje dotąd, dopokąd w uczuciach odbijają się cnoty bohaterów jego.

W sennej oddali, jakby organów tony i archanielskie pienia, płynie postać mnicha z Jasnej góry obok hetman cały w stal zakuty, co to ani z soli, ani z roli, ale z tego co go boli urósł; z kometą

przed sobą król szkarłatny, lew północy, buńczukami z pod Wiednia drogę znaczy; wódz w sukmanie krakowskiej i w konfederatce, miecz złamany trzyma i sypie promieniami miłości na wszystkie strony świata; tuż przy nim stoi mąż z nożem ku sercu zwróconym i wieszcz litewski z lutnią, z której żywy strumień życia niepodległego tryska; dalej kilka większych promiennych postaci męczeńskich, ze stryczkiem na szyi, albo z łonem postrzelanem i cały tłum w blizny męczeństwa i bohaterstwa okryty. Przed nimi powiewa sztandar biały, na którym krwawemi głoskami stoi napisano: Polska.

W górze i w dole, w koło nich, jakby burza świetlana, roją się błyszczące postacie w zbrojach skrzydlatych, w kontuszach, z pod których blaskiem gwiazd niebieskich świecą blizny z boju wyniesione. Tęcze nadziei i brylantowe promienie wiary i wytrwałości oplotły ich w koło.

Z tych tłumów jest rodem i ten zastęp, co go widzisz pod zwieszonemi gałęźmi opiekuńczego boru.

Pośród gąszczu leśnego stoi kilkanaście drzew rzadziej rozsuniętych, które krzewy leszczyny jakby żywym płotem otoczyły. W środku stoi jodła ze zwieszonemi gałęziami jak namiot ostrosłupisty, pod którym na ciemnozielonym kobiercu z borówek ubranych w koralowe jagódki, siedzą trzej ludzie. Broń ich stoi oparta o jodłę, pod którą siedzą, jak również torby na żywność i burki w trąbkę zwinięte. Na ziemi, przed nimi, leży rozwarta mapa topograficzna tej części kraju, gdzie teraz obozem leżą.

Strój na nich prosty, bez żadnych oznak wojskowych; dwaj są ubrani w szare chłopskie katanki, a trzeci nosi czamarę polską; małe torebki przez plecy i rewolwery przy boku, to wszystko czem się wyróżniają od reszty snujących się w milczeniu ludzi.

Ci trzej są to dowódzcy oddziału powiatu Mińskiego. Pieczęć znojów życia partyzanckiego odbiła się mocno na ich zarosłych twarzach i zgrubiałych rękach, a pogoda duszy, z męzką rezygnacją i hartem żołnierskim, odbijają ślicznie od ich postaci. We wzroku ich, co utkwił pilnie w mapie rozłożonej, maluje się cała trudność położenia, z którą walczyć postanowili wytrwale.

Nie mogąc w trzydziestu kilku ludzi przysporzyć wawrzynów swej ziemi, postanowili przynajmniej ocalić honor wojenny województwa Mińskiego, nie dając się pochwycić stokrotnie silniejszemu nieprzyjacielowi. Cała myśl ich wytęża się na to, by ominąć wszelkie przeszkody i niepostrzeżenie okazywać swe siły tam, gdzie wróg nie spodziewa się tego wcale. Potrzebne wiadomości topograficzne nie tyle z map czerpią, ile z pięciomiesięcznej praktyki w prowadzeniu oddziału po tych głuchych puszczach. A młody naczelnik Ruszczyc, świeżo nominowany przez Rząd narodowy, umie wodzić oddział po tych bezdrożach leśnych, jakby urodził się w tych lasach. Dwaj pomocnicy jego, J. Piłeczka i Harap, biorą udział tylko w naradach co do celu wypraw, i pilnie czuwają nad tą garstką powstańców, by z nich módz utworzyć kadry dla przyszłej armji powstańczej. Zgoda i harmonia, jak przystało na

prawdziwych obrońców ojczyzny i ludzi fachowo obeznanych z rzemiosłem wojennem, panuje pomiędzy nimi, i stanowi główną siłę tego malutkiego oddziału. Siła ta zastępuje im krocie, tak niefortunnie gdzieindziej pomarnowane.

Jak pszczoły około matki w ulu, tak w ciszy poruszają się na około swej starszyzny w szare katanki, w długie buty za kolana i w czarne kepi wojskowe przybrani powstańcy; wszyscy sami młodzieńcy, najstarszy zaledwie dwadzieścia kilka lat liczyć może; lecz oko wprawne poznaje w nich odrazu najdzielniejszych żołnierzy do tego rodzaju wojny. Wiara w swych dowódzców i spokój zupełny maluje się w ich postawach i we wzroku; a w obozie stutysięcznej armji, obwarowanym potrójnym łańcuchem fortyfikacji, niema tej pewności, jak u tej garstki, co zaledwie parę widet jest w stanie wystawić. Uśmiech dziecinny ożywia ich twarze, w spojrzeniu łagodność człowieka cywilizowanego świeci; ani twarzy marsowych, ani orlego wzroku, ani bark rozrosłych — nic tutaj zgoła nie świadczy o tej sile fizycznej, potrzebnej do obalenia olbrzyma, co sprośnem cielskiem zawalił ich ciche równiny i puszcze urocze.

Tam o sosny oparta stoi ich broń; a musi być straszną, kiedy przy swej niemocy fizycznej, targnęli się na ćmy od stóp do głów uzbrojone, co ich czapkami zarzucić mogą? Zwyczajne myśliwskie dubeltówki bez bagnetów, rzadko u którego rewolwer albo pistolet i kindżał za pasem — oto całe ich uzbrojenie!

W obozie ruch widać, zapewne zmianę pozycji albo i odleglejszy marsz oddział ma przed sobą.

Opatrują broń, wybierają amunicję, którą furjer w naturze każdemu oddaje, bo każdy sam sobie ładunki sporządzi i kule odleje. Proch i ołów po rozdaniu, zaniosą gdzieś w leśny schówek, że nie tylko Moskal, ale i sam djabeł z poblizkich trzęsawisk nie wynajdzie. Mnóstwo jest sposobów schowania czego w tych puszczach, lecz najpewniejszy, to ogrom obszarów ich. Śmieją się więc powstańcy mińscy ze wszystkich wysiłków ciężkiego wroga około odkrycia tych kryjówek!

Dalej po amunicji przychodzi kolej na żywność. Wyciągają słoninę wędzoną, szynki, wędliny, chleb, kaszę, sery suszone, krają wszystko na równe porcje i układają na poblizkiej kłodzie. Nikt tu lepszych kąsków nie dostaje, wszyscy bez wyjątku i naczelnik sam, równo są obdzieleni. Szeregowi widząc się zupełnie zrównanymi ze swą starszyzną co do potrzeb fizycznych, tem silniej muszą uginać się przed ich wyższością moralną. Wyścigi tutaj na poświęcenie, na wytrwałość, na zaparcie się siebie, ale dla nizkich namiętności niema przystępu.

Przy ogniach siedzą i kule odlewają; a blask każdej nowoodlanej kulki rzuca promień nadziei lepszej przyszłości w serce powstańca. Szepcą, śmieją się, jakby na gody wybierali się.

Nagle ciszę leśną przerywa stąpanie kilku ludzi, i z za drzew wychyla się kilka ludzkich postaci. To są leśni wieśniacy z przyległych wiosek; przynieśli w torbach borsuczych trochę żywności, którą

rozdają pomiędzy powstańców, witając się z nimi, jak z najbliższemi i najdroższemi sercu swemu osobami.

Tylko dwaj z nich prosto idą pod jodłę, nie odpowiadając na zapytania powstańców, a gdy stanęli przed starszyzną, czapki zdejmują, witają uprzejmie i na skinienie naczelnika, siadają obok na ziemi. W obec sprawy świętej i przed naturą, duma wszelka musi precz ustąpić.

Kto chce poznać świąteczne, podniosłe uczucie, które człowieka odradza, które daje uczuć człowiekowi przedsmak wspaniałego zaziemskiego życia, niech idzie do obozu powstańczego, bo tam gości, obok cnoty, prawdziwy Bóg świąteczny! To też i poufałość jest tutaj na miejscu, a tem więcej rozrzewniającą, że przepaść, jaka rozdzielała cywilizowanych od reszty, była ogromną na Litwie przed kilku jeszcze miesiącami. W tem zetknięciu się bliższem dwóch warstw społeczeństwa, chłop odszukał nić tradycyjną zamierzchłej pogańskiej patryarchalności i poczuł w piersiach swoich ten sam święty ogień miłości ojczyzny, co mu dawał prawo w tych dawnych czasach, radzić nad tem, co jest najdroższego sercu ludzkiemu.

Napróżno będą wasze wysiłki wrogi, by ten lud ku sobie przyciągnąć! Dać to, czego on chce, wy dać nie możecie; chce on was wyrugować ze swej ziemi... jak szkodliwe zwierzęta.

Ruch narodowy 1863 r. jest jedną z najpiękniejszych ozdób dziejów naszych, bo po raz pierwszy wszystkie warstwy narodu polskiego stały przy

wielkim ołtarzu pracy patrjotycznej, a urok tego czarującego uczucia jak gorącem żelazem, raz na zawsze zostawia ślady w sercu każdego, kto stał przy nim bliżej. Cóż mówić o sercu młodzieńczem ludu!

Legendy, jakie powstaną z tajnych leśnych ruchów, gdzie chłop jako najgłówniejsza tajna sprężyna występował, będą mu budziły ciągle serce, przypominając obowiązek czynnego obywatela względem swego kraju. A cudowność, co spłynie na tę tajną akcję, zaniesie działanie patrjotyzmu w dziedziny najgłębsze, gdzie już go nigdy ramię despoty najezdnika nie dosięże. Jak chłopska wyobraźnia umiała ubarwiać czyny wojenne w czasie samej akcji, tak samo głęboko musiała i w umysły ich zaszczepić się czarująca prawda patrjotyzmu.

Po krótkiej naradzie z chłopami i odebraniu od nich korespondencji rządowej, naczelnik zapytuje jednego z nich:

— A cóż tam więcej słychać z nowin?

— Taż panoczki wy czuli pewnie, jak heta Świntureckij maskouśkacho jenerała zławjyu?

— Którego, Grunta?

— A tego samego, Świętorzecki*) jak tylko dowiedział się przez swego kurjera, że łotr, jenerał Rusinow, co w Ihumeniu stoi, ma przejeżdżać traktem do Mińska, zaraz sprawił wojsko swoje, i ciszkiem podsunął się pod drogę blizko Ihumenia, chociaż tam cała chmara Moskali kwateruje. Nic tego jednak nie boi się i czeka spokojnie w za-

*) Opowiadanie z rzeczywistości.

sadzce na swoją zdobycz, chociaż pikiety kozackie, co snują się po drodze, tyle że nie nadepcą powstańców. Tak leżą nasi od rana samego; aż koło południa naraz usłyszeli tentent wielki na gościńcu i dzwonki pocztowe. Gęszczarem podsuwają się pod samą drogę i milczkiem przepuszczają mimo siebie sotnię kozaków, co na szpicy szła; a gdy już kareta wjechała na ich linię, coś strasznie zahuczało po puszczy, że konie kozackie płoszyć się poczęły; jak nie utną wtedy nasi do kozaków, tak cały pułk z kulbaki zwalił się i konie u karety powaliły się. Nasi do karety, i wyciągają ztamtąd jenerała, który cały pobielał jak chusta i oddaje sam rewolwer i pałasz. Prowadzą przed Świętorzeckiego, aż ten poznaje, że to nie Rusinow, ale jenerał Grunt, katolik; każe mu wtedy przysiądz, że więcej przeciwko Polakom wojować nie będzie; daje mu na pamiątkę brylantowy pierścień i puszcza go na wolność z eskortą aż do miasta. Lecz Moskal złodziej, chciał skorzystać i rzucił się w ślad za naszymi, z całem swojem wojskiem. Wtedy Grunt zawstydził się, bo jest katolikiem, zdjął z siebie surdut, rzucił go o ziemię i powiada: „już ja waszego jeneralstwa nie chcę, kiedy wy tacy podli!“ A jako starszy kazał Moskalom nie iść do lasu i powracać do Ihumenia. Słychać, że tego Grunta car kazał rozstrzelać, za to, że słowa dotrzymał.

Takiemi to wspaniałemi obrazami rozpłynęły się dzieje ostatniego powstania pomiędzy ludem, chociaż sam fakt historyczny przytoczonego wypadku daleko skromniej wyglądał. Moskiewskiego jenerała

Grunta, jadącego z Ihumenia do Mińska, bez żadnej eskorty, złapał w lesie Laskowski, a poznawszy że to nie jest Rusinow, na którego właściwie zasadzka była urządzoną, puścił go bez żadnej krzywdy. Oddział Laskowskiego był uważanym przez chłopów za oddział Świętorzeckiego, bo się formował w jego dworze i on sam przy nim osobiście znajdował się przez pewien czas.

Ale lud na te rzeczy tak patrzeć nie umie, szczególniej litewski, wschodnich województw, rozsiadły pomiędzy tamecznemi ogromnemi puszczami. Każdy ostęp u nich, każde uroczysko, zostały zaludnione przez jakiś bohaterski albo cudowny czyn, którego pamięć przechowa się w najpóźniejsze wieki, w skutek nowych nazwisk ztąd powstałych.

Tchórzostwo, nieudolność i okrucieństwo Moskali w obec ujmujących zalet zewnętrznych i wewnętrznych powstańców: ich odwagi, ich sprytu i wielkiej łagodności, oddały lud dalszych województw litewskich w nasze ręce. Tak w pracy wiekowej, kroplami krwi naszej, zlepiamy rozbite kawałki rzeczypospolitej, którą rozpusta garstki, zdrada i zbójecka przemoc obcych tak haniebnie zatraciły!

Tymczasem w skutek odebranych rozkazów, ruch się zwiększył w obozie. Kociołki z ognia zdejmują i każdy nabrał do łubianki z kory brzozowej kaszy hreczanej, którą śpiesznie spożywa.

Czarny chleb razowy i ta nędzna sprawa, trochę herbaty albo kieliszek wódki w słotę i na marszu, oto całe ich pożywienie. Myliłby się wielce ten, kto sądziłby, że to życie na wpół dzikie dajo

uczuć tym ludziom cały ciężar ich poświęcenia. Ogniste ich dusze żyją teraz w stanie tego podniesienia, co o smaku strawy ziemskiej każe zapominać. Byle głód tylko zaspokoić, który często szarpie im wnętrzności; a o wygodach jakichbądź nawet mowy nie ma.

Rozległo się półgłosem wymówione „do broni!“ Wszyscy piorunem porwali za broń i tornistry, i stoją już w szeregu nieruchomi. Tylko uważni oficerowie przechodzą wzdłuż frontu i broń każdego opatrują.

Poczciwym chłopkom aż serce rośnie na widok téj karnej gromadki obrońców ojczyzny. Ognie gaszą, głownie tlejące rozrzucają pod mech wilgotny, by wróg nie łatwo poznał, jak dawno oddział to miejsce opuścił.

Skinął ręką naczelnik i cały oddział gęsiego posunął za przewodnikiem. Kilku znakiem krzyża się osłania, domyślając się niebezpieczeństwa, a wszyscy pożegnalne spojrzenia w tył rzucają na ten głuchy ostęp, który im kilkodniowej gościnności udzielił.

Nikt nie pyta dokąd idą, gdzie prowadzą, wszyscy są bez troski; wiara w świętość sprawy i w dowódzców, pcha ich silnie na drogę obowiązku.

* * *

W milczeniu lekko i szybko mkną szare postacie, jak cienie pomiędzy pniami drzew; jakiś wyraz uroczy i tajemniczy zawisł nad tym całym pochodem.

Z boru spuścili się na białe mszary, które miejscami jak rubiny stoją czerwone żurawiny. De-

likatna woń mchu, jego miękkość i barwa biała, zakrywają jakby wonnym czystym obrusem całą szkaradę i ubóstwo błot leśnych. Mkną po tych błotach jak po suchej ziemi, tylko woda chlupnie czasem, w którą nogi aż po kostki toną. Taki marsz po wodzie, nie nowiną dla powstańców mińskich — te błota to ich fortece. Jak mieszczuchy po swych skwerach i bulwarach asfaltem wykładanych, tak oni swobodnie ruszają się po nich; but wysoki, spięty tęgo pod kolanem, wprawa w chodzeniu po tym gruncie ruchliwym i wytrwałość, oto co daje im tutaj przewagę nad wrogiem; Moskal zwykle ginie na tych błotach.

Niedługo idą i stanęli.

Rozległo się ciche trzykrotne gwizdanie, siewkę naśladujące, na co z pobliża ozwało się podobnież gwizdnięcie. Naczelnik z przewodnikiem posunął się w stronę głosu i za chwilę powrócił przed oddział, prowadząc za sobą kilku nowych ludzi. Jednemu z nich w szarą świtę z samodziału i w kepi powstańcze przybranemu, robi wszelkie honory; a gdy go przed front przyprowadził, broń zaprezentować kazał, oświadczając oddziałowi, że przed nim stoi komisarz rządu narodowego, przysłany w celu obejrzenia sił zbrojnych w województwie rozłożonych. Zaiskrzyły się oczy, zajaśniała radość w twarzach powstańców, z zaufaniem jakie dzieci w swych rodzicach pokładają.

Odblask nieziemskiej jakiejś chwały bije z oblicza p. komisarza; słodycz i łagodność świecą z jego błękitnego oka; a w rysach rzymskich przebija się

moc niezłomna charakteru męża wyższego. Ten mąż, to Michał Oskierko, wielki patrjota męczennik, rozstrzelany następnego roku przez dzicz moskiewską w Mińsku. Dzisiaj stoi przed tym oddziałem, co go czcią otacza, a już zdaje się, że w oddali po za tem wszystkiem snują się przed nim obrazy przyszłej jego męki, którą postanowił dla zbawienia swej ojczyzny śmiałem czołem przywitać.

„Obywatele żołnierze! tak ozwie się pan komisarz, imieniem Rządu narodowego przemawiam do was: najprzód by was powitać, a następnie, by wam wynurzyć podziękowanie za trudy i znoje, jakieście z przykładną wytrwałością przenieśli. Lecz bracia tej ofiary dzisiaj nie dosyć, ojczyzna woła do was o więcej, bo wróg się wzmaga, a siły nasze maleją. Żołnierze! podnieście ducha w sobie i opowiedzcie się tęgim ciosem wrogowi; a na hasło waszych czynów zbudzi się na nowo ludność tych województw i wywoła ruch silniejszy, dziś szczególniej nam potrzebny. Raźnie więc do dzieła wezmijmy się, bo jeszcze Polska nie zginęła!“

Na hasło święte drgnęło w głuchym ostępie i echo poniosło górą i dołem: „Niech żyje Polska! Niech żyje Rząd Narodowy!“

Leśny duch się zbudził i drzewa same zdają się słuchać tego głosu; a zwierz co o tej wieczornej porze wyszedł na żerowisko, uchem strzyże, nie wierząc sobie, by o tej porze w mateczniku ludzka stopa ośmieliła się postać. „A słowo stało się“ woła spóźniony leśnik, bo bytność powstańców jest głęboką tajemnicą dla wszystkich, oprócz kilku

wtajemniczonych. Tylko powstańcom duch podrasta, a z błyszczącego oka strzela nadzieja w przyszłe zwycięztwo.

Oskierko po swej krótkiej przemowie, odwraca się do starszyzny ze łzą w oku, i ściskając ich za ręce, winszuje, że potrafili dotąd utrzymać ducha na tej wysokości. Upewnia, że gdyby wszędzie tak się działo, jak w tym oddziałku, to już dawno stanęłaby u nas groźna siła, co wymieść potrafiłaby hordy moskiewskie. Wyznaje jednak przed nimi, że jakkolwiek wielkie są nadzieje z jednej strony, to z innej, zima nadchodząca i mały rezultat otrzymany dotąd z operacji wojennych, obawą napełnia; że konieczność otrzymania powodzenia zmusza do massowania oddziałów w większe części, dla rozpoczęcia energiczniejszych działań tutaj, by tem samem odciągnąć nieco siły moskiewskie z Korony. Wojewoda miński poleca przez niego rozkaz, aby oddział powiatu mińskiego połączył się z oddziałem Sobka (Laskowskiego), który obecnie znajduje się w puszczy Ihumeńskiej. Taka jest wola rządu narodowego, a od nich zależeć będzie przeprowadzenie tego planu. Przewodnika organizacja dać nie może, bo w tych stronach dokąd idą, mieszka najtchórzliwsza szlachta, a lud tameczny dla tego został owładnięty przez popów i jest źle usposobiony dla sprawy powstania. Całą nadzieję niech pokładają na sobie i na dokładności map topograficznych, które z sobą na ten cel przywiózł. Ponieważ zaś zostali na dzień przedtem uprzedzeni, marsz natychmiast ma być rozpoczętym.

„Ostrożność i odwaga, oto dwie rzeczy, które was do celu doprowadzą moi panowie“,— tak kończy swoją mowę dzielny komisarz.

„Kryć się nas nauczył Zaręba (P. D.) — odpowiada jeden z oficerów — ale co do odwagi to go wcale naśladować nie będziemy; a gdy z dwojga wypadnie nam, albo przyjąć bitwę, lub uciekać, to niezawodnie, że tego drugiego uczynić nie potrafimy; bo nietylko my, ale i żołnierze nie oprzemy się chęci zmycia niesławy, jaką nam zostawił ten zapóźno zrzucony naczelnik.“

Potem milcząco ręce sobie podają, jakby na znak, że ta mowa nie jest prostym doborem słów, lecz mocnem postanowieniem, co w ich męzkich sercach wyrosło.

Tymczasem przybyli z organizacji cywilnej, mięszają się z powstańcami i rozdają pomiędzy nich pisma: „Z pola bitwy“, „Głos kapłana polskiego“, i inne czasopisma i odezwy warszawskie i wileńskie. Naraz obóz zamienił się w czytelnią, bo już więcej jak od miesiąca korespondencja razem z komunikacją przerwaną została, — a oddział ten czerpał całą żywotność swoją w harcie jednej duszy, co niezachwianą pozostawała pod wszystkiemi ciosami losu i nicią tajną idei nierozerwalnie z rządem związaną była. Dzisiaj pomoc przybyła; a te druki, to istny pokarm, którym zasilają się na długo dusze powstańców. Czytają więc wszyscy skwapliwie przy gasnącem świetle dziennem. A nim rozstaną się, zwierzają się wzajemnie ze swych nadziei i z nowin, nie wesołych, ale pocieszających.

Ten pyta o rodzeństwo, ów o przyjaciół, a nie jeden i o tę, której serce swe zostawił. Smutny jeden p. komisarz, nadzieja w zamgleniu już stoi przed nim; opowiada starszyznie, jak w jednej wsi w Mohylewskiem o włos, że nie został już wydany Moskalom, którzy listami gończemi wszędzie go ścigają, i jakiemuś chyba duchowi opiekuńczemu zawdzięcza, że dotąd nie jest w rękach oprawców. Rząd narodowy po kilkakroć nalegał na niego, aby chronił się przed niebezpieczeństwem, lecz to było niepodobnem w tych czasach powstańczych, bo wtedy na nasze dygnitarstwa trudno wynaleźć amatorów — postanowił więc pełnić swój obowiązek do końca. Swobody i bezpieczeństwa ma tyle, o ile pozostaje przy którym z oddziałów; a cały spokój czerpie w stałem przygotowaniu do przyjęcia męczeństwa.

Cześć pamięci bohatera męczennika!

Tyle mają pociechy młodzieńcy; a za przyszłość całą, stoją przed nimi rusztowania, lub śnieżne pola sybirskie. Lecz ojczyzna i wojna święta za nią, oto koło zaczarowane, po za którem niema dla nich dzisiaj życia, i gdy lekka chmurka smutku przesunie się po ich czołach, to ją blask tego wzniosłego zapału natychmiast rozpędza i w swe magiczne objęcia na nowo porywa.

Już ostatni promyk błysnął na wierzchołkach drzew; zmierzch zapada; odetchnął swobodnie powstaniec, bo on jest teraz panem puszczy.

Żegnają się szybko, ściskają się cywilni i chłopi z powstańcami, łzy błyszczą u wszystkich w oku.

Wychodzi stary, siwy leśnik, duże łzy jak groch spadają mu po wąsach, i głosem przytłumionym odzywa się do oddziału mową białoruską:

— Tak budźcież zdarawieńki mai panoczki, niechaj was Pan Bóg i Najświętsza Panna prowadziać. A od nas mużykou, pryjmiecie życzenie, kabyście hetych hadou Moskalou z naszej ziamli prohnali, taj szczasliwienkije da domu wiarnuli sia!

Oddział szybko rusza z miejsca, chłopi czapki zdejmują i klękając w grząską ziemię, za uchodzącymi znaki krzyża posyłają.

Bodaj każdy poczciwy Polak tak pięknej chwili doczekał się w swojem życiu! Puszcza wonnem ciepłem, wionęła ponad mszarem i górą po cichu zaszumiała, jakby błogosławieństwo wymówiła za odchodzącymi powstańcami.

W górze błysły i zamrugały gwiazdki; ciszę leśną z rzadka tylko przerwie pluśnięcie którego z idących po błocie. Zresztą prędko skończył się nużący marsz po trzęskim gruncie, i noga dotknęła twardego gruntu suchego lasu.

Przewodnicy, co te puszcze na mil kilka w około jak swój ogród znają, zaledwie stanęli, w górę na gwiazdy spojrzeli, a już wiedzą, jaki mają wziąść kierunek, i szybko zapuszczają się w czarną otchłań lasu liściatego. Liść gdzie niegdzie zaszeleści, albo gałąź łuśnie, mocniejszego stąpania, albo stuknięcia broni nie słychać — istne duchy wiją się po tej ciemnicy!

Światłem i ciepłem wionęło; nieposłyszanie wysuwają się na polanę, pokrytą wywrotami, na

których porosły maliny. Wyszli tak cicho, że tuż siedzący na wywrocie niedźwiedź nic nie słyszy, i dalej wysmoktuje głośno jagody. Jeden z przewodników sękiem cisnął, i marucha w bok ugodzony jak kot spłoszony w górę podskoczył, mruknął i runął w zieleń krzewów; jeszcze raz czarnem cielskiem przesadzając wywrot mignął i łomocąc zginął w cieniu nocy.

Cicho zaśmiali się Litwini i idą dalej. Te zabawki z niedźwiedziami, to nie nowina dla nich, mają ich niemal co dnia koło swych obozowisk. Bestje leśne nie boją się tych nowych sąsiadów, i tylko warczeniem albo świstem gniew swój okazują, przy spotkaniu się z nimi.

Maszerują, maszerują, a z dymem lulek wiją się przed nimi śliczne mary, ozłocone promieńmi młodzieńczych poetycznych marzeń— to cichych i rzewnych, to groźnych i świetnych, jak ta przyszłość niewiadoma, w którą kroczą. Smugi światła czarownego, co się plączą w gąszczu liścia i szpilek, i ta leśna woń nocna, dosypują coraz nowych kształtów, i nie dają usnąć zmysłom strudzonym. Wciąż te kształty cudne, te gwiazdki brylantowe, ćwiekami wiary uzmysłowionej przykuwają ich miłość do tej ziemi, po której im, dziedzicom, wróg oprawca zabrania chodzić jawnie...

I zemsty zapragnęły te serca czyste, za gwałt i ucisk, za krew i za skradzione ziemie!

Bór i czarny bór, sypki piasek pod nogami, pot się ciurkiem leje, a przed powstańcem wspomnienie cichego ogniska domowego staje. Tu mu do-

bry duch odsłania obraz matki ukochanej, co w rozkosznej męce pieści obraz syna bohatera, i te lube siostry, co mu z brylantowej rosy żywej wody, z wawrzynów i ze złotych piórek ptaka ognistego, rade plotą w sercach swoich wieńce nieśmiertelne; a tam jeszcze, te oczki, i te usta, i te wonne warkocze dziewicy, co go promienna i mdlejąca przy boku siostrzyczek łzą i uściskiem dłoni pożegnała... W tem ojca smutna i zatrwożona twarz wyjrzała.

I zemsty zapragnęły te serca czyste, za skradzione mienie i za zniszczone szczęście!

Górą czuć już północ, musnął świeży wietrzyk, palą się i mrugają żwawo gwiazdek roje. Las się kończy; psów leniwe na źwierza poszczekiwanie z blizkiej wioski dolatuje. Pole czyste przed nimi; wroga wszędzie czuć; naga karta staje, w którą trzeba wlać całą pracę ducha, bo już pomoc natury ustaje.

Na brzegu lasu, przy drodze spoczęli.

Lecz oto słyszą śpiew koguta, a do świtu jeszcze muszą półtory mili zrobić; szybko więc zrywają się, tyłem skaczą przez drogę, i tak wchodzą na rolę; a gdy doszli do pierwszej miedzy, każdy prosto się odwraca, susem na niej staje i dalej naprzód w pole uchodzi.

Szybko, cicho, kradzionemi krokami, we własnym kraju, postępują potomkowie skrzydlatych, złocistych rycerzy, tych, co już samym szumem skrzydeł i brzękiem miecza, rozpędzali chmury brodatych moskiewskich synów bojarskich.

Dumnych przodków pochodowi świeciło słońce w pełnym blasku i stały otworem przed nimi najszersze drogi; szli nieliczni, nie dla mordów, nie dla łupów, lecz by pokazać dziczy moskiewskiej obraz wolnych ludzi i ulitować się nad synami niewoli. Słowem więcej, jak mieczem, karali naród barbarzyński.

Moskal niewybredny, znał tę słabą stronę rycerstwa polskiego i pośpieszał go spotkać modłami głośnemi i śpiewami przy odgłosie kałakołów; popi w złocistych ryzach z ikonami, dumne djaki i bojarowie, na klęczkach podnosili w uniżeniu chleb i sól, i koronę prosili przyjąć. Lecz synom wolności, dumnym zwycięzcom z pod Kłuszyna, Smoleńska, Orszy, niepotrzebna ta korona — bo nie umieją pleść brudnych sideł niewoli! Poswawoli rycerstwo polskie w moskiewskim kraju, zakłóci spokój niewoli najsprośniejszej, ale jarzma zwycięzkiego wkładać na niego nie chce, i dla tego gardzi tą koroną. Duch wolności tak wysoko dusze ich nastroił, że już podła chęć podbijania zamarła w nich oddawna, a na jej miejscu bujnie krzewi się pojęcie: wolności, równości i sprawiedliwości!...

Nagły turkot na drożynie polnej, co ze wsi T. do W. prowadzi, dał się słyszeć i wszyscy równo w bruzdy popadali. Ani znaku na polu; ciemno jeszcze. Po głośnem hukaniu na koniu i leniwej gawędzie, znać gozpodarzy rannych, jadących w pole na robotę; lecz przed tchórzostwem i ciemnotą chłopa, więcej jak przed jego złą wolą kryć się trzeba. Leżą więc wojownicy jak kamienie, by nie

zdradzić swego ruchu, a gdy kolasa znikła w cieniu nocy, znowu szybko pomykają.

Taki to los potomków skrzydlatych, złocistych rycerzy! — jak zające trwożliwe, muszą kryć się we własnym kraju...

I zemsty zapragnęły te czyste serca — za tę hańbę, za poniewierkę imienia historycznego, za judaszowską zdradę i za to spodlenie ludu!...

Mijają jak cienie koło śpiącego poblizkiego dworku, a tak cicho, że i psy się nie zbudziły. Przeskakują drogę, co ich od łąki dzieli, i rozsypując się po niej, szybko posuwają się ku zaroślom, co ją w koło czarnym szlakiem obramowały. Kroków kilkanaście w głąb krzaków uszli i zaraz na krzyk sowy wszyscy w jedno miejsce się gromadzą; wartę wysełają, a gdzie który stał, w burkę się zawinął, broń do siebie przycisnął i kładąc głowę na tornistrze, wnet zasypia. Cisza znowu panuje; ustał szelest wszelki, jakby żywej duszy tam nie było; tylko srebrna lekka mgła zaciera niepostrzeżenie ślady po uśpionych.

Matka natura roztacza nad śpiącymi namiot opieki, cały uwity z wstęg rajskich blasków, co się topią w świetlanej powodzi. Z dalekich i z najdalszych toni przeszłości płyną duchy ojców i praojców i pracują nad wysnuciem nowej siły z hardej duszy lackiej. Z tych woni leśnych, z tego nieba swojskiego, leją moc życiową na strudzone zmysły, by je zmusić do tworzenia rzeczy nadzmysłowych. Gdy materja samej siebie nieść w ofierze nie potrafi, pośpieszają tedy jej w pomocy te niewidzialne

zastępy, które czarodziejską pracę żwawo odbywają, bo już ranek blizki. Duch znowu uczuł się panem; powijaki ciała już go nie krępują, a struna swobody i odwagi drży już gotowa w piersi. Zgasły gwiazdy; a zaledwo jutrzenka różanym palcem dotknęła powiek powstańczych, już cały obóz jest na nogach, znowu pełen wiary i natchnienia i gotowy do najśmielszych przepraw.

Z poblizkiego dołka, pod krzakiem wykopanego, każdy poczerpnął wody i obmywa twarz z potu i z kurzu zabrudzoną. Na syknięcie, wszyscy w szeregu stają, czapki zdejmują i cichą modlitwę odmawiają. Cicho parami po krzakach rozchodzą się i głuche milczenie nad zaroślami znów zawisło.

Po drodze, co przed nimi, mają iść kozacy dońscy na rabunek, czyli jak Moskale urzędownie mówią — na rewizję. Chce ich oddział należycie przyjąć, przy sposobności swego tu pobytu.

Słońce już z nad lasu wysunęło tarcz ogromną i ozłociło kraj wesoło. Rwą się dusze powstańcze do tego widnego, światłego przestworu, bo na nim serce swojsko gada i usta do rzewnego uśmiechu składają się. Niewolnik, gdy z więzienia ujść potrafi i z ukrycia przypatruje się życiu swobodnemu, ma te same uczucia. Po ciemnicach dzikiej puszczy gdzie kawałkami niebo widać, jakże pięknym jest ten świat błękitny!

Kędy rzucić okiem, wszędzie ściga się nieskończoność przestworu; woń polna łagodne uczucia wznieca i dzierzga kwiaty swojskiego cichego życia. W dali złoci się ściana jeszcze niezżętego zboża,

a bliżej legła aksamitnym kobiercem łąka na otawę puszczona, kilka kwiatów pąsowych na środku ją zdobi. Po drodze z wioski, tuż przy łanie, idzie grono postrojonych świątecznie wieśniaków i wieśniaczek; gwar wesoły i turkot woza z półkoszkiem ożywiają ucho powstańców, odwykłe od głośnej mowy. A światło wzmaga się ciągle i roztapia resztki lekkiej mgły, co jak gaza bengalska ledwo głębsze wklęsłości łąki już tylko okrywa.

Ileż to uroku wydobywa się z tego powszedniego obrazka, dla tych, co i tej odrobiny szczęścia zostali pozbawieni!

Najpiękniejsze widowiska sztuczne, podróże, zabawy najwykwintniejsze, — niczem są w porównaniu do tego chwilowego szczęścia, jakie całą pełnią obejmuje teraz duszę powstańca. Iskra szczęścia, co się zapala z pomiędzy tych dwóch sprzeczności życia powszedniego i wojny, jest tą podnietą co prowadzi masę do ścigania ideałów, jej pojęciom jeszcze niedostępnych. Klucz do poznania potęgi piękna w prawdzie.

To głos dzwonu dalekiego ozwie się, albo jednostajny śpiew ptaszyny leśnej na chwilę ciszę leśną przerywa. Dzień spokojnie minął; napróżno sokoły dzioby i szpony ostrzyły, nie ma dla nich żeru! . . .

Już zorza zgasła i wieczorna gwiazda błyszczy; milczkiem jak wilki wychodzą ostrożnie na łąkę; stają do szeregu i pożegnawszy przewodników, szybko podsuwają się pod drogę, co w ogromną puszczę Horelecką i Nowosielską się zanurza.

Po piaszczystej drodze w głuchym borze szybko posuwa się oddział. Czasem na rozdrożu staną, mapę na ziemi rozłożą i przy świecy wyszukują kierunek prawdziwy. Ochota wzmaga się coraz więcej, im dalej w puszczę zapuszczają się; nie wytrzymał któryś i przerwano ciszę nocną śpiewem: „Jeszcze Polska nie zginęła.“

Próżne przestrogi i uwagi rozważniejszych; nic nie pomaga; tony za tonami płyną, coraz cudniej. Dźwięk tych pieśni cudnych, brzmi w uchu i w sercu każdego powstańca, aż do końca jego życia. Lecz wróg i zdrada nie śpią; to też widocznie przeznaczenie musiało zdjąć zaporę z ust powstańców mińskich.

Zresztą ucichły śpiewy, bo jakie ćwierć milki pozostaje do dworu Horeleckiego. Za chwilę stoją na brzegu lasu i rekognoskują most na Ptyczy, za którym czernieją dworskie zabudowania. Już skulonych dwóch do ziemi wysuwa się, skradając się ku mostowi — gdy ujrzano postać ludzką, co od mostu wprost po drodze idzie. Do ziemi przypadają wszyscy, a gdy postać weszła na wysokość pierwszych zaczajonych, szybko ją otaczają.

Pojmany jest to chłop z waszecia przybrany; ma kapotę szarą na sobie i buty na nogach z miną pewną i w odpowiedziach jest śmiałym.

Wita uniżenie starszyznę i zapewnia solennie o swych uczuciach niezłomnych, względem sprawy patrjotycznej i przywiązania do powstania. Gdy go zapytano, dokąd idzie? niezmięszany odpowiada, że

idzie do poblizkich zaścianków leśnych, zwoływać kościów, do koszenia błotnych dworskich łąk.

Dla szlachetnego a łatwowiernego naczelnika wystarczało to, by chłopa puścić swobodnie, chociaż mu ostrożniejsi odradzają i radzą wziąść go raczej za przewodnika. Lecz stało się podług woli starszego i chłop jak upiór zniknął w cieniu nocy.

Łatwowierni zapomnieli, że wróg szczególniej mosty strażą poobstawiał!

O! heroizmie tchórzostwa, ileż to za twą przyczyną dokazują dusze podłe. Bierność niewolnicza i próżniactwo ducha, oto dwie straszne plagi, które światu nie pozwalają iść swobodnym torem szczęścia doczesnego do wyższych celów swych przeznaczeń.

Wam to ciemne duchy wszechreakcji i bezwzględnego porządku, wszystkie nędze swoje winien świat; a w dniach sądu prawdziwej krytyki dziejowej, spadną na was przekleństwa całym ciężarem zbrodni Kainowych. Ileż to klęsk i ofiar niepotrzebnych ten strach wielkooki wywołuje! wpił się on w organizm narodu pokonanego i dręczy go jak skomlenie ogarów rannego jelenia. U dzieci jednej ziemi, jednej mowy, jednego obyczaju, zresztą jednych i tych samych potrzeb materjalnych, co je łączą z sobą, zkądże to rozdwojenie i ta zawziętość jednych do drugich? Strach brzydki wszystkie te węzły święte potargał i pchnął część narodu, tem uczuciem powodującą się, do służenia przeciw swemu interesowi.

Ciemne masy ludu wiejskiego, dają się powodować trwodze, nic dziwnego w tem; lecz nie ma dla tych przebaczenia, komu światło wiedzy do tyla było odkrytem, że był świadomym tego, co czyni. Zniewieściała i ubezwładniona trwogą cała klasa pańska, w tych stronach leśnych, nic zgoła powstaniu nie pomogła; a mając w swych puszczach ogromne środki po temu, była najwięcej uległą najezdzcom i chłopstwu zbałamuconemu.

Spijże sobie wygodnie, panku Horelecki, w twoim leśnym dworze! nie chciała udać się do ciebie o pomoc organizacja narodowa, a tymczasem na progu twoim, zdrada i szpiegostwo gospodarzą, co i ciebie na ostatku wydając na zniewagę i zniszczenie żołdactwu najezdniczemu.*)

Ledwo znikła postać chłopa, już oddział się porusza i bez szelestu biegiem dopada mostu.

Spokojnie płynie Ptycz głęboka, krągłe liście lilji wodnych i dużo białe kwiaty, obok ciemnych lasek sitowia, modro ubierają czarną toń! rybka tylko ze snu spłoszona pluśnie, a zresztą cisza najzupełniejsza panuje. Powstańcy jak duchy przesunęli po moście; w lewo na łąkę skręcili i pilnie w tył rzucając wzrok, ku olszniakowi pośpieszają. Tu już swobodnie odetchnęli, bo niebezpieczeństwo minęli i nikogo na swych śladach nie spostrzegli. Ostrożnie więc, po śliskich kładkach, znanych jednemu z oddziału, postępują; bo to rzadkie, czarne

*) Dwór Horelecki istotnie był zrabowanym, właśnie za to, że nie był w porozumieniu z tym oddziałem.

bagno jest tak głębokie, że w niem człowiek utonąć może.

To mniejsze niebezpieczeństwo, zasłania przed nimi większe, na które mają być wystawieni.

Śladem garstki, coś po łące na czworakach biegnie. Nie poznać, czy to człowiek, czy to zwierzę, ale oto stanął prosto. To być musi człowiek — nie — to szpieg, ten sam, co przed mostem spotkał dobrodusznych powstańców.

Potępieńczy żar mu płonie na skroniach, a z ócz jak z ócz wilczych, sypią się iskry szatańskiej ciekawości. Wzrokiem, słuchem, łapie chciwie wszystko w około, co te zmysły dotknąć może, by nie zgubić tropu swych ofiar. Już zwietrzył ludzki gończak, dzika radość mu we wzroku błysła, i jak wąż szybko poślizgał się za uchodzącymi.

Szarzeć poczyna. We wsi Horeleckiej już gdzieś światło czerwonawe od smolaków w oknie błysło, i czarne kłęby dymu z paru kominów buchają.

— Prędzej, prędzej! panowie — woła naczelnik do oddziału strudzonego marszem po bagnach, — nim się wieś rozbudzi, trzeba nam koniecznie ją minąć.

Dobywają wszyscy sił ostatnich i po grząskich sianożęciach, co do chłopskich ogrodów przyparły, szybko mkną ku grobelce, którą kończy się ulica wiejska. Przy ostatnich chatach pies zaszczekał, drzwi skrzypnęły i wysunęła się baba za próg; przysiadają wszyscy za płotem; a gdy uspokojona powróciła do chaty, niepostrzeżenie już dopadli grobli, a z niej koło pólka weszli do olszniaku i tuż na brzegu spoczęli. Warty nie stawią, bo są pe-

wni, że im żadne niebezpieczeństwo nie grozi; a po nocnym pięciomilowym marszu, znużeni, natychmiast snem kamiennym zasypiają.

Jutrzenka już na niebie zapłonęła. Niby upiór zapóźniony sunie przy blasku dziennym ten sam szary cień, co przez noc całą tropił oddział. A gdy przyszedł na ślad obozowiska i dopatrzył śpiących w głębi, idzie sobie dalej, niby nic nie widział. Lecz nie zawsze złe jest wszechmogącem.

Przy szarym olszowym pniu, bliżej ku polu, za rzadkim krzakiem czarnych porzeczek, siedzi szara postać nieruchoma, w burkę zawinięta i kapiszonem okryta; końce luf sterczą z pod okrycia. Zgadnąć trudno, czy to śpiący, czy czuwający człowiek; bo gdy szpieg przesunął się polem, koło obozowiska, drgnął tylko ciałem, ale nie wstał i głową nie rusza; oczy z pod kaptura zdają się świecić tylko. To Piłeczka, stróż bez zmiany oddziału.

Słyszy stąpanie i niepokoji się, że ktoś tak wcześnie przeszedł koło obozu; nie chce zatrzymywać chłopa, nie będąc pewnym; ale znając dziwny zmysł Litwinów leśnych, już zupełnie czuwa i przypatruje się, czy kto nie wszedł do olszyny. Zresztą czeka nim się bracia trochę prześpią na tym przystanku.

Czas już wypoczynku minął, budzą się powstańcy, bo już słońce dobrze świeci. Piłeczki wiadomość wszystkich do reszty ze snu otrząsa i po naradzie starszyzny postanowiono natychmiast zmienić pozycję. Już burki pokręcono; bez jedzenia, wódkę rozdano i dalej w drogę.

Szybko w poprzek przerzynają olszniak i po grobli, krąglakami moszczonej, która do Nowosiółek prowadzi, do suchego boru docierają. Z grobli po błocie, po jednemu rozsypani, dochodzą do języka lasu, z trzech stron błotem opasanego i na nim bezpieczni do dniowania rozkładają się. Od strony grobli całą kępę gęsty chmyźniak zakrywa, tam widetę stawia i przy ogniach z suchych gałązek, co dymu nie wydają, suszą koszule i herbatę gotują.

Wesele w obozie panuje, ale broń wszyscy przekręcają i świeżemi ładunkami nabijają, bo przeczucie im coś gada.

* * *

W Nowosiółkach, za wsią, stoi cerkiew schyzmatycka a nieopodal od niej, jakby na wygnaniu, plebania popa miejscowego. Nieużytość i niedbalstwo wieje tutaj ze wszystkiego. Drzewka ani jednego, ruderą wszystko czuć. Przed stajenką stoją konie pokulbaczone; a przy nich rudy kozak w szarawarach krząta się, bo już słońce wschodzi. Przed gankiem suwa się bury Moskal z karabinem w ręku, szyldwach przed kapłańskim domem. Jednak bydło spokojnie na paszę wychodzące, a szczególniej drób swobodnie po dziedzińcu przechadzający się, pokazują, że gwałt i przemoc nie panują pod tym dachem.

Tak jest, pod tym dachem, zamiast miłości bliźniego, zamiast miłosierdzia, zamiast pokory kapłana chrześcijańskiego, gnieździ się miłość mamony,

mściwość dzikiego siepaka i pycha moskiewskiego czynownika; nie może tu więc cnota mieszkać, nie ma tu miłości swego kraju — gnieździ się tutaj zdrada, a więc musi zgoda z najazdem panować. Bizantyjski jad religijny nigdzie takich strasznych śladów zniszczenia nie zostawił, jak w nieszczęśliwej Polsce. Nigdy inkwizycja tylu sumień na razie nie zgwałciła, tyle krwi nie wylała, nigdzie za tak niecne narzędzie polityczne nie służyła, jak dzisiejsze carskie prawosławie.

W późne wieki zapłaczą ludzie, czytając karty dziejów narodu polskiego i ze zgrozą zapytają, jakiem prawem duchowieństwo greckiego obrządku w Polsce mogło nazywać się służbą Bożą? Chyba na wyszydzenie tego wyrazu. Bo czemże byli w istocie ci Siemaszkowie, Hołubowicze, popi z Ławry noże święcący, ruscy księża apostaci z Galicji? Oto są ci ludzie, co ojczyznę swoją w najstraszniejsze okowy zakuli, bo w okowy spodlenia moralnego, co jej krwią się upijali i co na ostatku pracują już nad zabiciem ducha; są to raczej pomocnicy oprawców i stróże więzienni, ale żadna służba Boża. Jak długo trwać przekleństwa będą, tak długo robak zgryzoty toczyć będzie ich sumienia, jeśli nie tutaj, za to — tam.

Takim kapłanem w Nowosiółkach jest pop Rusiecki, renegat z unity. W osobie jego zbierają się wszystkie nici tego potwornego głowonogu, co szpiegostwem i podjudzaniem, temi morderczemi splotami opasał i oplątał cały biedny ten kraj.

Ledwo słońce poczęło podnosić się, a oto na dziedziniec popowski wpada chłop zziajany i pędzi na ganek, na którym kozaczyska stoją. Chłop się kłania i pyta o popa.

— A po co tobie chłopie pop? ot i my za popa wystarczym i zaczniemy od spowiedzi: gadaj, czego chcesz? — tak się odezwie urjadnik, przy głośnym śmiechu reszty zgrai.

— Mogę tylko o tem samemu batiuszce powiedzieć — mruczy chłop.

— Kiedy tak, to nie tak prędko mu powiesz, bo teraz jedzą śniadanie razem z porucznikiem. Czekaj!

Znowu kozactwo kpić zaczyna z chłopa, a tym czasem jak legawcy ucha nadstawiają i przysłuchują się, co tam w izbie dzieje się. Stuk noży i widelców; przy herbacie je śniadanie pan oficer z popem; głośne śmiechy przez okna otwarte dolatują. Kozaczyska widać głodne jeszcze, bo ciągle ślinę połykają i po cichu klną starszyznę z moskiewska. Zresztą brzęki wszelkie ucichły, i na ganku ukazała się sługa, do któréj chłop się udaje. Jeszcze czas niejaki upłynął i oto wreszcie chłopa wołają do alkierza.

— Niech będzie pochwalony! — mówi wchodząc chłop.

— Cóż ty, psi synu, po katolicku mnie witasz, czy nie wiesz o tem, że musisz pokłonić się najprzód ikonom, a potem mnie? — ofuknął go najędyczony pop.—Ale gadaj tylko prędko, bo z wami gawędzić nie mam czasu.

Tu chłop obniża głos i opowiada, że powstańcy są w Horeleckim lesie. Trupia bladość na tę wiadomość popa twarz okrywa: podsuwa się do chłopa i już po przyjacielsku zbiera skwapliwie od niego wszystkie wiadomości podawane. Usta drżą i nogi dygocą pod renegatem, a gdy końca dosłuchał, leci oznajmić wojennemu naczelnikowi o wszystkiem.

Pan porucznik rozparty w krześle, z papierosem w ręku, prawi jakieś tłuste komplementa popadzi; ta mu się odcina, i butelkę z wódką podsuwa, aby się pokrzepił po herbacie. Śmiejąc się nalewa bohater i pije do popadi, która choć ręką oczy zakrywa, ale jednak wszystek trunek połyka. Wesele w izbie panuje. Nie długo jednak trwa zabawa, bo oto wpada blady pop i zwiastuje, że powstańcy tuż na nosie.

Bladość śmiertelna razy kilka przebiega po twarzy Moskala, język mu kołowacieje; tylko wodzi oczami nieprzytomnie w koło. Popadia pierwsza przychodzi do przytomności i każe chłopa zawołać, a sama się wynosi.

Wsuwa się milcząco ponury i zatrwożony szpieg i kłania się naczelnikowi. Ten się okazał bardzo grzecznym i głosem uprzejmym odzywa się do niego:

— A gdzież ich widziałeś przyjacielu?

— Tuż przy polu folwarcznem, w olszniaku; a z nocy śledziłem ich aż od mostu, gdzie staliśmy we dwóch na warcie.

— Iluż będzie wszystkich?

— Policzyłem co do jednego, nie ma więcej nad dwudziestu.

Na tę wiadomość u oficera barwa przyrodzona powoli na twarzy występuje i już głosem, w którym słychać pana wszechwładnego, przemawia ostro:

— Pamiętaj łajdaku, kiedy nie znajdę ich w lesie, to każę cię ochłostać kozakom nahajkami, za to, żeś nie spiesznie, albo fałszywie donos dał. Hej! kozak.

Na te słowa wpada urjadnik, co na ganku siedział i z psią pokorą wlepia oczy w swego naczelnika.

— Wziąść pod straż tego chłopa, ale dobrze go tylko pilnować. I na wieś; alarm uderzyć; zbierać milicję i obławę natychmiast. Ruszaj!

Wykręca się kozaczysko przed oficerem i ciągnie za sobą swego sprzymierzeńca, jak bydlę pojmane. Urjadnik tylko mruknął do kozaków, rozkaz wydając, a już wszyscy czapki pozdejmowali i milczkiem żegnając się pokłony odbijają.

Już dobosz pierwszy biegnie spełnić rozkaz, a grzechot moskiewskiego bębna, oszpeca ciszę pięknego litewskiego poranku. Niby kruki, albo kądle pędzą kozacy na swych szkapach po wsi i nahajem albo tylcem piki wypędzają lud strwożony na plac zboru. Sołtysi i dziesiętnicy biegną przerażeni w pola i od robót wszystkich odpędzają. Lament po wsi całej. Rzekłbyś, że to sądny dzień już przyszedł dla tych nędzarzy.

Szykuje się cała horda. Milicja z Moskalami po jednej stronie, a obława uzbrojona w kosy na

sztorc oprawione, staje naprzeciwko. Klną Moskale i kozacy milicjantów i obławników; kułakami i nahajkami równają ich. Hałas taki, niby samego cara mają zaraz ujrzeć.

Dla Moskali jest to niepojętem, aby coś dało się zrobić bez wrzasku, bez łajania i bez bicia. Kto chce poznać ich bliżej, niech tylko przed przybyciem zwierzchnika, zbliży się do frontu oddziału, wtedy gdy czereda niższych stopni stara się szyki uporządkować, to jest godność człowieczą im odjąć — tam pozna całą nicość moralną Moskali i sprośność zwierzęcą, z jaką przed strachem się uginają.

Tymczasem w alkierzu popowskim narada wojenna się toczy, z której wypadało, że pop ma najprzód przemową i nabożeństwem lud rozjuszyć, a co do reszty, bierze sam na siebie porucznik.

Dla dodania animuszu piją spólnicy kielich po kielichu, aż butelkę całą wysuszyli. Winszują sobie nawzajem to jeneralstwa, to kłobuka biskupiego. Takie są to podpory, na których cała potęga caratu stoi. Braknie tylko stanowego, którego przybycia lada moment oczekują.

Przed cerkwią kotłuje się czerń moskiewska i chłopska, w szyk ustawiają się. Przybycie naczelnika ucisza wszystko, tylko głuche łkanie chłopek z po za tłumu przypomina, że tu w sercach żyje inna wiara.

Drzwi na oścież od cerkwi otwierają, a z nich wysuwa się pop w kapie niosący ikonę, którą lud ten polski błogosławi, by szedł mordować swych braci. Ryk popa i bek djaka nie mogą jednak za-

głuszyć zawodzenia chłopek, które na ten widok tem gwałtowniej uczuły boleść w swych sercach, przypominając dawniejszą cichą religję, która ich uczyła zgody i miłości. Nad tym strasznym obrazem, zawisł w powietrzu wyraz fatalny — przemoc, która popychać będzie naród polski do szukania na najezdnikach odwetu, dotąd, dopóki słońce swobody jemu nie zaświeci.

Naczelnik wojenny, co tuż za popem stoi, kładzie szybko znaki kryża w poprzek piersi, marszczy brwi i mruga na sługę bożego znudzony, aby ten już prędzej kończył swoje modły. Ucichły zresztą te bluźnierstwa: pop ikoną żegna lud i zaczyna przemawiać do niego.

Mówi o dobrodziejstwach cara, który lud wyrwał z przemocy polskiej, by go na zawsze od pańszczyzny uwolnić. Następnie powiada, że wszystkie polskie majątki ludowi będą rozdane, byle dopomagał rządowi wytępiać wszystkich buntowników Polaków, którzy zbuntowali się dla tego, by pańszczyznę napowrót wprowadzić. Car wiedząc, że tutaj jest naród ruski, oddaje mu obronę tronu i jego własną w jego ręce. Straszy dalej powstańcami, mówiąc, że to są okrutnicy, którzy wszystkich bez wyjątku mordują — ani dzieciom, ani kobietom, ani starcom nie przebaczają, wszystkich w pień wycinają. Nie tylko domy palą, ale nawet całe łany zboża niezżętego i dobytek wypalają; wodę trują i posiadają takie djabelskie czary, że gdzie raz przejdą, to tam już ziemia staje się zupełnie i na zawsze niepłodną.

Mowa ta cała, wypowiedziana po moskiewsku, przeplatana cytacjami słowiańskiemi, gdzie się plączą obok imion Boha, Chrystusa, Matki Boskiej, imiona hosudara Aleksandra Mikołajewicza, jego dostojnej małżonki, następcy tronu i td., dziwny jakiś chaos odurzający stanowi. Porównać by ją można do wrzasku cygana, przy odgłosie bębenka, gdy szarpiąc za kółko i waląc kijem po głowie niedźwiedzia, zmusza go do tańca.

Wybladły i truchlejący lud słucha tego prawdziwego szamana, a w każdem jego słowie słyszy zapowiednię: knutów, szubienic, pożogi, rabunku.

Niby obrazy maligny u skazanych na śmierć, przesuwają się przed temi ciemnemi umysłami i paraliżują w nich wszelką władzę myślenia. Dźwięk obcej moskiewskiej mowy, jeszcze więcej mąci pojęcia i kłóci spokój sumienia tej tłuszczy gnanej batem strachu i nahajem kozackim przeciwko swej ojczyznie. Z nad głów obnażonych sterczą kosy i bagnety, lecz pomimo słów potępieńczym żarem palących, chłód jakiś nad całym tłumem wieje; a te kosy i bagnety dygotaniem swojem, obok wybladłych twarzy, nie są w zgodzie z zapałem popa i wielkich sukcesów wojennych nie wróżą.

Postrzegł to oficer moskiewski i zaraz po kazaniu każe, by gorzałkę podawano. Moskale jak i inne orjentalne ludy do oszustwa i szarlatanerji zdolność wrodzoną posiadający, dziwnie znają słabe strony ludu, i dla tego tak sprytnie umieją wyzyskiwać jego ciemnotę. Przysłowie powiada: „gdzie nie można przeskoczyć, tam trzeba podleźć“ gdy

strachy nie pomagają, wtedy udają się do błazeństwa, które pijaństwem koronują.

Niosą pełne cebry siwuchy. Mruk zadowolenia przebiegł po tłumach. Oficer krzyknął i pierwszy do cebra podsuwa się, mówiąc przytem głośno, aby tłumy usłyszały:

— Wódeczko rodzicielko! pozdrowienie tobie. A teraz słuszaj! — i wykręcił się na jednej pięcie trzymając półkwaterek w ręku. — Zdrowie wasze rebiata! ot tak i panów Polaków połkniemy — i półkwaterek jednym łykiem przełknął; a tłuszcze mu odpowiedziały:

— Pij zdrów wasze Błahorodje!

Tu już hurmem cisną się wszyscy do cebrów, z których porcje wydzielają z pewnem cygańskiem namaszczeniem podoficerowie Moskale. Wszyscy pokrzepiają męztwo i rozgrzewają odwagę; bo gorzałka ma sumienie z nich wypędzić, a natomiast drapieżność zwierzęcą wprowadzić. Pije starszyzna, pije wojsko, piją chłopi, aż cebry czysto wysuszyli; tylko smród gorzałki i dziki mruk pijącej tłuszczy, popłynęły pod stopy ołtarza prawosławnego i tronu carskiego.

Ruszyli zresztą prędko na furmankach, by napędzić powstańców, gdyby ci chcieli uchodzić. Kozactwo podchmielone sunie naprzód i wszystkich zagania, kogo tylko po drodze spotyka.

Szary obłok kurzu pokrywa gęstą zasłoną tę hańbę ludu białoruskiego, przed jego poważną naturą, którą jakby dla podniesienia uroku smętnego okrył czysty błękit nieba, a z niego leje się całe

morze światła słonecznego. W całej nędzy, dziki i straszny obraz wojny! A wycie psa przed kołowrotem Nowosiółek, jest echem tej przyszłości, w którą wsiąknie pamięć czynów ludu tej zapadłej wioski.

* * *

Na kępie gdzie powstańcy rozłożyli się cicho, tylko stukanie dzięcioła chwilowo przerywa tę ciszę. Słońce ćwierć koła dobiega, ale w lesie jeszcze świeżo, to też rozmowy i śmiechy wszędzie. Nie próżnują jednak, bo już są to żołnierze doświadczeni; każdy jest czemś zajęty: ten coś szyje, ów ładunki robi, albo broń czyści, inny znowu siadł samotnie i czyta dziennik lub odezwę, które z sobą zabrał przy ostatnich odwiedzinach komisarza; jeden usiadł samotnie pod sosną, białą chustką głowę okrył i złoty ołtarzyk odczytuje. Swobodna myśl i spokojne sumienie, zadzierżgnęły przed nimi różową zasłoną wszelkie niebezpieczeństwo, tak jak gdyby ono wcale nie istniało. Nagle głośny turkot wozów na grobli, przerwał ciszę leśną i obudził czujność w obozie.

Sztab, co na boku się rozłożył, z za ukrycia pilnie się wszystkiemu przypatruje, co na grobli widać. Raptem pędzi po niej wózek jednym koniem zaprzężony, w którym dwóch mężczyzn siedzi; po sukniach sądzić wypadłoby, że to jacyś starsi chłopcy. Tuż za wózkiem kłusuje kilku kozaków, których długie piki bez chorągiewek, szary strój i brzydkie szkapy z głowami zadartemi, tak wybitnie cha-

rakteryzują każdy zbrojny tłum moskiewski, gdzie oprócz mordu, rabunku i ślepej niewolniczej karności, nic szlachetniejszego nie przebija się. Dalej za nimi kłusują wozy parokonne, na których stoją piechury moskiewskie i chłopi w karabiny albo w kosy uzbrojeni. Konie wszystkie pomęczone, znać z daleka jadą. Za wozami znów kozacy kłusują. Po upływie niespełna kilkunastu minut, sunie gęsty tłum chłopów w kosy i topory uzbrojony. Powstańcy gubią się w domysłach: czy to na nich, albo do czego innego posunięto te wrogie tłuszcze? Zresztą uradzono wysłać kilku pod drogę, dla schwytania języka.

Sprawny Harap wziął na siebie spełnić zuchwały zamiar i do tego wzywa kilku innych na ochotnika. W mgnieniu oka już są gotowi i chyłkiem pomiędzy drzewami biegną ku drodze; a gdy jej dopadli, w rów padają, co brzeziną pozarastał, i tam leżą nieruchomi. Wyprawa cała obliczoną została na to, że za każdą kolumną, zwykle wlecą się zmordowani lub spóźnieni ludzie.

Nie długo czekają. Kolumnę dopędza jakiś pojedńczy kosynier, i gdy wpadł na zasadzkę, gębą ruszyć nawet nie potrafił, jak mu tęgi kapral kosę wytrącił z rąk i samego za kark ku obozowi pociągnął.

Ze zdobyczą stawią się zuchy z miną zadowoloną, czują, że spełnili, jak się należy swój obowiązek. Wszystko leży dla nich w poczuciu obowiązku, pochwała niepojętą jest więc dla nich, sumienie własne im ją piękniej wypowie, jak najpo-

chlebniejsze usta obce. Poważna a szczera natura Litwina, wyrosła na starożytnym pniu istnienia narodu i na skłonności do medytacji, nie znosi żadnych ozdób, ani czczych wyrazów; to też nagrody, rangi, albo głośne pochwały, więcej go żenują, jakby mu istotną pociechę przynieść mogły. A gdy znajdzie się pośród nich jaka słabsza natura, to dla tego, że od pierwowzoru rodzinnego się uchyliła. Moskwicin zna ten skarb; wie, że póki go posiadają Litwini, dotąd panowanie jego jest tylko złudnem, powierzchownem, to też wszelkich pochlebstw i podstępów używa, aby go wydrzeć ludowi.

Drżący i wybladły jak mysz pojmana, stoi pochwycony jeniec. Strach z niego szczerość wydobywa; zdaję się mu, że panowie jego życia w tej chwili, są tak potężni, że i najskrytsze myśli jego czytać potrafią, nieszczerość więc zgubićby go mogła. Nie dając mu ochłonąć z tego wrażenia, naczelnik szybko go zapytuje.

— A dokądże to wybrałeś się z tą twoją kosą straszną? Czy myślisz, że temi waszemi kosami nas z tych lasów wystraszycie? — Mów! z kąd jesteś?

— Z Nowosiółek panie, a te kosy to pop z wojennym naczelnikiem kazali nam tak ponarządzać na Polaków, powstańców, którzy znajdują się w tym lesie, spokojnie odpowiada chłop.

— Zkądże wiecie, że powstańcy są w tym lesie?

— Wartownik z mostu, co przy dworze, dał donos popowi dzisiaj zrana.

— Powiedzże nam, dla czego wy chłopi, idziecie się bić przeciwko nam; my przecie wystąpiliśmy w obronie nietylko ziemi naszej przed Moskalami, ale i w celu zupełnego uwolnienia i wzbogacenia was włościan? Czy wam czytał kto manifest Rządu Narodowego?

— Czytali inni powstańcy, ale popi i starszyzna powiedzieli: że to wszystko nieprawda, że robią by tylko bałamucić i napowrót pańszczyznę powrócić.

— Przecież wy tacy głupi nie jesteście, abyście temu wierzyli?

— Prawda, że nie wierzymy, ale wioska cała boi się Moskali i popa, którzy nam odgrażają się: że wioskę spalą, a nas wszystkich na Sybir popędzą, jeśli im pomagać nie zechcemy.

— Iluż was jest we wsi?

— A ze dwiestu mężczyzn będzie niezawodnie.

— A Moskali?

— Jest ich pół kompanji, ale mają jeszcze kompanję milicji i kozaków, tak że im oprzeć się nigdy nie potrafimy. My dla panów nie jesteśmy nieprzychylni; mamy jeno strach to okazywać, bo jest pomiędzy nami kilku szpiegów, co przed popem wszystko opowiadają. Gdybyście tych ludzi wytępili, to wszyscy stanęlibyśmy z wami; bo nam nasi starzy opowiadają o wielkiej Polszczy, do której wszyscy należeliśmy i która jest naszem prawdziwem państwem. Moskal kraj nasz zabrał, choć do niego wcale nie należy.

— Czy obławników dużo się zebrało?

— Ze wszystkich sąsiednich wsi pospędzali do lasu; zapewne będzie z tysiąc głów.

Oficerowie z kolei każdy pyta na wyrywki o szczegółach, podług których możnaby sprawdzić wiarogodność słów pojmanego. Gdy przekonali się, że istotnie prawdę mówił, zapewniają, że mu i włos z głowy nie spadnie, byle zachował się spokojnie i nie chciał uciekać. Potem wódkę mu podnoszą i dzielą się z nim swemi skromnemi zapasami. Oto sposób traktowania więźniów, którego Moskale naśladować nigdy nie potrafią.

Starszyzna radzi tymczasem, co począć dalej: czy iść naprzód, czy czekać nieprzyjaciela? stanęło aby czekać na miejscu, a gdy wróg odkryje obóz, to trzeba mu dać uczuć, moc oręża polskiego.

Święte oburzenie porywa ich na wspomnienie o odstępstwie wyrodnem massy ludowej. Niech więc sąd Boży orzecze, czyja sprawa jest prawdziwą: kto zwycięży ten ma słuszność.... W sumieniu ich czystem, jak w zwierciadle kryształowej wody, odbijają się rdzawe plamy krwi, które opromienia blask ofiarnej niewinności. Krew to ofiarnicza, która zmaże winę dawnych i nowożytnych zdrad, co jadem śmiertelnym obezwładniły i powaliły na łoże niemocy najwybitniejszy wolny naród rycerski.

Teraz znowu kolej na potomków skrzydlatych rycerzy, ich trzydziestu trzech, a wrogów tysiąc

dwieście przeszło — jeden na czterdziestu.*) To mi po lacku!

Już wszyscy wiedzą, co starszyzna uradziła; głęboki spokój owładnął dusze, a przyjęcie wyroku przeznaczenia maluje się potęgą męztwa na ich twarzy. Garstka ta jakkolwiek tak nieliczna, ma głębokie przeświadczenie o wyższości sił swoich nad przeciwnikiem.

Wiara w świętość swej sprawy tę moc cudowną im daje, i w tej chwili wyglądają, jak owi rycerze pierwszych krucjat, którzy z hasłem „Bóg tego żąda“ rzucali się na chmury Saracenów, z góry będąc pewni zwycięzenia ich.

Wieczorne promienie słońca palą się blaskiem gromnicy w borze i cień już rozściela się po lesie. Na około obozu cicho, żaden ptaszek nawet się nie odezwie.

Po obozie krzątają się żwawo powstańcy, do marszu gotują się, który w nocy przebyć mają; z torb żywność wyjmują i prędko spożywają, jakby wiedzieli, że na to czasu później nie wystarczy. A pomimo, że język zwykle rozwiązuje się przy jedzeniu, siedzą poważni i zadumani.

Nagle dał się słyszeć głośny turkot na grobli od Horelca; wiedzą co to jest, ale na żadnej twarzy trwogi nie widać.

*) We wszystkich niemal najdrobniejszych szczegółach, jak i w liczbie walczących jest zachowaną w obrazku najściślejsza prawda historyczna. Potyczka Horelecka odbyła się 16 sierpnia 1863 r.

Pilnie śledzą oficerowie ruchy nieprzyjaciela, bo znają przebiegłość chłopską. Leśny chłop białoruski posiada taki spryt w tropieniu, że w niczem nie ustępuje pod tym względem Indjaninowi amerykańskiemu. Z Moskali śmieją się sobie, widząc ich ciężką kolumnę, sunącą po grobli; o obławę im chodzi — gdzie się ta podziała?

Wkrótce wszystko pojęli — obława sunie środkiem błota, po tej samej stronie, gdzie ich obóz leży. Słyszą już pluskanie i gwar tuż przed sobą. Wezwano po cichu do broni; wszyscy w szeregu stanęli i spokojnie oczekują.

Raptem mocny świst dał się słyszeć na błocie, a za nim wrzaski przeraźliwe na grobli: „siuda, siuda! oto są! kozacy naprzód!“ Za tym wrzaskiem głuchy hałas rozległ się po błocie, jakby setki łosi uciekały, aż się błoto całe zakołysało. To obława pierzchła.

Z tyłu wszystko już ucichło; tylko z przodu trąbią trąbki, słychać szczęk broni i turkot wozów szybko zmykających w tył. Widać jak się wszystko na grobli kotłuje nieporządnie, snać odwaga z gorzałką razem uleciały.

Wideta powstańców nie daje ognia, lecz głosem oświadcza, że wróg posuwa się błotem.

Za garbem co równolegle leży do ruchu nieprzyjacielskiego, klękają powstańcy przy drzewach, wyciągnięci po jednemu w długą linję tyraljerską. Mierzchnąć w lesie już poczyna i tylko ostatnie czerwonawe promienie zachodzącego słońca, oświe-

cają sam wierzchołek garbu; front powstańczy cały w cieniu zanurzony. Naczelnik z oficerami wysunął się naprzód i bacznie śledzi ruchy Moskali; gdy zaś trzask gałęzi usłyszeli tuż przed sobą, szybko ku linji cofnęli się i pośrodku sami przyklękają.

Naraz cała linja moskiewska staje przed nimi, słonecznemi promieniami oświecona. Wtedy niby miecz z nienacka z pochew wyciągnięty, szybko staje Harap na nogi i zapytuje głosem śmiałym:

— A pocoście tutaj przyszli?

— Hej kozacy, rebiata wpierod — wrzeszczy podoficer Moskal, co tuż przed Harapem zmięszany stoi; ale ledwo słów ostatnich domawiał, już zabrzmiało powstańców: „ognia panowie!“ — zagrzmiała broń i on pierwszy ziemię gryzie.

Niby kosa po trawie przeszła, tak powstańcze strzały sprzątnęły całą linję moskiewskich tyraljerów. Kilkadziesiąt ich ciał ziemię na garbie usłało, a reszta, jeden na czworaku, drugi susami z lasu na groblę zmyka. Łomot po lesie i pluskanie po błocie, świadczą, że zawcześnie gorzałkę pili!

Już tylko pojedyńczemi strzałami powstańcy niektórych pełzunów rażą; cicho znowu w lesie, tylko bronie nabijają, albo ozwie się jęk rannego, lub chrypnienie konających. Od grobli wrzaski i łajania dolatują, to starszyzna moskiewska swych bohaterów znów do boju zagrzewa, ale widać nic to nie pomaga, bo w lesie ciągle cicho i z grobli nikt się nie chce ruszyć. Nie widać ze strony powstańców, co się u Moskali dzieje; cicho stoją w miejscu i oczekują ponownego napadu.

I znowu puszcza szumem poważnym i ciepłą falą błogosławi prawych synów ziemi swojej; a po nad milczącemi szeregami powstańczemi unosi się duch zwycięztwa, co tajemną melodją zagrzewa serca i budzi nowy zapał do bitwy. Nad zachodem, przez szczelinę drzew, widać kawał czerwonego nieba, po którym płynie malutka chmurka biała, niby we krwi skąpana. Znak się pali, że do cierniowego wieńca powstańca drobny listek wawrzynu przybywa.

Opieka widoma czuwała nad walecznymi, bo nikogo nietylko w zabitych nie stracili, ale nawet rany najmniejszej nikt nie otrzymał.

Tymczasem na komendę Ruszczyca odsuwają się powstańcy od Moskali. Niekontent z tego Piłeczka i stukając kolbą w ziemię, woła by zwycięztwa dokonano; bo cała zgraja pierzchnie w błota, gdy jej drogę od suchego lasu zastąpią. Lecz ostrożność każe w tył się cofnąć; Moskale swym zwyczajem, pewno jedną częścią zechcą pójść w obchód, wtedy niepodobna będzie się im oprzeć.

Kroków paręset ledwo uszli, znów w zasadzce się szykują, w gęstym sośniaku, co omszar pokrywa. Czekają; nikt nie nadchodzi; tylko strzały na wiatr puszczane po nad błotem świszczą. Zresztą jeszcze raz zatrzymali się, a gdy już gwiazdy dobrze iskrzeć się poczęły, stają w miejscu do dalszego marszu.

Wnet kierunek zmieniono, i tropem obławników szybko wstecz za Ptycz oddział podąża, bo

jutro Moskale, znając kierunek ich marszu, zabiegać będą im drogę w polu tysiącami. Muszą cofnąć się więc w swoje puszcze i oczekiwać sposobniejszej pory, do wykonania rozkazów Rządu Narodowego.

Martwi to niejednego, lecz słuchają przełożeństwa.

Stąpają lekko i szybko po świeżo ubitej ścieżynie, co jak strzała prosto ich prowadzi do miejsca, gdzie odpoczywali zrana.

Mimo wsi Horelca i koło dworu przejść teraz niepodobieństwem, muszą szukać nowej drogi. Lecz ten sam dzielny powstaniec, co im kładki pokazał, wie gdzie leży stary opuszczony most na Ptyczy: bo wpław przebyć tej grząskiej i głębokiej rzeki nie potrafią.

Zawracają w tę stronę, gdy już z lasu wyszli i ciszkiem przesuwają się koło pola folwarcznego, bo z po za płotów, na dziedzińcu widać ognie porozpalane, koło których mrowi się chłopstwo: są to milicjanci, obławnicy i Moskale, którzy bojąc się w lesie zostać, tutaj nocują. Wchodzą do dąbrowy rowem okopanej, co leży tuż przy gumnisku. Raptem wilki wyć poczęły w blizkiej łozie, a psy zajadle im odpowiadają z folwarku; przy tych hałasach niepostrzeżenie i nieposłyszanie przełażą przez płoty i przez rowy i bezpiecznie wysuwają się na opuszczoną groblę, co ich do mostu prowadzi.

W cieniu nocy nad połyskującą, gwiazdami nabijaną, czarną wstęgą wody, niby szkielet żywy, sterczący w poprzek rzeki, staje przed nimi stary

most. Pale nadgniłe i wiązanie spruchniałe podłużne, to wszystko, co z niego zostało; po tem mają się przeprawić na drugą stronę. Bez namysłu, nie wahając się, szybko, po jednemu przechodzą i dalej ku lasowi przemykają. Minąwszy przeprawę swobodnie odetchnęli, bez niebezpieczeństwa z matni już się wydobyli.

Pod lasem jakby ręka niewidzialna ich serc dotknęła; stoją wszyscy i kupiąc się razem, w milczeniu, radośnie na siebie poglądają.

Po przebytem niebezpieczeństwie i porażce wrogów, tak im błogo i spokojnie, jakby się na nowo narodzili. Przy ciszy nocnej, wobec gwiazdzistego nieba, i przy tej dzikiej naturze, jakiś głos tajemniczy ciepłą mową wlewa w nich przekonanie o ich nieśmiertelności i o szczytności świętej sprawy, za którą życie swe odważyli. Pobożniejsi głębiej to uczuli, bo już poklękali i po cichu psalm do Boga zasyłają. Za swą ofiarność mają przed sobą rożek zasłony uchylony, co przed okiem powszedniem prawdę przedwieczną zakrywa.

Z ponad lśniącej wstęgi wody, niby lekka gazowa sukienka Świtezianki, podnosi się kłębami srebrzysta mgła i poważnie rozsuwa się po łące. Żwawo zrywają się powstańcy, by śladu nie zostawić i zanurzają się w ciemną otchłań puszczy, gdzie resztę nocy i dzień cały na jednem miejscu pozostają.

Głód już daje im się we znaki; tylko odrobinę chleba mają, którą jeszcze przez jutro żywić

się trzeba; bo zaledwo jutro do domu do swych ostępów w puszczy T. powrócić spodziewają się.

Noc jak węgiel czarna staje przed nimi; chmurami okryło się niebo, ale kompas, linia gdzieś graniczna i ten dziwny zmysł, co się u niektórych wyrobił, a szczególniej w naczelniku, wyprowadzają ich zresztą na drogę, po której bokami ostrożnie posuwają się. Blaski błyskawicy oświecają, czy kogo nie ma na drodze. Dzisiaj łatwiej będzie chodzić po lesie, dzięki trybom, jakie porobili Moskale!

Dniem jak wilki przemykają się po łozach i po najgłuchszych manowcach leśnych; a gdy zmrok zapadać począł, już na brzegu lasu naprzeciw dworu W. stanęli i czekają nim całkiem ściemnieje. Cicho siedzą i na drogę poglądają; widzą światła w oknach; a choć głód dokucza, nikt nie myśli narażać bojaźliwych jego mieszkańców.

Cały dzień przy ciągłym marszu, już odrobiny chleba w ustach nie mieli, trochę jagód za cały pokarm im służyło, bo w nocnym marszu zjedli wszystko; głodowe pragnienie pali; ale to nic, mocniej się tylko ściskają i gdy już ściemniało, potem szybko wymijają dwór. Nadedniem ledwie szarzeć poczęło, już dopadli swego lasu i o wschodzie słońca stają na dawniejszem obozowisku, w niedźwiedzich ostępach. Zaraz potem co było silniejszego ruszyło po żywność.

Leży obóz znużony; głucha cisza panuje, prawie dwa dni nic nie jedli, przy nieustannym marszu, to też niespokojnie przysłuchują się, czy nie słychać kroków ludzi wysłanych po żywność.

Nagle znane gwizdanie Siewki na widecie daje się słyszeć; wszystko na nogi zrywa się i wita poczciwych chłopków leśnych, co tak rzewnie ich żegnali przed wyprawą.

Nanieśli pełno chleba i żywności. Na licach chłopskich widać radość nieudaną, wzrok im się iskrzy, a przy sercach i usta otwarły się. I choć im nikt nie mówił o potyczce pod Horelcem, lecz oni już zgadli, czyje to jest dzieło, to też powiadają:

— Oj dobrzeście panoczki zrobili, że tych gadów Nowosielskich przetrzebiliście; oni nam jak ostry nóż w sercu tkwili; tylko szkoda żeście popa w ręce swoje nie dostali, — oj! na gałęźby jego trzeba już dawno. A widać, że Pan Bóg z wami, bo jak chłopi ztamtąd sami powiadali, padło ich i Moskali ze 60; a wam, jak to widzimy sami, i włos z głowy nie spadł nawet. Teraz, gdy pójdziecie, to już bierzcie i nas wszystkich razem; bo i my chcemy iść na Moskala, za naszą wiarę i za wielką Polszczę!

Naczelnik, dziękując im serdecznie, nalewa sobie kieliszek wódki i pije nim zdrowie polskiego ludu...

„Niech żyje Polska! niech żyje lud!“ cicho zabrzmiało w głuchym ostępie i powstańcy z chłopami ściskać się poczęli.

Chłopskie twarze znowu łzy zrosiły! Do przyszłej korony wolnej i niepodległej Polski są to naj-

czystsze brylanty, w których odbija się cała boska piękność życia powstałego z miłości.

Taki koniec miała wyprawa Horelecka.

W tych wypadkach strasznych, przebytych na tle dziejów groźnych, ileż jest uroku niepojętego!

Lecz jakaż to potęga tajemnicza nęci do nich, w czemże serce tutaj się rozkoszuje? Śmierć, męczeństwo, zniszczenie, oto wszystko, czem one darzyły tych wszystkich, co o nich wspominają najrzewniej. Przed oczami ludzkiemi boża prawda mgłą zakryta; a po tych półjaśniach jakiś instykt i czar uroczy, niepojęty, wiodą człowieka zwycięzko przez boleście i męczarnie dramatu życiowego do ostatecznych celów jego przeznaczenia. Ofiara jest tą ręką niewidzialną, co podnosi przed nami zasłonę tajemniczą, która rozdziela doczesność od wieczności, i wprowadza promieniejącą zasługę w rozkosze nieśmiertelności.

Sercem i myślą wciąż badamy toń dziejową, wyszukując w niej tę perłę czarodziejską, co padając w czarę ofiarną, rozbudzić potrafi dźwiękiem swoim życie uśpione narodu. Zdrój cierpień nam ją z tych nurtów na wierzch wyrzuci! I dla tego to na strunie ofiarnej wciąż nam pieśń dziejowa przygrywa. A przez trzask mieczów, huk strzałów, przez jęki, niedolę i krew, wije się ognista nić życia i swem dziwnem światłem nie daje zbaczać narodowi z drogi prawdziwej. Cudna nić ta snuje się po łanach wiślanych, i po borach niemeńskich;

nawija się strunę na harfie czarodziejskiej, z której płyną dźwięki, co koją rany umęczonego narodu i wróżą mu rychłe, świetne zmartwychwstanie.

Sam Pan kłębek czasów mota —
Nić promieni się po świecie . . .

III.

MANEWR PARTYZANCKI.

Mieliśmy wyruszyć pod Szack [1]). Było to w drugiéj połowie sierpnia 1863 r. a na skończeniu szóstego miesiąca naszych nadludzkich wysileń, zwanych partyzantką litewską.

Obóz nasz w skutek popłochu, jaki niespodzianie Moskalom zrobiliśmy pod Horelcem, zmuszeni byliśmy przenieść w najgłuchsze zakątki T. puszczy — na błota. Błota leśne, lepiéj od wszelkiego gąszczu drzew służą do ukrycia zwierzyny, a w roku 1863, w województwie Mińskiem, dawały najbezpieczniejszy przytułek dla naszych garstek powstańczych, przed pościgiem wrogów i zdradą. Dla nieobeznanych, skreślę krótką ich charakterystykę.

Błota leśne litewskie bywają trojakiego rodzaju: tak zwane olszowe błota, osokowe łąki i

[1]) Szack małe miasteczko w powiacie Słuckim, nad rzeczułką wpadającą do Ptyczy, leży na środku pomiędzy puszczami: Mińską, Ihumeńską i Słucką albo Hrecką.

mszary czyli omszary. Pierwsze, są to trzęsawiska torfowe, idące wzdłuż koryt rzek leśnych, które zwykle porastają lasem olszowym, malinami i porzeczkami; drugie, podobnież przylegają do koryt rzecznych i bywają porosłe brzeziną albo łozą, a twarda osoka i oczeret, rosnące też na nich, dają przytulisko rozmaitemu ptactwu wodnemu; i na ostatku trzecie, są to przestrzenie zatopionego lasu sosnowego, które zamiast wszelkiéj trawy pokrywa mech biały. Mokre mszary zawsze bywają pokryte rzadką, karłowatą sośniną, pomiędzy którą na kępach rosną sinice albo piane jagody i bagno, po litewsku bahun. Pod temi krzakami zielska błotnego ściele się delikatna roślina zurawinowa, której jagody są ulubionym pokarmem głuszczów i cietrzewi. Mech biały służy za paszę łosiom, których w tych puszczach jest jeszcze bardzo obficie.

Olszowe i osokowe błota są zanadto grzązkie, aby można było na nich znaleźć miejsce dogodne na przytułek dla człowieka; lecz mszary nie będąc grzązkiemi, w skutek piasczystego dna, mają prócz tego porozrzucane kępy czyli ostrowy, hrudy po białorusku, porosłe wysokopiennym i zwykle gęstym lasem; są jakby umyślnie na skrytki stworzone. Trudno znaleźć lepszych pozycyj dla partyzantów leśnych jak te kępy. Rzadka i cienka choina na błocie, pozwala widzieć na dość odległą metę z gęstego lasu, nie będąc samemu postrzeżonym i ułatwia zasadzkę lub odwrót w razie napadu. Mech biały, zatopiony wodą, jest przytém tak elastyczny, że po przejściu człowieka żadnych śladów na nim

nie pozostaje. W mińskich puszczach błota mchowe zajmują często kilka albo i kilkunasto-milowe powierzchnie. Nic dziwnego przeto, że nie były one zbyt łatwe do wyśledzenia dla ciężkiego żołnierza moskiewskiego, a zwiedzać je było dla nich największą męczarnią. Zwykle nic nie znajdowali na nich, brodząc przez całe dnie po wodzie i gubiąc buty w błocie. Te wyprawy tem trudniejsze były dla piechurów moskiewskich, że im kozacy nie towarzyszyli, którzy mają ostateczny przywilej być psami gończemi armii moskiewskiej. Pluskanie po wodzie powstańcy nazwyczajeni byli słyszeć tak daleko, że zawsze na czas byli ostrzeżeni. Rozległość i te własności sprzyjające ukrywaniu się, potworzyły z błot litewskich nasze prawdziwe Sierry leśne.

Przeczytawszy to, czy nie zechcą osuszyć i zaludnić te błota panowie Moskale? Wszak nietylko strategia, lecz i dobrze urządzone gospodarstwo państwowe tego wymagają. Umieliście dla dziecinnych kombinacyj waszych strategików domorosłych, bez wszelkiego sensu, psuć lasy litewskie komiczno-strategicznemi trybami; umiejcież teraz rozwiązać to nieco trudniejsze zadanie wy, co to niby porządek, dobrobyt i szczęście wnosicie do ziem podbijanych.

— *Messieurs tirez les premiers!* prosimy najuniżeniéj! [1])

[1]) Moskale istotnie poczuli się do obowiązku odpowiedzenia na nasze wezwanie i we dwa miesiące po ukazaniu się tego ustępu z Wspomnień w odcinku „Gaz. Narodowej“ w kwietniu 1873, ogłosili w czerwcu tegoż roku projekt osuszenia błot pińskich. Dlaczegóż nie wszystkich?!

Obóz nasz i w teraźniejszym wypadku był rozłożony na jednym z mszarów tej ogromnej puszczy, lecz na ten raz niepodobna było zająć jednej z takich suchych kęp, gdyż Moskale będąc rozwścieczeni zuchwałością naszej garstki, przebiegali jak ranne niedźwiedzie całą puszczę, przetrząsając po kolei wszystkie ostrowy. Musieliśmy na ten raz zniżyć się do leśnych królów naszej zwierzyny i bez dalszych ceremonji obraliśmy pczycję na mokrem błocie. Największą dogodnością w tym razie było, że naokoło, przynajmniej w półtoramilowym promieniu żadnego mieszkania ludzkiego nie było.

Ciekawe widowisko przedstawiał nasz obóz.

Na środku stało kilka wyższych sosen, które wieńcem otaczał gęsty zarost młodego chojniaku. Wody mieliśmy po kostki. Na tej przestrzeni do cieńszych drzewek, jakby do palików, poprzywiązywane były żerdzie wiciami łozowemi i na nich pourządzane były nasze łóżka do spania, które zastępowały nam zarazem salon bawialny i jadalny. Te nasze legowiska zupełnie podobne były do pomostów, które po osokowych leśnych sianożęciach, urządzają pod stogi siana błotnego. Nad każdem takiem łóżkiem zawieszony był daszek z drążków i gałęzi, z dodatkiem na wierzchu suchego mchu. Suchy mech biały służył także za wygodne posłanie, a daszek przeszkadzał padać deszczowi i rosie. Słowem w tych kaczych mieszkaniach po raz pierwszy od pół roku dobrze spaliśmy, prawie po ludzku. Z ogniskami naszemi było nieco biedy, bo musieliśmy je

rozpalać też na pokładach. Za to myć się, albo pić mógł każdy nie wychylając się z łóżka.

Prócz powyższych wygód mieliśmy inne, nierównie ważniejsze: oto mogliśmy pofolgować nieco naszym językom, nie bojąc się być znienacka podsłuchanymi i widzieliśmy ciągle nad sobą porządny szmat błękitnego nieba, z koczującemi po niem słońcem i księżycem. Sucha puszcza ma to złego w sobie, że wymaga ogromnej czujności przed włóczącymi się chłopami po lesie, i zasłania widok czystego nieba, dla ostrożności bowiem wybieraliśmy zawsze największe gęszczary.

Trzeba być skazanym na zamknięcie w gąszczu leśnym przez dłuższy czas, aby zrozumieć pociąg niewysłowiony jaki uczuwać się daje człowiekowi ucywilizowanemu do miejsc otwartych. Miły jest cień drzew i woń leśna, lecz tylko na krótko; zbyt zdrowe to a muszkularne zwierzęce życie, w skutek zetknięcia się zbyt blizkiego z surową przyrodą, poczyna przygniatać ducha i człowiek bezwiednie dziczeje. . .

Nie rozumiemy dla czego nasi lekarze nie posyłają swych chorych na dzikie życie po borach — kuracja kosztowałaby niezmiernie tanio, a większa część chorób tak zwanych chronicznych, dawałaby się uleczać najradykalniej. W początkach powstania byłem tak słaby, że wszyscy wróżyli, iż gdziekolwiek na błotach wyzionę ducha, a po sześciu miesiącach byłem tak zdrów i silny, jak nigdy. Ta cudowna zmiana zdrowia była powszechną w całym oddziale.

Prócz tego życie twarde dawało nam innego rodzaju pociechę — nie znaliśmy wcale nudów, chociaż w tak odludnej stronie jak ten zapadły ostęp. Gawędy i projekta strategiczno-polityczne, raz wraz ożywiały otaczającą nas martwotę. Dla rozmaitości miewaliśmy ciągłe wizyty łosi, głuszców i cietrzewi, które spokojnie krążyły naokoło nas, ponieważ strzelać pod żadnym pretekstem nikt nie miał prawa. Najprawdziwszym atoli fermentem, co nie dawał zasypiać spokojnie duchowi było to ciągłe niebezpieczeństwo, zawisłe nad naszemi głowami skazanemi. Rozgorączkowany umysł szarpał nieustannie nerwami i pozwalał na nich wygrywać duchowi najcudowniejsze fantazje. Kiedykolwiek, dawniej liche życie człowieka, nabierało w tych chwilach uroczej wartości, jako widome narzędzie wyroków Opatrzności.

Wyprawą naszą pod Szack mieliśmy ponownie dokonać próby, czy się nie uda nam przedrzeć w puszczę Ihumeńską, dla połączenia się z oddziałem Sobka (Laskowskiego). Mieliśmy zaledwie trzydziestu kilku ludzi; przeto myśleć o jakiegobądź rodzaju zaczepnych planach, byłoby nietylko szaleństwem, lecz niedorzecznością, w obec kilku tysięcy Moskali, którzy ciągle tańczyli naokoło nas. Z innej strony miało to swoją ogromną niewygodę, bo rozzuchwalony nieprzyjaciel ścigał nas i tropił bez wytchnienia, po najgłuchszych nawet zakątkach puszczy. Nadto ukrywanie się nasze mogło źle oddziaływać na naszych poczciwych chłopków, którzy

dotąd z niepojętą zkądinąd wytrwałością służyli nam do wszystkiego.

Rozumny partyzant w wojnie narodowej, nigdy nie powinien zatrzymywać się długo na jednem miejscu, a całe jego powodzenie będzie zależeć na tem, jeśli potrafi urządzić kilka stałych centrów, na około których nieustannie będzie krążył. Przenoszenie się z miejsca na miejsce, nie tyle powinno mieć na celu bezpieczeństwo oddziału, ile wzgląd na to, aby nie nużyć swą długą obecnością sprzyjających mieszkańców. Wojna narodowa, wchodząc w zakres ściśle bohaterski, wymaga pewnego rodzaju elegancko-rycerskiej delikatności względem cywilnych współobywateli. Szlachetna forma najprędzej podbija serca ludzkie. Niech będzie jak chce mocną i zakrytą pozycja, niech oddział składa się z wyborowych ludzi, niech naczelnik najlepiej pojmuje sztukę wojenną — wszystko to jednak na bardzo mało zda się, jeśli nie zdołano zapanować nad sercami okolicznej ludności. Był to jeden z sekretów powstania 1863, który nie jednemu oddziałowi zapewniał powodzenie, pomimo najfatalniejszego położenia, w jakiem pozornie się znajdował.

Dniem przed wymarszem naszym przybyło do nas dwóch członków organizacji cywilnej. Poczciwi chłopcy nic nam dopomódz nie mogli, nawet powziąć dokładnej informacji od nich, o rozlokowaniu Moskali na naszej drodze, nie mogliśmy. Brak komunikacji z Warszawą i upadek powstania na Litwie, całkiem zaczęły rozprzęgać słabą organizację we wschodnich województwach — bohaterstwo na-

szych kobiet podtrzymywało ją tylko. Nasi urzędnicy przywieźli nam coś z odzieży, trochę żywności, tytoniu, cygar i dobrych nowin — ma się rozumieć z powietrza wziętych. Każdy z nas domyślał się, że są one przesadne, lecz coś wyższego nakazywało milczeć rozsądkowi.

W najkrytyczniejszej pozycji, w jakiej zostawał nasz malutki oddział, stojący na najodleglejszym punkcie od ogniska ruchu, nigdy go nie odbiegała jakaś dziwna wiara w powodzenie sprawy, a ztąd wypływało i mocne postanowienie wytrwania na stanowisku do końca. Jest to jeden z fenomenów psychologicznych, najgodniejszy zastanowienia w całem naszem powstaniu. Powiedziałbym, że on jest punktem wyjścia, z którego wypada zapatrywać się na całe powstanie 1863 r.

Zkąd brała się ta wiara? Wszak lada żak mógł był zrozumieć, że bić się jednemu i to całkiem licho uzbrojonemu, przeciwko dziesięciu dobrze uzbrojonym, nie tylko było niemożebnością, lecz na warjację zakrawało. Tymczasem działo się inaczej, bo najrozumniejsi i najroztropniejsi ludzie poczciwi poddawali się omamieniu. Czy nie było ono dobrowolnem? Rachowali, co prawda, niektórzy na zagranicę; chciejmy jednak głębiej zbadać tę rachubę a na dnie jej ujrzymy, że nie ona była istotą tej wiary: była to raczej pokrywka naszej niemocy przed maluczkimi duchami. Chcieć powiedzieć, że był to szał wywołany uciskiem zrozpaczonego narodu, i to będzie nieprawdą; gdyż po mikołajowskich czasach, panowanie Aleksandra II na początku

było aż nadto liberalnem i łagodnem. Cóż było w tem wszystkiem? To pewna, że nie zimna rachuba i nie szalona rozpacz popchnęły nas do ujęcia za oręż. Przeznaczono nam żyć; broniliśmy się tedy przed letargiem, w który popaść mogliśmy przy syreniej piosnce najezdcy - moskwicina. Zaś letarg ten musi być niepotrzebnym, bo widać, chwila wskrzeszenia jest niedaleką. Z Boga powstałe ideje zawsze mają przy sobie tę ofiarną tajemniczą żywotność, co je w końcu zawsze doprowadza do tryumfu. Kordecki dał nam wzór takiej wytrwałej wiary.

Ktoby chciał przekonać się o skuteczności tej wiary, która ożywiała i nasz oddział mińskiego powiatu, powinien był być świadkiem naszego wymarszu nazajutrz.

Kolumb, gdy puszczał się na odkrycia nowego świata, niezawodnie podobnym duchem był ożywiony. Zdawało się wszystkim naszym ludziom, że w ihumeńskiej puszczy zdobędziemy ów tajemniczy klucz, który zdecyduje o ostatecznem powodzeniu całego powstania. Na twarzach powstańców jaśniała radość podobna do tej, jaką czuje oblężony, gdy ujrzy nadciągającą odsiecz; każdy swobodniej odetchnął i łza rozrzewnienia w niejednem oku błysnęła, gdy usłyszano komendę „marsz!“

Dzień mieliśmy pogodny, a zachodzące słońce ukośnemi promieniami oświecało wierzchołki boru. Uszykowani gęsiego, milczkiem wysunęliśmy się z naszego obozu. Na obozowisku zostali poczciwi wieśniacy okoliczni, którzy serdecznie i ze łzami

w oczach nas żegnali, i im zostawiliśmy roboty koło uprzątnienia wszelkich śladów po nas, co oni umieli z dziwnem sprytem dokonywać. Po nich nietylko Moskale nie mogli domyśleć się, gdzie był obóz powstańczy, ale inni nawet chłopi z sąsiedztwa wytropić tego nie mogli. Często zdarzało się nam powracać na dawniejsze nasze obozowiska, lecz nigdy śladów po nich znaleźć nie mogliśmy.

Ostrożność ta była potrzebną dla tego, że leśni mieszkańcy litewscy posiadają niepospolity zmysł tropienia; najmniejszy, niedostrzeżony oku polnemu znak czyli ślad pojaśnia ich o wszystkiem i jak mówi się — jakby z książki czytali. Zakrycie tedy tak znacznego śladu, jak obozu leśnego, istotnie wymagało szczególniejszego sprytu. Najczęściej używanem było do tego wyrąbanie lasu.

Wiele prawią o zmyśle tropienia u Indjan amerykańskich, lecz możemy najuroczyściej zapewnić, że nasi chłopi litewscy posiadają w zupełności ten dziwny instykt. Często zmawialiśmy się umyślnie, aby wypróbować to, i w tym celu zmieniliśmy nasze obozowisko, o jakie tysiąc kroków, co w lesie bardzo wiele znaczy. Pomimo wszelkich ostrożności, jak np. chodzenie w rozsypkę i na palcach, nigdy się ukryć przed nimi nie potrafiliśmy. Gdyśmy ich zapytali, po czem poznali, że jesteśmy raczej w tej, jak w innej stronie, odpowiadali nam na to zwykle że nic w tem dziwnego, bo gdzieś tam w borze jakąś gałązkę złamaną spostrzegli, a z niej następnie doszli, iż musimy być na tem niezawodnie miejscu. Łatwo ztąd zrozumieć, jak pożytecznym

aljantem, lub strasznym wrogiem może być chłop nasz dla partyzanta leśnego.

Wychodząc z tego powiedziałbym, że większa część zasług w naszem ostatniem powstaniu, szczególniej we wschodnich województwach litewskich, należy się chłopom; albowiem oni byli właściwemi organami wykonawczemi organizacji cywilnej i bez nich nic zrobić nie potrafilibyśmy. Rząd moskiewski w osobie Murawiewa-Wieszatela, wytężył cały swój system piekielny na to, aby szlachtę i oficjalistów niszczyć ku większej uciesze ludu wiejskiego; lecz grubo się omylił, bo właśnie w jego to szeregach werbowały się najdzielniejsze jego narzędzia. Czy dowieść co do oddziału, czy przeprowadzić kogo, albo ukryć, czy żywności dostarczyć, czy wyszpiegować ruchy moskiewskie — wszystko to chłopi niemal wyłącznie robili, bo reszta tchórzyła. Potrzeba było tylko umieć się wziąć do nich, i owładnąć ich sercami, co zresztą nietrudnem było, a wtedy duszą i ciałem oddawali się sprawie.

Powiedzą mi na to, że chłopi szli na obławy, że dawali milicjantów, że wystawiali warty i zdradzali powstanie po największej części. Kto powierzchownie zapatruje się na rzeczy, istotnie tak będzie. Lecz wcale odmiennie cała kwestja przedstawi się nam, jeźli nie formę, lecz ducha tych postępków zbadać zechcemy. Dosyć przytoczyć, co powiedziałem w górze, o zmyśle tropienia, aby pojąć, że gdyby pojęcie nienawiści do powstania było ogólnem u ludu, to ono nawet czterdziestu ośmiu godzin istniećby nie mogło.

Moskale, jak w czasie powstania łudzili się, tak dzisiaj łudzą się, że pozyskali rabunkiem i mordami dokonywanemi na szlachcie, serca chłopów litewskich. Dla wypróbowania prawdziwości moich słów, niechaj sami zaprobują stanąć w pozycji powstańczej — jak wilki szkodliwe powybijałby ich zaraz ten sam lud! Pierwiastek narodowy moskiewski jest głęboko wstrętnym ludowi litewskiemu, jak biegunowo przeciwny moralnie. Prosta, łagodna, głęboka i poważna natura litewska, z fatalnej konieczności musi nienawidzić kłamliwy, okrutny, płytki i chełpliwy charakter moskiewski. Moskal dla chłopa Litwina będzie zawsze istotą niższą, gatunkiem okrutnego błazna, przed którym musi uginać się, ponieważ ten ma przemoc fizyczną w swem ręku. Wstrętne mu prawosławie pogardę tę w głęboką, a nieprzebłaganą nienawiść zamienia. Potrzeba wiedzieć, że korzenie unji dotąd głęboko trzymają się na Litwie. Niech błyśnie tylko sposobna chwila, a we dwadzieścia cztery godzin cała ludność odrzuci się od prawosławia.

Obecnej wyprawie naszej nikt inny jak chłop przewodniczył.

Mieliśmy spory kawał lasu do przebycia, a potem drugie tyle, razem wszystkiego przeszło trzy mile. Po lasach tak bagnistych, jak nasz, marsz był niezmiernie utrudzającym, a przy najlepszem chodzeniu, obładowanemu nawet pół mili na godzinę ujść nie można było, z powodu tego, że podobnie zwierzynie, omijaliśmy wszystkie drogi i ścieżki, aby na nich śladu nie zostawić.

Błota olszowe szczególniej przykremi były do przebycia. Na tych czarnych grząskich bagnach, gdzie nogi często wyżej kolan zapadały, i gdzie mnóstwo powału leży, co paręset kroków musieliśmy stawać, aby odsapać się. Właśnie po drodze naszej leżały takie bagna, a w dodatku mieliśmy przeprawę w bród, przez grząską chociaż nie głęboką rzeczułkę leśną. W ogóle leśne tutejsze rzeczułki są niegłębokie, lecz za to niezmiernie grząskie, w skutek czego i przeprawa na nich, chociażby pieszemu człowiekowi jest niezmiernie trudną. Oprócz bagien musieliśmy jeszcze obchodzić lasem każde odkryte miejsce w lesie, aby nie być przez kogo dośledzonym, lub na niem śladu nie zostawić.

Właśnie byliśmy na wychodnem z lasu, gdy doszliśmy do większej łąki leśnéj, na której paliły się ognie nocleźników przy koniach. To spotkanie było nam wcale nie na rękę, bo przez ostrożność przed psami pastuszemi, musieliśmy robić ogromne koło, aby nie zdradzić w czemkolwiek naszego marszu. Poczciwe psiska kiedykolwiek indziej, była to atoli teraz prawdziwa plaga dla powstańców; nocami trzeba było czasami przechodzić ogromne kawałki na palcach, by nie robić szelestu i tem ich czujności nie obudzić. Bo niech tylko pies zaszczeka w nocy, chłop zaraz się budzi i rozumie, czy pies ujada na człowieka, czy na zwierza. Jeżeli szczekanie będzie na człowieka, wtedy gospodarze mają zwyczaj szczuć psy i sami za nimi postępują. Chodzić zaś w lesie w nocy i to po cichu, jest niezmiernie trudno, dla mnóstwa gałęzi i gałązek,

leżących na ziemi, a chodzenie po baletniczemu, na końcach palców, jest przytem i niezmiernie nużącem. Dosyć że wszystkie te zwłoki przyczyniły się do tego, iż było już po północy, gdyśmy z lasu na pola wybrnęli. Na brzegu spoczęliśmy; rozdano wódkę i każdy pospieszył coś przekąsić.

Gdyśmy byli na marszu, zwyczajną naszą strawą w tych ostatnich miesiącach było proste sadło, czasami suchy ser i chleb razowy. Za największy przysmak mieliśmy, jeśli gdzie udało się dostać, mleko słodkie.

Cielęta świeżo odłączone od krów nie tak łapczywie dorywają się do cycka, jak my do tego niewinnego trunku. Żadne odżywcze kordjały nie mają téj mocy restaurowania podupadłych sił od znużenia, jako mleko słodkie. Po gwałtownych marszach, miewaliśmy do niego taki pociąg, że każdy mógł wypić od razu co najmniéj pół garnca. W ogóle apetyt w lesie służył nam szalony, co pochodziło najwięcej ztąd, że przy gwałtownym ruchu byliśmy skazani na chłopską strawę, bez mięsa — żyliśmy samemi zabielanemi lub zaskwaszanemi potrawami. Aby mieć lepsze wyobrażenie o naszym wilczym apetycie, powiem, że po marszu każdy z nas zdolnym był zjeść co najmniéj garniec gorącéj strawy i chleba razowego z parę funtów. Trudno samemu sobie uwierzyć, gdzie mogła mieścić się taka ogromna ilość tych krupników zabielanych, barszczu, lemieszek z mlekiem etc., jakie spożywaliśmy w powstaniu. Jakkolwiek bohaterowie Homera mieli dobry apetyt, wszakże można

zapewnić panów klassyków, że i nasi powstańcy nie byli gorsi pod tym względem. Bywało, zaledwieśmy łyżki oderwali od gęby, już nowy apetyt był gotów.

Po krótkim wypoczynku przy lesie, puściliśmy się daléj, po piasczystej drodze w kierunku Kowalewicz.

Dla nierobienia śladów zmuszeni byliśmy znowu chodzić na palcach w rozsypce. Dosyć, wszystkie te zwłoki i na pozór małe zbłądzenie w polu, przyprawiły nas o to, że już dnieć poczynało, gdy nam do lasu więcej jak pół mili zostawało. Wieś kowalewicką mieliśmy w prawo, a dwór na lewo — przerzynając się pośrodku obydwóch chcieliśmy przez błoto i rzeczułkę dostać się do lasu.

Na nasze nieszczęście błoto okazało się oparzelistem trzęsawiskiem, po którem za nic chodzić nie można było. Nie wiedząc o tem, probowaliśmy brnąć po niem; lecz co który kilka kroków uszedł, natychmiast zapadał po pas w bagno, tak że musieliśmy ratować się wzajem raz wraz, podając sobie końce luf. Na dobitkę całkiem rozedniało, i chłopi zaczęli powoli wylegać na pola dla zżęcia resztek zboża, stojącego gdzieniegdzie na pniu.

Sekret naszego marszu był zdradzony, przeto nic nam innego nie pozostawało, jak wyjść na drogę i bez dalszych ostrożności ruszyć spiesznie naprzód. Przewodnik biedaczysko stchórzył jak trusia, a otrzymawszy pozwolenie, natychmiast dał susa w krzaki i znikł jak nocny upior przed badawczym wzrokiem chłopów.

Po uszykowaniu się dwójkami, w wielkich odstępach, by zdaleka pomnożyć swoje siły, ruszyliśmy grobelką ku dworowi. Chór naszych śpiewaków zaśpiewał dawniejszą piosnkę partyzancką: „Rzuciliśmy żony, dzieci“, a z boku patrzącemu istotnie mogło zdawać się, że za nami nie wiedzieć jaka ogromna siła postępuje.

Śpiew miał wielki wpływ i na powstańców, bo pomimo rozbicia się najdroższych planów, każdy nabierał przy nim tyle animuszu rycerskiego, że gotów był sam jeden na roty wrogów rzucić się. Zapewne, nie mocniej musiało bić serce rycerzy zakutych w stal i powiewnych strusiemi pióry, wobec wież gotyckich i oczu kasztelanek, jak nasze na widok wioski poleskiej i lichego dworku leśnego, nieco pokaźniejszego od chałupy wieśniaczej. Oddział nasz przeważnie składał się z uczniów akademickich i studentów gimnazjalnych, z małym bardzo dodatkiem ludzi z innych stanów, dlatego też i śpiewy nasze wcale przyzwoicie były wykonywane. Skutki tego można było spostrzegać na chłopach i chłopkach, którzy pomimo strachu przed indagacją moskiewską, jako świadków naocznych naszego ruchu, stali nieruchomi, przysłuchując się tonom śpiewu, który uroczyście rozlewał się w rannem powietrzu.

Dzisiaj pomiędzy chłopami kowalewickimi i w okolicy zapewne chodzi gadka o tem, jak to w roku 1863 przeciągali koło ich wsi powstańcy, z kapelą wojskowej muzyki na czele. . .

Groblę przerzynała rzeczułka, na której pęki łozy służyły zamiast mostu pływającego, po którym tonąc po kolana trzeba było przechodzić. Nie zachodząc do dworku, stanęliśmy przed karczemką, stojącą tuż przed bramą. Właścicielem tego dworku był stary kawaler, niejaki Puciało.

Od samego początku powstania zaprowadziliśmy stare prawidło, aby nigdy nie zachodzić i nie zatrzymywać się po dworach, albo koło mieszkań ludzi nam sprzyjających. Moskale tchórząc przed nami, w skutek jakiegoś przesądnego strachu, pochodzącego z wiary, że nami kieruje jakaś wyższa siła niepojęta, nie bardzo rwali się na nas, a przytem i na prawdę nie mogli nas wytropić. W skutek tego wszystkiego cała zemsta ich padała na te miejsca, gdzie noga powstańcza tylko postała. Wawrzyny moskiewskie w ostatniem powstaniu zostały wszystkie niemal uszczknięte na bezbronnych.

Na ten raz atoli zmuszeni koniecznością musieliśmy wstrzymać się przed dworkiem, lecz surowo zakazaliśmy komubądź chodzić, lub posyłać do dworu; nawet zabronione było wchodzić w gawędy ze służbą dworską, bo i tego dla Moskwy było dosyć, aby puścić się na rabunek.

W karczmie prócz śmierdzącej wódki nic nie dostaliśmy; widocznie wszystko było już pochowane przed nami, a sam arędarz wsiadał do kałamaszki, aby gdzieś odjechać. Poprosiliśmy grzecznie pana żyda, aby nieco wstrzymał swój wyjazd, dopóki ztąd nie pójdziemy. Staliśmy pod karczmą z kwa-

drans, gdy ujrzeliśmy dziewczęta dworskie, niosące nam pełen kosz jabłek; lecz zamiast podziękowania, otrzymały od nas biedne dziewczęta burę, za to, że łażą tam, gdzie ich nie potrzebują. Po przeprawie jabłecznej staliśmy kilka chwil, zatrzymując i indagując o Moskalach przechodzących chłopów.

Mieliśmy już wyruszyć z miejsca, gdy wtem ujrzeliśmy pod lasem pędzącego cwałem chłopa na rosłym koniu. Od razu domyśliliśmy się, że musi to być zdrada, lecz żeby to z dworu miało pochodzić, o tem nawet przypuszczać nie chcieliśmy. W kilka dni dopiero dowiedzieliśmy się, że to sam p. Puciało wysłał swego parobka po Moskali do Szacka, najdalej o pół mili od tego dworku. Wtedy domyśliliśmy się, co właściwie znaczył ów wężowy podarek jabłek, zrobiony nam uprzejmie przez tego lichego wyrodka. Motorem zaś zbrodniczego czynu był nędzny strach przed zapłaceniem kontrybucji — i nic więcej!

Na widok cwałującej zdrady, nic innego nie pozostawało zrobić, jak zwijać się co najprędzej i pomykać ku lasowi, o kilkaset kroków odległemu od zdradzieckiego dworku. Przed wymarszem, nie wiem zkąd mi przyszło do głowy, powinszować oddziałowi rychłego spotkania z Moskalami. Na moją fanfaronadę huczne: niech żyje Polska! było odpowiedzią. Być może, że miała ona i swoją dobrą stronę, bo oddział wcale nie tracił zimnej krwi przy pospiesznym marszu.

Spotykanych chłopów nasi chłopacy witali wesoło i żartobliwie zapraszali do szeregów. Młodzi

parobcy, do których to odnosiło się, uniesieni zapewne gwałtowną ciekawością zobaczenia zblizka tajemniczych istot, zwanych powstańcami, całkiem zbliżyli się do nas, lecz żaden głosu wydobyć z siebie nie umiał — promieniejące ich twarze dawały tylko świadectwo o przychylnem dla nas uczuciu. Dobrodziejom Moskalom, wątpię aby udało się kiedykolwiek otrzymać podobne rezultaty pomiędzy naszym ludem, pomimo wszelkich a ckliwych nawet umizgów, jakie czynią do niego.

O jakie tysiąc kroków od dworu droga zanurzała się w las. Wszedłszy do niego obejrzeliśmy się na wszystkie strony, i nie widząc nikogo obcego, zatrzymaliśmy się, aby odbyć naradę wojenną. Po krótkiej naradzie stanęło, że mamy oddział rozdzielić na szóstki i rozproszyć się w rozmaite strony, podążając wszyscy w tył do puszczy T., jako punktu zbornego. Manewr nasz był obliczonym na to, że jeśliby udało się Moskalom napaść na którą sekcję, to tylko jedna ściągnie na siebie ich pościg, a reszta przez to ocali się.

Gdy podział był skończony, rozdano kassę do rąk dowodzących sekcjami, i uścisnąwszy się jak bracia każdy puścił się w inną stronę.

Zostałem na placu, dając innym czas uchodzić. Gdy zaś ostatnia sekcja znikła, wtedy i ja ruszyłem do lasu; lecz zaledwom kilka kroków postąpił naprzód, przyłączyła się do mnie inna szóstka. Dowodzący Z. nalegał na mnie, abyśmy nie rozłączali się i szli razem. Na to powiedziałem mu, że wbrew postanowieniu, do jakiego sam należa-

łem, nie myślę występować; lecz jeśli usilnie pragnie przy mnie pozostać, złamię je tylko pod tym warunkiem, aby zostać na miejscu i zaczepić Moskali. Miałem mocne postanowienie, co do słowa wykonać moją zapowiedź, nieco romantycznie wyglądającą. Nie musiała ona całkiem przypaść do przekonania mego kolegi, bo mię natychmiast opuścił, zapuszczając się w głąb lasu za innym. Ten instynktowy wybryk, w ciągu mych dalszych przygód, bardzo mi przydał się.

Widząc, że wszyscy udali się w prawo od drogi, w stronę Sierhiejewicz, party jakąś fałszywą rachubą, puściłem się na lewo, do wązkiego oszyjka lasu pomiędzy dwoma polami, który łączył się u góry z puszczą. Las, do którego poprowadziłem moją sekcję, miał nie więcej długości nad parę morgów, a szerokości jakie sto kroków; był tylko bardzo gęstym. Zaledwo jednak uszliśmy kilkadziesiąt kroków, spostrzegliśmy pastucha, pasącego dworskie bydło. Takie spotkanie było nam bardzo nie na rękę, wypadało przeto przeczekać w ukryciu, nim stado usunie się na bok. Wybraliśmy duży wywrót, i na nim spokojnie rozlokowaliśmy się; a ponieważ od północy nic nie jedliśmy, postanowiliśmy skorzystać z przystanku i na poczekaniu coś przekąsić, bo już nogi odmawiały dalej na czczo służyć.

Jeszcześmy nie dokończyli naszej pustelniczej uczty, gdy usłyszeliśmy na drodze, zkąd przyszliśmy, wielki turkot wozów. Zaraz domyśleliśmy się, że to muszą być kochani Moskale. Przeto nie

tracąc czasu, chyłkiem podeszliśmy na brzeg lasu i zobaczyliśmy istotnie złażących z furmanek żołdaków moskiewskich. Moskwy przed nami była cała kompanja, która zaraz po zlezieniu zaczęła szykować się na polu plecyma do nas. Ucieszyłem się niezmiernie, widząc że moja rachuba tak dobrze sprawdziła się. Złudzenie to jednak nie długo trwało, bo Moskale, jakby za podszeptem jakiego biesa, zrobili zmianę frontu w tył i odwrócili do nas swe milutkie twarzyczki, a łańcuch tyraljerów rozwinął się tuż przed samym naszym nosem.

Jak łatwo zrozumieć, po tym figlu losu, ani chwili nie mieliśmy do stracenia. Już nie zważaliśmy na bydło pasące się, lecz spiesznie posunęliśmy w stronę przeciwległego pola.

Lecz jakież było nasze zdumienie, gdyśmy i z tamtej strony ujrzeli Moskali, stojących na końcu oszyjka, to jest tam, gdzie ten się stykał z puszczą. Była to widocznie zasadzka. Moskwa chciała prawdziwe polowanie urządzić na nas, a kozaczyska na swych szkapach jak charty sunęły się po polu, by uniemożebnić wszelki ratunek pojedyńczym ludziom.

Na widok tego wszystkiego, jak oparzeni skoczyliśmy na środek lasu.

Moi młodzieńcy, widząc przed sobą śmierć nieochybną, zwrócili się do mnie, pytając, czy w razie ostatecznym, t. j. jeźli będziemy otoczeni, czy i wtedy będziemy bili się? Serdeczny żal zrobił mi się tych poczciwych chłopców i momentalnie decydujące słowo ołowiem zawisło na moich ustach;

lecz głos obowiązku natychmiast wyrwał mię z pod tego wrażenia, i stanowczo odpowiedziałem: że będziemy bić się do ostatniego. Za argument przekonywujący podałem, że przecie wyszliśmy na to, aby zginąć lub zwyciężyć; jeźli więc nam to ostatnie nie udaje się, to od pierwszego nie wolno nam uchylać się i powinniśmy poddać się losowi, ponieważ dobro sprawy tego po nas wymaga. Słowa moje, jako wypływające z głębokiego przekonania, natychmiast swój wpływ zbawienny wywarły, a pożądany w ostatecznem niebezpieczeństwie spokój, znowu na wszystkich twarzach osiadł.

Sam nie umiałem dobrze orjentować się w lesie, tymczasem trzeba było iść niemal z matematyczną precyzją; obrałem tedy na przewodnika tęgiego i zacnego D., który jak wilk nauczył się chodzić po lesie.

Coś jednak sprzysięgło się przeciwko nam, bo zaledwo uszliśmy kilkadziesiąt kroków, gdy mój poczciwy przewodnik stanął jak wryty, przyznając się, że stracił kierunek i nie wie z pewnością, czy naprzód, albo w tył posuwamy się. Tego tylko brakowało, a tu Moskwa przeciągnęła łańcuch tyraljerów przez lasek, od pola do pola i przetrząsała tuż na piętach naszych krzak po krzaku. Podskoczyłem jak zwierz raniony, a ująwszy gwałtownie za ramię D., wstrząsnąłem nim, jakby cucąc go ze snu, i szybko wydałem rozkaz: — prowadź naprzód! Było to nieco po mikołajowsku, lecz mój poczciwy przewodnik, jakbym wiadro zimnej wody na niego wylał, otrzeźwiał od razu i

żwawo istotnie poprowadził naprzód. Magiczna siła wola okazała się dotykalnie w moim postępku.

Lecz nie dosyć było tego, bo zaledwie kilkanaście kroków uszliśmy naprzód, gdy tuż przy nas coś zaszeleściało w krzaku. Szelest ten pochodził od czającego się człowieka; wpadliśmy na domysł, że to być może szpieg, wysłany do środka lasu, jak to Moskale zwykli byli czynić, używając do tego chłopów miejscowych; rzuciliśmy się za nim, lecz nikogo nie znaleźliśmy.

Bystro mknęliśmy w stronę fatalnej mety, nie spotykając nikogo. Tylko trąbka moskiewska raz wraz dodawała animuszu strudzonym nogom. Nareszcie ujrzeliśmy, z gęszczaru grobelkę, która, odcinając nas od wielkiego lasu, łączyła zarazem obydwa pola. Las o kilkadziesiąt kroków był zupełnie rzadki; gdzie niegdzie na suchym mchu, pokrytym bagnem i pianemi jagodami, siedziały cieniutkie brzozki, nie grubsze od tych, któremi ubierają mieszkanie na Zielone Święta; od pól tylko zasłaniał nas nieco gęstszy zarost.

Widziałem, że mamy tu przechodzić po ostrzu brzytwy — jeden człowiek mógłby przecisnąć się przez tę sieć, lecz kilku za nic zrobić tego nie potrafi. Wpadłem na oryginalną myśl, dla zaradzenia temu: oto kazałem wszystkim sześciu żołnierzom otoczyć mię dokoła i trzymać za połę jeden drugiego. Skutki mego humorystycznego szyku natychmiast okazały się. Bo zaledwo kilka kroków tak uszykowani zrobiliśmy, gdy naraz o kroków kilkadziesiąt w boku, na drodze, ukazali się kozacy

z pola. Był to patrol, czatujący na nas na grobli, jak inne snuły się naokoło lasu.

Na wymówione półgłosem: kozacy! wszyscy niby jeden człowiek padliśmy w zielsko pod nogami. Byliśmy wtedy nie dalej od drogi, jak o jakie 20 lub 30 kroków, i drzewa nic zgoła nie mogły nas zasłaniać przed wzrokiem tych rabusiów; to też jeźliby choć jeden z pośród nas spóźnił się był z upadnięciem, jedno okamgnienie, a byłoby już po nas. Do tego na szczęście las szumiał, tak, że patrolujący nie mogli słyszeć szelestu od padnięcia.

Kozacy raz wraz, podnosząc się na strzemionach, zapuszczali wystraszony krogulczy wzrok w gęsty las, albo strzygąc uszami jak psy, przysłuchiwali się temu, co z niego wydobywało się; lecz wcale nie zwracali uwagi na to, co tuż pod ich nogami działo się. Szkapy ich jak i ich panowie, tak samo ostrożnie stąpały, był to rodzaj nowożytnych centaurów, na służbie białego cara, których sąsiedztwo tém obrzydliwszem było dla nas.

W ciągu tej krytycznej chwili miałem broń mocno przyciśniętą do boku a zamiast wszelkich innych rozmyślań, liczyłem ciągle w pamięci, chcąc przez to przypuszczalnie przynajmniej dowiedzieć się, jak daleko za nami postępuje obława. Na szczęście nasze, zaledwo naliczyłem do kilkudziesięciu, a już ostatni ogon kozacki zniknął. Piechota za nami musiała iść o jakie paręset kroków, przeto zabłysła nam nadzieja, że cało ujdziemy pościgu.

Rzuciliśmy się biegiem naprzód, całkiem skuleni do ziemi i jednym susem przeskoczyliśmy fatalną grobelkę. Gęsty jodłowy las wkrótce nas ukrył w swojem łonie i zakrył zupełnie przed okiem wrogów. Rozkosznie wtedy westchnęliśmy, spoglądając radośnie jeden na drugiego, ponieważ byliśmy panami tutaj — matka puszcza otwarła przed nami swe szerokie ramiona.

Zapewne im więcej jest takich chwil w życiu człowieka, tem duch jego coraz potężnieje i przychodzi do samowiedzy o swem pochodzeniu wyższem. Nie w czem innem musi leżeć cały urok, który stawi w oczach mas wyżej ludzi miecza, jako takich, którzy oddają się cichej acz korzystnej organicznej pracy lub nauce. Kto w hazard gra życiem swojem, ten musi chociażby instynktowo przeczuwać, że zwierzęce nasze istnienie jest środkiem tylko lecz wcale nie celem.

Trzymając się ściśle raz obranego planu na naradzie rannej, zaczęliśmy od razu zmierzać ku punktowi zbornemu i dla tego posuwając się powoli brzegiem lasu, dostaliśmy się w łozy, do których z rana podążaliśmy. Szczęściem w lesie nikogo nie spotkaliśmy, bo postrach przed Moskalami wygnał wszelką ludzką istotę na pole. Każdy chłop tak dobrze bał się Moskali w lesie, jakby istotnie do czegokolwiek należał; bo jeźli przypadkiem tam dostał się w łapy sołdatów, to nim formalna indagacja przed oficerem nastąpiła, ci pierwsi, dla wymożenia na nim niby prawdziwego zeznania, tak go natłukli, nakułakowali i szturchańcami nakar-

mili, że wydobywał się z tych niedźwiedzich uścisków nie inaczej, jak cały od głów do stóp sińcami pokryty.

W łozach wybraliśmy kępę nieco odleglejszą od brzegu, na której jak w najpyszniejszym salonie spoczęliśmy.

Dopóki niebezpieczeństwo nie minęło, trzymałem się jako tako, lecz po przejściu jego siły całkiem mnie opuściły. Wody mieliśmy na około po kolana, a ztąd bezpieczeństwo, że śladu naszego nie odkryją i nikt na niepewne nie zechce zapuszczać się w nasze zarośle. Było to najpotrzebniejsze, bo spokój po wyczerpaniu się sił był nieodbicie potrzebnym.

Tak przesiedzieliśmy do zachodu słońca, przysłuchując się ciągle trąbkom moskiewskim. Po południu usłyszeliśmy gdzieś daleko od nas krótką, lecz gęstą palbę, zkąd przypuszczaliśmy, że któraś z naszych szóstek dostała się w pazury najezdnika; serce ścisnęło się na wspomnienie o losie biednych kolegów. Później jednak pokazało się, że to Moskale dla popłochu po sosnach strzelali i dla tego, aby módz napisać fałszywy buletyn o całkowitem rozbiciu „szajki miateżników“, tj. bandy buntowników. Kłamstwo tak zrosło się z naturą Moskala, że bez niego kroku jednego nie umie zrobić.

W spokoju przesiedzieliśmy na wodzie do zachodu słońca; a gdy już całkiem zaszło, zbliżyliśmy się na brzeg naszej opiekunki łozy i zaczęliśmy uważnie przypatrywać się temu, co naokoło nas działo się.

Przed bramą dworską stała spokojnie wideta moskiewska, a kilku robotników, przy których był żyd arendarz, zabierało resztę snopków na fury. Czekaliśmy nim całkiem ściemnieje. A gdy wokoło nic nie było słychać, powoli, jak wilki zaczęliśmy wynosić się z naszej łozy, w kierunku owego znakomitego pływającego mostu, który z rana przechodziliśmy. Po przeprawieniu się, gdzie nam groziło największe niebezpieczeństwo, skręciliśmy w prawo na wygon i w poprzek niego podążaliśmy na drogę do T.

Lecz w chwili, gdyśmy się do niej zbliżyli, o jakie kroków kilkadziesiąt, posłyszeliśmy turkot wozu i kłusujących konnych ludzi. Byli to kozacy, eskortujący bryczkę jakąś.

Nauczeni rannem doświadczeniem, padliśmy znowu plackiem i nie ruszaliśmy się dotąd, dopóki ta szarańcza nie minęła nas. Szczęście nasze, że księżyc nie świecił, bo na równem i twardem miejscu źleby z nami było. Gdy turkot całkiem znikł w ciemnościach nocy, wybraliśmy się na drogę, po której ostrożnie zaczęliśmy posuwać się w naszą stronę.

Mieliśmy mil ze trzy do zrobienia przed sobą, lecz marsz ten dla nas był zabawką, po naszych codziennych spacerach leśnych. Szliśmy tak szybko, że zaledwie północ minęła, a już przebyliśmy niemal całą metę i nie dochodząc wsi, skręciliśmy z drogi w lewo do lasku, wązko ciągnącego się przy sznurach chłopskich. Ozimina i gryka nie-

zżęta, skały na straży wokoło naszego lasu; one nam gwarantowały, że nas nikt z rana nie najdzie.

Noc tę jak bobaki przespaliśmy pod jakimś gościnnym wywrotem, który nas od pola zasłaniał. Zaledwie brzask zajmować się zaczął, gdy zbudziliśmy się, słysząc niedaleko głosy po ciemku. Byli to chłopi, wychodzący już na robotę. Zerwawszy się tedy żwawo z twardego posłania, ruszyliśmy ostrożnie lasem, aż dopadliśmy znowu puszczy, po której już bezpiecznie przez cały dzień szliśmy, nikogo nie spotykając. Na ostatku dotarliśmy naszego domu, niedźwiedziego ostępu; zkąd przez błota dostaliśmy się do naszej organizacji chłopskiej, która nam wszystkiego dostarczyła.

W niespełna dwa dni zebrała się i reszta oddziału, prócz trzech, z których dwaj dostali się z boju do niewoli, a jednego wzięli Moskale wycieńczonego z sił. Na dwóch pierwszych, którzy odbili się od swej szóstki samowolnie, naprowadził leśnik Moskali, w chwili, gdy ci po dwudniowej obławie na nich zasiedli przy polu, dla spożycia niejakiego posiłku. Moskwa porwała za to na Sybir sąsiedniego leśnika najniewinniej. Zaskoczeni z nienacka, obaj zostali podług zwyczaju moskiewskiego zbici i poranieni, chociaż najmniejszego oporu nie stawili.

Znajdował się przy nich i trzeci, chłopak zaściankowy, który nie dał się wziąć, powaliwszy z dwóch luf dwóch Moskali. Dziarski ten chłopak pomimo ognia całej kompanii, wyszedł caluśki, tylko z czapką przestrzeloną. Na drugi dzień in-

stynktem wynalazł nas i został powitany jako bohater dnia. Było to najskromniejsze, najcichsze i szczególniej pobożne dziecko w całym oddziale.

Taki rezultat miała nasza ekspedycja pod Szack, która była ostatnią w ruchach wojennych oddziału powiatu Mińskiego, w r. 1863. Nie jest on świetnym wprawdzie, lecz dla mnie będzie na zawsze pamiętnym. Przez dwa lata śniła mi się ciągle ta wyprawa i każdego razu, gdy sen ten miewałem, budziłem się, pod wrażeniem niemiłego jakiegoś uczucia. Czas złagodził to wszystko, i dzisiaj jest ono jednem z najmilszych, jakie wyniosłem z powstania.

PAMIĘTNIK
Z AUGUSTOWSKIEGO
1863 r.

PAMIĘTNIK
Z AUGUSTOWSKIEGO
1863 r.

Rafała Błońskiego.

I.

Organizacja w województwie Augustowskiem.

W połowie lipca 1862 r. otrzymałem z poczty pakiet adresowany do mnie, mieszczący w sobie dwie drukowane odezwy i przy nich kartkę napisaną w tych słowach: „Komitet Centralny prosi o rozpowszechnienie załączonych odezw“. Niewiedząc jeszcze, że istnieje Komitet, jak również niedomyślając się z czyjej porady zwrócił się z swém poruczeniem do mnie, kilka tygodni spędziłem na daremnem tych tajemnic dochodzeniu. A gdy przez ten czas żadnej więcej z Warszawy korrespondencji nie otrzymywałem i obok tego od powracających ze stolicy osób nic objaśniającego mnie dowiedzieć się nie mogłem, naglony coraz bardziej wzmagającą

się ciekawością w dociekaniu tej miłej i interesującej niespodzianki, puściłem się w podróż szukać tych, co mnie w swej pamięci znaleźli i starać się o dokładne jej rozjaśnienie.

Przybywszy do Warszawy, udałem się do S..... towarzysza mego z Syberji, a oznajmiwszy mu cel mego przybycia, dowiedziałem się, że rzeczywiście od niedawnego czasu istnieje Komitet i że odezwy, jakie otrzymałem, przysłane mi były nie od Komitetu, lecz od stronnictwa Mierosławskiego, z którym Komitet Centralny Narodowy nie tylko, że nie miał nic wspólnego, ale nadto konspiracje jego ajentów uważał za przeciwne swym zasadom i dążeniom.

Przepędziwszy godzin kilka na rozważaniu wzrastającego w owych czasach ruchu, jak również i na wspomnieniach wspólnej nam przeszłości, wieczorem wyszliśmy na miasto. S..... poprowadził mnie na Trębacką ulicę do Bawarji [1]), gdzie zastaliśmy kolegów naszych także Syberyjczyków, D..... i Konstantego Szaniawskiego, których tu dopiero po raz pierwszy po powrocie z Syberji spotkałem. Przejęci wzajemną przyjemnością widzenia się z sobą, radzi byliśmy, iż zamiar powtórnego wystąpienia w sprawie ojczystej znów miał nas z sobą połączyć. Tu oni wzajemnie udzielali sobie z ubiegłego dnia wiadomości i mówili mi, iż najczęściej dla porozumienia się z sobą zbierają się wieczorami w tym pokoju. Szaniawski kwaterował w tym sa-

[1]) W Warszawie piwiarnie, w których sprzedają bawarskie piwo, zowią bawaryami.

mym domu na pierwszem piątrze nad bawarją. Pomieszkanie to zupełnie odpowiadało owoczesnym warunkom bezpieczeństwa; schodzący się bowiem do niego jako do Naczelnika Wydziałowego Warszawy [1]) podwładni z sprawozdaniem lub też po nowe rozkazy, przez codzienne bywanie nie ściągali na siebie i na niego podejrzenia moskiewskiej policji, która do czasu wcale nie zwracała uwagi na liczny szereg snujących się cywilnych i wojskowych osób, sądząc, iż się to wszystko schodzi do publicznego miejsca na śniadanie lub wieczorne rozrywki.

Wkrótce po naszem przyjściu, dość znaczna ilość osób napełniła pokój. Wielu z wchodzących lekkim ukłonem witało mych towarzyszów, a wprowadzeni przez niektóre osoby nowoprzyjęci do organizacji, jak się tego koledzy moi domyślali, przypatrywali się tym, których zastali, tak również jak i ja obserwowałem przychodniów. O nazwiska nie pozwolono mi się pytać — między sobą zaś wspominali zamiast imion przezwiska: Biały, Ślepy, Długi, pan B. i t. d. Wszedł też do tego zebrania lat 17tu młodzieniec, a zbliżywszy się do Szaniawskiego, dość długo z cicha z nim rozmawiał i odszedł. Zapytałem się: „kto jest ten, co ci coś z takiem zajęciem opowiadał?“ Jest to mój służbowy urzędnik Akademik, — mówił mi właśnie, że jeden z mego wydziału ma być jutro powołanym do cytadeli. — Zapewne kazałeś uciekać. —

[1]) Na czele organizacji Warszawy stał Naczelnik Miasta i rada złożona z Naczelników Wydziałowych.

Nie, bo go nie będą aresztować, tylko wezwą na świadectwo, więc dałem instrukcją, jakie ma podyktować zeznanie. — Czyż wiesz w czyjej sprawie ma stawać? — Wiem nawet o co go pytać będą.

Po kilku godzinach gawędy poszliśmy każdy do siebie, a przed rozejściem się S..... przyrzekł skomunikować mnie dnia następnego z Komitetem Centralnym Narodowym. Jakoż nazajutrz rano przyszedł do mnie do hotelu i poprowadził mnie znów na Trębacką ulicę, do domu, gdzie mieszkał Agaton Giller, także Syberyjczyk a z którym on przed przyjściem do mnie już się porozumiał. Wszedłszy w dziedziniec pokazał mi wejście do niego i sam odszedł.

A. Gillera zastałem przy pilnem zajęciu. Redagował on pismo ludowe „Czytelnię Niedzielną“ najpopularniejsze i najbardziej rozszerzone, tak dalece, że miało nawet swoich prenumeratorów między żołnierzami w pułkach moskiewskich. Przedstawiłem mu rzecz dla której przyjechałem. On zaś bez wdawania się w długie a w uboczne rozmowy, upoważnił mnie do przygotowawczych działań — dając mi zupełną wolność przeprowadzenia organizacji w mojej okolicy w zastosowaniu do okoliczności i usposobienia ogółu, wśród którego się znajdowałem. Ograniczywszy się na krótkiem pomówieniu o naturze organizacji dodał: iż wydane mi będą kwity na zbieranie podatku i że na Głównego Ajenta Komitetu w Augustowskiem czyli Komissarza jest już zanominowanym Józef Piotrowski, który wkrótce zgłosi się do mnie. Pożegnałem go i wró-

ciłem do hotelu, gdzie pod wpływem wrażeń, jakie zrobiły na mnie owoczesne dzieje Warszawy, dzień ten w osamotnieniu spędziłem. Zatrzymawszy się jeszcze na dni kilka, nie opuszczałem wieczornych schadzek z mymi kolegami. Każdą spędzoną w towarzystwie ich chwilę z przyjemnością obecnie wspominam. To, co się wówczas działo w Warszawie, zapewne że nigdy i nigdzie już się nie powtórzy. Zewnętrzna postać miasta nosiła na sobie cechę jakiejś uroczej tajemniczości a wysilenia nieprzyjaciół na starganie ogniw łączących rozbudzone uczucia patrjotyzmu, rozbijały się o hart heroicznej wytrwałości i ogólnej stanowczej determinacji.

Przy pożegnaniu się z kolegami otrzymałem od K. D..... kwity podatkowe i kilka numerów „Strażnicy“ [1]). W przejeździe przez Rajgród zawezwałem do siebie na pocztę tamecznego urzędnika M. B..... Znając go z dobrej strony, objawiłem mu zamiar przyjęcia go do organizacji i poruczenia mu przeprowadzenia jej w powiecie Augustowskim, na co on bez namysłu się zgodził; a przyjąwszy odemnie ustne informacje i część kwitów, zobowiązał

[1]) „Strażnica“ było to pierwsze tajemne periodyczne pismo w Warszawie, szczotką odbijane, które zaczęło wychodzić w lipcu 1861 r. a upadło po wybuchu powstania 1863 r. Głównym współpracownikiem „Strażnicy“ był Agaton Giller. „Strażnica“ używała wielkiego rozgłosu i wywierała wielki wpływ na umysły. Redagowaną była rozważnie i w kierunku umiarkowanym ale stanowczo przeciwnym Moskalom. Drukarzem jej był Józef Szumański, zecer, dzielnej duszy młodzieniec. Z ran odniesionych w bitwie pod Budą Zaborowską umarł w Warszawie 19 marca 1863 r.

się wypełniać to wszystko, co mu zleconem będzie — przedewszystkiem zaś, stosownie do mego żądania, przyrzekł przystąpić do śpiesznego zboru pieniędzy.

Gdym przybył na miejsce mojego zamieszkania, postanowiłem najprzód gruntownie wyrozumieć włościan, których duch obojętności i niedowierzania w czasach manifestacji zbyt silnie się uwydatnił. Z kilkoma więc odznaczającymi się wśród swoich współrolników w dobrach narodowych zamożnością i wzięciem, wszedłem w stosunki — a badając ich moralną stronę, wykryłem to, czego po części spodziewać się należało. Patrjotyzm w zupełnem okazał się uśpieniu, który naturalnie skutkiem nieustannej czujności przez tak długie lata władz i szpiegów moskiewskich, nie mógł być w żaden sposób wśród nich rozwijany. Religja jedna silnie będąc wrażoną w ich dusze, utrzymywała ich w karbach moralnego życia, rodziła dobroduszność i sumienną uczciwość. Ztąd duchowieństwo nasze wysokiego używało u włościan poważania, a władza jego moralna była wielką — przykład zaprowadzenia wstrzemięźliwości jest dostatecznym tego dowodem. To więc jedyne uczucie stawało się pewną rękojmią do spożytkowania na rzecz Ojczyzny lecz za pośrednictwem tylko Księży, tej wielkiej i jedynej siły, jaką nasz lud w sprawie wyswobodzenia stanowił. Obok takiego moralnego usposobienia, również wybitnie cechują tamtejszych wieśniaków względy na środki posługujące wzrostowi dobrobytu, do którego, jak wiadomo, rząd moskiewski

znosząc przed trzydziestu laty w dobrach narodowych pańszczyznę, nie mało się przyczynił, — zamożność włościan została podniesioną, a tworząca ją przyczyna pozostała w ich pamięci, lecz nie na korzyść naszą. Zastanawiałem się więc nad tem, jakie ulepszenia dałyby się jeszcze zaprowadzić i korzystnie oddziałać na ich usposobienie. Widując się z nimi dość często, przedstawiałem zamiary odzyskania niepodległości i politycznego bytu Polski. Jeden z tych włościan wyjawił swoje obawy i odezwał się: „Kiedy będzie Rząd polski, to może sól podrożeje a może i pańszczyzna wróci?“ — „Pańszczyzna nigdy nie wróci, teraz panowie sami się jej wyrzekają, a sól jak się wam zdaje dla czego może być droższa?“ — „A jużci jak granica będzie pod Kownem, to ztamtąd trudno będzie ją sprowadzać.“ — „Któż to wam powiedział, że granica będzie pod Kownem, kiedy Kowno, Wilno i Kijów nawet, co tak daleko, należał do Polski; to wszystko Litwa i Ruś, co już 500 lat jak się połączyło z Polską — i wszystko to polskie pod jednym królem było i da Bóg będzie. O to się teraz staramy, więc sól nietylko że nie będzie droższą, ale Rząd polski to zrobi, że będzie tańszą, bo będzie pod swoim a nie moskiewskim kluczem. A prócz tego wy wiecie, co jeszcze będzie? oto to, że będziecie mogli siać tytuń, już bowiem strażników nie będzie. Do wojska jak wezmą, to tylko na pięć lat a służyć się będzie nie na końcu świata, lecz u siebie w kraju i żołnierz będzie mógł zostać oficerem — a płacić żołnierzom będą dobrze i ży-

wność dadzą nie taką jak u Moskali — odziewać będą pięknie, a zobaczywszy świat i otarłszy się o ludzi, wróci do domu żołnierz młodym i może się ożenić i gospodarzyć. Do szkół i do akademji będą przyjmować darmo a pewnie jeszcze i podatki zmniejszą, — tak będzie jak się pozbędziemy Moskali."

Z uśmiechem zadowolnienia, lecz zarazem i z niedowierzaniem przyjęli oni odemnie te obietnice, które o ile mi się zdawało, z nastąpieniem upragnionej zmiany politycznego położenia kraju urzeczywistniłyby się niezawodnie.

Chcąc jednakże wzbudzić w nich wiarę w pewność osiągnięcia tych reform, zwróciłem się z żądaniem do Księży, aby je powtarzali i starali się z swej strony poręczać i zapewniać, iż swój własny Rząd, po tylu dotkliwych przejściach i klęskach, bez wątpienia czynić będzie to wszystko, coby się mogło przyczynić do zwiększenia zamożności i ścisłego połączenia stanów, utrzymywania ich w zadowolnieniu i zgodzie kojarzącej jedność, tę główną rękojmię ogólnego szczęścia i potęgi narodu. Oprócz zaś tego poparcia, postanowiłem przedłożyć Komitetowi Centralnemu, aby w myśl przyrzeczonych przezemnie ulepszeń, zechciał ogłosić przez cyrkularz to, co prawdopodobnie włościanie w przyszłości będą mogli pozyskać. W tym celu w miesiąc po powrocie znów udałem się do Warszawy, a przedstawiwszy kwestją tę Gillerowi, otrzymałem przyrzeczenie, iż wkrótce Komitet Centralny zgodnie z mojem żądaniem ogłosi szczegóły reformy eko-

nomicznej, odnoszące się do dobrobytu włościan, co też po upływie niespełna dwóch tygodni nastąpiło.

Giller korzystając z sposobności widzenia się ze mną, zapytał mnie, komuby można z obywateli ziemskich w powiecie Kalwaryjskim poruczyć obowiązek Naczelnika powiatu, aby za pośrednictwem osoby na ten urząd przeznaczonej, oddziaływać na szlachtę ulegającą wpływom Wielopolskiego. Wskazałem pana N. N. a na pomocnika jego pana X. X.

Na drugi dzień doręczono mi dla obydwóch nominacje.

Po powrocie moim z Warszawy wkrótce przybył do mnie komissarz wojewódzki Rządu Narodowego Piotrowski pod przybranem nazwiskiem Józefowicza. Przyjął odemnie ustne sprawozdanie o stanie początkowych działań moich, a nie mając nic do dodania, oświadczył mi, że obecnie finansowe położenie Komitetu Centralnego Narodowego jest nader kłopotliwe, gdyż fundusze jakiemi rozporządza nie odpowiadają nawet potrzebom miejscowych, niezbędnych wydatków, a w niezbyt odległej przyszłości wypadnie zakupywać broń. Ze względu przeto na tak naglące potrzeby, mamy obowiązek wszelkich dokładać starań, aby klassa zamożna uznała Komitet Centralny za swój rząd, weszła w organizacją narodową i usiłowania nasze wsparła ofiarami.

Niewchodząc dotąd w żadne stosunki ze szlachtą folwarkową, nie byłem w możności nic jeszcze stanowczo objaśniającego o jej przekonaniach powie-

dzieć. Pan N. N. przyjął nominacją i przyrzekł sumiennie wywiązywać się z włożonego na siebie obowiązku, lecz zarazem nie taił, iż wątpi o skuteczności swéj missji. Pan Q..... jako jeden z najmajętniejszych w województwie Augustowskiem i zarazem najpraktyczniejszy w publicznem życiu, stał na czele obywateli wraz z bratem swoim. Obadwa oni w owym czasie ustawicznemu oddani byli zajęciu, pracując w organizacji białej nad politycznemi sprawami kraju. Brat p. Q. bawił w Warszawie a on sam najczęściej pozostając w domu, komunikował się z bratem i okoliczną szlachtą. Nie mogłem więc lepszej udzielić Piotrowskiemu rady nad tę, aby się udał do niego i z nim jednym najprzód wszedł w porozumienie. Jeżeliby on dał się przekonać, że ta jedynie droga jakiej się trzyma Komitet Centralny doprowadzić może do pomyślnego rozwiązania sprawy i zasady jego uznał za dobre, w takim razie cały ogół obywateli ziemskich przyjmie organizacją narodową i wszelkie środki do zaspokojenia potrzeb narodowych, będące w ręku Dyrekcji stronnictwa umiarkowanych, przejdą w rozporządzenie Komitetu Centralnego Narodowego. Piotrowski usłuchał mnie i tegoż dnia pojechał do pana Q...., bawił tam prawie cały dzień, i jak mi po powrocie mówił, że po dokładnem wyjaśnieniu zasad rozdzielających dwa stronnictwa i po przekonaniu go o trafności zamiarów Komitetu Centralnego tyle umiał dokazać, iż pan Q. oświadczył się z gotowością zasilenia stronnictwa czynu odpowiednim funduszem. Lecz że sam bez porozumienia

się z Dyrekcją w Warszawie [1]) zrobić tego nie mógł, przeto prosił Piotrowskiego, aby się zaraz udał do Warszawy, dokąd i on nazajutrz był przygotowany wyjechać a o ile mu się zdaje, starania, jakie w tym względzie czynić przyrzeka, nie będą daremne.

Po takiem znalezieniu się pana Q. należało wnosić i to na pewne, że naprawiwszy swe wyobrażenie o wartości zasad Komitetu Narodowego Centralnego, a obok tego używając powagi z wyższego poglądu na rzeczy nawet u znanych mniej więcej członków Dyrekcji, rozbroi upór tego spokojnego zgromadzenia i jeżeli nie połączy szlachtę ze stronnictwem ruchu, to przynajmniej wymoże na Dyrekcji znaczną jaką summę dla zasiłku kassy Komitetu Centralnego i powstrzyma ją od antagonizmu, jakim ajenci jej paraliżowali usiłowania stronnictwa czynu na prowincji.

Odjechał Piotrowski do Warszawy, a ja niezależnie od spodziewanego rezultatu rozpoczętych porozumień, próbowałem w kilku miejscach zebrać składkę na wydane mi z Komitetu Centralnego kwity, lecz każda osoba, do której się zgłaszałem, odmowną dała mi odpowiedź, tłumacząc się, iż podatek narodowy jest już wniesiony do kassy obywatelskiej przez Dyrekcją ustanowionej, pozostali mi więc tylko biedni włościanie, wójci, burmistrze i księża — i ci nie wymawiali się od ofiary, każdy w miarę swej możności. Szczupły to był fundusz,

[1]) Dyrekcją stronnictwa białych przeciwnicy przezwali Kapitułą.

gdyż miasta powiatowe, gdzie przeciwne stronnictwo zawczasu nas uprzedziło swą agitacją, w składce tej udziału nie miały. Do tego nadesłał pan M. B. z Rajgroda sto kilkanaście rubli, które udało mu się zebrać od obywateli nieco oddalonych od oka ludzi, pilnie strzegących wytrwałości swoich współbraci na drodze mniemanego umiarkowania. I na tem się zakończyła moja prawie nic nie znacząca w porównaniu z założeniem operacja pieniężna na pierwszą serję otrzymanych z Komitetu Centralnego kwitów.

W liczbie nadesłanych do mnie korrespondencyj z Warszawy już po odjeździe Piotrowskiego, otrzymałem Nr. 1 „Głosu kapłana polskiego“ [1]). Zaniosłem pismo to do znanych mi księży; zaciekawieni, czytali ten nowy w duchu religijno-patrjotycznym pożądany organ; lecz zauważałem, że po przeczytaniu niemiłe on zrobił na nich wrażenie.

Ksiądz L. wyraźnie mi oświadczył, iż podobnej treści publikacje nie zachęcą księży do uznania Komitetu Centralnego; — chociaż być może, że Komitet nic ma nic wspólnego z redaktorami tego pisma, jednak samo tolerowanie ukrytej w niem myśli, rzucać będzie podejrzenie na wspólność naganncj dążności, nigdy nie mogącej się urzeczywistnić jako nieodpowiedniej usposobieniu tak duchowieństwa jak i narodu. Wskazał mi miejsca niestósownych w tem piśmie wyrażeń, które na pierw-

[1]) Był to organ duchowieństwa, które popierało ruch narodowy. Wydawcą „Głosu kapłana“ był ksiądz Karol Mikoszewski, redaktorem zaś ksiądz Y. Y.

szy rzut oka, pobieżnie czytając, nie zdawały się mi tyle mieścić w sobie niedorzeczności, ile po rozważnym przeglądzie rzeczywiście się okazało. Z mej strony zapewniałem o dobrej względem Kościoła myśli Komitetu Centralnego i bezpiecznie mogłem zapewnić, bo główna osoba w Komitecie była mi znaną. Pomimo tego jednakże radzono mi, abym pomyślał o sposobie zapobiegającym nadal podobnym objawom dla oddalenia szkodliwych ztąd dla sprawy następstw. Słuszność tych uwag zniewoliła mnie bez straty czasu jechać do Warszawy, — zakomunikowałem je Komitetowi Centralnemu i otrzymałem przyrzeczenie, że publikacja zasad nieuznanych przez kościół nie będzie dopuszczona w „Głosie kapłana".

Korzystając z tej sposobności odszukałem Piotrowskiego, aby się dowiedzieć o skutku zapewnień pana Q... Skłopotany Piotrowski trzy dni z rzędu konferował w Warszawie z panem Q...., lecz cały ten zachód w końcu okazał się bezowocnym, — nie mógł bowiem p. Q... nic wymódz na Dyrekcji, bo ta już była gotową wejść w zupełną zależność od Wielopolskiego, którego w dodatku najgorliwszym stronnikiem stał się brat jego. Jedyna więc wówczas nadzieja pokrzepienia sił finansowych Komitetu Centralnego Narodowego upadła.

Prosił mnie Piotrowski, abym się nie spieszył z odjazdem. Przepędziłem więc dni kilka z towarzyszami, którzy dotąd jeszcze nie spłoszeni, nawiedzali wieczorami bawarją na Trębackiej ulicy — zawsze czynni i zadowolnieni z skuteczności swej

pracy, w miarę możności dzielili się ze mną wiadomościami, na jakich w owych czasach w Warszawie nie zbywało. Piotrowski dał mi nominacją Komitetu Centralnego Narodowego, którą przeznaczony zostałem na pomocnika Komissarza województwa i na okręgowego wiłkowyszskiego; przyrzekł wkrótce odwiedzić mnie — i z tem odjechałem do domu.

Po powrocie moim, najprzód uspokoiwszy ostatecznie księży w duchu poprzednio czynionych im zapewnień, wyłącznie potem poświęciłem się szerzeniu wśród włościan przychylności dla sprawy. Każdego, kto tylko stykał się z nimi a posiadał u nich jakiekolwiek zaufanie, szczególnie wójtów, ekonomów, pisarzy, komorników i sekwestratorów starałem się zobowiązać, aby jedne i też same głosili im prerogatywy, ulgi i ulepszenia, jakie ich czekają w oswobodzonej Ojczyznie. Agitacja ta a głównie wpływ duchowieństwa, jak się to później okaże, nadspodziewanie pomyślne wyrodziły skutki.

W miarę coraz więcej wzmagającej się popularności i władzy Komitetu Centralnego, który w odezwie 1 września 1862 oświadczył, iż uważa się za Rząd Narodowy i jako taki działać będzie, stronnictwo umiarkowanych krzątało się również, lecz tylko około własnego ocalenia. I nic dziwnego, że pretensje ogarnięcia massy nie mogły tam mieć miejsca, bo jakiemiż argumentami owi umiarkowani zdobywać mogli przekonania stojącej po za nią społeczności, uprzedzonej już przez ludzi czynu, jak o ich zasadach i widokach, tak o zasadach

i dążnościach Komitetu Centralnego Narodowego. Szlachta czyli umiarkowani twierdzili, iż Wielopolski pozyskawszy zupełne zaufanie cara, najkorzystniejsze przeprowadzi reformy, a będąc przez nich podtrzymywany i wyzyskując stopniowo na Moskalach ustępstwa, da przez czas swego zarządu sposobność oświecić lud i przygotowywać go do obywatelskiego życia, — a dopiero potem, kiedyś myśl o samobycie czyli niepodległości będą mogli tanim kosztem wprowadzić w urzeczywistnienie.

Gdyby to odlegli jacy ludzie, tam gdzieś za morzem, na przeciwnym krańcu ziemi, politycznie wcale niekomunikujący się z Europą, świadomi tylko o naszem położeniu a nie znający systemu rządu moskiewskiego, na podobnych podstawach radzili nam opierać nasze nadzieje i przyszłość naszą, niktby się temu nie dziwił; lecz że to Polacy, co przeszedłszy tak długie próby ciężkich doświadczeń pod rządem znanym z swej przewrotności, zawsze zdradzani i oszukiwani bezczelnie, co w miejsce przywrócenia dawnych granic według przyrzeczenia Aleksandra I., w ostatku zuchwale wyzuci zostali z swych naturalnych praw — wreszcie stopniowo, lecz z pośpiechem niszczeni w narodowości, dziś odważyli się, nie już marzyć, lecz na pewne liczyć na jakieś stałe ustępstwa i w tem upatrywać rękojmię wyswobodzenia narodu, to jest niezmiernie dziwne i bolesne.

Nie widzę potrzeby przytaczać dawnych dowodów niesumienności moskiewskiej, o których każdy znający historją porozbiorową kraju wiedzieć mniej

więcej może; przypomnę tylko fakta z ostatnich lat kilku, jasno przekonywające o dalszym ciągu niezmienrie zgubnych względem nas zamiarów rządu moskiewskiego, otwierających na pozór z jednej strony pole do przypuszczeń osiągnięcia korzystnej zmiany w zarządzie, — z drugiej jednocześnie niszczących w skutku religijno-narodowe podstawy.

Po rewolucji 1830 roku jenerał Paskiewicz zostawszy wielkorządcą w Warszawie, w myśl carskiej woli wprowadził do zakładów naukowych język moskiewski, w zamiarze wyniszczenia mowy ojczystej. Dyrektor Komisji Spraw Wewnętrznych Szypow, szczególną odznaczał się gorliwością w dokonaniu tego dzieła. Lecz gdy kilkoletnie ich zabiegi nie w zupełności odpowiadały oczekiwaniom, ponieważ przy narzucaniu języka moskiewskiego, rodowity język polski z konieczności istniał jako urzędowy, sam car zajął się tą żywotną dla niego kwestją — zebrał radę państwa i każdemu z członków polecił, aby w obecności jego podawane były przez nich sposoby wyniszczenia mowy polskiej. Każdy więc co mu do głowy przyszło prawił; jeden tylko Mordwinow, prezes rady, cały czas na posiedzeniu milczał. Car go zapytał: „A wasze jakie jest zdanie?“ — „Ja najjaśniejszy panie uważam, że wykonanie tych wszystkich projektów, jakie tu słyszałem, nie zaspokoi życzeń waszej cesarskiej mości. Według mego zdania, jest jeden tylko sposób zmoskalenia Polaków“ (przestał mówić). — „Powiedzcie nam jaki?“ — „Wszystkim Polakom po-

wyrzynać języki.“ — Ponuro spojrzał się car, i na tem zakończyła się rada. [1])

Aleksander II. przyjmując tron, przyjął i zasadę polityki ułożonej przez swych przodków. Pamiętał jak o zamiarze ojca tak i o zdaniu Mordwinowa; widział zarazem, iż ostatnia część planu odnoszącego się do Polski przeszła dla wykonania w ręce jego. Podtrzymywany przez swe otoczenie zgubnemi dla nas radami, postanowił wywiązać się z swej barbarzyńskiej missji, lecz w sposób nie gwałtowny ale nieco zamglony udaną łagodnością i dwuznacznemi kombinacjami, z których nigdy nic innego nad zagładę narodowości i religji wytworzyć się nie mogło, — i tak:

1) Pozwolił na wykład języka polskiego w zabranych prowincjach, a jednocześnie w Kongresówce pod tytułem ojcowskiej o dobro poddanych troskliwości, zniósł zakłady naukowe żeńskie i w miejsce ich w każdej gubernji polecił ustanowić jedną tylko szkołę wyższą, w której miał być wykładany język moskiewski cztery godziny w tygodniu. Któżby mógł wątpić, że po latach kilku język ten stałby się wykładowym nawet i w nauce religji? Sposób więc przez Mordwinowa na żart wypowiedziany zostałby zwolna, nieznacznie lecz niewątpliwie według życzeń cara spełniony.

2) Rzadko która dyecezja pod koniec panowania Mikołaja miała biskupa; administratorowie rządzili kościołem. Aleksander na wszystkie dyecezje

[1]) Mordwinow po tem posiedzeniu we dwa tygodnie otrzymał dymisją.

przedstawić kazał kandydatów do Rzymu i w miejsce administratorów stanęli biskupi. Przy każdej swej bytności zwiedzał kościoły katolickie w Wilnie, Kownie i w Warszawie, — a jednak po tych już publicznych objawach swej przychylności dla katolicyzmu, w programie przez niego zatwierdzonym dla gubernjalnych szkół żeńskich wyznaczono na wykład religji tylko dwie godziny na tydzień, o połowę mniej jak na język moskiewski. Czyż z czasem, skoroby po rossyjsku uczono dzieci religji z książek przez rząd podsuniętych, nie wkradłaby się zmiana zbliżająca naukę tę do prawosławia? Przystęp zmienionej nauce ułatwiłyby ochmistrzynie, czuwające nad wychowaniem dziewcząt, z ramienia rządu przeznaczone i zaopatrzone w odpowiednie instrukcje, starając się wyzuwać z serca wychowanic uczucia w szkole domowej matek wpojone, nad czem znów pilnie czuwaliby zwierzchnicy rządowi, zapewne pułkownicy od huzarów, w tytuły kuratorów lub dyrektorów obleczeni. — Tak więc nowa generacja matek w tych warunkach wychowanych, sama już dalej pełniłaby missją niszczenia promiennych cnót polskiej niewieście właściwych, a ztąd płodną w następstwa odpowiednie zabójczym dążnościom naszych nieprzyjaciół.

Powiedzą zapewne stronnicy białej organizacji, że Wielopolski jako już samodzielny naczelnik rządu cywilnego przygotował bardzo wiele obiecującą reorganicją szkół, — a zatem i projekt zniesienia prywatnych i urzędowych zakładów żeńskich przez to samo by upadł; że oświata w ogólnem

znaczeniu zostałaby w duchu patrjotycznym rozszerzoną, — że samo przeznaczenie Wielopolskiego na cywilnego naczelnika rządu, było rękojmią zmiany pod każdym względem systemu dotąd istniejącego w rządzie; że wreszcie ustanowione zostały Rady powiatowe i gubernjalne. Lecz tu właśnie zachodzi pytanie, czy car dobrowolnie, z popędu przychylnych dla nas uczuć lub z poczucia sprawiedliwości wprowadzić dozwolił te reformy, czy też był zmuszonym do ich udzielenia? Rzecz jest jasna, że manifestacje nasze i przewidywane powstanie obok wpływu burzącego Hercena, ogarniającego całą Rossją, główną i jedyną były pobudką ulegania tej nadspodziewanie wynikłej konieczności. Wojsko moskiewskie w skutek kampanji krymskiej znacznie się zmniejszyło, znaczną część w skutek zubożenia skarbu uwolniono z szeregów, a poboru do wojska przez sześć lat nie było; słabe więc siły jakiemi car rozporządzał, w przewidywaniu u siebie rewolucji, stały na straży po całem imperjum, — a zatem w Polsce załoga wojskowa bardzo mało albo i wcale nie mogła być wzmocnioną. Ta więc przyczyna a nie co innego popchnęła Moskwę na drogę ustępstw. Naturalnie, że po minięciu krytycznego położenia, w jakiem się car znajdował, to co dał wydarłby niebawem z dodaniem obostrzeń i szedłby koleją, jaką założenie polityczne, o którem wyżej wspomniałem, iść mu nakazywało. Stronnictwo czynu tak pojmowało postępowanie i dążności moskiewskie, i na tej zasadzie rozbudzony patrjotyzm, nie platonicznym poświęcało względom, lecz na odzy-

skanie niepodległości, korzystając z niemocy, zawikłania wewnątrz Rossji istniejące postanowiło spożytkować. Czy zaś miał Komitet Centralny jaką pewność doścignięcia celu, do którego zmierzał i dla jakich przyczyn przeciwnie się stało, to się z dalszego opisu pokaże.

Gdy organizacja ogarnęła już powiat Kalwaryjski, sąsiedni Marjampolski podsycany tłumionemi o tem wieściami, był przygotowany do przyjęcia w niej udziału. Wiedząc o takiem usposobieniu tamecznego ogółu, wezwałem do siebie z Marjampola pana P... On jeden, o ile mi się zdawało, mógł najdokładniej odpowiedzieć warunkom tego rodzaju zajęć. Porozumiawszy się z nim, prosiłem go, aby rozpoczął czynności w całym powiecie i o wszystkiem co zajdzie zawiadamiał mnie. Tak więc rozwinięte w trzech północnych powiatach Augustowskiego działania, szybki czyniły postęp. Komissarz wojewódzki Józef Piotrowski chcąc więcej jeszcze wzmocnić bieg agitacyjny, przysłał z Warszawy na pomocnika swego Kamińskiego (Walery Mroczkowski), aby osiadłszy w którymkolwiek punkcie przykładał się do wspólności prac; lecz nie znając miejscowości, towarzystwa, stosunków i osób wpływowych, Kamiński mimo szczerej chęci nie był w stanie przyłożyć się do powiększenia koła organizacyjnego; czekał więc sposobności, aby w czemkolwiek, jak się okaże potrzeba, mógł swe ofiarować usługi. Przybył też z Warszawy do powiatu Marjampolskiego i włościanin K..., osiadł na wsi w miejscu swego urodzenia i miał do czynienia wyłącznie

z włościanami. Rodzice jego dawali go do szkół w tym celu, aby po ukończeniu nauk wstąpił do seminarjum. Lecz on ukończywszy szkoły do woli rodziców zastosować się nie chciał — pojechał do Warszawy i był uczniem szkoły sztuk pięknych. Ztąd też missja, jaką przyjął na siebie, stała się bezskuteczną, — włościanie bowiem, zrażeni jego zrzeczeniem się duchownego stanu, ufać mu nie chcieli; usilnie agitował, ale praca jego żadnego prawie nie przyniosła pożytku. W innych ubocznych rzeczach z łatwością udawało mu się wywiązywać z przyjętych na siebie poruczeń.

W trakcie najpomyślniejszego rozwoju działań moich, wmięszała się w nie pewna okoliczność, szkodliwie wpłynąć mogąca na usposobienie towarzystwa organizacyjnego, którą dla pewnych względów ukrywam w milczeniu. Dla uchylenia przewidywanych następstw, zniewolony byłem szukać zapobiegających środków bezpośrednio u Komitetu Centralnego. Nie wspominałbym wcale o tem, czego szczegółowo wypowiedzieć nie można, gdyż taka wzmianka wcale interesować nie będzie; ale że z powodu tej okoliczności wynikły zdarzenia, które pominiętemi być nie mogą, przeto wspomnienie jej tu chociaż zupełnie niejasne uważałem za konieczne. Jadąc w tym celu do Warszawy zatrzymałem się w Suwałkach i poprosiłem do siebie pana C...., któremu zaproponowałem zawiązanie w tem mieście organizacji. W miejsce odpowiedzi, pan C... prosił mnie, abym się chwilkę zatrzymał — i wyszedł; poczem wkrótce przyprowadził z sobą jednego z wyż-

szych urzędników rządu gubernjalnego. Urzędnik ten, którego nazwiska pożyteczniej dla niego będzie, że się tu nie wymieni, zapytał mnie: „Czy mam mandat upoważniający do traktowania w sprawie organizacji?“ — „Dziwi mnie pańskie pytanie — odpowiedziałem mu — ja sam jestem mandatem, każdy prawy obywatel kraju w sumieniu swem znajdzie upoważnienie do gotowości wzywać do działania, lub też być powolnym na głos wzywających, zwłaszcza obecnie, kiedy na wszystkich punktach ziemi naszej wre myśl odzyskania bytu politycznego i niepodległości.“ — Ztąd zawiązała się żywa i dość długa rozprawa. Pojęcia urzędnika tego były odbiciem zasad przeciwnego stronnictwa; nic on więcej nie mógł powiedzieć nad to, co szlachta wypowiedziała; nie było też wielkiej trudności w pokonaniu jego opozycji. Pan C... przyznał mi słuszność i na tem się zakończył wstęp do dalszych z nim porozumień.

Przybywszy do Warszawy poszedłem do Gillera, lecz interesu mego załatwić nie mógł. Przyrzekł mi jednakże, iż następnego dnia przed południem przyprowadzi do mnie do hotelu osobę, która będzie mogła załatwić sprawę dla której przybyłem. Nazajutrz z rana nie wychodziłem z mej stancji, — przybył odwiedzić mnie mój kuzyn, uczeń Szkoły Głównej, a po nim wkrótce wszedł Giller z nieznajomą mi osobą. Pomimo chęci zatrzymania mego kuzyna, zmuszony byłem wyprosić go od siebie — wymagała tego reguła tajemnicy. Giller przedstawił mnie tej osobie i wyszedł. Opowiedziawszy interes

mój otrzymałem odpowiedź, abym na drugi dzień zgłosił się po decyzję, — dał mi swój bilet, wskazał swe mieszkanie w przechodniej kamienicy z Miodowej na Daniłowiczowską ulicę i odszedł. Nazwisko jego przybrane było Sierbuszko Bronisław (Szwarc). Następnego dnia zbliżył on mnie do Oskara Awejdy, nowego członka Komitetu, któremu wyjaśniłem ową tajemniczą okoliczność. Awejda oświadczył, iż na razie nie może rzeczy tej rozstrzygnąć, widzi potrzebę porozumienia się z Piotrowskim, — decyzja więc do następnej bytności mojej w Warszawie odłożoną została.

Wracając przez Suwałki znów chciałem się widzieć z panem C., ale odjechał do Wierzbołowa; byłem pewny, że się z nim spotkam w Wiłkowyszkach — i tak się też stało. Zaraz po moim przyjeździe przyszedł do mnie i w tych mniej więcej słowach opowiedział trudności, jakie miał przy pozyskaniu na kilka dni urlopu, a to w skutek ostatniego widzenia się ze mną.

„Gdym przyszedł do mego naczelnika w urzędzie i prosił o pozwolenie na wyjazd do Wierzbołowa i Wiłkowyszek, naczelnik patrząc mi w oczy odezwał się: „Ja bym panu nie radził tam jeździć.“ — Z pewnem zadziwieniem wyrzekłem „dla czego?“ — „Ja wiem dla czego! i wiem, że pożyteczniej panu będzie jeżeli nie pojedziesz.“ — Wcale nie pożyteczniej panie naczelniku, mam ważny interes i chciałbym koniecznie być tam.“ — „Ale powiadam panu, że lepiej będzie jak pan nie pojedziesz.“ — „Dziwi mnie mocno, jakby mogło

być lepiej, kiedy interes wymaga mojej obecności.“ — „Czy pan znasz Bnińskiego?“ (pilnie wpatrując się we mnie). — „Żadnego Bnińskiego nie znam.“ — Odszedł do biurka, wysunął szufladę i czytając jakiś papiér poprawił się: „nie Bnińskiego ale Błońskiego, co był na Syberji.“ — „Znam panie....“ — „Dla tego też nie radzę panu tam jechać.“ — Żadnych nie mam z nim stosunków prócz jednej znajomości, i mocno się dziwię, że ta znajomość stała się przyczyną wprowadzającą mnie w niesłuszne jakieś podejrzenie u pana...“ — Widząc we mnie pewność siebie i obojętne przyjęcie zarzutu, którym spodziewał się wywołać zmięszanie się lub bojaźń moją, rzekł: „No to jedź pan, tylko bądź dalekim od niebezpiecznych rzeczy.“ — Naturalnie, że nie kto inny, jak ten, któregom z sobą przyprowadził do pana, zakomunikował treść naszej rozmowy; sądzę jednak, że nie w celu zaszkodzenia, bo i naczelnik nie jest do tego zdolny, wszelako środek ten do zatamowania działań pana źle był obmyślany.“

Z tego powodu nie śmiałem więcej namawiać pana C... do przyjęcia jakiegokolwiek obowiązku; spodziewać się bowiem należało, że postępowanie jego odtąd będzie pod pewną kontrolą zwierzchności. A tak nie mając w Suwałkach więcej znanych mi z blizka osób, urządzić tam organizacji nie mogłem, która, jakem się później dowiedział, sformowała się tam pomimo mej wiadomości.

Po niejakim czasie Piotrowski przywiózł mi kwitarjusz z niebieskiemi kwitami na zbór narodo-

wego podatku i polecił odbierać od stowarzyszonych przysięgę, a sam odjechał do Grodna. Mając już rotę przysięgi, powoływałem do jej wykonania zorganizowanych, a naprzód tych, którzy pełnili jakieś funkcje publiczne a to aby się zabezpieczyć w całej okolicy od wszelkich przeszkód w działaniach, które coraz dalej obszerne przybierając rozmiary, nie zawsze mogły być ścisłą otoczone tajemnicą, tem bardziej, że ustawicznie zjeżdżali się do mnie członkowie organizacji z rozmaitych stron, Komissarze Komitetu Centralnego i osoby wpływowe czynne. Wtedy po wykonanej przysiędze mogłem już być pewnym, iż nie tylko że nikt mnie z podwładnych podejrzywać o coś niezwykłego nie będzie, lecz owszem w razie denuncjacji będę mieć od władz miejscowych obronę lub ostrzeżenie. Następnie w powiecie Kalwaryjskim i części Marjampolskiego sam wszystkich stowarzyszonych przyprowadziłem do przysięgi, pan P.... zaś zajął się odbiorem takowej w Marjampolu i okolicy tego miasta. Na pozór zdawało się stowarzyszonym, że się to wszystko odbywa jawnie, bo często, a niekiedy ciągle od rana do wieczora zbierali się oni u mnie, — jednak nie przyjęci do przysięgi o niczem nie wiedzieli; domyślali się tylko widząc skupiony ruch, że coś się kojarzy, ale domysły te żadnym pewnym faktem w ich przekonaniu poparte być nie mogły.

Tak wzmagająca się agitacja, groźne już dla moskiewskiego rządu przybierała rozmiary. Niższe urzędy moskiewskie nawet z Moskali złożone, na

których opierała się władza tegoż rządu, zaprzysięgły odtąd wierność władzy narodowej, — a obywatele ziemscy coraz więcej zdawali się być zakłopotani. Nie tyle jednakże niepokoiły działania nasze na prowincji, o których więcej domyślać się jak wiedzieć mogli, ile postęp Komitetu Centralnego na drodze zdobywania coraz silniejszej władzy w Warszawie, — bo już do tego jak wiadomo doszło, że senatorowie Moskale i moskiewscy jenerałowie posiadający donacyjne dobra lub kamienice w mieście, a w liczbie ich i jeden kapitan żandarmerji Moskal, płacili podatek narodowy stósownie do obliczeń urzędników organizacji, wcale nie będąc do tego spowodowani przykładem kary poprzednio na kogokolwiekbądź wymierzonej. Odtąd też rozpoczęły się gromadne zjazdy szlachty, a na tych zjazdach odbywały się rady jak zapobiedz przeczuwanemu powstaniu. Pierwsze takie zgromadzenie w województwie Augustowskiem [1]) miało miejsce we wsi ..... Prawie nieprzerwany szereg sani od południa do wieczora sunących się po drodze do tej wsi, zwracał uwagę żydów i ludu, i wielkie sprawiał podziwienie, że wobec moskiewskiego wojska, żandarmerji i władz (tych ostatnich już tylko de nomine istniejących, o czem oni nie wiedzieli) dziać się coś podobnego może. Z liczby jadących tam obywateli, spotkałem w Wiłkowyszkach kilku znajomych, — na prędce w krótkich słowach zachę-

[1]) Prócz zjazdu w D. były dwa jeszcze inne zjazdy, które nic ciekawszego nad pierwszy nie obejmują, i dla tego obszerniejszej o nich wzmianki nie czynię.

całem ich do jedności z nami. Jeden też z nich pan W... wystąpił w zebraniu z przemówieniem na korzyść połączenia się stronnictw, lecz głos jego nie miał mocy na pokonanie prawie ogólnego uporu, pomimo tego nawet, iż w innych województwach szczególniej za Warszawą zdecydowano się już uznać Komitet Centralny za władzę narodową, i z kilku województw protokólarne uznania nadesłano do Warszawy. Tu zaś na tym zjeździe, chociaż wiedziano o tem, osoby wpływowe przeciwnie starały się utwierdzić ogół obywatelstwa na biernem jak dotąd stanowisku. Czytano umiarkowany organicznych prac program Dyrekcji, nic więcej w sobie nie mieszczący nad to, com poprzednio już wymienił, t. j. rzecz o wyzyskiwaniach ustępstw od rządu, o oświacie, o stypendjach, słowem łudzono się nadziejami opartemi na wielkości wpływu Wielopolskiego. Tak więc nic pożytecznego nie uchwaliwszy, po dowolnem nagawędzeniu się, każdy odjechał z tem usposobieniem, z jakiem przybył na radę.

Tu nieudolność rozumu człowieka przy osłoniętej pomroką wierze a ztąd braku energji i poświęcenia w całej przedstawia się pełni. Pragnie wyjść z niedoli a jedyną do tego drogą zdążać się wzbrania, puszcza się na pole zwodniczych przypuszczeń i tak błądząc wchodzi na ciernie i na nich spoczynek mieć musi. Bóg nie dał nam zgody, sami zaś skojarzyć się nie mogliśmy. Na tej zaś zgodzie nam tylko zbywało. Widać, że później Bóg sam w inny sposób ratować nas będzie.

W kilka dni po tym zjeździe widząc się w Wiłkowyszkach z panem Y. X., ubolewałem nad uporem obywateli, nie dających się pociągnąć do jedności, przypominając owe nieszczęścia w niezbyt odległej przeszłości z rozdziału na stronnictwa wynikłe, a nam w spadku zostawione. Tak on jakoś w swych wyrażeniach okazał się być skłonnym do zgody i podzielającym moje uwagi, że zdawało się mi widzieć w jego słowach nie już własne jego, lecz ogółu opozycyjnego, do którego on należał, przekonania i chęci ku pojednaniu się. A kiedy tegoż dnia przybył do mnie Piotrowski, tą myślą przejęty namówiłem go, aby się widział z panem Y. X. i z nim jeszcze w tym względzie pomówił. Zgodził się na tę propozycję i na drugi dzień pojechaliśmy do niego obadwaj. Godzin kilka zeszło na bezskutecznem przekonywaniu go. W dowodzeniach Y. X. przebijały się nowe jakieś, tajemnicze pewności, wyzyskania od Moskali wielkich rzeczy przez mądrość i przebiegłość Wielopolskiego. Po tych daremnych usiłowaniach naszych, zniecierpliwieni zbieraliśmy się do wyjazdu; lecz gospodarz prawie gwałtem zatrzymał nas mówiąc: iż oczekuje na kilku obywateli zaproszonych na obiad, że w liczbie ich będzie i pan Q.., więc jeszcze się wznowi ta kwestja i być może, że inaczej rozstrzygniętą będzie. Po południu zjechali się goście, ale nieprzewidziana zaszła przeszkoda. Obywatel ..... przywiózł z sobą kogoś nieznajomego z za Warszawy. Był to dymissjonowany oficer z moskiewskiego wojska, być może człowiek nieposzlakowanego charakteru, lecz

że polityczne jego przekonania nikomu nie były świadome, więc nie mogliśmy wszczynać rozprawy odłożonej do zebrania się tych obywateli, i tak z niczem wróciliśmy do domu.

Nazajutrz przed odjazdem Piotrowskiego, przyszła mi myśl zarządzić zjazd członków organizacji w tym celu, aby on przemówił do zgromadzenia i utwierdził w przekonaniach, jakie już w nich przezemnie były wpojone. Wprawdzie utwierdzenie to nie tyle było potrzebne, bo wszyscy bez wyjątku byli ludzie rozsądni i pojmujący to co czynią, ile że dla samego podtrzymania uroku, w jakim Komitet Centralny był przez nich pojmowany, wnosiłem, iż pożyteczniej będzie, jeżeli oprócz mnie, osoba w imieniu Komitetu działająca da się poznać — i zarazem publicznem wobec nich uznaniem zatwierdzi to wszystko, co dotąd przezemnie zostało dopełnionem. Piotrowski chętnie się zgodził na ten mój projekt, naznaczył dzień swego przyjazdu i odjechał.

Sejneński powiat pozostawał dotąd po za obrębem agitacji. Dość znaczna odległość od Wiłkowyszek, jak również brak stosunków z tamecznymi mieszkańcami, główną tego przyczyną były. Zdarzyło mi się wreszcie spotkać z obywatelem F. F., mieszkającym na granicy tego powiatu. Kilka słów przemówionych do niego, wystarczyło do wzbudzenia w nim gotowości do przyjęcia obowiązku szerzenia i tam organizacji. Odebrałem od niego przysięgę i o sposobie organizowania oświadomiłem go. Człowiek ten w krótkim czasie dał dowody

swych śmiałych i energicznych działań, pomimo tego, iż miał liczną familję i był w podeszłym już wieku.

Mając w pamięci interes przedstawiony O. Awejdzie uważałem, iż nadszedł czas ponowić żądanie, aby ostatecznie osiągnąć cel rozpoczętych starań, tem więcej, iż przewidywania moje w pewnej części poczęły się już urzeczywistniać. Z tym zamiarem pojechałem do Warszawy, lecz i tym razem na próżno; znów zaszła przeszkoda udaremniająca moje zabiegi. Wszelako podróż ta z innych względów stała się dla mnie zadowalniającą i pożyteczną.

Wieczorem na drugi dzień po moim przyjeździe, kiedy się zupełnie ściemniło, poszedłem do K. Szaniawskiego. W dziedzińcu spostrzegłem kilku stojących ludzi, w oknach jogo kwatery światła nie było; wstąpiłem do bawarji, lecz i tu w tym pokoju, gdzieśmy się zgromadzali, nikogo nie zastałem. Nie wypadało mi zaraz wychodzić, aby nie zwrocić na siebie uwagi — piłem herbatę. Wtem wbiegł służbowy Szaniawskiego, akademik Adam Wilhelm, — zapytałem się go, co to jest, że nikogo z naszych nie ma? „Widziałeś pan w dziedzińcu ludzi?“ — „Widziałem.“ — „To są szpiegi, a tu naprzeciwko nas ten stary, poważny, także szpieg — czekaj pan ja go zaczepię.“ — Zbliżył się do niego i zaczął rozmawiać. Ów podejrzany jegomość zazdrościł mu wieku młodego i mówił, że jest szczęśliwym bo może nieszczęśliwą ratować Ojczyznę, zwłaszcza teraz, kiedy tak ogólne sprzyja usposobienie i t. d. Akademik na to: „Przeciwnie,

młodości mojej na nic innego nie użyję, jak tylko na kształcenie się, z czego Ojczyzna również mieć będzie pożytek.“ — Pożegnał go, złączył się ze mną i wyszliśmy. Zaprowadził mnie do kawiarni na Krakowskie przedmieście, gdzie zastałem wszystkich jak dawniej. Krótko bawiliśmy, bo już zbliżała się godzina wzbroniona do chodzenia po mieście, a niektórzy w odległych mieszkali miejscach. Nazajutrz rano znów nie zastałem w domu Szaniawskiego, był jakiś u niego średnich lat mężczyzna i powiedział mi, że Szaniawski nie prędko wróci. Po południu odszukałem S. i D. i z nimi idąc spotkałem K. Szaniawskiego z tym nieznajomym, którego widziałem w jego mieszkaniu. Był to Małorusin, Potjebnia, oficer z wojska moskiewskiego, czynny członek organizacji wojskowej, założonej przez Jarosława Dąbrowskiego, niezmiernie pracowity i gorliwy w sprawie wolności. Do godziny ósmej wieczór bawiliśmy razem, poznajomiłem się dobrze z Potjebnią i od niego dopiero dowiedziałem się, na jakich podstawach i siłach Komitet Centralny dzieło wyswobodzenia opierał. Sami nieprzyjaciele w pośród siebie tworzyli zarody rozprzężenia swej siły. Potjebnia w imieniu spiskowych wojskowych, których była znaczna liczba, jeździł do Londynu do Hercena i Bakunina i wprowadził ich w związek ze sprawami agitującemi się w Warszawie.

Opuściwszy Warszawę spieszyłem do domu, aby przygotować zjazd dla Piotrowskiego — i zaraz po przybyciu zawezwałem członków organizacji.

Wszyscy prawie w jednej porze w naznaczony dzień zebrali się u ....., gdzie noc całą daremnie czekaliśmy na Piotrowskiego. Tę jego niepunktualność przypisaliśmy zajęciom służbowym, przy których nie można było dowolnie rozporządzać czasem. Tyle tylko z tego zjazdu okazało się pożytku, iż przywiezione osoby w liczbie dziesięciu przez S. przystąpiły do organizacji i wykonały przysięgę.

W towarzystwie pomocnika Kamińskiego wróciłem do domu. Zaraz po naszym powrocie do domu nadjechał Piotrowski; żałował iż nas zawiódł i siebie pozbawił przyjemności poznania naszego zgromadzenia. Ważne okoliczności, jak mówił, były przyczyną spóźnienia się jego.

Komitet Centralny Narodowy powziąwszy wiadomość o zamiarze tajonym w łonie rządu moskiewskiego, zarządzenia nadzwyczajnego poboru w całem Królestwie Polskiem, przewidywał, iż ten gwałtowny środek doradzony przez Wielopolskiego, doprowadzić może do przedwczesnego powstania, pomimo tego nawet, iż żadnych dotąd dla braku funduszów nie poczyniono przygotowań. Piotrowski też tym razem przybywszy do mnie, zażądał od pana B..., któremu zbór podatku poruczyłem, pieniędzy — i z przyjętej summy pewną część posłał obywatelowi F. Y..... mieszkającemu w blizkości pruskiej granicy, na zakupienie w Prussach broni, a resztę zaraz powiózł z sobą do Warszawy.

W tydzień po jego odjeździe przysłany został od Komitetu Centralnego Narodowego nam do pomocy Ludwik Wronowski czyli Sumiński, aby dzia-

łania ruchu we wszystkich powiatach z pośpiechem doprowadzić do skutku. Zatrzymał się on u mnie i oczekiwał na przybycie Piotrowskiego. Wieczory spędzaliśmy w towarzystwie kilku osób komunikujących się ze mną, najczęściej u moich przyjaciół księży.

Przy pierwszej bytności naszej u księdza ..... Wronowski z toku wszczętej rozmowy o przeszłości naszego narodu, przedstawił spójnią, ściśle łączącą u nas religję z polityką, związek historji państwa z historją kościoła. Nie w tym celu mówił o tych rzeczach, aby prostować opinją księży, bo wiedział odemnie, że oni sami z siebie jako kapłani pod każdym względem zacni i należycie oświeceni, umieli oceniać to, co się wówczas działo, co było słusznem i sprawiedliwem — i jakie w owem wielkiem przejściu były ich obowiązki względem kościoła i społeczności, której przewodniczyli; lecz dla tego jedynie, aby dać poznać czystość swej missji i pogląd, jakim on jako ajent, wysłaniec Komitetu Centralnego, patrzy na prawa kościoła. Mówił więc dalej, że ten sam stosunek religji do polityki nie tylko że dotąd nie przestał istnieć, lecz owszem te dwie własności dziedziczne narodu, wspólnemu ulegając prześladowaniu, obecnie silniej jeszcze zespolone z sobą zostały i stanowią nierozdzielną jedność charakteru narodowości naszej. Tak wymownie z całą historyczną rzeczy znajomością z cytowaniem dat, faktów i osób historycznych, wywiązał się z swego założenia, że w trakcie tych przekonywających jego dowodzeń, obecni zrywali

się z miejsca i z uniesieniem ściskali jego dłoń. Wróciwszy do domu nie szczędziłem i ja wyrazów zadowolnienia za ten szczytny tchnący religijnością wykład. „Mój bracie — odpowiedział Wronowski (Sumiński) — wierz mi, iż ja poświęcam się dziesięć razy za religją a raz za Ojczyznę.“

Gdy przybył Piotrowski, delegował Wronowskiego w powiat Sejneński, — a odemnie zażądał szczegółowych wiadomości o konsystencji wojsk moskiewskich w Augustowskiem województwie, doręczył mi trzydzieści kilka litografowanych rozkazów Komitetu Centralnego, wzbraniających naczelnikom powiatowym rządu moskiewskiego, wójtom i burmistrzom, uskutecznienia rekrutacji i polecił niezwłocznie rozesłać je; przyczem obok udzielenia mi różnych wiadomości oznajmił, iż Komitet Centralny Narodowy miał zamiar posłać przez dwóch delegowanych do Jego Świątobliwości Piusa IX. adres wyjaśniający powody wstrząśnień narodowych i zarazem proszący o błogosławieństwo dla sprawy [1]). Zabawiwszy godzin kilka Piotrowski pojechał do pana F. Y. nad granicę.

Polecenia Komitetu Centralnego włożone w koperty i opieczętowane doręczyłem urzędnikowi po-

[1]) Adres do Papieża wysłanym dopiero został w czerwcu 1863 roku. Zawieźć go miał do Rzymu Adam hr. Potocki z Krzeszowic, który sam o tę misją starał się u Rządu Narodowego. Gdy później atoli księża ultramontańscy odradzili Potockiemu jechania do Rzymu, Potocki się cofnął i adres zatrzymał u siebie. W skutek tego o kilka miesięcy później doszedł adres do rąk Papieża za pośrednictwem ajenta Rządu Narodowego w Rzymie Gabryela Łuniewskiego.

cztowemu ....., a ten w Prussach na stacji Ejdkuny oddał na pocztę — i w kilka dni otrzymali je adresanci. Tu należy uznać zaletną stronę naszych urzędników w służbie moskiewskiej, bo nietylko sprzyjający sprawie narodowej, lecz nawet nieprzychylni (których wprawdzie nie wielka była liczba), co z swej wierności rządowi byli znani, zastosowali się do woli Komitetu Centralnego, uznając to za konieczne, chociaż być może nie z innych pobudek jak tylko z obawy i z zapatrywania się na usposobienie ogółu, z którym niepodobieństwem już było dalej pozostawać w sprzeczności.

Dotąd wszystkie działania stronnictwa czynu z zupełnem powodzeniem w dziwny prawdziwie sposób, bo na wszystkich punktach bez przeszkód tamujących ten nadzwyczajny bieg czynności, zdążały do wytkniętego celu; stronnictwo zaś umiarkowanych stojąc na uboczu, jeszcze nie wiele o tem wszystkiem wiedziało. Okazało się to właśnie z rozmowy z panem Q... i jego bratem, którzy będąc u pana N. N. w odwiedzinach, dużo mówili o owoczesnych wypadkach, o swej Dyrekcji i o Komitecie Centralnym, nie szczędząc zarzutów niedojrzałości stronnictwu czynu. Domyślali się jednak a po części i wiedzieli, że nie w jednej Warszawie krzątają się pilnie ajenci Komitetu; wszelako nie przypuszczali, aby bez udziału szlachty rozwój organizacji na prowincji posunął się do takich rozmiarów, w jakich już rzeczywiście istniał. I w tem mniemaniu pozostając, lekko traktowali zamiary Komitetu Centralnego, uważając powstanie w każdym, chociażby

i w nieco odleglejszym czasie, bez ich przyłożenia się za niemożebne. Pan N. N. zniecierpliwiony ich nieświadomością, otworzył im wreszcie oczy: „Moi panowie, wszystko co was otacza, nie mówiąc już o tem co jest po za obrębem waszych majętności, nie jest wasze. Wasi wójci, ekonomowie, pisarze i lokaje nawet już zaprzysięgli wierność Komitetowi Centralnemu jako Rządowi Narodowemu, wiedzcie o tem, że sami jedni jesteście.“ Zdumieli się obaj bracia i zamyśleni odjechali do domu. Zaraz nastąpiły sprawdzania. Pani Q... zawezwała do siebie żonę wójta i zapytała ją: „Czy to prawda, że mąż twój należy do czerwonych i wykonał przysięgę?“ „Mąż mój znając swe obowiązki względem kraju, uznał za właściwe łączyć się z ogółem, podobno wykonał przysięgę! — więcej nic nie wiem.“ Przekonawszy się, że pan N. N. prawdę powiedział, więcej już swych oficjalistów nie badali i byli pewni, że ze wszystkimi obywatelami podobnież się stało.

Policja moskiewska w Warszawie przy ostatniej bytności Piotrowskiego, zwróciła na niego swą baczność. W takiem już był niebezpieczeństwie, że zaledwie się jej wymknął. Tym razem więc gdy wrócił do mnie od pana F. Y., prosił abym mu dał swe porządniejsze ubranie — miał bowiem zamiar stanąć w Europejskim hotelu. Ogolił brodę, przebrał się i wziął paszport na imie obywatela X. X. W trakcie jego zbierania się do odjazdu, zawezwany zostałem do jednego z domów mi znanych, gdzie ksiądz ..... odrekomendował mi missjo-

narza z Tykocina, który jeździł do Wilna w interesie narodowym i teraz wypadło mu jechać do Warszawy, — prosił więc abym się postarał o legitymacją dla niego. — Przyrzekłem, i tej chwili na żądanie moje wydano mu paszport, z którym ten ksiądz udał się w podróż w towarzystwie Piotrowskiego.

Minął termin jaki Piotrowski oznaczył na swoje przybycie. Wieści już krążyły, że młodzież warszawska tysiącami opuszcza miasto przed mającym lada dzień nastąpić poborem. Pobór ten jak wiadomo nie był zwyczajny, — przeciwnie, dotąd nigdzie w żadnym nie praktykowany kraju. Wszyscy młodzi i średniego nawet wieku ludzie, których rząd najezdniczy uważał za patrjotów, albo na których padało tylko podejrzenie, że mu są nieprzychylni, mieli być tak w Warszawie jak i w całem Królestwie w nocy schwytani i oddani do wojska. Pobór ten w dodatku poprzedzały liczne aresztowania w Warszawie; przypuszczałem więc, że w zbiegu tak gwałtownych usiłowań Moskwy, Piotrowski wpadł w jedną z tych jej zasadzek. — Przybył wówczas do mnie K..... dowiedzieć się co słychać, i obadwa zastanawiając się nad powodami wstrzymującemi jego przyjazd, byliśmy bardzo niespokojni. K.... uważał za konieczne jechać do Warszawy, dowiedzieć się, co się z nim dzieje i po naradzeniu się ze mną pojechał.

Te gwałtowne wysilenia rządu moskiewskiego, wymierzone na zniszczenie organizacji, wywołały wprawdzie pod względem aresztowań wyższą niż

przedtem sprężystość z jednej strony, a z drugiej t. j. stronnictwa ruchu wysilenia zachowawcze; lecz na zupełne odwrócenie niebezpieczeństwa, jakie z poboru miało nastąpić, zabrakło na razie środków. Rząd bowiem moskiewski opierając się na sile fizycznej, o tyle jeszcze agitacją nie nadwerężonej, aby z niej nie mógł mieć w spełnieniu tego zamiaru posługi, był w stanie przerwać i przerwał tym niespodziewanym pomysłem wątek działań przygotowawczych do powstania w czasie na nie oznaczonym i wywołał je przedwcześnie.

II.

POWSTANIE

W WOJEWÓDZTWIE AUGUSTOWSKIEM.

W parę dni po odjeździe K... przyjechał do Wiłkowyszek naczelnik moskiewskich żandarmów, (z którym miałem znajomość) stanął u miejscowego urzędnika i zapytał się o mnie czy jestem w domu, poczem pokazał mu część tylko jakiegoś rozporządzenia, odnoszącego się do mnie i poruczył mu ostrzedz mnie sekretnie, abym natychmiast opuścił Wiłkowyszki, gdyż będę aresztowany, sam zaś odjechał gdzieś dalej. Miejscowy urzędnik przybiegł do mnie i powtórzył ostrzeżenie żandarma. Było to po południu. W tej chwili wezwałem do siebie pana B... doręczyłem listę członków organizacji i zaleciwszy mu zkomunikować się z Piotrowskim, gdyby do nas przyjechał — sam udałem się do Warszawy, tym razem dla większego bezpieczeństwa drogą żelazną — pomimo tego, iż chcąc koleją odbyć całą podróż, potrzeba było w przeciwną jechać stronę

aż pod Wilno, a ztamtąd dopiero zwrócić się na kolej warszawską. Nie było moim zamiarem pozostać w Warszawie, chciałem się tylko dowiedzieć, gdzie jest Piotrowski i na co się dalej zanosi? — Po przyjeździe moim, na drugi dzień rano wyszedłszy z hotelu spotkałem K... już jadącego z powrotem do domu i zdziwionego moją tu bytnością. Objaśniłem go o przyczynie, która mnie do opuszczenia mego stanowiska zmusiła. Powiedział mi o Piotrowskim, że pojechał do Wiłkowyszek.

Koledzy moi S. i D. najmniejszego nie ściągnęli na siebie podejrzenia i pozostali na miejscu. Odszukałem ich i poszliśmy na Nowy Świat do cukierni, gdzie cukiernik i subjekci jego znani im byli z dobrego usposobienia. Osobny dano nam pokoik, i tam cały wieczór przesiedzieliśmy. Tu mi szczegółowo opowiedzieli o wychodzeniu z miasta młodzieży, — o wyjeździe Konstantego Szaniawskiego *) i Potjebni do obozu, o poborze już dokonanym (w czasie mojej podróży), o przyjeździe z obozu akademika Wilhelma po pieniądze na żywność, i o zupełnym braku funduszów w kassie Komitetu Centralnego Narodowego. Na pytanie moje, czy przyjdzie do ogólnego powstania? — odpowiedzieli — iż Komitet Centralny dotąd nie jest zdecydowany, nie pragnie bowiem w tej porze powstania, gdy broni

*) Konstanty Szaniawski był oficerem w legionie polskim na Węgrzech 1849 r. Moskale później wysłali go na wygnanie do Syberji. W organizacji miasta Warszawy był naczelnikiem wydziału. Zginął w powstaniu 1863 pod Czyżewem 27 stycznia, zabity przypadkowym sposobem.

jeszcze nie sprowadzono, jest on jednak pod ogólnem parciem i nie wie jak ma sobie postąpić. Ciągłe odbywają się narady — i zdaje się, że do powstania ogólnego przyjdzie, chociażby Komitet Centralny go nie chciał; niepodobieństwem jest bowiem aby na tak przykry los a nawet i zatracenie kilkunastu tysięcy wyborowych ludzi mógł Komitet Centralny i naród z obojętnością spoglądać i spokojnem zachowaniem się wyrażać na zewnątrz jakby zezwolenie na ten piekielny zamach moskiewskiego rządu.

Kiedy sprawa w nową i ostateczną wstępowała fazę, tem większy uczułem obowiązek w tej niezmiernie ważnej chwili prowadzić dalej na jej korzyść zajęcia moje. Wiedziałem, że Kurpie w puszczy w Łomżyńskim i Ostrołęckim powiatach zamieszkali, nie mieli jeszcze wśród siebie ludzi, którzyby ich przygotowali na oczekiwane w kraju wypadki.

Ajent Kamiński konspirujący tylko między drobną szlachtą w okolicach Łomży, nie zdążył całego objąć powiatu. Z zamiarem więc agitowania pomiędzy wiejskim ludem zgłosiłem się do Oskara Awejdy, żądając aby mi dał na to upoważnienie od Komitetu Centralnego. Przyrzekł mi je nazajutrz wyjednać. Gdym się do niego na godzinę wyznaczoną zgłosił, zastałem brata jego, profesora z Łomży. Awejda wyprowadził mnie do drugiego pokoju i załamawszy ręce mówił słowa, które dokładnie charakteryzowały jego miękki, bez woli, chwiejny charakter: „Jesteśmy w tak trudnem położeniu, że o pańskiem żądaniu wcale zapomniałem. Kryzys

okropna, nie wiemy co robić, ciągle jesteśmy zajęci posiedzeniami i radą. Kiedy pan odjeżdżasz?“ „Jutro jadę karetką o drugiej po południu“. „Przywiozę panu upoważnienie na pocztę“.

Zabrawszy nazajutrz z hotelu rzeczy poszedłem na pocztę, zapisałem się w księgę odjeżdżających i tam czekałem odejścia karety. Po chwili weszło dwóch oficerów. Z jednym z nich poznałem się u K. Szaniawskiego, był on członkiem Wojskowego Komitetu, przywitał się ze mną i zarekomendował mi swego towarzysza mówiąc, że jedzie do Pułtuska, prosił więc o ułatwienie mu w tem mieście stosunków, w razie gdybym posiadał tam kogo znajomego. Potem wbiegł oficer żandarmerji z prostym żandarmem, obadwa ubrani byli po podróżnemu i opatrzeni w broń. Ci dwaj również zapisali się do odjazdu. Oficer żandarmerji spojrzał się po nas dość bystro i tak mi się wydało, iż więcej się przyglądał mnie jak innym. Sam był blady i jakby przygotowany na jakieś niebezpieczeństwo. Przypuszczałem w tej chwili, iż po wyjeździe za rogatki może nastąpić rewizja. Podczas tej bytności mojej w Warszawie miałem z sobą odcinki kwitów pierwszej serji, dla obliczenia się z zebranych i wydanych pieniędzy. Wszedłszy więc do drugiej stancji, rzuciłem je z innemi drobnemi notatkami za kufer stojący przy piecu. W tem wszedł znajomy mój H . . . z Łomży — poprosiłem go, aby papiery te zabrał. Przyszedł i Awejda profesor, brat członka Komitetu Centralnego i mówił, że brat jego ma jeszcze tu widzieć się z nim, więc sam mi doręczy

mandat o który go prosiłem. Pasażerów zebrało się bardzo wiele. Oprócz wielkiej karety trzy mniejsze zaprządz musiano, siedliśmy w nie — i kilka minut oczekiwali na uporządkowanie się pocztyljonów. — Awejda Oskar nie przyszedł, karety ruszyły w drogę. W Serocku zatrzymaliśmy się dla wypicia herbaty. Od usługujących kobiet dowiedzieliśmy się, iż sześciuset warszawiaków obozem stoją w niezbyt wielkiej odległości od miasta. H . . . siedząc z żandarmami, podsłuchał rozmowę żandarma z oficerem z której się dowiedział, że jadą do Mławy aresztować osobę, której nazwiska dziś nie przypominam sobie. Przy odjezdzie siedliśmy obadwa do jednej karetki razem, daliśmy na wódkę pocztylionowi, aby jechał przed wszystkiemi naprzód. W Pułlasku karety pocztowe zatrzymują się na półgodziny przed cukiernią. Przybywszy tu prosiłem pana P.... aby z licznie bawiących w sali gości, kogokolwiek godnego zaufania poprosił do mnie. Zaraz przyprowadził mi kilka osób, którym objaśniłem cel podróży żandarmów, obowiązując ich, aby natychmiast posłali przez umyślnego do Mławy ostrzeżenie. Przy tej sposobności poleciłem ich zaufaniu przybyłego ze mną oficera.

Od Pułtuska jechaliśmy razem z Awejdą profesorem. Na ostatniej stacji pod Łomżą mówiono nam, iż o dwie mile od tego miasta już obozuje stu kilku młodzieży przybyłej z Warszawy. Wiedząc, iż w kamaszkach i paltotach tylko puścili się w drogę, zwierzyłem się Awejdzie z zamiarem zaopatrzenia ich przynajmniej w obuwie i odzież za po-

średnictwem mego znajomego w Łomży pana S..... który miał w mieście stosunki z kupcami. Przyznał że postanowienie moje było słuszne, lecz jako miejscowy wykonanie go przyjmuje na siebie.

Po przyjeździe do Łomży, na drugi dzień była bitwa pod Mężeninem (dnia 25 stycznia 1863 r.) zkąd rannych Moskali przywieźli do łomżyńskiego szpitala. W bitwie tej wystąpiła mężnie łomżyńska zagonowa szlachta a jeden z jej przywódców Władysław Wilkoszewski, dzielnego ducha i ręki z rany tu otrzymanej później umarł. Przywieziono też i manifest Komitetu Centralnego Narodowego z Warszawy, ogłaszający powstanie i uwłaszczenie włościan. Na czwarty dzień po mojem tu przybyciu, odebrałem będąc w kościele Kapucynów telegram, w którym krewny mój wzywał mnie, abym natychmiast przybywał do Wiłkowyszek. Nie wierząc depeszy, którą pod imieniem krewnego mogli nadesłać Moskale, aby mnie bez ambarasu sprowadzić do siebie i aresztować, prosiłem innego mego krewnego, aby mi odtelegrafował: czy wzywający mnie może przybyć do Łomży? Jakoż w parę dni przybył do nadnerewskiego miasta, lecz mnie bardzo zasmucił.

Józef Piotrowski wróciwszy z Warszawy, według przyjętej od pana B . . . . listy zebrał wszystkich sprzysiężonych i oświadczył im, iż chce z nimi uderzyć na objezdczyków, to jest straż pograniczną, częściowo po ośmiu lub dziesięciu — rozciągniętą wzdłuż granicznego pasu. Sprzysiężeni nieprzychylnie przyjęli to jego wezwanie i odpowiedzieli mu:

„My pana wcale nie znamy, nigdyśmy go nie widzieli a zatem i rozkazu jego słuchać nie możemy. Jeżeli nas wezwie Błoński z którym mieliśmy stosunki i któremu ufamy i każe nam iść tam, gdzie pan chcesz nas prowadzić, pójdziemy, bo gotowi jesteśmy na wszystko, bośmy się na to poświęcili". Zmartwił się Piotrowski niezaufaniem do siebie. Strata była wielka i widoczna, łatwo było objezdczykom odebrać konie, pistolety i pałasze; rynsztunek wszelki i odzież nawet co lepsza na początek bardzo by się przydały. Oprócz tego, to rozbrojenie wpłynęłoby najlepiej na usposobienie ludu w całej okolicy. Objezdczycy też na drugi dzień po tym zamiarze Piotrowskiego otrzymawszy wiadomość, że w Płockiem Województwie w niektórych miejscach towarzysze ich już zostali rozbrojeni, zgromadzili się wszyscy w Wierzbołowie. Nie miałem więc po co spieszyć się do Wiłkowyszek. Wszelako zastanawiałem się, jak mam sobie postąpić? Wracać do domu, jawne mi groziło niebezpieczeństwo, pewny bowiem byłem, iż na drodze zostanę aresztowany, nie wracać zaś, cały ustrój organizacji narodowej przezemnie tem postawiony na nic by się nie przydał.

Po odjezdzie krewnego, nazajutrz rano, kiedy jeszcze nic stanowczego nie obmyśliłem, spostrzegłem stojącego przy poczcie obywatela Cyryaka Akorda, syberyjczyka z roku 1846, który dotąd należał do stronnictwa umiarkowanych. Przywitałem się z nim i zapytałem: „zkąd jedzie?" — „z Warszawy;" — „Co tam słychać?" — „Dobrze bo już się

biją". — „Ale co tu robisz?" zapytał mnie „Uciekłem, bo mieli mię aresztować." — „Nie bój się, wracaj, będziemy tam potrzebni." Usłuchałem jego rady i w tej chwili zacząłem się zbierać i odjechałem.

O trzy mile od Łomży jest komora celna Wincenta, gdzie mieszkał kuzyn mój. Jednego z jego synów w czasie bytności jego w Wiłkowyszkach przyjąłem do organizacji z warunkiem, aby ją rozprzestrzenił w okolicy, którą zamieszkuje. Chciałem się dowiedzieć, jaki pod jego kierunkiem zrobiła postęp organizacja, a zarazem miałem na myśli, że w razie gdybym tu znalazł dostateczną liczbę sprzysiężonych, to na ich czele wystąpiłbym i zabrał kassę komory. Mając takie zamiary nie jechałem pocztą, lecz najętymi końmi wprost do Wincenty. Tegoż dnia wieczorem przybywszy tam, z osobami godnemi zaufania odbyłem naradę, zastanawiając się nad sposobem zdobycia kassy, w której znajdowało się sześćdziesiąt tysięcy rubli. Syn mojego kuzyna miał tylko tutaj siedmiu stowarzyszonych; objezdczyków zaś i urzędników było do czterdziestu. Przemocą niepodobieństwem więc było zabrać kassę. Miejscowi sprzysiężeni obmyślili sposób podejścia i środki na pozór łatwe dla dopięcia tego celu, lecz po głębszem zastanowieniu się trzeba było wszystkiego zaniechać. Nazajutrz bardzo rano odjechałem więc do Szczuczyna. Tu zastałem pana M. B. zkąd razem pojechaliśmy do Rajgroda. Organizacja w Augustowskim powiecie, jaką on przeprowadzał, bardzo dobrze się rozwinęła i wielu li-

czyła członków, którzy oczekiwali na rozporządzenie władzy narodowej aby powstać. Z Rajgrodu zwróciłem się boczną drogą. Ominąłem Suwałki a jadąc przez Raczki i Bakałarzewo — przejechałem Kalwarją, Wiłkowyszki i stanąłem we wsi S. u obywatela X. X., u którego zastałem trzech akademików z Warszawy. Synowie obywatela X. X. otrzymali odezwę Piotrowskiego, wzywającą ich na zjazd do wsi A. dokąd nazajutrz w południe udaliśmy się wszyscy razem. W A... zgromadziło się kilkaset osób. Przyjechał Cyrjak Akord, a po nim Piotrowski. Akord odczytał akt opuszczenia stronnictwa umiarkowanych, zrozumiał bowiem, że gdy już raz broń ujęto, nie pora było stawiać programy pokojowe. O ile sobie przypominam, zacny ten i zasłużony patrjota dopominał się od Dyrekcji stanowczego wypowiedzenia, na czem opiera swe widoki polepszenia doli Polski. Członkowie jej pomiędzy którymi był Władysław hr. Zamojski, zmuszeni byli dać odpowiedź, lecz dali ją niejasną. Dawali oni tajemniczo do zrozumienia, że jest osoba, która wkrótce ogłosi się dyktatorem — i że w dobrym duchu kieruje ona sprawą, że jej więc ufać, a nie przeszkadzać należy. Nie wiem, dla czego owi członkowie wstydzili się wymienić nazwiska margrabiego, którego pragnęli oprócz A. Zamojskiego uważać za swego dyktatora. Akord żałując, że się od początku łączył z tem stronnictwem — poszedł do Agatona Gillera, który był wyszedł chwilowo z Komitetu Centralnego, bo był przeciwny uchwale powstania, lecz gdy ono wybuchło, uproszony wszedł na nowo

do Komitetu Centralnego już jako Rządu Narodowego. Akord oświadczył Gillerowi, iż oddaje się pod rozkazy Rządu Narodowego, który to Rząd polegając na rekomendacji Gillera, mianował go Naczelnikiem Cywilnym Województwa Augustowskiego. Ponieważ Akord wykształceniem i nauką zjednał sobie u współobywateli szacunek i ufność, więc za jego przykładem całe zgromadzenie jednogłośnie oświadczyło się za posłuszeństwem Rządowi Narodowemu i za powstaniem. Tu Piotrowski po stosownem przemówieniu, przedstawił potrzebę wyboru tymczasowego Naczelnika Wojskowego wojewódzkiego, dopóki Rząd Narodowy stałego naczelnika niezanominuje. Na tę propozycję wybrano pana S. byłego oficera wojsk polskich i dodano mu trzech adjutantów, akademików do boku. Obywatele następnie zażądali od p. Q. pieniędzy, po raz ostatni zebranych od nich na podatek dla Dyrekcji w ilości kilka tysięcy rubli i polecili doręczyć je Piotrowskiemu — po czem rozjechali się.

Żandarmerja i wojsko moskiewskie stojące w Marjampolu i Kalwarji, przed tym jeszcze zjazdem skoncentrowało się w Suwałkach, a objezdczycy jak już nadmieniłem zebrali się w Wierzbołowie. Zupełna więc pozostała swoboda do zorganizowania zbrojnego oddziału. Powróciwszy do domu, porozsyłałem do sprzysiężonych umyślnych posłańców z cyrkularzem, wzywającym ich do natychmiastowego stawienia się z bronią, jeżeli ją kto ma. Panowie X. X. kazali w swej kuźni oprawiać kosy, a ojciec ich śmiertelną złożony niemocą zażądał, aby je

przynoszono do niego dla obejrzenia i przekonania się, czy dobrze są oprawione? On to jeden w okolicy, co od samego początku uznawał Komitet Centralny i do uznawania wymownie starał się swych sąsiadów pociągać.

Członkowie organizacji na moje wezwanie wszyscy stawili się do mnie — nadjechał i Piotrowski. Tych co mieli żony i dzieci usunął od udziału w zbrojnem wystąpieniu, prócz pewnego organisty, który co do siebie niechciał żadnego uwzględnienia i wyłączenia. Przybył i profesór z Marjampola Żukowski, zwerbowany przez Piotrowskiego na dowódzcę, człowiek z energją, ze zdolnościami wojskowemi i w samej sile wieku. Wieczorem o godz. 10 poprowadził nas wszystkich z mego mieszkania do kościoła. Dla krótkości czasu spowiedzi odbyć nie mogliśmy. Jeden z księży . . . udzielił ogólną absolucją, po czem wykonaną została przysięga i poświęcono karabiny. Panie: M., B., P., i B., przypięły nam kokardy i z kościoła poszliśmy do sali hotelu. Dowódzca miał do nas mowę, po ukończeniu której jeden z oddziału przechodząc ku drzwiom, cisnął się w tłoku i przez nieostrożność ranił mnie w rękę — mdlałem przez półgodziny. Doktór . . . opatrzył mi zaraz ranę i wzbronił iść z oddziałem, do którego byłem już zapisany. Na noc zostałem więc w domu, a oddział siadłszy na bryki żydowskie ruszył za Marjampol pod wieś Czystą Budę.

Pomocnik komisarza Rządu Narodowego Kamiński (Walery Mroczkowski) w tym czasie kiedy

był zjazd w A . . . . znajdował się we wsi Kirsnie. Piotrowski jadąc od Suwałk ku Wiłkowyszkom wstąpił do Kirsna, gdzie widząc się z Kamińskim ubolewał, iż nie ma komu poruczyć dowództwa. Po tem ich widzeniu się, tegoż dnia wrócił z Warszawy mieszkający w Kirsnie jako dzierżawca folwarku dymisjonowany z wojska moskiewskiego oficer Karol Jastrzębski w wieku lat 58. Kamiński bardzo był rad z jego przyjazdu i zaczął go namawiać, aby przyjął komendę nad mającym się formować oddziałem. Jastrzębski chętnie przyjął wezwanie a w parę dni potem pożegnawszy dzieci, ruszył razem z Kamińskim do wsi Czystej budy. Gdy przybyli na miejsce, zastali już oddział sformowany i dowiedzieli się, że dowódzcą jego jest Żukowski. Kamiński oznajmił Żukowskiemu, iż wiedząc przed paru dniami od Piotrowskiego, że nie ma kogo postawić na czele oddziału, gdyż na wezwanie Rządu Narodowego z emigracji nie przybyli oficerowie, namówił Jastrzębskiego do objęcia tej komendy i oto przywiózł go w zamiarze powierzenia mu dowództwa. Żukowski bez namysłu zbliżył się do Jastrzębskiego i oświadczył mu, iż sądząc po jego wieku i latach wojskowej służby, przekonanym jest, iż widzi więcej praktycznego od siebie oficera — a dbając przedewszystkiem o dobro sprawy narodowej, zrzeka się dowództwa i prosi go, aby stanął na czele oddziału. Do oddziału podobnież się odezwał.

Po objęciu komendy, następnego dnia Jastrzębski wyprowadził oddział z dwustu mniej więcej

ludzi złożony na musztrę pod niewielki lasek, niepotrzebnie oddalając się od lasów, ciągnących się rozlegle w różne strony. W czasie odbywanych ćwiczeń, szynkarz niemiec spostrzegłszy wojsko nieprzyjacielskie ciągnące szosą od Kowna, podszedł do moskiewskiego dowódzcy i wskazał miejsce, gdzie się powstańcy znajdują. W ten moment Moskale zwrócili z drogi i kawalerją wysunąwszy naprzód, zajęli stanowisko przed naszym oddziałem. Przed szarżą zbliżył się oficer od huzarów ku naszym szeregom na niezbyt odległy dystans i po polsku wzywał do poddania się. Zamiast odpowiedzi ugodzony został kulą w piersi i spadł z konia zabity. Wtedy huzarzy uderzyli na oddział. Zacięta toczyła się bitwa. Dwudziestu dwóch padło powstańców — a dowódzca nasz Jastrzębski walecznie także zginął.*) Nowi nasi żołnierze w nędzną broń zaopatrzeni, niektórzy z siekierami tylko, nienauczeni manewrów wojskowych, po śmierci dowódzcy widząc przed sobą rozwijające się kilka kompanji moskiewskiej piechoty i dwa szwadrony kawalerji nieprzyjacielskiej, uważali, iż niepodobieństwem jest dla nich dotrzymać placu — poszli więc w rozsypkę. Na drugi dzień doktor S... przybył na plac boju udzielić pomoc

*) Karol Jastrzębski rodem był z Augustowskiego. Służył w wojsku moskiewskiem. Za udział w związku dekabrystów 1825 zdegradowany na żołnierza, obity kijami, wysłany był na Kaukaz. Tu dosłużył się znowu stopnia oficera. Jako kapitan przeniesiony został do straży celno-granicznej w Królestwie. Po wzięciu dymisji trudnił się gospodarstwem. Człowiek zacny. Zwłoki jego z pod Czystej Budy przeniesiono do Giewałtowa i tu pochowano. Zostawił po sobie rodzinę.

rannym, lecz rannych powstańców Moskale podobijali a wszystkim posiekli twarze pałaszami.

Niepowodzenie tej pierwszej bitwy pod Czystą Budą (2 lutego 1863 r.) zwaną także bitwą pod Pilwiszkami, całą okolicę przejęło smutkiem i trwogą. Przedtem już włościanie przygotowani do powstania przez księży i tych patrjotów z którymi mieli stosunki, pobudzeni śmiałością na jaw występującego ruchu — a jednocześnie widząc zarazem przestrach Moskali, ściągających się dla bezpieczeństwa do dwóch tylko punktów, zaczęli okazywać dla sprawy powstania przychylność i na pierwszy raz oświadczyli, że złożą podatek narodowy z każdej kolonji od 5 do 25 rubli,— a kolonji takich w jednej gminie Wiłkowyszkiej liczyło się tysiąc kilkaset. Na nieszczęście wiadomość o tej bitwie oziębiła ich zapał i wprowadziła w zwątpienie o powodzenie powstania. Zawsze jednak lud włościański i po tej klęsce nie przestawał sprzyjać władzy narodowej — z wyjątkiem włościan kilku wsi do szlachty należących.

Stosując się do rady doktora, starałem się wynaleźć dla siebie miejsce spokojne. Radzono mi osiąść w folwarku Karkliny — tam więc pojechałem. Po dwudniowym atoli pobycie dano mi znać, że ci Moskale, co byli w bitwie, otrzymali nowe posiłki przybyłe z Kowna i rozłożyli się w Kalwarji i Marjampolu.

Gospodarz u którego bawiłem, na kilka tygodni przed powstaniem był czynnym w organizacji, ztąd też i on obawiał się moskiewskiej napaści

i zamierzał szukać gdzieindziej schronienia. Pojechaliśmy więc razem w okolice Wisztyńca, do jego szwagra także kolonisty, jak on dobrego Polaka. Przybywszy tam, gospodarza nie zastaliśmy w domu, żona zaś jego uprzejmie nas przyjęła — lecz widać było jakąś w niej niespokojność. Chciała coś do nas mówić, lecz wahała się — a kiedyśmy z sobą zaczęli głośno rozmawiać, wskazała palcem na ścianę. Przybyły ze mną z cicha zapytał jej, co to ma znaczyć? — „W przyległym pokoiku odpowiedziała jest znany P. uciekł przed powstańcami, bawi tu kilka dni, pości, modli się i nigdzie nie wychodzi". O tym P. słyszałem, że trudnił się pisaniem próśb i skarg na urzędników, niekiedy usługiwał wojennym naczelnikom, przez to stał się podejrzanym i za jakąś denuncjację (fałszywą zapewne) był aż w Modlinie pod aresztem. Obok zaś pełnienia podobnych funkcji, miał kilkunastu ludzi, którzy pod jego zwierzchnictwem i na jego rachunek przemycali kontrabandy z zagranicy. Naganne to jego życie nigdy w nikim nie wzbudziłoby ku niemu ufności, lecz zwrócenie się jego ku Bogu nasunęło mi myśl, iż pod wpływem obudzonych uczuć religijnych może zmieni sposób dalszego życia. Sumienie oparte na wierze, dać może zapewnienie co do rzetelnego wywiązania się z poruczeń, jakieby obecnie zobowiązał się przyjąć na siebie i wykonać. Prosiłem więc gospodyni, aby go ośmieliła wyjść do nas. Dał się namówić i wyszedł. Zaraz na wstępie usprawiedliwiał się, iż nie tyle winien, ile mu nieprzyjaciele zarzucają, że nikogo nie zgubił, a broniąc się tylko

zmuszonym był szkodzić swym przeciwnikom. Zapytałem go, czy jest Polakiem? — „Tak, jestem nim.“ Więc jako Polak, powinieneś dziś pan być posłusznym władzy narodowej i oddać się na usługi, jakich od pana władza ta jest w prawie żądania.“ „Co by mi było zleconem, sumiennie wypełnię“ odrzekł. Położyłem krucyfiks na stole i zaprosiłem go do przysięgi. Ukląkł i przysiągł wierność Rządowi Narodowemu. „Teraz powiem jakie będą obowiązki pana rzekłem do niego. Masz pan ludzi, którzy pod pańskiem przewodnictwem trudnili się przenoszeniem przez granicę towarów, tych ludzi użyjesz na przenoszenie z Pruss broni. Zakupisz pan u pogranicznych mieszkańców pojedyńcze i dubeltowe strzelby za pośrednictwem tamecznych obywateli i częściami sprowadzisz do granicy. Ludzie pana przeniosą je i złożą w miejscu, jakie się oznaczy, rozumie się nie odległe od pasa granicznego. Albo wynajdziesz pan tam przedsiębiorcę, któryby zakupując w tamecznych fabrykach drobnemi partjami broń, sprowadzał ją do któregokolwiek punktu granicznego, z kąd łatwoby można przewieść na tę stronę. Za to od każdej sztuki udzieloną panu zostanie oprócz poniesionych kosztów przyzwoita nagroda“. Zgodził się z zadowolnieniem na moją propozycję, obiecując na początek dziennie dostarczyć sto sztuk. Po tem oświadczeniu przyrzekłem mu dać kartę bezpieczeństwa. Nadjechał tymczasem nieobecny właściciel kolonji. Powiedzieliśmy mu o zobowiązaniu się P . . . zapewnił nas, iż wierzyć

mu można i że swym majątkiem ręczy za wypełnienie polecenia, jakie P . . . przyjmie na siebie.

Dłużej nad 3 dni nie mogliśmy tu pozostawać, gdyż dano nam znać, że do Wisztyńca przyjeżdżali z Wierzbołowa objezdczycy. Pojechaliśmy więc dalej do Rykaciej. Tu równocześnie prawie nadjechali znajomi nam obywatele i powiedzieli mi, że Piotrowski i Kamiński znajdują się o parę wiorst ztąd u obywatela N. N. N. dokąd też ja zaraz udałem się. W. . . . . nie chciał jechać ze mną, pozostał i miał czekać na mnie. U pana N. N. N. oprócz Piotrowskiego i Kamińskiego zastałem panów X. X. i kilka innych osób kryjących się przed Moskalami. Piotrowski ubolewając przedemną nad nieszczęśliwym końcem wyprawy Jastrzębskiego, w skutek zawczesnego przyjęcia bitwy, zmiany dowódzcy i braku broni, mówił mi, iż ma zamiar zebrać rozproszonych powstańców i że już posłał do Prus trzech obywateli po zakupno w Królewcu karabinów i sprowadzenie ich ztamtąd na tę stronę granicy. Ja mu też objawiając moje spotkanie się z P. . . . przedstawiałem daleko większą łatwość i pewność w zakupieniu i sprowadzeniu przez niego broni częściami — pewność poręczoną przez znanego mi dobrze właściciela trzech kolonji. Obok tego nadmieniłem, iż hurtowny transport broni zwróci uwagę policji pruskiej i szpiegów moskiewskich, osiadłych przy konsulacie w Królewcu w celu pilnego śledzenia tam naszych stosunków. Piotrowski nie usłuchał mej rady. Zdawało się mu, iż wysłani obywatele, mając każdy po kilku znajomych w tem

mieście kupców, pomyślnie uskutecznią dostawę — i na tej zwodniczej pewności poprzestał. Przewidywania moje wkrótce się ziściły, — doszła nas bowiem wiadomość, iż owych wysłańców Piotrowskiego policja królewiecka wyśledziła — i gdyby się nie ratowali ucieczką, byliby przez Niemców, spełniających role carskich żandarmów, pojmani i oddani władzy moskiewskiej.

Nad rankiem rozjechali się wszyscy. Ja tylko jeden pozostałem, ale nie na długo, — w kilka bowiem godzin po ich odjeździe, przybiegł z Rykaciej umyślny posłaniec z zawiadomieniem, że przyszli tam Moskale, odbyli u Puciatyckiego rewizję i aresztowali wójta Wolańskiego. Niechcąc wystawiać obywatela, u którego bawiłem na niepokój przez moją u niego dłuższą bytność, tegoż dnia odjechałem do Kirsnej, gdzie się już znajdował Kamiński i tu kilka tygodni bawiłem.

Po niejakim czasie Kamiński otrzymał rozkaz udania się do Podlipek i wstąpić do założonego tam oddziału pod dowództwem Cybulskiego (Kochański). W tydzień potem, na początku marca i ja udałem się za nim i zapisałem się na listę żołnierzy. Wszystkich nas było sześćdziesięciu siedmiu, w tej liczbie i porucznik z moskiewskiego wojska, Iwaszkiewicz, czynny i uczciwy człowiek. Miejsce do obozowania obrano bezpieczne i wygodne, chociaż na śniegu pokrytym słomą odbywaliśmy noclegi. Pikiety nasze wzbraniały obcym zbliżenia się do obozu; po za obozem więc nikt nie wiedział z jakiej liczby składa się nasz oddział.

Włościanie w okolicznych wsiach wnosili, iż nas jest do pięciu tysięcy — i te swoje przypuszczenia rozpowszechniali. Pamiętam, w niedzielę bardzo rano, kazano nam się przygotować do wymarszu. Cztery komendy moskiewskie, z Grodna, Suwałk, Sejn i Marjampola okrążały nas zwolna. Bez posilenia się więc śniadaniem, pośpiesznie ruszyliśmy w pochód. Po południu około godziny drugiej stanęliśmy w jakimś folwarku u ekonoma. Tylko co zjedliśmy obiad, wpada nasza konna pikieta i ostrzega o zbliżającym się nieprzyjacielu. Dowódzca posyła Kamińskiego z siedmiu strzelcami na to miejsce, gdzie się pokazali Moskale. Zaledwie strzelcy rozlokowali się, jeden od drugiego dość odlegle, za wielkiemi kamieniami, leżącymi na płaszczyznie pola które przerzynała droga, kilkudziesięciu kozaków ukazało się, pędząc galopem przez pola i drogę tam i napowrót. Strzelcy nasi strzelali do nich — kozacy odstrzeliwali się, lecz straciwszy sześciu ludzi, porwali ich i skryli się w lesie. Cybulski wszystkich nas wtedy wyprowadził w pole. Po daremnem półgodzinnem oczekiwaniu, kazał nam wystrzelić i krzyczeć hura! Ztąd udaliśmy się napowrót przez folwark w tę stronę, dokąd przed utarczką mieliśmy wyruszyć. Banda Moskali atakująca nas, była z Sejn pod dowództwem Felknera, brata naczelnika szpiegów w Warszawie — składała się ona z kilku kompanji czyli rot piechoty i oddziału kawalerji. Felkner wnosząc, iż nas rzeczywiście jest do pięciu tysięcy, skoro sami wyszliśmy w pole dla przyjęcia bitwy, nie śmiał bez wiadomości o zbli-

żeniu się oczekiwanych wojsk z innych stron, uderzyć na nas. My zaś tymczasem przyszliśmy nocą nad Niemen. Tu nasz dowódzca oświadczył nam, iż siła oddziału pod względem ilości ludzi i braku broni zmusza go opuścić tę okolicę, za daleko położoną od miast, przez co utrudzoną była możność liczebnego zwiększenia się oddziału, zwłaszcza, że siły nieprzyjacielskie obecnie atakować nas mające, grożą widocznem niebezpieczeństwem. Z tych przeto przyczyn postanowił przeprawić się za Niemen. Zapytał nas, czy się zgadzamy na ten jego zamiar? Po ogólnem porozumieniu się, projekt dowódzcy uznaliśmy za niewłaściwy, a to dla tej przyczyny, że w bliższych nam miejscowościach zaniemeńskich nie objawiło się jeszcze powstanie i lud tameczny z swego usposobienia nikomu z nas nie był znany. Obok tego nie mieliśmy żadnych wiadomości, jakie w tamtych okolicach znajdują się siły moskiewskie, uważaliśmy więc, iż lepiej będzie rozejść się z bronią po kilku i szukać schronienia do czasu, zanim nowy w innem miejscu nie sformuje się oddział. Cybulski uznał te uwagi za słuszne. Nad rankiem więc poszliśmy partjami na różne drogi w jedną zmierzając stronę.

W tej części oddziału, w której ja znajdowałem się, z początku było nas dwunastu; wieczorem stanęliśmy pod wsią obywatela C .... gdzie już pozostało tylko czterech — inni po drodze rozlokowali się we wsiach. Poszliśmy do dworu prosić o furmankę. Obywatel ten zaraz odesłał nas dalej. Rano zatrzymaliśmy się u pana W. a po

trzechdniowym u niego wypoczynku, odjechaliśmy ku Balwierzyszkom. Idąc przez las pieszo natrafiliśmy na kilkudziesięciu powstańców, zostających pod przewodnictwem Kamińskiego. Założyliśmy więc obóz i on objął nad nami dowództwo. Przybył też do oddziału kapitan z moskiewskiego wojska Kulczycki, zdolny, jak się to później okazało i dobry oficer. Nieustannie czuwał on nad porządkiem w obozie i zaspokojeniem potrzeb każdego żołnierza. Staliśmy tu dwa tygodnie, przez ten czas doszła liczba oddziału do dwustu kilkunastu ludzi. Suwałki dość znaczny dostarczyły kontygens, — włościan nie wielu się znajdowało — przeważnie zebrali się urzędnicy, dawni wojskowi, oficjaliści, mieszczanie i kilku młodych szlachciców. W sprowadzonej do obozu kuźni osadzano na drzewcach kosy. Księdza jeszcze nie mieliśmy w obozie. Prosiliśmy dowódzcę, aby rozkazał modlitwę rano i w wieczór odmawiać. Kamiński zgodził się, i odtąd pilnował, aby regularnie o jednej godzinie była modlitwa odprawianą, przeznaczając mnie do mówienia modlitwy głośno. Oddział za mną powtarzał słowa prośby do Boga. Ze wszystkich stron ludność przychylna dawała dowódzcy znać o ruchu wojsk nieprzyjacielskich. Po upływie dwóch tygodni, Kamiński otrzymał wiadomość, która spowodowała, że wyruszył z tego miejsca. Poszliśmy w pochód a uszedłszy mil kilka, zatrzymaliśmy się u pewnego kolonisty, gdzie porobiwszy zapasy ładunków, na noc znowuż wymaszerowaliśmy. Gdyśmy przybyli do jakiejś wsi, w której mieszkał wójt (naczelnik żandarmów na-

rodowych) a którego nazwiska nie pamiętam, nad rankiem z rozporządzenia jego zjechali się włościanie i powieźli oddział na furmankach do folwarku Mikołajewa, będącego własnością nieobecnego obywatela S... Ekonom przyrządził nam śniadanie. Tylko cośmy się posilili, ktoś wbiegł do stancji i dał znać, że Moskale nadchodzą. Stanęliśmy wszyscy w dziedzińcu. Folwark ten od szosy, którą szło wojsko, położony jest mniej niż o półwiorsty. Moskale idąc, śpiewali pieśni, wcale niespodziewając się zobaczyć nas tutaj. Kamiński i inni przyglądali się ich pochodowi. Maszerowało dwie roty piechoty, dwa szwadrony dragonów i cztery armaty. Stanęli przed karczmą, napili się wódki i poszli ku Kownu. W wielkiem byliśmy niebezpieczeństwie. Całe bowiem uzbrojenie nasze składało się z trzydziestu kilku dubeltówek, z czterdziestu dwóch pojedynek, niektóre były szpagatem poprzewiązywane, a reszta uzbrojenia stanowiły kosy. Gdyby Moskale podpalili folwark, bylibyśmy zmuszeni w polu stoczyć bitwę i od tak przeważnej siły ponieślibyśmy zupełną klęskę — gdyż od lasów przegradzała nas droga, którą właśnie zajmowali Moskale. Cudownie więc zostaliśmy ocaleni, bo w jednej porze i w jednej i tejże samej wsi my byliśmy i nieprzyjaciele. Nikt z włościan Moskalom o nas nie doniósł, co dowodzi, jak patrjotycznie byli usposobieni. Po odejściu Moskali poszliśmy w lasy. Stanąwszy na drugi dzień wieczorem w bliskości drogi żelaznej, o półtory wiorsty od stacji Kozłowa-Ruda, zostaliśmy tu na noc. Na stacji znajdowała się sztucerna

rota strzelców cesarskich. Oddział domagał się u dowódzcy, aby stoczyć z nimi bitwę. Dowódzca nie był daleki od tego. Nazajutrz około południa, zbliżając się ku kolei, po drodze z za drzew z pośród lasu, ujrzeliśmy stojących naprzeciw nas, przy samej kolei Moskali, czekających już na nas. Kamiński i Kulczycki rozstawili oddział i sekcjami daliśmy ognia do leżących za szynami Moskali. Utarczka trwała blizko pół godziny. Kulczycki widząc bezskuteczność walki, zakomenderował: „Kosynierzy naprzód, marsz!“ Co usłyszawszy dowodzący rotą moskiewską oficer, zerwał się z ziemi i krzyknął: „rebiata za mnoju!“ Pędem nadzwyczaj szybkim puścili się Moskale ku stacji — a oddział nasz w pogoń dążył za nimi. Lecz za nim dobiegliśmy do drogi, o piętnaście sążni mniej więcej będącej od nas, już Moskale tak byli daleko uciekli, iż niepodobieństwem było ich dopędzić. Wszystkich żołnierzy na stacją przybiegło z roty tylko kilkunastu, reszta rozpierzchła się po lesie. Z naszej strony poległych i rannych wcale nie było. Potyczka ta pod Kozłową-Rudą, miała miejsce dnia 1 kwietnia 1863.

Zaledwie zeszliśmy z drogi, dały się nam widzieć wagony idące z Kowna z wojskiem. Widok ten jednak, nam ożywionym zwycięztwem, nieprzeszkadzał stanąć o wiorst kilka od kolei, na kolonji u strażnika leśnego. W godzinę po przyjściu w to miejsce, żołnierz nasz stojący na pikiecie, spostrzegł kawalerją moskiewską — nie strzelił, lecz przybiegł i dał nam o tem znać. W ten moment pobiegliśmy

na boczną drogę. Dowódzca z Kulczyckim rozstawili nas częściami po obydwóch stronach drogi. Czekaliśmy blizko godzinę, a gdy się poczęło zmierzchać, poszliśmy dalej.

Prowadził nas ścieżką włościanin, było to także 1 kwietnia. W bród przechodziliśmy rzeczkę. Noc była zimna, a nad rankiem pruszył śnieg. Z małemi wypoczynkami maszerowaliśmy przez kilka dni. Nareszcie w wielki piątek stanął oddział nasz wśród lasu obozem. Pierwszego dnia świąt Wielkanocy przybył do nas niestrudzony Józef Piotrowski a z nim nowy dowódzca pułkownik Aleksander Andruszkiewicz z emigracji, nominowany przez Rząd Narodowy, w miejsce Szwejkowskiego, na wojskowego naczelnika województwa Augustowskiego. Kamiński zdał mu oddział i odjechał pod Tykocin, nowy formować oddział *).

Zaraz na drugi dzień rano pułkownik Andruszkiewicz otrzymał wiadomość, że Moskale wyszli na wyprawę w celu zniszczenia naszego oddziału. Kazał się zbierać do wymarszu — i znów parę dni byliśmy w pochodzie. W końcu widząc pułkownik, iż oddział znużony jest bezsennością, pochodami i niewygodami obozowemi, pomimo rady Kulczyckie-

*) Aleksander Andruszkiewicz walczył za Polskę w r. 1831 i z armją polską przeszedł granicę. W emigracji był od początku do końca bardzo czynnym członkiem Towarzystwa demokratycznego; utrzymywał się ze służby rządowej francuzkiej jako konduktor dróg i mostów. W roku 1864 powtórnie emigrował. Umarł w Paryżu 13 grudnia 1868 r. Żył lat 56.

go, aby jeszcze odejść dalej i uniknąć starcia z przeważnemi siłami, stanął w lesie w bliskości Sapieżyszek. Tu polecił na drodze sypać szaniec, robić ładunki i gotować obiad. Działo się to popołudniu, we czwartek po świętach. Ja czując się zupełnie na siłach wycieńczonym, położyłem się spać. W tem zbudził mnie mój znajomy z Kalwarji, Jasiński. Zrywam się — nikogo nie widzę, tylko jego jednego. Oznajmił mi, że w tej chwili rozpoczyna się bitwa. Biegnę do miejsca gdzie stała broń moja ale nie znajduję mej dubeltówki. Zostawiona na jej miejscu inna również dubeltówka, lecz stara, zdezelowana, z jednym tylko zamkiem. Wziąłem ją i pospieszyłem na stanowisko między siedmiu strzelców, rozstawionych na dość znacznej przestrzeni, porosłej rzadkiemi i nie zbyt grubemi sosnami, — a rozpatrując broń moją, tak mi się lichą wydała, że miałem zamiar opuszczenia placu.

Moskale zaatakowali nasz oddział czterema sztucerowemi rotami, mając do pomocy stu dwudziestu objezdczyków. Ogień nieustanny trwał trzy godziny z połową. W toku bitwy doświadczony a mężny nasz dowódzca Andruszkiewicz, rozkazał oficerowi O... aby wiódł kosynierów do ataku, lecz O... nieusłuchał, nie wiem dla jakich przyczyn, może uważał, że trudno byłoby uwijać się wśród lasu z kosami. Objezdczycy zaś chcąc zabrać tył strzelcom, zbliżali się ku temu miejscu, gdzie nas ośmiu stało. Gdy się nam pokazali, zaledwie zmierzyliśmy się do nich, zaraz się cofnęli. Z tego wnosić należy, iż obrona jakąśmy stanowili, wydała się

im daleko silniejszą, jak była rzeczywiście. Przytem widzieli oni po prawej stronie nas, błota wielkie, których objechać nie mogli, zmuszeni więc byli zaniechać swego zamiaru.

Gdy się poczęło już zmierzchać, Andruszkiewicz zakomenderował odwrót. Najspokojniej w porządku cofnęli się strzelcy nasi a za nimi kosyniery, wcale nie będąc przez Moskali naciskani. Podzieliwszy się na partje, rozeszli się kilkoma drogami. Zabitych w tej bitwie pod Sapieżyszkami (9 kwietnia 1863) mieliśmy dziewięciu, rannych sześciu — między zabitymi pamiętam Bolesława Denela *) i Grabowskiego, a między rannymi dzielnego kapitana Kulczyckiego (zmarł w szpitalu w Kownie) i Staniszewskiego. Ile padło Moskali i ilu mieli rannych, nie można było wiedzieć, gdyż oni pozostali na placu. Powstańcy w tej bitwie dobrze się zachowali i mężnie się bili.

Dziesięciu nas dążyło przez lasy do niewiadomego punktu, w stronę, w którą zdawało się, że i inne partje poszły. Uszedłszy przeszło trzy mile, stanęliśmy na parę godzin we wsi a o świcie poszliśmy znów do lasu. Przy małym zaledwie tlącym się ogniu siedzieliśmy dzień cały, aby uniknąć spotkania się z Moskalami wracającymi z bitwy. Wiatr

*) Bolesław Denel należał do rzędu tej młodzieży, która w roku 1859 i 1860 pracowała nad rozbudzeniem ducha narodowego. Był on przyjacielem Edwarda Jürgensa i ważną w początkach ruchu odegrał rolę. Dwa razy aresztowany przez Moskali, którzy mu w końcu mieszkać kazali w Augustowskiem. Tu poległ. Piękny to był charakter.

zimny na wskróś nas przejmował. Jeden z towarzyszy wieczorem poszedł do osadnika C . . . i prosił, aby nam przysłał posiłek. Niebawem przyniesiono takowy. Po najedzeniu się, syn osadnika poprowadził nas do strzelca, mieszkającego w gęstym lesie opodal od drogi a o parę tylko wiorst od Kozłowej-Rudy, gdzie była poprzednio bitwa. Strzelec utraktował nas herbatą — i dał nocleg na miejscu otwartem, ogrodzonem tylko chróstem, gdzie poprzednio był bróg siana. Nazajutrz postanowiłem szukać tej partji, z którą szedł dowódzca. Przybywszy do C . . . . przebrany za strzelca, zastałem księdza reformata, którego on swoimi końmi odsyłał z powrotem do domu. Z nim więc i ja pojechałem. Po południu stanąłem u znajomego mi nadleśniczego w . . . . . W biurze urzędu leśnego znajdowało się kilka nieznanych mi osób. Nadleśniczy nie poznał mnie i przyjął z całą powagą swego urzędu, jako strzelca z innego leśnictwa. Nie mogąc w obec obcych dać mu się poznać — nizkim ukłonem poprosiłem go do sieni. Wyszedł za mną, a gdym mu powiedział swe nazwisko, rozśmiał się — wprowadził mnie do siebie, przyjął gościnnie i odesłał do naczelnika z ramienia Rządu Narodowego powiatu Marjampolskiego.

W godzinę mej podróży spostrzegłem kogoś zbliżającego się bryczką, zaprzężoną w parę dobrych koni. Droga wązka zmusiła obydwóch furmanów do ostrożnego mijania się. Woźnica jadącego obywatela pilnie patrzał mi w oczy, — a ja nawzajem przyglądałem się jemu — poznaliśmy się — lecz wo-

źnica ten był bardzo zdziwiony i blady, — zdawało się, iż nie wierzy swoim oczom. Skinął na mnie i kazał odesłać furmankę. Wsiadłem na bryczkę i usadowiłem się obok niego. Był to Mikołaj Akielewicz, syn włościanina z Marjampolskiego, zdolny literat a obecnie pomocnik komisarza Rządu Narodowego na Województwo Augustowskie, przebrany za chłopa. „To ty żyjesz!“ z uniesieniem odezwał się do mnie. Ja cię umieściłem na liście zabitych, zupełnie bowiem podobnego do ciebie widziałem na pobojowisku“. Poczem wskazał na obywatela rekomendując: że to jest naczelnik Narodowy powiatu Marjampolskiego, z którym jechał w celu wyszukania oddziału. „I ja właśnie po to jadę, rzekłem do naczelnika, aby z pomocą jego odszukać części oddziału z dowódzcą Andruszkiewiczem. Dziewięciu pozostawiłem w lesie w bliskości Kozłowej-Rudy“.

Wieczorem stanęliśmy we wsi na nocleg, — a naczelnik powiatu powrócił do domu. Nazajutrz rano udaliśmy się na furmance przez lasy i trafiliśmy na oddział nasz całkowicie już zebrany, do którego przybył z Kowna z moskiewskiego wojska oficer Górski. Andruszkiewicz posłał po dziewięciu moich towarzyszy, mnie zaś widząc zupełnie upadłym na siłach, uwolnił od służby frontowej, poruczając regularne zaopatrywanie obozów w wiktuały i amunicją. Odjechałem więc do naczelnika powiatowego, aby mu pomagać w obowiązku dostawy żywności i amunicji dla powstańców. U niego wypoczywając przez parę dni, opowiadałem przygody i powodzenia powstania w naszem województwie.

Opis ostatniej bitwy szczególniej zainteresował słuchających. Aby mieć lepsze o niej wyobrażenie, naczelnik powiatu wraz z małżonką swoją wyjechali ze mną na plac boju. Przyłączył się do nas dymisjonowany rotmistrz huzarów moskiewskich i wójt miejscowy. Po obejrzeniu miejscowości, w której stoczyliśmy potyczkę i rozważeniu pozycji, jaką my i Moskale zajmowali — jako też po uczynionem porównaniu powstańców z liczbą nieprzyjaciela i uzbrojenia jednych i drugich, rotmistrz zdziwiony wyrzekł: „Gdybym nie widział pobojowiska i tych kilkudziesięciu lichych strzelb, w jakie nasi byli opatrzeni a przytem gdybym nie wiedział o prawie żadnej znajomości sztuki wojskowej naszych powstańców — nigdybym nie uwierzył nietylko w to, że walka trwała trzy i pół godziny ale i w to, że taki nastąpił jej rezultat, jakim był rzeczywiście. Widząc to wszystko co wiem, nie mógłbym przypuścić, ażeby się kto odważył przyjąć bitwę na czele oddziału o tak słabej sile, z siłą tak znacznie wyższą dobrze wyćwiczonego wojska i zaopatrzonego w doskonałe sztućce a posiłkowanego liczną kawalerją.“

Wkrótce potem dowiedzieliśmy się, że zasłużony i waleczny Andruszkiewicz przeszedł z Marjampolskiego w powiat Augustowski i że chwilowo zdał dowództwo nad oddziałem oficerowi z moskiewskiego wojska, Brandtowi, sam zaś jako naczelnik wojewódzki, wziął dyrekcją nad całem w województwie powstaniem. Nastepnie rozeszła się wieść, że w oko-

lice Sejn przybył z Łomżyńskiego dość liczny oddział, pod dowództwem Wawra (Ramotowski).

Rząd Narodowy przez pośrednictwo Komissarza swego Józefa Piotrowskiego, polecił z Warszawy obywatelom zająć się spiesznie wielkiemi przygotowaniami, do mających się formować licznych oddziałów. Nakazał więc szyć odzież, bieliznę, obuwie, zbierać fundusze z podatku ad hoc ustanowionego na zakupienie broni i amunicji. Podatek miał być zebrany stósownie do rozkładu, jaki sami obywatele pomiędzy sobą uczynią. Poprzednio zaś, to jest w początkach powstania, w myśl podobnegoż rozporządzenia Komitetu Centralnego Narodowego, były już ustanowione na prowincji władze administracyjne. Okręgowi Naczelnicy, Kassjer powiatu, Naczelnicy miast, a nad nimi Naczelnik powiatu, nad wszystkiemi zaś Wojewoda czyli Naczelnik Cywilny wojewódzki. Urządzenie organizacji narodowej z rządem narodowym tajemnym na czele, wykonane zostało według projektu Agatona Gillera, wypracowanego jeszcze w czerwcu 1862 r. Po otrzymaniu wspomnianego rozkazu, obywatele zrobili rozkład podatku w okręgach, a Naczelników obowiązkiem było dopilnowanie zbioru należności w miarę potrzeb i rozkazów, komunikowanych im przez Naczelnika powiatu.

Do najwięcej potrzebnych rzeczy w powstaniu należała amunicja i broń, a na zapasach jej u nas zupełnie zbywało. Nie czekając więc na rozporządzanie wyższej władzy, po naradzeniu się z Naczel-

nikiem powiatu, pojechałem do jednego z dzierżawców dóbr .... mieszkającego w bliskości pruskiej granicy, dla porozumienia się z nim lub z jego wójtem, w jakiby sposób można sprowadzić potrzebną ilość prochu, ołowiu i inne potrzebne do uzbrojenia rzeczy. Wspomniany wójt mając stosunki z starozakonnym spekulantem z miasta Szak, prowadzącym handel z kupcami w Prusach, zobowiązał się za pośrednictwem jego dostarczać regularnie wszystko to, co się okaże potrzebnem, żądał tylko, abym oznaczył cenę każdego przedmiotu. Pozostawiłem to jego uznaniu, dozwalając postąpić spekulantowi pewien procent, byle na każde zawołanie dostarczał tego, czego wymagać będziemy i to w gatunku najlepszym.

Ułatwiwszy się w ten sposób, wróciłem do Naczelnika powiatu i zastałem u niego Naczelnika miasta Marjampola pana P... Korzystając z widzenia się z nim, prosiłem go, aby postarał się dla mnie o jakiekolwiek moskiewskie świadectwo pod obcem nazwiskiem — z uwagi na to, iż w ciągłych będąc rozjazdach, zwróciłbym na siebie podejrzenia źle myślących ludzi, albo też wreszcie mógłbym się spotkać z Moskalami; na ten to szczególniej wypadek, widziałem konieczną potrzebę posiadać przy sobie legitymację od rządu moskiewskiego. Naczelnik miasta dał mi swoje świadectwo. Dostałem przytem mundur i czapkę z gwiazdką i odtąd już jeździłem jako urzędnik carski.

W parę tygodni po zdaniu oddziału Brandtowi przez Andruszkiewicza, jeden z podleśnych zawiadomił nas, że do lasów o dwie mile drogi od Kretkompja nadeszli powstańcy. Udałem się tam w celu ich wyszukania. Na drodze, którą jechałem, napotkałem maszerujących czterdziestu powstańców pod przewodnictwem Pawła Suzina. Podleśny biurowy p. G..... był już przy nich i pierwszą pomoc w żywności udzielił mu obficie. Rozpytałem się jakie ich są potrzeby, w jakiem miejscu zamierzają stanąć? i wróciłem do domu. Niezwłocznie potem wspólnie z Naczelnikiem powiatu zajęliśmy się zaspokojeniem żądań Suzina. T. ... miał już gotową amunicję i przywiózł ją do podleśnego. Suzin stał na jednem miejscu kilkanaście dni. Przez ten czas wzrosła liczba oddziału do 120. Ochotników nie brakło. Sami włościanie bez namawiania przychodzili do obozu i zaciągali się do powstania. Wszyscy zaopatrzeni zostali w porządne mundurowe ubranie, amunicją i dość dobrą broń. Miejscowość w której bawił Suzin, jako niezbyt odległa od Kowna, Kalwarji i Marjampola, gdzie się koncentrowały siły moskiewskie, na dłuższy oddziału pobyt była niebezpieczną. Suzin też uznał potrzebę przeniesienia się w inną stronę za szosę i za kolej, bliżej ku oddziałowi walecznego Wawra.

Gdy tak powstańcze oddziały opuściły okolice Sapieżyszek, włościanie sami poczęli się zbierać w lesie, i zaczęli formować oddział. Do nich z Kowna pojedyńczo przybywali ochotnicy, wyprawiani

ztamtąd przez prostego lecz wielkiej odwagi i uczciwości człowieka, którego nazwiska nie pamiętam. Pełnił on dla lepszego ukrycia się obowiązki lokaja nawet u moskiewskich wyższych oficerów, wysyłał też do obozu nietylko znajomych mu kowieńskich mieszkańców, ale niekiedy i Moskali z bronią, między którymi znajdował się mieszkaniec Warszawy deportowany do Kowna i skazany na służbę wojskową za udział w manifestacjach, i ten to właśnie po przybyciu do obozujących włościan, jako z większą od nich ogładą i nieco już obznajomiony z wojskowością, począł formować oddział, nad którym objął dowództwo, nazwawszy się Szpakiem. Wszelkie potrzeby nowych tych powstańców tak pod względem odzieży, obuwia i bielizny, zostały przez naczelników: powiatowego i okręgowego zaspokojone, żywność dostarczali im włościanie. Wójt D... przez swe usilne starania, wymógł na włościanach swej gminy kilkanaście myśliwskich pojedynek, które powyciągali ze schowania i do obozu przesłali. Nie wielki zapas amunicji pierwszym razem sprowadzonej, Suzin zabrał z sobą. Znów więc T.... otrzymał polecenie zakupienia jej w większej daleko ilości, jak również materji na czapki i ośmset kos, których połowa przeznaczoną była dla zaniemeńskich dowódzców stósownie do żądania Wojewody kowieńskiego. Nie upłynął tydzień, a przedsiębiorca wszystko z Prus sprowadził. Z materyi dostawionej, panna K. obywatelka, uszyła ze swojemi przyjaciółkami kształtne czworograniaste czapki —

i tak oddział Szpaka kompletnie i porządnie został ubrany i na niczem mu nie zbywało. Broń tylko jaką jego żołnierze mieli, w tym kto ją widział, wzbudzała poniewolny uśmiech i zarazem litość. — Moskale z Marjampola zrobili na ten oddział wyprawę. Ponieważ jednak każdy podobny ich zamiar jeden z moskiewskich żandarmów, mający udział w naradach wojennych, jakie się odbywały przed każdą wyprawą, komunikował to, co uradzono narodowemu Naczelnikowi miasta, ten zaś niezwłocznie dawał znać o ich ruchach gdzie należało, przeto Szpak uprzedzony o grożącem niebezpieczeństwie, wybrał w lesie dogodne dla schronienia się miejsce i uniknął starcia z przeważnemi siłami. Chcąc jednak opuścić tę okolicę a zarazem najniepotrzebniej zaimponować Moskalom, poprowadził drużynę z pięćdziesięciu ludzi złożoną do Sapieżyszek. Postawił kilku powstańców na górach, dając mieszkańcom miasta do zrozumienia, że tam są główne jego siły a sam z resztą swego oddziału wszedł do kościoła. Było to w niedzielę. Był na nabożeństwie, potem utraktował swych żołnierzy objadem, a pozwoliwszy im i sobie dla wzbudzenia odwagi wypić trochę za wiele wódki, udał się następnie na furmankach przez szosę ku Balwierzyszkom. Tu przejeżdżali powstańcy przez taki punkt, na którym prawie ciągle widziany był ruch wojsk moskiewskich od Wejwer do Kowna. Tu więc zbudzony przez woźniców Szpak, wezwał do przytomności swych podkomendnych. Zsiedli z furmanek i szli dalej pieszo. Dwie roty Moskali

w boku opodal od drogi stojące, spostrzegłszy wśród lasu powstańców w amarantowych konfederatkach, jakich dotąd jeszcze nie widzieli — wnieśli, iż muszą to być siły znaczne, skoro odważyli się pokazać tak blizko Kowna, w nieładzie więc, bez komendy rzucili się do ucieczki przez płoty i ogrody a Szpak najspokojniej szedł dalej, do miejsca w lasach, które sobie obrał na dalszy swój z oddziałem pobyt. Tu w krótkim czasie powiększył liczbę swych żołnierzy do 150 ludzi. Nikt z innego stanu oprócz włościan nie służył w jego komendzie. Wolnym więc był od żywiołów racjonalnych, które być może w wykonaniu dziwnie nieraz śmiałych jego pomysłów, stałyby mu na zawadzie. Ślepe posłuszeństwo, surowa karność czasem z niepotrzebnemi dodatkami, obok czujności na wszelkie wygody żołnierza, były jego zasadą.

Duch przychylności dla sprawy niepodległości Polski, pomimo tego, iż skutki wojennych działań nie przeważały szali na naszą stronę, począł się silnie wśród wiejskiego ludu rozwijać. Po odejściu Szpaka, znów kilkudziesięciu włościan zgromadziło się w lasach Sapieżyszkowskich. Czekali na broń, lecz jej nie było. Oswojeni z kosą, lekce ją sobie ważyli i nie brali do ręki. Wzniecony w nich zapał patrjotyczny wszystkiemi sposobami staraliśmy się podtrzymywać. Zawiadomiony o tem nowem zebraniu się włościan, mężny Suzin, przysłał Glazera, który przy nim znajdował się na służbie, aby ich doprowadził do jego oddziału. Glazer zebrał furmanki i powiózł iah ku Balwierzyszkom. Napadnięty

przez Moskali w drodze, zginął zabiwszy z dubeltówki dwóch kozaków — a włościanie żadnej nie mając broni, uciekać zmuszeni byli.

Tak przykry stan rzeczy mocno nas niespokoił. Komisarza Piotrowskiego od dawna nie widziałem, a mając wówczas sposobność porozumienia się z Naczelnikiem Cywilnym Województwa, Cyrjakiem Akordem, posłałem mu raport, opisujący podnoszenie się we włościanach północnej strony Augustowskiego entuzjazm patrjotyczny i następstwa z niedostatku broni. Prosiłem go, aby dał Naczelnikowi powiatu upoważnienie do zakupienia karabinów w Prussach. Tymczasem zaś porozumiałem się z T..... o sprowadzeniu ich; on zaś zapewnił mnie, iż żadnej w sprowadzeniu nie będzie trudności, poprzednio już bowiem mówił o tem z przedsiębiorcą, a ten chętnie zgodził się przyjąć na siebie i tę nową dostawę.

Znany mi dzierżawca ręczył za rzetelność dostawcy i zarazem doradzał w ten tylko jedynie sposób sprowadzać na przyszłość broń z zagranicy, najloiczniej utrzymując, jak już poprzednio nadmieniłem, iż małoznaczące transporta pieszo przez granicę przemycane, nie zwrócą uwagi władz pruskich i moskiewskich. Na poparcie zaś pewności wystawiał za przedsiębiorcą kaucję trzy tysiące rubli. — Akord przez Akielewicza ustnie mnie zawiadomił, że wkrótce już nadejdzie transport zakupionych przez niego karabinów. Niejaki pan L.... zajął się tym komisem. Jeździł i to bardzo często przez wieś

Kretkompie ku pruskiej granicy. Starania jego z powodów bardzo zwyczajnych, zwykłemu uległy skutkowi. Prussacy na granicy zabrali broń, z tej głównie przyczyny, iż hurtownie a nie częściowo była zakupioną i sprowadzoną. Tak więc oczekiwania nasze zupełnie zawiedzionemi zostały.

Pomimo jednak krytycznego położenia w jakiem się znajdowało powstanie, nowe oddziały na rożnych punktach Augustowskiego poczęły się ukazywać. Kamiński z Łomżyńskiego, z pod Tykocina przyprowadził w okolice Balwierzyszek dwieście przeszło ludzi, Suzin z swoim oddziałem w kilka tygodni zgromadzonym, nadszedł w toż samo miejsce i wspólny założyli obóz. Wiktor Hłasko pod zasłoną Wawra, z kilkudziesięciu ludzi także uformował oddział, a do tego jeszcze Komisarz Józef Piotrowski, nie wiem czy z rozporządzenia Rządu Narodowego, czy też z własnego natchnienia począł tworzyć kawalerją. Obywatele dostarczali koni, odzieży i rynsztunku a pałasze i pistolety udało się jakoś sprowadzić z zagranicy. To co nie było potrzebnem, dziwnie — bo w prędkim czasie doszło do skutku. Z kilkuset ludzi składał się ten konny oddział, oddany pod dowództwo wysłużonego w wojsku polskim oficera starego Rychlewskiego.

Nie znam się na sztuce wojskowej, śmiało jednak wypowiadałem i wypowiadam moje zdanie, że pomysł formowania konnego oddziału nie był praktyczny.

Brak czasu i miejsca do ćwiczeń wojskowych, głównie powinien był urzeczywistnieniu tego przedsięwzięcia stanąć na przeszkodzie, bo czyż kawalerja nie umiejąca się fechtować, nie wyćwiczona dokładnie w służbie, może się mierzyć z wydoskonaloną kawalerją nieprzyjaciela? A cóż mówić o jej znalezieniu się w razie zaatakowania jej przez piechotę; — i dobra kawalerja nie zawsze może znieść taki atak, a cóż dopiero młoda nie wyćwiczona powstańcza jazda! Oddziały nasze piesze dla braku doniosłej broni i niedostatecznej znajomości obrotów i sygnałów wojskowych, zmuszone były trzymać się lasów — i niekiedy wązkiemi dróżkami, wśród ciemnej nocy, zachowując się najspokojniej, nie zdradzając się głośnem mówieniem, odbywać pochody, aby podejść nieprzyjaciela, lub też w skutek przeważnych sił jego uniknąć z nim starcia, a jakżeby w takich leśnych pochodach mogła kawalerja asystować piechocie i być pod jej zasłoną? Sama zaś jazda nie mogła mieć dostatecznej siły na własną obronę, chociażby nawet dla tego tylko iż oddział Piotrowskiego z dość ograniczonej składał się liczby. Po tem wszystkiem com powiedział jasną jest rzeczą, iż oddział z samej jazdy nie powinien był być formowanym, bo nie mógł istnieć samodzielnie i nie istniał też długo. Zaskoczony przez kawalerję nieprzyjacielską, mającą w odwodzie piechotę, zupełnie został rozbity — nie zaraz wprawdzie, lecz w miesiąc po swem uorganizowaniu się.

Wzrastanie liczebne oddziałów naszych zaniepokoiło Moskali i pobudziło ich do więcej jak dotąd częstych i energicznych na nie napadów, zwłaszcza, że siły powstania w prowincjach Litwy również dla braku broni nie mogły się powiększać, a te które istniały, przez częste bitwy, coraz do mniejszej schodziły powagi. Dla tej to przyczyny Moskale z tamtych okolic stopniowo posuwając się do naszego Województwa, ułatwiali tu stojącym wojskom możność ponawiania ataków. I tak na oddział Wawra (Ramotowskiego) w Sejneńskiem wyszło siedm rot piechoty i kilkudziesięciu kozaków z jednej, a dwie roty i sześćdziesięciu huzarów z drugiej strony — i obsaczyli go. Wawer atoli zrecznym manewrem uszedł z pomiedzy nich niepostrzeżony. W czasie zaś tej wyprawy, Hłasko i Brandt zaczepili Moskali stojących w Kadyszu (21 maja) i rozpoczęli z nimi bitwę, w toku której ci dowódzcy spostrzegłszy zbliżające się ku Moskalom posiłki, po dwugodzinnej walce cofnęli się w lasy. Wawer zaś uniknąwszy starcia, podążył na to miejsce, zaatakował te same wojska moskiewskie, rozbił je, zabrał bagaże, amunicją i kilkadziesiąt sztuk sztućców. Moskale zostawili na placu sto dwudziestu zabitych i kilkunastu rannych. Z naszej strony zabitych jedenastu i siedmnastu rannych. Między zabitymi w tej świetnej dla polskiego męztwa i zręczności wodza bitwie, wiadome mi są te tylko nazwiska: Józefa Hłasko, Werpachowskiego, Butkiewicza (mający żonę i dzieci) i Stanisława Pronaszko.

Po tej bitwie, wojsko nieprzyjacielskie w zupełnym nieładzie uciekało od pobojowiska. Gwar zmieszany z krzykiem, rozlegał się po lesie, do którego ono, dla ocalenia, wpadło po pięciowiorstowej przez Wawra pogoni. Usłyszawszy krzyki uciekających oddzielna banda moskiewska, znajdująca się pod tę porę na wypoczynku przy drodze, w tymże samym lesie, wniosła, iż to są powstańcy. Żołnierz stojący na pikiecie, ujrzawszy biegnących w popłochu pojedyńczo a nie w szeregach ludzi z bronią, dał do nich ognia. Za nim po chwili i całe wojsko już uporządkowane strzeliło. Uciekający więc Moskale w trwodze, uważając pikietę i strzelające wojsko za nowy powstańczy oddział, również dali ognia i tak bili się ze swoimi z półgodziny. Naturalnie, że plac otrzymali. Ile w tej bitwie ze swoimi sami sobie zrządzili szkody? niewiadomo.

W kilka dni po tej pomyślnej dla naszych oddziałów bitwie, Paweł Suzin i Kamiński, od wysłanego na zwiady włościanina otrzymali wiadomość, iż znaczne siły nieprzyjacielskie spieszą do zaatakowania ich oddziału. Dla sprawdzenia tej wiadomości, Suzin wysłał kawalerją obozową w stronę, z której według objaśnień włościanina miał się ukazać nieprzyjaciel. Kawalerja przeszło na milę drogi zrobiła wycieczkę, a nie napotkawszy Moskali, wróciła do obozu. Podejrzywając donosiciela o sprzedajność i ztąd mylne wskazanie strony, w której się nieprzyjaciel miał znajdować, Suzin opuścił miejsce obozowe i wraz z Kamińskim zbliżył się ku Balwierzy-

szkom dnia 23 maja, o cztery wiorsty od miasta. Rozciągnął linję bojową przy drodze pod lasem, — a sam usunąwszy mieszkańców z kolonji znajdującej się mniej jak o wiorstę od punktu rozpostarcia oddziału, z trzydziestu ludźmi zrobił w domu na Moskali sadzkę. Wkrótce po tem nadzwyczajnie spiesznem zajęciu pozycji, spostrzegli nasi płonące w swym obozie baraki. Tu podejrzenie Suzina usprawiedliwionem zostało. Moskale nie z tej jak mówił donosiciel, lecz z przeciwnej strony weszli do obozu — i tak go okrążyli, że gdyby nie przezorność tego dowódzcy, oddziały nasze zupełnej doznałyby tu klęski. Po spaleniu baraków i splądrowaniu tej miejscowości, wojsko moskiewskie poszło śladem za powstańcami. Przednia straż składająca się z kilkudziesięciu kozaków, wyrównawszy się z domem, w którym był ukryty Suzin, przywitaną została ogniem naszych strzelców, a będąc tym sposobem blizko o połowę zmniejszoną, uciekła do swoich. — Suzin w tej chwili z strzelcami podążył do swego oddziału. Wojsko nieprzyjacielskie zajęło pozycją naprzeciw naszych szeregów i rozpoczęła się bitwa. Pomimo tego, iż Moskale przez czas jej trwania nieustannie armatnie miotali strzały, naszych zabitych było tylko sześciu. Ilu nieprzyjaciele stracili, trudno było dokładną mieć o tem wiadomość, gdyż ani nasi, ani oni od swej pozycji nie byli odparci. Wojsko moskiewskie wróciło przez Balwierzyszki i tam oficerowie do żydów mówili, iż zabitych mieli czterdziestu ośmiu, a zarazem zachwy-

cali się odwagą i roztropnością Suzina, który w czerwonej, jedwabnej bluzie z szpicrutą w ręku, przechadzał się pod najsilniejszym nieprzyjacielskim ogniem.

Na trzeci dzień po bitwie udałem się do Okręgowych po rekwizyta wojskowe, a będąc w blizkości obozu naszych, pojechałem dowiedzieć się o szczegółach bitwy. Po za obozem napotkałem Suzina, chodził oglądać pikiety — przywitał się ze mną i przyrzekł zaraz wrócić. W obozie trafiłem na nabożeństwo. Ołtarz był urządzony między drzewami, majową zielenią ozdobionemi. Msza św. była śpiewana. Powstańcy harmonijnie pięknie śpiewali pobożne pieśni. Cztery oddziały: Suzina, Kamińskiego, Brandta i Hłaski (te dwa ostatnie po bitwie nadeszły) formowały czworobok. Dowódzcy z oficerami stali w pośrodku. Po sumie było kazanie. Nadszedł Suzin, zarekomendował mnie Brandtowi, którego jeszcze nie znałem. Zabawiłem godzin kilka w obozie i pożegnałem znajomych, a walecznego Suzina niestety na zawsze!

Brandt i Hłasko opuścili ten obóz udając się do Łoździej, a ztąd w powiat Sejneński. Po ich odejściu Suzin zawiadomiony o daleko większej na niego moskiewskiej wyprawie jak była poprzednia, poprowadził swój i Kamińskiego oddziały także do Łoździej. Kamiński przed tem opuszczeniem okolic Balwierzyszek, zdał swój oddział Suzinowi, a sam pojechał w powiat Łomżyński. Z Łoździej Suzin pomaszerował pod Preny i tu przeprawił się przez

Niemen do Olity. Dowiedziawszy się zaś, że i Moskale pędząc za nim, także się już przeprawili w stronę zaniemeńską — wrócił znowuż na tę stronę Niemna. Moskale szli wzdłuż rzeki, nasi leżąc na ziemi ukryci do nich strzelali. Po jednogodzinnej pod Olitą utarezce (20 czerwca) Suzin posunął się do wsi Staciszek pod Sereje, gdzie zastał Hłaskę. Nieprzyjaciel nie przestał ścigać i znów przeprawił się przez Niemen. W trakcie tego jeden z obywateli zawiadomił Suzina, że z innej strony idzie na niego dwutysięczna wyprawa moskiewska. Ta wiadomość (wymarzona) zakłopotała naszego dzielnego dowódzcę. Oczekując co chwila nadejścia z za Niemna Moskali, urządził się w ten sposób: Hłaski oddział postawił o wiorstę drogi wzdłuż jeziora Duś, zkąd spodziewał się nadejścia dwóch tysięcy. Ta pozycja stanowiła zarazem lewe skrzydło. Suzina zaś oddział zajmował środek i prawe skrzydło. Tu Suzin z kilkunastu strzelcami zrobił zasadzkę w karczmie stojącej w blizkości drogi i tu się zjawiło dwóch kozaków poszukujących śladów pozostałych na drodze po przejściu naszych. Jeden z powstańców na widok nieprzyjaciół zniecierpliwiony, pomimo najsurowszego zakazu, aby nie strzelać bez komendy, dał ognia do kozaka i zabił go, lecz przez to plan Suzina zniweczył.

Wybiegł Suzin ze strzelcami do swoich szeregów i Moskale też zaraz nadeszli i zajęli pozycją naprzeciw naszych oddziałów. Prawe skrzydło nasze silnym ogniem spotkało nieprzyjaciela. Zacięta

rozpoczęła się bitwa, w toku której Paweł Suzin poszedł z kosynierami do ataku, lecz ugodzony kulą w bok, powstrzymany został w swym heroicznym zapędzie. Kosynierzy sami doszli do szeregów nieprzyjacielskich i dość długą mieli z nimi rozprawę. Suzin drugą odebrał ranę i kiedy go już nasi odnosili po za szeregi, oficer T. S.... przewidując po stracie dowódzcy przegranę, jako jeden z wyższych i zaufańszych oficerów Suzina, przybiegł do niego i zapytał: w którą stronę każe się rejterować. Suzin omdlały z nieodstępującą go nigdy odwagą wyrzekł: „nie masz rejterady! Jezus Marja naprzód!“ i w kilka minut skonał. Bitwa ta pod Staciszkami (21 czerwca) piękna dla polskiego męztwa lecz nieszczęśliwa, trwała po śmierci Suzina przeszło godzinę. — Oprócz Suzina padło naszych trzydziestu dwóch. U Moskali zabity był także dowódzca, czterech oficerów i ośmdziesięciu kilku żołnierzy. (O poległych Moskalach zawiadomił na drugi dzień obywatela B. pewien urzędnik z za Niemna.) Oficer T. S... poprowadził oddział do Wawra, a Moskale odeszli za Niemen. Wawer w miejsce Suzina przeznaczył na dowódzcę majora Czempińskiego (inżyniera z Wiłkowyszek) i oddziały te razem stały przez tydzień w powiecie Sejneńskim.

Obywatele z okolicy Staciszek, gdzie się odbyła ta bitwa, zajęli się pogrzebem poległych. Suzina włożono w trumnę i umieszczono na katafalku w Serejskim parafjalnym kościele. Na pogrzeb licznie zgromadził się lud, — przybyło też i kilkunastu

z oddziału jego żołnierzy. Po odbytem nabożeństwie jeden z księży miał rzewną mowę, przerywaną płaczem słuchaczów — a kiedy wyrzekł te słowa: „Pawle! zawcześnie nas opuściłeś!“ — zemdlało trzech powstańców. Odgłosy łkania i gwar około ratowania omdlałych uniemożebnił dokończenie mowy. — Zdjęte ciało z katafalku nieśli za kościół powstańcy i gdy przestąpili próg, żydzi odebrali ciało bohatera niosącym i sami zanieśli na cmentarz, gdzie wszyscy zabici przy swym dowódzcy złożeni i pogrzebani zostali.

Paweł Suzin dla wrodzonych a pięknych przymiotów był bardzo ceniony i umiał u podwładnych i całej ludności pozyskać sympatją. Łagodność i stanowczość jego charakteru z ludzkością i z pobłażliwością nawet dla występnych połączona, obok braterskiego obchodzenia się z żołnierzami i niezrównanej waleczności, jakiej dał dowody, pozostawiła po nim w pamięci znających go osób i w pamięci narodu całego, miłe i chlubne o nim wspomnienie.

Hłaski oddział nie uczestniczył w tej bitwie, stanowiąc lewe skrzydło, nieruchomą zachował postawę. Żołnierze też Suzina a nawet i jego podkomendni sarkali na niego — i rzeczywiście, nie wiedząc jakie przyczyny zniewalały go pozostawać bez współudziału aż do końca walki, nie podobna było innej jak potępiającej wydać na niego opinji. Po bitwie poprowadził Hłasko swój oddział w miejsce bardzo niebezpieczne, gdzie otoczony zewsząd Mo-

skalami, został rozbity. Potem widząc się z nim, zapytywałem go dla czego nie pomagał Suzinowi? Tłumaczył się tem, iż Suzin zalecił mu, aby dopóty nie ustępował z pozycji, jaką mu wówczas przy jeziorze wskazał, dopóki go sam nie zawezwie. Suzin dając to polecenie Hłasce miał na względzie doniesienie owego obywatela ..... o zbliżaniu się dwóch tysięcy Moskali. Hłasko nie mógł więc, jak twierdził, wbrew temu rozporządzeniu Suzina działać.

Wawer i Czempiński stojąc jeszcze w Sejneńskim powiecie, zawiadomieni o zamiarze księcia Witgensztejna, głównego moskiewskiego dowódzcy w Suwałkach, otoczenia ich i zaatakowania z siłą tak znaczną, że stawienie oporu nieochybnie sprowadziłby mogło jeżeli nie zupełną porażkę, to co najmniej przyprawiłoby ich o bardzo znaczne straty, zdecydowali się, unikając bitwy, przejść w powiat Augustowski. Po kilkotygodniowym pochodzie z wypoczynkami, stanęli pod wsią Gruszki. — Brak w tem miejscu żywności mocno się dawał uczuć w obozach, co dało powód dwom powstańcom do ucieczki, lecz niepomyślnej dla nich, gdyż zaraz po opuszczeniu obozu dostali się do niewoli — i znagleni zostali prowadzić wojsko nieprzyjacielskie na miejsce wypoczynku oddziałów naszych. Wtedy kiedy oni opuszczali obóz, oddziały stały po jednej stronie lasu — po ich zaś ucieczce przeszły na drugą stronę. Dowódzcy z czasu na czas oczekując napadu nieprzyjaciół, zalecili w obozach największą spokojność i milczenie, — trwało to godzin kilka.

Wtem jeden ze śpiących żołnierzy uderzył nogą w swoją broń i ta mu wystrzeliła w piersi. Strzał zwrócił uwagę Moskali tuż o pół wiorsty tylko stojących i naprowadzonych przez dwóch wspomnianych zbiegów. Niebawem rzucili się do bitwy. Strzelcy nasi położyli się przy strumieniu i dobrze kierowanym ogniem znacznie przerzedzali szeregi nieprzyjacielskie. Następnie Wawer i Czempiński natarczywie, całemi siłami uderzyli do ataku, co zmusiło Moskali do ucieczki tak gwałtownej, iż piechota rzucała broń. Tu nasi zabrali dwieście przeszło sztucerów, — zabitych Moskali zostało na placu ośmdziesięciu pięciu i rannych dwudziestu pięciu, w tej liczbie trzech oficerów. Z naszej strony padło w bitwie pod Gruszkami (28 czerwca) ośmnastu i rannych dwudziestu czterech.

Po zwycięzkiem ukończeniu walki, obadwa oddziały posunęły się o parę mil naprzód i stanęły na wielkim placu w pośród lasów, zewsząd otoczonym bagnami, który okoliczni mieszkańcy nazywają „Kozim rynkiem“, gdzie nazajutrz (29 czerwca) równo ze świtem znów zaatakowane zostały przez ośmnaście rot piechoty. Dowódzcy nasi nie chcieli i nie mogli z tak licznem wojskiem wchodzić w zapasy. Czempiński więc natarł w jednym punkcie na Moskali — i ci bez oporu dali mu wolne wyjście, zkąd udał się napowrót ku Lipskowi murowanemu, a Wawer jednocześnie w przeciwną uderzył stronę i straciwszy trzech tylko ludzi, przerznął się i stał na bagnach przez trzy dni. Po odejściu Moskali

wyszedł, połączył się z Czempińskim i obadwa oddziały przeszły w powiat Łomżyński. Kawalerją obozową, składającą się ze stu pięćdziesięciu koni, odprawili naprzód pod Tykocin, a piechota z okolic Szczuczyna jechała na furmankach. Przybywszy do Radziłowa o godzinie 2 po południu 5 lipca, zatrzymali się aż do wieczora. A gdy nowe furmanki już były przygotowane i stały za miastem o wiorstę drogi, oddział Wawra odprawił się na nich ku Wiźnie; Czempiński zaś z swym oddziałem stanowiąc tylną straż, pozostał jeszcze w mieście — i dopiero w godzinę, kiedy się poczęło zmierzchać, wyszedł ku furmankom w stronę wsi Racibory. Oddaliwszy się o kilkadziesiąt kroków nasi usłyszeli za sobą gęste strzały, na które zwróciwszy się, odpowiedzieli także strzałami; następnie na komendę Czempińskiego powrócili do miasta. Moskale szybko cofnęli się; powstańcy z zabitych pod Moskalami koni zdjęli rynsztunek i nie długo bawiąc znów wymaszerowali w tęż samą stronę. Kawalerja atoli nieprzyjacielska nie przestawała z tyłu nacierać na nich, i tak przez mil kilka do rana nasi ciągle mając za sobą Moskali, doszli do wsi Sieburczyna.

Tu Czempiński zdecydował się przyjąć bitwę; ulokowawszy oddział w dworskim dziedzińcu, długą zaciętą prowadził walkę. Nareszcie dowódzca moskiewski widząc uporną postawę powstańców i zarazem znaczne w swych szeregach straty, kazał się wojsku swemu cofać. Wtedy powstańcy natarczywie uderzyli na nich i rozproszyli. W tej atoli bitwie

(6 lipca) nasi wielką ponieśli stratę, bo oprócz trzydziestu kilku zabitych i sześćdziesięciu rannych, zginął tych samych zalet co Suzin, równie waleczny jak roztropny dowódzca, major Czempiński. Moskali w tej bitwie i w utarczkach w drodze padło stu ośmdziesięciu. Ponieważ zwycięztwo zostało przy naszych, więc zabrali u swoich poległych i u Moskali broń — a wziąwszy na furmanki rannych dążyli za Wawrem, który przeprawiwszy się za Narew stanął pod wsią Rudnikami — i tu dwa tygodnie obadwa oddziały w jeden połączone odpoczywały.

Wawer posunął się następnie w powiat Ostrołęcki, tam napotkał oddział Jasińskiego i wspólnie z nim przyjął bitwę z Moskalami, po której z różnych względów Wawer widział się w konieczności rozpuścić swych żołnierzy, zalecając im, aby się zgromadzili w Sejneńskim powiecie.

Zdarza się, że niekiedy okoliczność na pozór małej wagi wyradza nieprzewidziane a pełne znaczenia następstwa. Sprawa Komissarza Józefa Piotrowskiego, o której na tem miejscu wspomnieć mi należy, jest potwierdzającym podobne zdarzenia dowodem.

Nie wiem jaki interes służbowy spowodował Piotrowskiego do zbliżenia się o pięć wiorst ku Sejnom, gdzie Felkner z wojskiem moskiewskiem miał stałe siedlisko. Stanął u jakiegoś obywatela źle dla kraju usposobionego, którego obecnie nazwiska nie przypominam, i kazał dać sobie furmankę. Obywatel odmówił i dopominanie się Pio-

trowskiego obojętnie traktował. Lecz gdy Piotrowski uciekł się do pogróżek za zatrzymywanie go i już zamierzał iść piechotą, dał mu furmankę, ale tak nędzne były konie, że pospieszna na nich jazda była niepodobną — a zatem i niebezpieczną, gdyż Moskale z Sejn częste robili wycieczki. Pojechał jednak i dostał się do powstańczego obozu. Rozjątrzony lekceważeniem i uporem szlachcica, Piotrowski napisał rozkaz wyliczenia mu za nieposłuszeństwo kilkunastu plag — i dla wyegzekwowania posłał z obozu żołnierzy. Żołnierze przybywszy na miejsce, zastali u tego obywatela kilku sąsiadów. Wyprosili go z pomiędzy nich do drugiego pokoju i najprzód pokazali mu rozkaz, a potem rozciągnęli i ochłostali go. Obywatel udał się ze skargą do Naczelnika wojewódzkiego, Cyrjaka Akorda. Akord posłał obszerny o tem zajściu raport do Rządu Narodowego, nadmieniając, iż Piotrowski w własnej sprawie nie mógł i nie powinien był być sędzią. Piotrowski otrzymał polecenie stawienia się do Warszawy — i stanął przed Rządem Narodowym, usprawiedliwił się z tego czynu i został przeznaczony na pomocnika organizatora miasta Warszawy [1]). Na miejsce zaś jego Rząd Narodowy przy-

[1]) We wrześniu Józef Piotrowski został mianowany Naczelnikiem miasta Warszawy i ważny ten obowiązek spełniał z energją rewolucyjną, która go cechowała. W skutek wymuszonego przez Moskali zeznania jednego z urzędników organizacji, ujęty w nocy w czasie snu, osadzony został w cytadeli, gdzie był bity i męczony. Wytrzymał wszystkie

słał Artura Awejdę (brata Oskara członka Komitetu Centralnego a potem Rządu Narodowego). — Nowy ten Komissarz, poprzednio professor gimnazjalny w Łomży, nie znał dobrze spraw powstania i stanu narodowej organizacji w województwie Augustowskiem, nie mógł więc z taką korzyścią pełnić swych obowiązków, z jaką Piotrowski, praktycznie już będąc obznajmiony z funkcjonowaniem organizacji, wypełniał chociaż także nie zupełnie dobrze, bo w rzeczy głównej tj. sprowadzania broni, najnieodpowiedniejszych używał środków. Awejda

próby, nikogo nie zdradził. Pieczęć, jaką przy nim znaleziono, kompromitowała go wobec Moskali i różne zeznania. Osądzony został na śmierć przez powieszenie. Przed egzekucją spowiadał się, przyjął śś. Sakramenta, — poczem przez spowiednika zwrócił swej narzeczonej pierścionek. Przyprowadzonemu pod szubienicę, na stoku cytadeli, 21 listopada, założono na szyję stryczek, ale tak źle, że nie prędko mógł się udusić, — ściśnięciu bowiem gardła przeszkadzał przyrządzony umyślnie na powrozie węzeł, na którym opierała się szczęka, i przez to utrudzone było ściągnięcie się petli i uduszenie. W długiej męczarni dokonywał życia ten niezłomnego charakteru człowiek. Przyczyna mszczenia się nad nim w tak okrutny sposób pochodziła ztąd, iż Piotrowski będąc człowiekiem silnego charakteru, nikogo przy badaniu nie skompromitował i nic na szkodę sprawy nie wyznał. Ten mój domysł opieram na doświadczeniu. Każdy więzień nawet w czasach dawniejszych, odznaczający się wielkim charakterem i wolą, okazaną w zamilczeniu położenia sprawy, o której wiedział, lub nazwisk osób do niej należących, przez ciężkie mordercze przechodził próby — i albo w nich życia dokonywał, albo też będąc znękanym, zupełne niedołęztwo na całe życie z więzienia wynosił.

wkrótce po swojem przybyciu w powiat Sejneński, stanął w majątku dzierżawionym przez Tomaszewskiego. Dano mu niepotrzebnie znać, że idą Moskale, bo wtedy kiedy już przeszli. Wybiegł więc z domu i pędził do lasku. Wtem pozostały z tyłu za wojskiem kozak spostrzegł go uciekającego, dopędził i wystrzałem zabił. Pochowany został w Smolankach. Żył lat 27. Był to człowiek światły i prawy.

Rząd Narodowy otrzymawszy o tym wypadku doniesienie, przysłał na miejsce Awejdy, Bronisława Radziszewskiego (pod nazwą Ignacego Czyńskiego), lecz nie w charakterze Komissarza rządowego, ale jako z większą władzą Komissarza pełnomocnego na województwo Augustowskie. Co raz więcej utrudniana komunikacja władz narodowych na prowincji z Warszawą, spowodowała najwyższą władzę do wydelegowania osoby, uposażonej we władzę bardzo szeroką, która w imieniu Rządu, często bez odniesienia się do niego, zajmowała się zarządem województwa. Wyboru nie można było uczynić lepszego. Radziszewski odznaczał się rozumem, gorliwością, taktem i wielkiem poświęceniem. Pozostał on aż do upadku powstania i jeden z ostatnich opuścił województwo.

Po odejściu Wawra i Czempińskiego, dłuższy pobyt Brandta w okolicy Sejn stawał się niepodobnym; chociaż bowiem powiększył on nieco liczbę swych żołnierzy przez przyłączenie rozproszonych powstańców z oddziału Hłaski, niepodobieństwem

jednak było z tą siłą jaką rozporządzał mierzyć się z tysiącami wojsk nieprzyjacielskich. Rozpuścił więc oddział i kazał iść powstańcom w powiat Łomżyński do Nowogrodu nad Narwią.

W owym czasie powstanie za Niemnem w Kowieńskiem województwie liczyło już tylko trzy oddziały: księdza Mackiewicza, Wisłoucha i Gleby. Upadek litewskiego powstania wynikły z braku broni, dał możność, jak już poprzednio nadmieniłem. dowódzcom moskiewskim wysyłania ztamtąd znacznych posiłków w województwo Augustowskie. Tym ruchem wojsk nieprzyjacielskich, kierowanym z Wilna przez Murawiewa-Wieszatiela, Gleba przyparty do brzegów Niemna, przeprawił się na tę stronę z niewielkim pieszym oddziałem i częścią kawalerji. Nie znalazł on tu odpoczynku. Przebiegał z miejsca na miejsce szukając pomocy — w końcu przyjął bitwę i rozpuścił swych żołnierzy.

Jeden więc tylko Szpak ciągle się utrzymywał i dominował wrogom i to dość długo w najniebezpieczniejszem zostając miejscu. Do pewnego czasu nie straszyły go wyprawy moskiewskie, zręcznie się każdej wymykał, zawsze unikając starcia a ograniczając swoje działanie do trapienia ich i urywania. Po każdem odejściu Moskali miał zwyczaj gdziekolwiek sprezentować swój oddział, aby to doszło do ich wiadomości. Przyszedł raz do domu obywatela S..., musztrował swych żołnierzy na dziedzińcu, a następnie zaprosił się na obiad; że zaś często nawiedzał tego obywatela, więc byli już

z sobą dość poufale. Podczas tej bytności, kiedy Szpak prawił o swych manewrach, które gospodarzowi po części były wiadome, gdyż te w bliskiej okolicy odbywał, gościnny gospodarz podziwiając jego zręczność i szczęście tak się wyraził: „Gdybyś pan miał tyle rozumu ile masz odwagi, niezrównany byłby z pana wódz.“ Szpak nie obraził się tem szczerem wypowiedzeniem swej myśli o nim, owszem był zadowolniony z tej szczerości i przyznanego mu heroizmu, którym rzeczywiście odznaczał się. Pozycja, w jakiej się on ze swoim włościańskim obozem znajdował, dla pojedynczych osób chcących się tam do niego dostać była niedostępną. Wówczas kiedy jeszcze Wawer stał w Sejneńskim, pomocnik narodowego Komissarza Mikołaj Akielewicz miał rozkaz pułkownika Andruszkiewicza do Szpaka, aby z swym oddziałem przeszedł w okolice Sejn. Akielewicz nie mógł się z nim skomunikować, tak był zewsząd prawie otoczonym. Przez długi czas będąc odciętym od wojskowych i cywilnych władz narodowych, Szpak sam od siebie zależał i na swoją rękę działał. Przyszedł wreszcie czas i na niego; lecz wtedy dopiero, kiedy już w czterech północnych powiatach wcale nie było zbrojnego powstania, kiedy po tylu bitwach, tyle oddziałów rozproszyło się, ze wszystkich stron szczelnie otoczyli go Moskale. Wtedy na rozkaz jego piesza komenda wymknęła się częściami z pośrodka nieprzyjaciół — on sam zaś na czele dwunastu powstańców na koniach, energicznie uderzył na całą rotę Moskali ta-

mujących mu wyjście, rozbił środek i w galop pędząc uszedł, nie straciwszy ani jednego z swych odważnych jak sam żołnierzy i dostał się za granicę.

Brandt z zebranych z swego oddziału powstańców uformował pod Nowogrodem w lasach kurpiowskich na nowo oddział, z czterystu ludzi składający się. Namówiony przez aplikanta komory Wincenta i przez niego poprowadzony ścieżkami, napadł na tęż komorę (dnia 18 września), w której pakauzie znajdowało się różnych towarów na czterdzieści tysięcy rubli, przygotowanych do sprzedaży przez licytacją na korzyść skarbu moskiewskiego. Objezdczycy przestraszeni tym wcale niespodziewanym atakiem uciekli na prusską stronę — część tylko została pobitą. Brandt kazał spalić skład z towarami — ogień ogarnął i wieś, Moskale ukryci w niektórych domach popalili się — poczem wymaszerował znowuż na Kurpie. Objezdczycy ci, co się cofnęli do Pruss z częścią piechoty, wpuszczeni napowrót w granice Królestwa Polskiego przez Prussaków, puścili się za nim w pogoń, lecz dopędziwszy zaczepiać nie śmieli i wrócili do Wincenty. Oficer objezdczyków, którego nazwiska nie pamiętam, spostrzegłszy iż dom i zabudowania obywatela Janczewskiego nie dotknięte zostały ogniem z tej przyczyny, iż się znajdowały na oddalonem nieco od wiejskich budowli miejscu, wziąwszy z sobą kilku objezdczyków, kazał im zapalić stogi z sianem tuż przy zabudowaniach stojące. Zabudowania te a

w nich cała krestencja spłonęły. Obywatele widząc zupełne zniszczenie tego obywatela, przyrzekli mu udzielić zapomogę, lecz z powodu ciągłych a niekorzystnych zmian stanu powstania, kontrybucji i prześladowania moskiewskiego, przyrzeczenie to spełnionem być nie mogło. Brandt w przewidywaniu rychłego ścigania go przez Moskali stojących w Łomży i Szczuczynie, na krótki czas rozpuścił oddział, ale później nie mógł już go na nowo zebrać i sformować, bo Moskale dowiedziawszy się o miejscu zachowania broni, zabrali ją.

Powstańcy z oddziału Wawra (Romatowskiego) rozpuszczeni w powiecie Ostrołęckim, zeszli się jak im rozkazał na granicy Sejneńskiego w powiecie Augustowskim. Liczba ich dochodziła do czterystu ludzi. Dowódzca Wawer przybył do nich, lecz zaniechał dalszych wojennych działań, bo te już dla ogromnej liczby wojsk moskiewskich w województwie Augustowskiem były niepodobnemi. Powstańcy więc ci rozeszli się w różne strony a Wawer czyli Romatowski powrócił do Francji, zasłużywszy się dobrze krajowi.

Dopokąd siły powstańcze istniały w województwie, urzędnicy narodowi z oględnością wprawdzie, lecz bezpiecznie mogli pełnić swe obowiązki, Moskale bowiem stale jednych trzymali się punktów, a o każdym ich ruchu policja narodowa w stronę, w którą zamierzali się udać, dawała znać powstańcom i władzom narodowym. Lecz gdy wojska moskiewskie przybywającemi z Litwy posiłkami tak

znacznie się pomnożyły, iż nie było miasta, miasteczka i większej wsi bez znacznej załogi nieprzyjacielskiej, oddziały nasze zmuszone były z północy posunąć się w powiat Łomżyński. Wtedy wszędzie dawały się widzieć bandy moskiewskie trudniące się tylko ściganiem pojedyńczych ludzi, rabunkiem, wieszaniem i okrutnem prześladowaniem. Nie było miasteczka ani wsi nawet, gdzieby nie odbywały się poszukiwania, chwytania w przejeździe podróżnych i katowania ludzi nie biorących nawet najmniejszego udziału w powstaniu lub też służbie narodowej. Szubienice z rozkazu Murawiewa wszędzie wznoszono a każde miasto miało swego męczennika.

W takim to czasie wypadło mi jechać z miejsca mego pobytu aż pod Balwierzyszki, dla obliczenia niektórych okręgowych Naczelników. Podróż tę odbyłem bez przeszkody, lecz po ułatwieniu się z czynnością kontrolera, wracając przez wieś Wilkija, dopędzony przez mego znajomego na drodze, dowiedziałem się, że Moskale plądrują w okolicy wsi Błogosławieństwa. Ściganie było powszechne. Naczelnik powiatowy narodowy uciekł z domu i schronił się u mego znajomego. Wróciłem więc i wstąpiłem do owego znajomego. Zastałem już konie przed gankiem, na których gospodarz, ja i Naczelnik powiatu odjechaliśmy na noc do lasu, gdzie w gęstwinie spędziliśmy noc, siedząc obok siebie aż do dnia. Rano począł padać deszcz, przeszliśmy w inne miejsce — i znów cały dzień ukryci między

drzewami i ich gałęziami zasłonieni czekaliśmy, póki Moskale z powrotem nie pójdą. Że zaś nikt nam wiadomości o nich udzielić nie mógł, bo miejsce naszego schronienia w lesie nikomu nie było wiadome, przeto wieczorem, kiedy się już zmierzchło, zbliżyliśmy się do wioski i w ostatnim domu niezbyt odległym od lasu, dowiedzieliśmy się, że Moskale już wyszli, lecz czy wszyscy nie było wiadomem? Przenocowaliśmy u jednego z porządniejszych mieszkańców — a na drugi dzień mój znajomy poprowadził nas do siebie. Żona Naczelnika powiatu niespokojna, oczekiwała tu na nasze przybycie. Ona nam opowiedziała, co się działo u nich w domu w czasie moskiewskiego nawiedzenia. Mówiła nam, iż najprzód niepostrzeżenie otoczyli ogród i dziedziniec — potem weszli do domu i robili rewizją, przy której skradli dwieście kilkadziesiąt rubli w srebrnej monecie. Ponieważ oficerowie ulokowali się w pokojach, więc żołdactwo nie miało do nich przystępu i nie mogło się z tego powodu dopuścić jakichkolwiek gwałtów na mieszkańcach i ogólnego rabunku. Następnie dowódzca z oficerami zaczęli ją badać, pytając co za urzędnik narodowy ma u niej schronienie, jakie jest jego zajęcie, nazwisko i pochodzenie? Nic się atoli nie dowiedzieli, gdyż pani ta licząc na przychylność swych sług stanowczo zaprzeczyła, abym u nich bawił. Z gorliwości z jaką wypytywali zrobiła wniosek, iż gdyby mnie zastali w jej domu, byłbym ofiarą strasznej ich zemsty.

Po tej wiadomości zaraz opuściłem zajęcia służbowe i tych zacnych ludzi, których ujmująca przychylność a szczególniej poświęcenie samego Naczelnika powiatu, wyrodziły we mnie szczery dla dla nich szacunek i najmilsze wspomnienie. Puściłem się więc w powiat Sejneński, gdzie jeszcze przebywała kawalerja Rychlewskiego. Omijając drogi większe, jechałem wolno bocznemi i po dwóch dniach stanąłem na noc u znajomego mi obywatela. Na drugi dzień nadjechała tu panna E....., którą wojewoda Cyrjak Akord wysłał do Naczelnika powiatu z papierami i jakąś pieczęcią. Po obiedzie wyprawiono nas razem, gdyż ztąd wypadało mi jechać w stronę Balwierzyszek. W drodze zatrzymałem się u przyjaciela ..... a ona dalej się udała. Tu parę dni zabawiwszy, doczekałem się jej powrotu i dowiedziałem się od niej, że od czasu mego odjazdu, dwa razy umyślnie po mnie przychodziły w nocy z Kowna oddziały wojska moskiewskiego do ....., otaczały dom, zabudowania i ogród i robiły poszukiwania; radziła więc, abym unikając jawnie grożącego mi niebezpieczeństwa, wybrał się gdziekolwiek w odleglejsze strony. Zaraz też pojechałem do Pren, gdzie zatrzymałem się także u znajomego mi obywatela na noc. Nazajutrz w niedzielę, tylko cośmy skończyli obiad, nadzwyczajny wszczął się na ulicy krzyk i turkot wozów. Ludzie co się zjechali do kościoła, pędem uciekali na furmankach z miasta przed Moskalami. Wyszliśmy na ulicę, nadbiegła kawalerja dopędzająca wozy. Część

ich zaledwie zawróciła, a opasawszy miasto ruchomym łańcuchem, trzymali nas Moskale przez noc całą w oblężeniu. Aresztowali doktora i nadleśniczego a na drugi dzień około południa wyszli. Uszedłszy bez ukrywania się rąk nieprzyjacioł, pojechałem do Balwierzyszek, ztąd do jednego z obywateli, który odesłał mnie do swego krewnego, mieszkającego w wiosce na ustroniu, gdzie po kilku dniach mej bytności otrzymałem ostrzeżenie, że z za Niemna dziewięć tysięcy Moskali wysłanych przez okrutnego Murawiewa-Wieszatiela, przeprawia się w tę stronę i część wojska zbliża się ku tej wsi, w której przebywałem. Pospiesznie więc wybrałem się z dworu przez ogród na dość obszerną łąkę w końcu porosłą krzakami, a dalej puściłem się małym brzozowym laskiem, do którego zaledwie wszedłem, usłyszałem marsz kawalerji, o kilkanaście kroków odemnie oddalonej. Słyszałem rozmowy żołnierzy i szczęk pałaszy. Po uciszeniu się gwaru wojskowego pochodu, przesiedziawszy jeszcze parę godzin w lesie, wracałem do dworu w tej myśli, iż Moskale już odeszli i wszedłem do ogrodu. Ogrodnik spostrzegłszy mnie ulękł się mocno i z cicha powiedział mi, że Moskale są jeszcze we dworze i na dziedzińcu, i że będą nocować. Zwróciłem się więc znowuż przez łąkę do zarośli, a chociaż połowa dziedzińca była otwartą na prost łąki, którą przejść musiałem, nie byłem jednak przez Moskali spostrzeżonym. Gdy się zmierzchać poczęło, stanąłem we wsi przy samym Niemnie położonej,

gdzie mieszkał jeden z moich znajomych; zaprosiłem się do niego na nocleg i u niego pozostawałem przez parę dni. Dał mi później świadectwo urzędowe oraz furmankę i tak zaopatrzony pojechałem dalej. Na trzeci dzień byłem blizko Kirsny, gdzie miałem zamiar zatrzymać się. Na drodze atoli spotkałem znajomego mi z powstania żołnierza, który jechał na wozie w uniformie powstańczym kawaleryjskim, i od niego dowiedziałem się, że kawalerja nasza rozbitą została a Moskale wszędzie się już pokazują w wielkich massach. Kazałem więc zwrócić woźnicy z gościńca na boczną drożynę. Na dość wysokiej górze, ku której zbliżałem się, stał włościanin jakby na obserwacji, posłałem do niego woźnicę dowiedzieć się, czy są Moskale w Kirśnie? Woźnica wszedł na górę i poinformowawszy się u włościanina szybko wrócił do mnie mówiąc: iż tuż za górą maszerują Moskale. Kazałem mu więc jechać do folwarku stojącego na boku i tam zostałem na noc. Gospodarz zarządzający tym folwarkiem dał znać swemu panu o mojem przybyciu. Przyjechał właściciel z synem i opowiedział mi o przechodzie Moskali z za Niemna i zajęciu już przez nich całej okolicy. Przynajmniej trzydzieści tysięcy wpakowało się do naszego województwa. Wobec takiej siły niepodobieństwem było myśleć o utrzymaniu powstania i o dłuższym tu pobycie. Prosiłem więc właściciela, aby wystarał się dla mnie o paszport. Nie odmawiał, lecz objaśniał, iż wyszło nowe rozporządzenie od władz moskiew-

skich, aby wójci od siebie nie wydawali legitymacji, ale o wydanie takowych wchodzili z przedstawieniem do moskiewskiego naczelnika powiatu. Przyrzekł mi atoli, iż napisze przedstawienie, a dla pośpiechu i pewności pośle je przez pewną bardzo osobę. Po upływie tygodnia mego tu schronienia, które mi przeszło w wielkim niepokoju i ustawicznéj trwodze, gdyż dokoła bezustannie krążyły liczne oddziały wojsk murawiewoskich, odznaczające się dziką drapieżnością i barbarzyństwem, przyjechał syn właściciela i powiózł mnie z sobą do nadgranicznej wsi, gdzie pani ..... przywiozła mi paszport na imie niemieckiego kolonisty. Tegoż więc dnia ruszyłem w dalszą drogę.

Przejeżdżając bocznemi drogami od jednego do drugiego dworu, dostałem się w okolice Lubowa, gdzie na kolonji u pewnego patrjoty czas jakiś pozostawałem. Wywiedziawszy się tymczasem o miejscu przebywania wojewody Akorda, pojechałem do niego w zamiarze pozyskania karty na przejazd do Łomżyńskiego powiatu przez te miejscowości, w których nie byłem znany. Zastałem go w nędznym domku u Tatarzyna o kilka wiorst od Kalwarji. Wydał mi żądany bilet i ztąd pojechałem do Raczek. Tu się zatrzymałem kilka godzin zaledwo, śpiesząc dalej nie przez Rajgród i Grajewo, gdzie już komunikacja zupełnie przez Moskali przerwaną została, ale wprost do granicy prusskiej. Pieszo przeszedłem granicę i udałem się do miasta Borzym. Tu zatrzymałem się u majętnego obywatela, którego

nazwiska nie przypominam sobie. On dał mi furmankę bezpłatnie znów do granicy, ale wprost okolic Szczuczyna. Przejeżdżałem pomiędzy wojskiem pruskiem, które pomagając Moskalom rozciągnęło kordon na pograniczu, maszerując po linji demarkacyjnej. Rzecz dziwna, że nie byłem przez Prussaków zatrzymywany. Przejechawszy na drugą stronę pasu granicznego, zmierzałem do wsi, odległej o milę drogi od Łomży, i tam u pani ..... przez kilka dni bawiłem. Ale i tu spokoju i bezpieczeństwa nie było. Pewnego dnia z rana wbiegł do pokoju rządca z ostrzegającą wiadomością, że Moskale są we wsi. Nie było czasu myśleć o ucieczce ani też ukryciu się. Wyszedłem więc z nim przed dom w chwili gdy kawalerja wjeżdżała na dziedziniec dworu. Przechadzaliśmy się wśród wojska. Rządca spostrzegł pomiędzy objezdczykami powstańca Mikulskiego, który kilka tygodni temu, po rozpuszczeniu oddziału, tu się we dworze ukrywał i mnie dobrze znał; teraz był ubrany w mundur moskiewski jako objezdczyk. Wyprowadził ze stajni parę koni przyprowadzonych z obozu dla schronienia i oddał je Moskalom — następnie wyszukał w zabudowaniach dworskich ukryty mundur powstańczy i inne rekwizyta powstańcze i również im oddał. Mnie tu widział, a jednak rzecz dziwna nie denuncjował. Widać, że nie był jeszcze do gruntu zepsutym człowiekiem. Nie wiedząc czemby się zająć, aby lepiej odegrać rolę miejscowego oficjalisty i uniknąć zapytania co tu robię, wszedłem do pokoju syna

właścicielki, w którym obadwa sypialiśmy, a wziąwszy pudełko cygar wysypałem je na stół i starannie układałem napowrót. Oficer był w bawialnym pokoju a niedługo tam bawiąc pożegnał gospodynią i wyszedł, poleciwszy rządzcy stawić się do tłumaczenia w Łomży, poczem odszedł z wojskiem. Zdziwił nas niepomału swem łagodnem obejściem się, nie słyszano bowiem przez całe powstanie, aby tam nawet, gdzie najmniejszego nie było powodu do prześladowania, tak spokojnie odbyły się moskiewskie odwiedziny. Rządzca uciekł a ja wyniosłem się zaraz do wsi należącej do obywatela ..... Miejsce to było o wiele niebezpieczniejsze jak to, które porzuciłem, ale w owym czasie trudno już było myśleć o bezpieczeństwie. Przenocowałem a nazajutrz zatrzymano mnie na obiad. Około godziny 10 rano przybyły powozem do dworu dwie osoby: mężczyzna i kobieta. Przywitali się z gospodarstwem jak swoi. Kobieta była siostrą gospodarza, pani M..., a mężczyzna, jak się później dowiedziałem, był pomocnikiem Komissarza pełnomocnego Zabłocki (nazwisko przybrane). Przyglądał się mnie bardzo pilnie lecz nic do mnie nie mówił. Wywołał guwernera do drugiego pokoju zapewno, aby się dowiedzieć kto jestem, a potem dopiero zbliżył się do mnie i zapytał co się na Litwie dzieje? Z rozmowy z nim zauważałem, że go już guwerner w części objaśnił o tem, co się tam dzieje, poprzedniego dnia był bowiem obecnym memu opowiadaniu o ostatnich na Litwie wypadkach. Za-

błocki zaproponował mi przyjęcie urzędu Naczelnika powiatu Łomżyńskiego i żądał, abym następnego dnia pojechał do obywatela V. V. w celu objęcia tego urzędu. Zgłosiłem się do niego, lecz propozycja ta uległa zmianie z tej przyczyny, iż w skutek świeżo otrzymanego z Warszawy rozporządzenia od Rządu Narodowego, województwo Augustowskie podzielonem zostało na dwa województwa t. j. na województwo Łomżyńsko-Biebrzańskie i Augustowskie. Zabłocki więc przeznaczył mnie na wojewódzkiego naczelnika policji, — dał mi projekt urządzenia na nowo poczt narodowych, który niezwłocznie z pomocą okręgowych wprowadziwszy w wykonanie, czekałem na dalsze rozkazy. Przy spełnianiu tego poruczenia miałem sposobność dowiedzenia się od pana S....., iż moskiewskie biuro okręgowe pograniczne, rozesłało rozkazy do oficerów straży w województwach Płockiem i Augustowskiem z dołączeniem rysopisu mego, aby mnie schwytać i do Łomży odstawić. Wiadomość tę jeden z urzędników tej dykasterji zakomunikował panu S..... w celu ostrzeżenia mnie. Ostrzeżenie to nie wielkie na mnie zrobiło wrażenie. Wiedziałem dobrze, że gdybym się wówczas dostał w ręce moskiewskie, służby moje na równi z innymi przypłaciłbym życiem.

W tym czasie przejeżdżał z Warszawy w głąb Augustowskiego Komissarz pełnomocny Bronisław Radziszewski (Czyński) i przywiózł z sobą plan nowej organizacji władz cywilnych. Reorganizacja ta,

dokonana przez jenerała R. Trauguta, który wtedy stał na czele Rządu Narodowego, zwinęła urzędy Naczelników cywilnych województwa czyli Wojewodów i Naczelników wojewódzkich policji. Obowiązki tych urzędów oddane zostały w zakres służby Naczelników wojskowych wojewódzkich i Naczelników powiatowych. Ustawę tę dał mi Zabłocki do skopiowania w kilku egzemplarzach. Odjechałem do wsi R..... i tam poruczenie to po kilku dniach uskuteczniwszy, wróciłem na miejsce poprzedniego pobytu. Bawić atoli w tem miejscu długo nie mogłem, ponieważ przez pewien czas przebywali tu stale: Komissarz wojewódzki, pomocnik jego, przez ściganie wydalony z Litwy, ajent L. Wronowski i biuro Komissarza. Oprócz tego codziennie zjeżdżali się tutaj z różnych stron urzędnicy narodowi. Nie chcąc zwiększać liczby osób bawiących we dworze, pojechałem do poblizkiego folwarku. Przed odjazdem moim otrzymał Komissarz pełnomocny raport tej treści: Oddział powstańczy pułkownika Rynarzewskiego Konstantego, stojąc w ekonomji Małopłockiej, we wsi Wołkowych, został zawiadomiony, że cztery roty gwardji strzelców Preobrażeńskiego pułku, wyszło na niego ze Szczuczyna wraz z sotnią kozaków i sotnią objezdczyków z Wincenty. Rynarzewski posunął się do Zalesia. Moskale jechali na podwodach i zatrzymali się w Wydmach. Nasi przeszli do Czarnotrzewia. Rynarzewski z oddziałem złożonym z Kurpiów zajął pozycją na północ od Żelaznej, na kępach między bagnami, — a oddział

Lenartowicza stanął w tyle pod wsią Rzotkiewnicą. Miejscowość ta położona pomiędzy Myszyńcem a Kolnem na granicy Płockiego i Augustowskiego. O godzinie 7 rano (działo się to dnia 6 listopada) szpica objezdczyków nadeszła ku oddziałowi Lenartowicza; w ślad za nimi i piechota zaczęła naszych atakować. W myśl umowy uczynionej pomiędzy tymi dwoma dowódzcami, oddział pułkownika Rynarzewskiego stanął w szyku bojowym, rozsypując się częściowo w tyraljery do wsi Rzotkiewnicy. Oddział zaś Lenartowicza odstrzeliwał się na tęż samą linją, zajmując Rzotkiewnicę swojem prawem skrzydłem a dotykając lewem oddziału Rynarzewskiego i ściągnął Moskali pod ogień naszych tyraljerów. Nasi strzelcy (Kurpie) w tej bitwie zrównali się z najlepiej wyćwiczonem wojskiem. Z zimną krwią i z zapałem doskonale utrzymywali celny ogień. Lecz gdy Moskale około południa zaczęli zagrażać naszemu prawemu skrzydłu, obchodząc wieś Rzotkiewnicę, oddział Rynarzewskiego odstrzeliwając się zeszedł ku Długiemu. W tej bitwie dzielny dowódzca Rynarzewski został ciężko ranny kulą w piersi [1]). Po stracie ulubionego dowódzcy przeprawili się nasi przez Omulew a ztamtąd pomaszerowali do Surowego, gdzie oddział Rynarzewskiego

[1]) Pułkownik Konstanty Rynarzewski z rany otrzymanej pod Żelazną umarł nazajutrz 7 listopada. Śmierć jego była niepowetowaną stratą dla powstania. W wojsku moskiewskiem był kapitanem. Porzucił szeregi moskiewskie w czasie powstania. Żył lat 40.

jak również Lenartowicza wraz z jazdą Pułtuską sformowały się z szyku bojowego w pochodowy. Moskale nie mając odwagi atakować tak uporczywie i mężnie walczących Polaków, cofnęli się. Prócz Rynarzewskiego w bitwie pod Żelazną czyli Rzotkiewnicą śmiertelnie został ranny adjutant jego Bogucki, trzech żołnierzy zabitych i czterech rannych. Moskali przeszło ośmdziesiąt padło z powodu celnego strzelania Kurpiów. Tak znaczna strata wstrzymała Moskali od dalszego atakowania naszych oddziałów.

Pozostając we wspomnianym folwarku, codzień okropniejsze słyszałem wieści o wzmagających się prześladowaniach w Łomży, przeprowadzanych przez nałogowego pijaka jenerała Ganeckiego, który bez sądu i zarzutów chwytając na ulicy przechodzących lub wywłócząc z domów ludzi wcale do powstania nie mieszających się, aresztował, chłostał i odsyłał na Sybir lub wieszał. Czasami jak dzik jaki przelatując konno ulice, napotykanych mieszkańców batożył nahajką. Krwiożerczość tego niezmordowanego łotra, nie ograniczyła się na jednem mieście, wysyłał on oddziały wojska pod dowództwem umyślnie dobieranych na tę godną siebie missją oficerów na wsie, szczególniej do dworów. Ci jego wysłańcy podobnąż odznaczali się srogością. Co chwila oczekując napadu na wieś, w której się ukrywałem, nie wiedziałem sam co z sobą robić. Dano mi wcześnie znać, iż Komissarz i Pomocnik jego odjechali na

czas jakiś do Pruss i że do Małegopłocka, od którego o pół mili tylko byłem oddalony, wpadli Moskale o piątej godzinie rano, wyciągnęli księdza Wikarjusza z łóżka, zbili batami i związawszy powrozami, w jednej bieliźnie wrzucili na wóz i odwieźli do Łomży. Wtedy już nic mi nie pozostawało jak szukać ocalenia w Prussach. Przybyłem do jednego z wójtów. Ten na żądanie moje dał mi legitymacją na imię włościanina K...., a uproszona przezemnie żona jego zebrała się w drogę i ja z nią przebrany w lichą włościańską odzież, jako furman siadłszy na bryczkę, powiózłem ją do wsi Brzosk. Ztąd bez straty czasu, wskazaną mi przez miejscowych ludzi ścieżką przeszedłem granicę. — W Prussach w pierwszej wsi najałem furmankę i przyjechałem do miasta powiatowego Johannisberga. Tu zastałem w jednym domu wspólnie kwaterujących Stefana Krynickiego, dowódzcę Tyszkę, obywatela Dąbrowskiego, księdza Wikarego z Rutki i kilka innych osób. Umieściłem się między nimi i przez pięć dni byliśmy razem.

Spodziewając się jednak słusznie, iż rząd prusski na żądanie moskiewskiego rządu może nas wydać w ręce kozackie, postanowiliśmy jechać dalej. Ja i Krynicki pojechaliśmy do Francji a inni do Drezna. Niektórzy znajomi mi urzędnicy z Augustowskiego, przed wyjazdem do Francji, przybyli do mnie w Johannisbergu i zaopatrzyli mnie w fundusz na drogę — inaczej nie miałbym za co je-

chać. Kupiec johannisberski Gumbalies zaprowadził nas sześciu do landrata i na poręczenie jego otrzymawszy paszporta, na drugi dzień udaliśmy się każdy pod obcem nazwiskiem na emigracją.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

Stronnica

Władysław Rawicz, biografja, przez Agatona Gillera. 3
Rafał Krajewski i jego listy więzienne, przez Agatona Gillera 75
Dwaj Kupcy Warszawscy, przez Agatona Gillera:
I. Ksawery Szlenker 149
II. Józef Kwiatkowski 165
Wspomnienia z powstania Województwa Mińskiego 1863 roku, przez W. Koszczyca:
I. Szkic organizacji i powstania Województwa Mińskiego 183
II. Wyprawa Horolecka 231
III. Manewr partyzancki 287
Pamiętnik z Augustowskiego 1863 r., przez Rafała Błońskiego:
I. Organizacja w Województwie Augustowskiem. 319
II. Powstanie w Województwie Augustowskiem. 357

DK
436
.2
A1G55

Giller, Agaton
Polska w walce

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY